

Herbert George Wells

Ludzie jak bogowie

Przełożyła J. Sujkowska

Tytuł oryginału angielskiego Men Like Gods

Księga pierwsza

Najazd Ziemian

Rozdział pierwszy

Pan Barnstaple wyjeżdża na urlop

|

Pan Barnstaple doszedł do przekonania, że gwałtownie potrzebuje wypoczynku, a tymczasem nie miał ani dokąd wyjechać, ani też z kim. Był przepracowany i zmęczony domowym otoczeniem.

Był to człowiek, odznaczający się skłonnością do silnych przywiązań, kochał bardzo rodzinę i tak dobrze znał wszystkich jej członków, że w okresach podobnego przemęczenia grali mu po prostu na nerwach. Trzej dorastający synowie stawali się z każdym dniem bardziej długonodzy i masywniejsi. Zawsze siadywali na krzesłach, które sobie właśnie upatrzył; nie dopuszczali go do własnej pianoli; napełniali dom wrzaskliwymi śmiechami z powodu dowcipów nie nadających się do powtarzania; przeszkadzali mu w niewinnych tatusiowatych flircikach, które dotąd były główną jego rozrywką na ziemskim padole; bili go w tenisie, staczali ze sobą żartobliwe bójki na schodach i ze straszliwym hałasem po dwa, po trzy stopnie na raz spadali z nich na dół. Wszędzie zostawiali kapelusze. Spóźniali się na śniadania. Co wieczór kładli się przy akompaniamencie ogłuszających krzyków: „Ha–ha–ha, ha — masz!” Matka zdawała się tym delectować. Szło na nich masę pieniędzy, ale oni byli tego nieświadomi w wesoły sposób, a przynajmniej takie robili wrażenie. Nie zdawali sobie również sprawy z faktu, że wszystko poszło w górę z wyjątkiem zarobkowych możliwości ojca. A kiedy przy stole napomknął coś o Lloyd George’u lub zrobił najłżejszą próbę podniesienia rozmowy nad poziom bezmyślnej paplaniny, robili się ostentacyjnie roztargnieni.

W każdym razie ich zachowanie wydawało się ostentacyjne.

Pragnął z całego serca rozstać się z rodziną na czas pewien, udać się do jakiegoś spokojnego miejsca, gdzie mógłby myśleć o swoich ukochanych z dumą i miłością, a nie być przez nich maltretowany.

Pragnął również uwolnić się choćby na krótko od osoby pana Peeve’a. Sam widok ulic napełniał go udręką. Chciałby już nigdy więcej nie ujrzeć gazety ani dziennikarskiego afisza. Dręczyło go przecucie i obawa jakiejś katastrofy, finansowej i ekonomicznej,

wobec której wielka wojna wydałaby się jedynie drobnym wypadkiem. Stało się to dlatego, że będąc zastępcą redaktora i zarazem totumfackim „Liberała”, ogólnie znanego organu pesymistycznej myśli postępowej, znajdował się pod ciągłym wpływem swego szefa, pana Peeve’a i ulegał jego posępnyim nastrojom.

Poprzednio można się było przeciwstawić melancholijnemu desperatowi żartując ukradkiem z jego ponurego usposobienia z innymi członkami personelu redakcyjnego, ale obecnie i to się urwało, gdyż pan Peeve w przystępie wątpliwości finansowych zredukował ich wszystkich co do jednego. Faktycznie w danej chwili stałymi współpracownikami „Liberała” pozostawali jedynie pan Barnstaple i pan Peeve. Tym sposobem nic już nie stało na przeszkodzie destrukcyjnym wpływom redaktora. Siadywał zgarbiony w swym redakcyjnym fotelu z rękami zasuniętymi głęboko w kieszenie spodni, kracząc ponuro o wszelkich sprawach tego świata czasami przez dwie godziny z rzędu. Pan Barnstaple z natury rzeczy skłonny był do umiarkowanego optymizmu i wiary w postęp, podczas gdy jego szef utrzymywał z niezachwianą pewnością, że wiara w postęp przeżyła się już co najmniej sześć lat temu i że jedyną jasną nadzieją, jaka pozostała liberalizmowi, było przypuszczenie, że niebawem nastąpi Sąd Ostateczny. Napisawszy swój artykuł, który dawny personel zwykł był nazywać tygodniową niestrawnością szefa, pan Peeve wynosił się, pozostawiając panu Barnstaple’owi zadanie przygotowania reszty materiału, potrzebnego do wydania następnego numeru.

Nawet w zwykłych czasach trudno byłoby wytrzymać z takim człowiekiem jak pan Peeve, ale czasy nie były bynajmniej zwyczajne; działy się ciągle rzeczy, które w znacznej mierze potwierdzały jego melancholijne przewidywania. Wielki lokaut węglowy trwał już od miesiąca i zdawał się być pierwszą jaskółką wieszczącą przemysłowo-handlową ruinę Anglii. Każdy poranek przynosił nowe wieści o zuchwałych poczynaniach Irlandczyków, poczynaniach, których nie można było ani przebaczyć, ani zapomnieć. Długotrwała susza na całym świecie groziła klęską głodu. Liga Narodów, po której za wielkich dni prezydenta Wilsona pan Barnstaple spodziewał się ogromnych rzeczy, stała się melancholijnym, choć zarozumiałym niczym. Wszędzie panował stan zamętu, konfliktów i absurdów. Siedem ósmym świata zdawało się zapadać w stan chronicznego bezwładu i społecznego rozprężenia. Nawet bez pana Peeve’a ciężko byłoby przeciwstawić się druzgocącym faktom i nie dać się ogarnąć pesymizmowi.

W samej rzeczy, gruczoły pana Barnstaple’a przestały wydzielać ożywcze soki nadziei, a dla takich konstrukcji psychicznych jak jego nadzieja jest czymś tak istotnym, że bez jej współdziałania nie można strawić życia. Zawsze wierzył w liberalizm i w szlachetne liberalne dążenia, ale teraz zaczynał dochodzić do przekonania, że liberalizm nie zdobędzie się na nic lepszego nad siedzenie w zgarbionej pozycji w głębi fotela z rękami w kieszeniach i zżymanie się, i wyrzekanie na działalność małowartościowych, lecz za to energicznych osobników, których ambitne zabiegi doprowadzą niechybnie świat i ludzkość do ruiny.

Dniami i nocami pan Barnstaple dręczył się teraz sprawami całego świata. Nawet bardziej nocami niż dniami, gdyż zaczynał cierpieć na bezsenność. Nawiedzało go gorączkowe pragnienie, żeby wydać jeden numer „Liberała” podług swojej myśli — przerobić go całkowicie po odejściu pana Peeve’a i wyrzucić wszelkie niestrawne

elukubracje, puste wydrwiwania tego czy owego, delektowania się okrutnymi i smutnymi faktami, przesadne traktowanie naturalnych ludzkich uchybień Lloyd George'a, apele do lorda Greya, lorda Roberta Cecila, lorda Landsdowne'a, papieża, królowej Anny lub cesarza Fryderyka Barbarossy (zmieniało się to z tygodnia na tydzień). Pragnął zerwać się, nadać wyraz i formę młodym aspiracjom mającego się narodzić świata, napelnić szpalty pisma utopią i zawołać do zdumionych czytelników „Liberala”: „Oto są rzeczy, których musimy dokonać! Oto są rzeczy, których dokonamy!” Cóż by to był za cios dla pana Peeve'a, gdyby to przeczytał przy niedzielnym śniadaniu! Tak by się pewnie zdziwił, że zapomniawszy o nienormalnej sekrecji swoich gruczołów, strawiłby może ten posiłek, jak należy. Ale to było niedorzeczne marzenie. W domu było trzech młodych Barnstaple'ów i trzeba było myśleć o tym, jak ich wykierować na niezależnych ludzi. I pomimo że rzecz ta w marzeniu przedstawiała się nad wyraz pięknie, pan Barnstaple miał nieprzyjemne przeświadczenie, że nie był dostatecznie uzdolniony, by ją przeprowadzić. Zrobiłby pewnie z tego groch z kapustą. Może w praktyce trafiłby z deszczu pod rynnę. „Liberał” było to pismo posępne, zniechęcające, zgryźliwe, ale bądź co bądź nie takie znów złe i liche,

Jednakowoż dla uniknięcia tak fatalnego kroku niezbędne było, żeby pan Barnstaple mógł odpocząć choćby na krótko od destrukcyjnego wpływu pana Peeve'a. Już parę razy postawił mu się okoniem. W każdej chwili można się było spodziewać awantury.

Pierwszym krokiem do uwolnienia się od pana Peeve'a była, ma się rozumieć, wizyta u doktora. Pan Barnstaple udał się tedy do doktora.

— Nerwy wypowiadają mi posłuszeństwo — rzekł na wstępie. — Mam silną neurastenię.

— Ma pan neurastenię — potwierdził lekarz.

— Codzienna praca przejmuje mnie wstrętem.

— Potrzeba panu wypoczynku.

— Czy pan sądzi, że potrzebna mi jest zmiana otoczenia?

— Tak zupełna, na jaką tylko może pan sobie pozwolić.

— Czy może mi pan doktor polecić jakieś miejsce, dokąd mógłbym się udać?

— A dokąd pan chce jechać?

— Nie mam określonych planów. Myślałem, że pan mógłby polecić...

— Niech pan jedzie tam, dokąd panu przyjdzie fantazja, i na razie nie zadaje sobie żadnego przymusu.

Pan Barnstaple zapłacił doktorowi jedną gwineę i, uzbrojony w powyższe wskazówki, przygotował się do obwieszczenia przy odpowiedniej okazji panu Peeve'owi nowiny o swej chorobie i konieczności wyjazdu.

II

Przez czas pewien ta perspektywa urlopu wypoczynkowego była tylko jednym strapieniem więcej, dodanym do i tak już nadmiernego ciężaru zmartwień i kłopotów. Decyzja wyjazdu równała się konieczności rozwiązania za jednym zamachem trzech pozornie niezwalczonych trudności: Jak wyjechać? Dokąd? I ponieważ pan Barnstaple należał do tych ludzi, którzy nużą się szybko .przebywaniem sam na sam ze swoją jaźnią, rodziło się pytanie: Z kim? Ostry błysk ukradkowych knowań wdarł się w szczere

przygnębienie, które ostatnio stało się zwykłym nastrojem pana Barnstaple'a. Co prawda, nikt nigdy nie zwracał zbytnej uwagi na nastroje pana Barnstaple'a.

Jedna rzecz nie ulegała dlań najmniejszej wątpliwości. Nie powinien wspomnieć w domu ani słowa o zamierzonym urlopie. Wiedział, co by się stało, gdyby pani Barnstaple zorientowała się, co się święci. Z miną kompetentnie troskliwą zajęłaby się całą sprawą na własną rękę. „Musisz mieć porządny wypoczynek” — powiedziałyby z namaszczeniem.

Wybrałyby jakąś odległą i kosztowną miejscowość w Kornwalii, Szkocji lub Bretanii, zakupiłyby masę rzeczy na drogę, w ostatniej chwili dorzuciłyby jeszcze dużo niewygodnych pakunczków i wyprawiła z nim chłopców. Prawdopodobnie namówiłyby też niektórych znajomych, żeby się wybrali w to samo miejsce celem robienia „wesołego nastroju”. Gdyby jej posłuchali, z pewnością przywieźliby ze sobą swoje najgorsze przyrodzone cechy i okazali się niezmordowanymi nudziarzami. Nie byłoby mowy o żadnej rozmowie, a za to dużo nieszczerego śmiechu i gry, i gry bez końca... Nie! Ale jak człowiek maże wyjechać na urlop w taki sposób, żeby żona się o tym nie dowiedziała? Trzeba ukradkiem spakować rzeczy i przemycić je z domu.

Najbardziej pocieszającą stroną całej tej kłopotliwej sprawy był fakt, że pan Barnstaple posiadał swój własny samochodzik. Było rzeczą naturalną, że ten przedmiot odegrał dużą rolę w jego tajnych planach. Przede wszystkim nastęczał najłatwiejszy sposób wydostania się z domu i zamieniał ewentualną odpowiedź na pytanie: dokąd?

Określając punkt stały, w coś, co, o ile wiem, matematycy nazywają locus*¹. Nadto w małej benzynowej bestii było coś tak towarzyskiego, że odpowiadała poniekąd na trzecie pytanie: z kim?

Samochód był tylko na dwie osoby i w rodzinie znany był pod nazwą Nożnej Kąpieli, Musztardy Colmana i Żółtego Niebezpieczeństwa. Jak wynika z powyższych określeń, była to niska, otwarta maszyna, jasnożółtej barwy. Pan Barnstaple jeździł nią do biura z Sydenham, gdyż zużywała tylko jeden galon benzyny na trzydzieści trzy mile i była o wiele tańsza niż sezonowy bilet kolejowy. W ciągu dnia stała na podwórzu pod oknem redakcji. W Sydenham schowana była zawsze w szopie, do której klucz znajdował się stale w posiadaniu pana Barnstaple'a. Jak dotąd, udało mu się nie dopuścić do tego, by chłopcy nią jeździli lub też rozebrali ją na kawałki. Czasami pani Barnstaple prosiła męża o obwiezienie jej po Sydenham, gdy miała dużo sprawunków, ale w rzeczywistości nie lubiła małego wozu, gdyż wystawiał ją zbyttno na działanie żywiołów, zasypywał kurzem i targał włosy.

Zarówno z racji tych rzeczy, które umożliwiały, jak i tych, które wykluczały, mały samochodzik nadawał się znakomicie jako środek urzeczywistnienia marzeń wypoczynkowych. I oprócz tego pan Barnstaple bardzo lubił nim jeździć. Prowadził go co prawda źle, ale nadzwyczaj ostrożnie. I chociaż maszyna czasami stawała i odmawiała posłuszeństwa, to w każdym razie nie posuwała się tak daleko, jak większość innych rzeczy w życiu pana Barnstaple'a, które zwracały na wschód, wtedy gdy on wykręcał kierownicę na zachód. Toteż jadąc swym samochodem doznawał miłego poczucia władzy i niezależności.

W końcu pan Barnstaple powziął ostateczne postanowienie bardzo szybko. Nastęrczyła mu się nagle doskonała okazja. We czwartek był jak zwykle u drukarza i powrócił wieczorem do domu straszliwie wyczerpany i zdenerwowany. Pogoda dopisywała — panowała upalna susza. Było to tym rozpaczliwsze, że wróżyło głód i nędzę dla połowy świata. W Londynie sezon był w całej pełni — miasto szumiało, eleganckie i uśmiechnięte. Jeżeli to możliwe, był to jeszcze głupszy rok niż rok 1913, wielki rok tanga, który w świetle późniejszych wypadków pan Barnstaple przywykł uważać za najgłupszy rok w dziejach świata. „Star” jak zwykle głosił złe wieści na marginesie towarzysko-sportowych nowin. W dalszym ciągu trwały walki między Rosją i Polską, jak również w Irlandii, Azji Mniejszej, na pograniczu Indii i we Wschodniej Syberii. Zdarzyły się trzy nowe straszliwe morderstwa. W dalszym ciągu trwał lokaut górników i zanosilo się na wielki strajk wszystkich mechaników. W pociągu powrotnym było tylko stojące miejsce i wyruszył on z dwudziestominutowym opóźnieniem.

Pan Barnstaple zastał w domu bilecik od żony, informujący go, że dostała depeszę od kuzynów z Wimbledonu z wiadomością, iż nadarzała się nieoczekiwana okazja ujrzenia tenisa, granego przez mademoiselle Lenglen i innych mistrzów, i że wobec tego ona, to jest pani Barnstaple, pojechała tam z chłopcami i powróci dopiero późnym wieczorem. Uważała, że chłopcy niezmiernie skorzystają przypatrując się pierwszorzędnej grze mistrzyni. Na zakończenie przeproszała go, że nie zastanie nikogo w domu, gdyż był to wychodny dzień służby. Przed wyjściem mieli mu przygotować zimną kolację.

Pan Barnstaple przeczytał list z uczuciem rezygnacji. W trakcie posiłku przerzucił broszurę, którą przysłał mu przyjaciel z Chin dla wykazania, że Japończycy świadomie wyłamali się z ostatnich pęt chińskiej cywilizacji i chińskiego systemu wychowawczego. Dopiero gdy po kolacji znalazł się z fajką w małym ogródku za domem, uświadomił sobie całą doniosłość faktu, że pozostawiono go samego w pustym domu.

Nagle zaczął się krzątać z wielką gorliwością i zapalem. Zadzwoił do pana Peeve’a, powiedział mu o orzeczeniu doktora, wytłumaczył, że sprawy „Liberata” znajdowały się w zadowolającym stanie i że skutkiem tego osoba jego nie była całkiem niezbędna, i dostał pozwolenie na wyjazd. Potem pobiegł do swego sypialnego pokoju i spakował pośpiesznie najpotrzebniejsze rzeczy w starą skórzaną torbę podróżną, której brak nie zostanie, jak sądził, od razu zauważony, i ukrył ją pod siedzeniem auta. Następnie poświęcił trochę czasu na napisanie listu do żony, który... schował starannie do kieszeni kamizelki.

W końcu zamknął na klucz szopę z samochodem i usadowił się wygodnie w trzcinowym fotelu w ogrodzie z fajką i sympatyczną mądrą książką o bankructwie Europy celem nadania sobie przed powrotem rodziny do domu możliwie niewinnego i zwyczajnego wyglądu.

Po powrocie żony powiedział jej zdawkowym tonem, że ma wrażenie, iż cierpi na neurastenię, i że postanowił pojechać jutro rano do Londynu i zasięgnąć porady lekarskiej.

Pani Barnstaple chciała mu wybrać doktora, ale się z tego wykręcił mówiąc, że musi się liczyć w tym względzie z opiniami Peeve’a i że Peeve ma szczególne zaufanie do tego właśnie lekarza, którego się już faktycznie poradził. A kiedy żona dodała jeszcze, że

podług jej zdania oni wszyscy potrzebowali wypoczynku, mruknął tylko coś nieokreślonego.

W ten sposób pan Barnstaple mógł wydostać się z domu z całym bagażem, niezbędnym przy kilkotygodniowych wakacjach, nie obudziwszy podejrzeń i nie wywoławszy nieprzewyciężonej opozycji. Następnego rana wyruszył do Londynu. Ruch na drodze był ożywiony i wesoły, ale wcale nie kłopotliwy, i Żółte Niebezpieczeństwo mknęło tak równo i lekko, że można by je było tym razem przechrścić na Złotą Nadzieję.

W Camberwell skręcił na nowy trakt i pojechał do urzędu pocztowego przy Vauxhall Bridge Road. Tu się zatrzymał. To, co czynił, napełniało go jednocześnie lękiem i uciechą. Wszedł na pocztę i wysłał do żony depeszę następującej treści: „Dr Pagan powiada — samotność i wypoczynek gwałtownie potrzebne — jadę okręg jezior wydobrzeć mam torbę rzeczy — wysyłam list.”

Potem wyszedł z gmachu pocztowego i wyjąwszy z kieszeni list do żony, który z taką starannością skomponował poprzedniego wieczora, wrzucił go do skrzynki. Był on naumyślnie nagryzmołony w taki sposób, żeby świadczyć o neurastenii w ostrym stadium. Wyjaśniał w liście, że dr Pagan przepisał mu natychmiastowy wypoczynek i poradził „wędrówkę na północ”. Lepiej będzie dla niego, to jest dla pacjenta, jeżeli przez kilka dni, a nawet tydzień i więcej — nie będzie pisał żadnych listów. Napisze tylko wtedy, jeżeliby zaszło coś ważnego. Brak nowin będzie dobrą nowiną. Jest pewny, że wszystko pójdzie dobrze. Jak tylko dojedzie do jakiegoś określonego miejsca, przyśle telegraficznie adres, ale prosi, żeby mu komunikowano tylko naprawdę ważne wiadomości.

Po ukończeniu tych czynności zajął miejsce w samochodzie z takim poczuciem swobody, jakiego nigdy nie doświadczył od przyjazdu na swoje pierwsze szkolne wakacje.

Skierował się ku wielkiemu północnemu traktowi, ale na rogu Hyde Parku natknął się na szalony ruch i pozwolił policjantowi zawrócić się ku Knightsbridge. Później na rogu, gdzie rozwidlają się Bath Road i Oxford Road, zagroziła mu drogę platforma i skierowała na Bath Road. Nie miało to wszakże znaczenia. Każda droga gdzieś prowadziła, a na północ mógł zawrócić przy pierwszej lepszej sposobności.

III

Dzień był słoneczny i wesoły, jeden z tych dni charakterystycznych dla wielkiej posuchy 1921 roku. Nie było ani trochę parno. W powietrzu unosiła się świeżość, która zestrzajała się z przecuciem pana Barnstaple'a, że czekają go jakieś miłe przygody. Powróciła mu nadzieja. Wiedział, że znajdował się na drodze, która miała go wywieść ze znanego mu świata, chociaż jak dotąd nie miał najłżejszego podejrzenia, jak dalece miał być wyrzucony poza ową sferę znanych mu spraw.

Niebawem zatrzyma się przed oberżą i zje śniadanie — będzie to naprawdę mała przygoda, a jeżeli w dalszej drodze dokuczy mu samotność, będzie mógł kogoś podwieźć i uciąć pogawędkę. Łatwo będzie oddać komuś tę przysługę, gdyż dopóki był zwrócony plecami do Sydenham i redakcji „Liberala”, dopóty było mu wszystko jedno, dokąd i którędy pojedzie.

Niedaleko od Slough minął go ogromny, szary wycieczkowy samochód. Stało się to tak nagle, że aż skręcił gwałtownie w bok. Olbrzym nadszedł cichuteńko, i chociaż pan Barnstaple podług swego prawie dokładnego licznika pędził z szybkością niemal dwudziestu siedmiu mil na godzinę, przeleciał koło niego jak wicher. Zauważył, że znajdowali się w nim trzty dżentelmeni i jedna dama. Wszyscy siedzieli prosto i patrzyli za siebie, jak gdyby zainteresowani czymś, co jechało za nimi. Przemknęli za szybko, by zdążyć im się dokładnie przyjrzeć; zauważył tylko, że dama była cudownie piękna, pięknnością bezwzględną i nią podlegającą żadnej dyskusji, i że najbliższy pasażer od jej strony miał szczególnie chochlikowa ty wyraz niemłodej już fizjonomii.

Zanim zdążył ochłonąć z *éclat** tego spotkania, usłyszał znów za sobą ostrzegawczą trąbkę drugiego samochodu, podobną do głosu przedhistorycznego jaszczura. To mu się podobało. Lubił, gdy go w ten sposób mijano — z zachowaniem formalności. Zjechał tedy, odrzuciwszy wszelkie pretensje, ze środka drogi i wykonał ręką parę zachęcających gestów. Duża, gładka, szybka limuzyna skorzystała z jego pozwolenia i zajęła po jego prawej ręce wolne trzydzieści kilka stóp szerokości. Wyładowana była bagażem, ale oprócz młodego dżentelmena w monoklu, siedzącego obok szofera, nie zdołał dojrzeć żadnych innych pasażerów.

Limuzyna objechała zakręt drogi i pomknęła w ślad za samochodem wycieczkowym. Trzeba wziąć pod uwagę, że nawet Mechaniczna Kąpiel Nożna nie lubi być mijana w taki pański, lekceważący sposób w jasny poranek na otwartej drodze. Pan Barnstaple nacisnął tedy akcelerator i objechał zakręt z szybkością o jakieś dziesięć mil na godzinę większą od swojej zwyczajnej, ostrożnej normy. Przed nim rozciągała się szara wstęga pustej drogi.

W istocie, droga była zadziwiająco pusta. Biegła, nie załamując się, na przestrzeni może jednej trzeciej mili. Po lewej stronie ciągnął się niski, dobrze utrzymany żywopłot i widniały rozproszone drzewa, równe pola, kilka dalekich małych chat, odległe topole oraz mała plamka zamku Windsor. Po prawej rozpościerały się równe pola, stała mała oberża, a na dalszym planie szarzały niskie zalesione pagórki. Wybitnym rysem tego spokojnego krajobrazu była tablica na słupie z reklamą nadrzecznego hotelu w Maidenhead. Przed zdumionym wycieczkowiczem wirowało tylko wzdłuż drogi w gorącym powietrzu kilka małych kłębow pyłu, ale nie było widać żadnego śladu ani szarego samochodu wycieczkowego, ani tej limuzyny.

Upłynęły dwie sekundy, nim pan Barnstaple zdołał sobie uświadomić całą niezwykłość tego faktu. Ani na prawo, ani na lewo nie było widać żadnej bocznej drogi, która mogłaby usprawiedliwić zniknięcie jednego czy też drugiego auta. Jeżeli zaś znajdowały się już za następnym zakrętem, to musiały chyba pędzić z szybkością dwustu mil na godzinę!

Pan Barnstaple miał znakomity zwyczaj zwalniania w razie jakichś nasuwających się wątpliwości. Zwolnił też i teraz i pojechał dalej w tempie może piętnastu mil na godzinę z otwartymi szeroko oczami i ustami, rozglądając się naokoło w oczekiwaniu, że pusty krajobraz wyjaśni mu jakimś sposobem tajemnicę tego zniknięcia. To było ciekawe, że nie miał wcale uczucia, żeby groziło mu jakiegokolwiek niebezpieczeństwo.

Nagle doznał wrażenia, że samochód o coś uderzył i pośliznął się, ale tak gwałtownie, że pan Barnstaple stracił na chwilę głowę. Nie mógł sobie przypomnieć, co się w takim

wypadku powinno robić. Coś mu się troiło niewyraźnie, że należy skręcić w tym kierunku, w jakim samochód się pośliznął, ale w podnieceniu nie mógł się zorientować, która to właściwie była strona.

Potem przypomniał sobie, że w tym momencie usłyszał dźwięk. Był to zupełnie taki sam dźwięk, jaki oznacza najwyższy punkt ciśnienia, ostry jak pęknięcie struny lutni, słyszy się go przy końcu lub na początku utraty przytomności przy zastosowaniu środków znieczulających.

Zdawało mu się, że skręcił ku żywopłotowi na prawo, ale teraz znów ujrzał przed sobą wstęgę drogi. Nacisnął akcelerator, po czym zwolnił i stanął. Stanął, przejęty najgłębszym zdziwieniem, jakiego kiedykolwiek doznał.

Była to bowiem jakaś zupełnie inna droga niż ta, na której znajdował się pół minuty temu. Żywopłoty i drzewa zmieniły się zasadniczo, zamek Windsor zniknął jak miraż, ale za to zjawiała się z powrotem wielka limuzyna. Stała koło drogi w odległości jakichś stu jardów.

Rozdział drugi

Dziwna droga

|

Przez czas jakiś uwaga pana Barnstaple'a podzieliła się między dwa przedmioty: limuzynę, z której pasażerowie zaczęli właśnie wysiadać, i roztaczający się naokoło krajobraz. Ten ostatni był w samej rzeczy taki cudowny i tak niezwykły, że mała grupka ludzi stojąca przed panem Barnstaple'em dlatego tylko przykuła jego uwagę, iż ludzie ci musieli odczuwać to samo co on zdumienie i zachwyt, wobec czego mogli mu dopomóc w wyjaśnieniu oszałamiającej i budzącej niepokój sytuacji.

Sama droga nie była już zwyczajną angielską szosą, zbudowaną z ubitych kamieni i odpadków, zalanych smołą i posypanych z wierzchu żwirowatym piaskiem i kurzem z dodatkiem zwierzęcego nawozu, lecz lśniącem traktem, najwidoczniej szklanym, w niektórych miejscach przejrzystym jak krystaliczna woda, w innych mlecznym lub opalizującym delikatnymi barwami albo mieniającym się złocistym pokostem. Był on szeroki na jakieś dwanaście lub piętnaście jardów.

Po obydwóch jego stronach ciągnęły się pasy murawy, najpiękniejszej, jaką pan Barnstaple kiedykolwiek oglądał — trzeba bowiem zaznaczyć, że znał się na gatunkach trawy i sam kosił trawniki — za nimi zaś widniały szerokie obrzeżające je rabaty kwiatów. W miejscu, gdzie siedział w samochodzie oszołomiony pan Barnstaple, i na przestrzeni może trzydziestu jardów w obie strony rabata składała się z gąszczy jakichś nieznanych kwiatów koloru niezapominajek. Dalej urywała się jednorodność barwy i w miarę, jak wzrok przenosił się coraz dalej, zjawiało się coraz więcej wysmukłych, niepokalanie białych kiści, które w końcu wyrugowywały z grządki błękitne kwiecie. Z drugiej strony drogi te same kiście zmieszane były z masą roślin, okrytych strąkami, również nie znanych panu Barnstaple'owi a grających istną gamę kolorów, od błękitu i fioleto do czerwieni i intensywnego szkarłatu.

Poza tą cudownie barwną pianą kwiatów rozciągały się płaskie łąki, na których pasły się stada białego bydła. Trzy sztuki znajdujące się w pobliżu, może trochę spłoszone nagłym ukazaniem się pana Barnstaple'a, żuły paszę i przyglądały mu się zamyślonymi,

łagodnymi oczyma. Miały one długie rogi i podgardla jak było z Indii i południowej Europy. Od tych potulnych stworzeń oczy pana Barnstaple'a przeniosły się na długi rząd drzew o konturach w kształcie płomieni, na białą–złotą kolumnadę i na tło łańcucha śnieżnych gór. Parę długich białych chmur żeglowało po olśniewająco błękitnym niebie. Powietrze robiło wrażenie zdumiewająco czystego i wonnego.

Z wyjątkiem krów i grupki osób, stojących koło limuzyny, nie było widać żadnej innej żywej istoty. Turyści stali nieruchomo i rozglądali się ze zdumieniem dokoła. Pana Barnstaple'a dobiegło echo kłótliwych głosów.

Ostry trzask z tyłu zwrócił jego uwagę w innym kierunku. Z boku przy drodze, od strony, z której, jak sądził, nadjechał, widniały ruiny wyglądające na rumowiska niedawno zdemolowanego kamiennego domu. Obok stały dwie ogromne jabłonie, świeżo odarte z kory, połupane i powykręcane jakby skutkiem jakiejś eksplozji. Ze środka gruzów wydobywał się słup dymu i charakterystyczny trzask palących się przedmiotów.

Powykręcane sylwetki zdruzgotanych drzew sprawiły, że pan Barnstaple uświadomił sobie, iż część kwiatów, rosnących tuż przy drodze, przechylona była na jedną stronę jakby skutkiem gwałtownej wichury, która tylko co tędy przeszła. Nie słyszał jednakże żadnej eksplozji ani też nie poczuł żadnego, choćby najłżejszego podmuchu wiatru.

Przez chwilę patrzył osłupiały, a potem znów spojrzął w kierunku limuzyny, jakby wyglądając stamtąd wyjaśnień. Troje turystów szło drogą ku niemu. Na przedzie zdążał wysoki, szczupły siwy mężczyzna w piłśniowym kapeluszu i długim samochodowym prochowcu. Miał on drobną, rezolutną twarzyczkę z malutkim noskiem, ledwie dostatecznym do utrzymania sprężyn złotych binokli. Pan Barnstaple zapuścił motor i pojechał wolno na ich spotkanie.

Znalazszy się, jak sądził, w odległości głosu, zatrzymał się i wychylił głowę z Żółtego Niebezpieczeństwa, by zapytać, gdzie się znajduje. W tejże samej chwili wysoki siwowłosy dżentelmen zadał mu pytanie, jakby wyjęte z jego własnego gardła:

— Czy mógłby nam szanowny pan powiedzieć, gdzie się właściwie znajdujemy?

II

— Pięć minut temu — odparł pan Barnstaple — powiedziałbym, że na szosie Maidenhead, w pobliżu Slough.

— Właśnie! — potwierdził wysoki pan poważnym przekonywającym tonem. — Właśnie! I ja utrzymuję, że nie ma żadnej najłżejszej racji przypuszczać, iż w dalszym ciągu nie znajdujemy się na tejże maidenheadzkiej szosie.

W głosie jego zabrzmiała wyzywająca nuta urodzonego dialektyka.

— To wcale nie podobne do maidenheadzkiej szosy — zauważył pan Barnstaple.

— Zgoda! Ale czyż mamy sądzić na podstawie pozorów, czy też bezpośredniej ciągłości naszego doświadczenia? Szosa maidenheadzka doprowadziła nas tutaj, to jest jej dalszy ciąg, przeto utrzymuję, że to jest szosa maidenheadzka.

— Te góry? — rzekł pan Barnstaple.

— Powinien tam leżeć zamek Windsor — odparł z ożywieniem wysoki jegomość takim tonem, jakby oddawał jedną figurę w gambicie.

— Był tam przed pięciu minutami — powiedział pan Barnstaple.

— A więc najwidoczniej te góry są rodzajem kamuflażu — oznajmił triumfująco dialektyk — i cała ta historia jest, jak się to dzisiaj mówi, inscenizacją.

— Wygląda na piekielnie udaną inscenizację — odparł właściciel Żółtego Niebezpieczeństwa.

Nastąpiło chwilowe milczenie, w trakcie którego pan Barnstaple przyjrzał się reszcie towarzystwa. Wysokiego osobnika znał doskonale. Widywał go niejednokrotnie na zebraniach i oficjalnych ucztach. Był to pan Cecil Burleigh, wielki przywódca konserwatystów. Wyróżniał się on nie tylko jako polityk, ale również jako człowiek prywatny, był filozofem i w ogóle jednostką obdarzoną wszechstronną inteligencją. Za nim stał nie znany panu Barnstaple'owi człowiek w średnim wieku, niski i krępy, o zaczepnym wyglądzie, która to cecha potęgowała się jeszcze skutkiem noszenia monokla. Trzeci osobnik wydawał mu się również znajomy, ale przez chwilę nie mógł sobie przypomnieć, kim on właściwie był. Miał gładko wygoloną, okrągłą, puciołowatą fizjonomię i pulchną postać, a strój jego wskazywał albo na anglikańskiego pastora, albo też na bardzo zamożnego katolickiego księdza.

Młody człowiek w monoklu zabrał głos i przemówił bezsilnym falsetem:

— Przejeżdżałem tędy niecały miesiąc temu w drodze do Taplow Court i z pewnością tego wszystkiego wtedy nie było.

— Przyznaję, że rzecz nastęcza pewne trudności — rzekł z kompetentną miną pan Burleigh. — Przyznaję, że są poważne trudności. Ale pomimo wszystko ośmielam się twierdzić, że moje główne założenie pozostaje w całej mocy.

— Pan nie myśli, że to jest szosa maidenheadzka? — rzekł dżentelmen w monoklu, zwracając się obcesowo do pana Barnstaple'a.

— To wydaje się za doskonale na inscenizację — odrzekł tonem łagodnego uporu zapytany.

— Ależ panie kochany! — zaproponował pan Burleigh — ta droga jest znana z tego, że hodowcy nasion i szkółek urządzają tu czasami pokazy, nieraz zdumiewające — dla reklamy.

— W takim razie dlaczego nie jedziemy prosto do Taplow Court? — zapytał pan w monoklu.

— Dlatego — odparł pan Burleigh z odcieniem zniecierpliwienia właściwego człowiekowi, który musi dowodzić faktu już ustalonego, a uporczywie ignorowanego — że Rupert utrzymuje, iż znajdujemy się w jakimś innym świecie, i nie chce jechać dalej. Oto dlatego. Zawsze miał zbyt bujną wyobraźnię. Myśli, że rzeczy, które nie istnieją, mogą istnieć. I teraz wyobraża sobie, że jest bohaterem jakiegoś naukowego romansu i że znajduje się poza granicami naszego ziemskiego świata — w innym wymiarze. Czasami myślę, że byłoby lepiej dla nas wszystkich, gdyby Rupert zabrał się do pisania romansów — zamiast je przeżywać. Jeżeli pan, jako jego sekretarz, sądzi, że będziecie w stanie przyjechać do Taplow na czas, żeby zjeść śniadanie z mieszkańcami Windsoru... Pan Burleigh gestem wypowiedział rzeczy, na których słowne wyrażenie nie znalazł odpowiednio silnych wyrazów.

Pan Barnstaple zdążył tymczasem zauważyć wolno poruszającą się, pełną napiętej uwagi postać badającą łąn kwiatów w pobliżu limuzyny; człowiek ten miał żółtawą cerę i

szary z czarną opaską cylinder spopularyzowany przez karykaturzystów. Musiał być to więc ni mniej, niż więcej tylko Rupert Catskill, minister spraw wojskowych. Tym razem pan Barnstaple znalazł się na jednej pojęciowej platformie z tym nazbyt ryzykownym politykiem. Zgadzał się z nim najzupełniej, że ten świat, który się przed nimi w tej chwili roztaczał, był zupełnie innym światem. Wysiadł z auta i zwrócił się do pana Burleigha. — Mam wrażenie, że zbadanie tego palącego się budynku pozwoli nam zorientować się w znacznej mierze w sytuacji. Zdaje mi się, że tam na uboczu leży jakaś postać. Gdybyśmy mogli złapać któregoś z oszustów...

Urwał w połowie zdania, gdyż nie wierzył ani przez jedną chwilę, że padli ofiarą jakiegoś kuglarstwa. W ciągu ostatnich pięciu minut pan Burleigh ogromnie stracił w jego oczach. Wszyscy czterej spojrzeli na dymiące ruiny.

— To doprawdy zdumiewające, że nigdzie nie widać żywej duszy — zauważył pan w monoklu, błędząc wzrokiem po okolicy.

— W każdym razie możemy zbadać, co się właściwie pali; nie sądzę, żeby nam to mogło zaszkodzić — rzekł pan Burleigh i ruszył przodem z inteligentnym, badawczym wyrazem twarzy w kierunku zrujnowanego domu stojącego między połamanymi drzewami.

Ale nie zdążyli zrobić nawet dwudziestu kroków, kiedy mała grupa stanęła jak wryta, gdyż od strony limuzyny doleciały ich głośne, pełne trwogi okrzyki pozostawionej w niej kobiety.

III

— Doprawdy za wiele tego dobrego! — zawołał ze szczerym gniewem pan Burleigh. — Muszą być z pewnością przepisy policyjne, zabraniające tego rodzaju rzeczy.

— Musiał uciec z jakiejś wędrowniej menażerii — zauważył pan z monoklem. — Cóż my teraz poczniemy?

— Wygląda na oswojonego — rzekł pan Barnstaple, bynajmniej nie kwapiąc się ze zrobieniem próby, która by potwierdziła jego teorię.

— Może łatwo przestraszyć ludzi, i to nawet bardzo — rzekł siwy dżentelmen i podniósłszy głos, zawołał łagodnym tonem: — Nie bój się, Stello! Jest prawdopodobnie zupełnie oswojony i nieszkodliwy. Nie drażnij go tą parasolką, bo się jeszcze na ciebie rzuci. Stello!

„On” — był to ogromny, pięknie cętkowany lampart, który wyszedł cicho spomiędzy kwiatów i usiadł na środku szklanej drogi obok wielkiego samochodu, niby kolosalne kocisko. Mrużył oczy i poruszał rytmicznie głową w tę i w tamtą stronę z wyrazem głębokiego zaciekawienia, podczas gdy dama, stosownie do najlepszych tradycji obowiązujących w tego rodzaju wypadkach, otwierała i zamykała parasolkę tak szybko, jak tylko mogła. Szofer schował się za samochodem. Pan Rupert Catskill stał po kolana w kwiatach, z otwartymi szeroko oczyma, patrząc na zdumiewające zjawisko, i było widocznym, że ten sam krzyk, który zwrócił uwagę pana Burleigha i jego towarzyszy na groźne zwierzę, i dla niego również był pierwszym ostrzeżeniem, że stało się coś niezwykłego.

Pierwszy zdobył się na określoną akcję i ten postępek okazał jego wrodzoną odwagę. Był jednocześnie ostrożny i zuchwały.

— Niechże pani przestanie machać tą parasolką, lady Stello — powiedział. — Niech mi pani pozwoli — zaraz — postaram się ujarzmić go wzrokiem.

Obszedł naokoło samochód i stanął oko w oko ze zwierzęciem. Przez chwilę stał, jakby się prezentując, w całej okazałości swej rezolutnej, drobnej figurki w szarym surducie i cylindrze z czarną opaską. Wyciągnął ostrożnie rękę, nie za nagle, żeby nie spłoszyć dzikiego stworzenia, i rzucił pieszczotliwym głosem:

— Kiiiiiciuuuuś!

Lampart, który przestał zwracać uwagę na zamkniętą parasolkę lady Stelli, przyjrzał mu się z zainteresowaniem i ciekawością. Amator-pogromca przysunął się o krok bliżej. Zwierzę wyciągnęło pysk i zaczęło wciągać powietrze nosem.

— Niech go tylko pogłaszczę — rzekł pan Catskill i zbliżył się na długość ramienia. Lampart powąchał wyciągniętą rękę z wyrazem niedowierzania, po czym kichnął tak nagle i niespodziewanie, że pan Catskill odskoczył o kilka kroków w tył. Kichnął potem po raz drugi z jeszcze większą gwałtownością i, popatrzawszy z wyrzutem na małego człowieczka, przeskoczył lekko przez grządkę kwiatów i pomknął w kierunku biało-żółtej kolumnady. Pasące się na polu bydło, jak zauważył pan Barnstaple, patrzyło na lamparta bez najmniejszych oznak trwogi.

Pan Catskill pozostał na środku drogi w stanie lekkiego podniecenia.

— Żadne zwierzę — powiedział — nie może znieść uporczywego ludzkiego spojrzenia. Żadne. To jest zagadka dla waszego materialistycznego... Czy podejmiemy do pana Cecila, lady Stello? Zdaje się, że on tam znalazł coś ciekawego do obejrzenia. Może ten jegomość, który przyjechał małym żółtym samochodem, wie, gdzie się znajduje? Hm? Pomógł damie wysiąść z samochodu i oboje podążyli w ślad za grupą pana Barnstaple'a, która tymczasem zbliżała się do płonących ruin. Szofer, najwidoczniej obawiając się pozostać sam z limuzyną w tym świecie niewiarygodnych możliwości, ruszył za nimi, trzymając się tak blisko nich, jak mu na to pozwalał respekt względem „państwa”.

Rozdział trzeci

Piękne istoty

|

Pożar w małym domku nie zdawał się wzmagać na sile. Dym nie wydobywał się już zeń tak obficie jak na początku. Podeszedłszy bliżej, zauważyli pomiędzy szczątkami zwalonych murów mnóstwo pozginanych kawałków jasnego metalu i szczątków potłuczonego szkła. Nasuwało się nieodparte przypuszczenie, że eksplodował jakiś naukowy aparat. W pewnej chwili prawie jednocześnie wszyscy turyści zauważyli jakieś ciało; leżało na zielonym zboczku za ruinami. Było to ciało bardzo młodego mężczyzny, prawie zupełnie nagiego, gdyż cały jego strój składał się z pary bransolet, naszyjnika i opaski. Z ust i z nosa sączyła mu się krew. Przejęty uczuciem trwożnej czci pan Barnstaple ukląkł na ziemi przy leżącym i przyłożył ucho do jego milczącego serca. Nigdy przedtem nie widział tak pięknej twarzy i tak wspaniałego ciała.

— Nie żyje — szepnął.

— Patrzcie! — zabrzmiał przeraźliwy głos pana w monoklu. — Drugi!

Wskazywał ręką w kierunku miejsca, zasłoniętego przed wzrokiem pana Barnstaple'a fragmentem zrujnowanej ściany. Pan Barnstaple wstał i przedostawszy się przez kupę gruzów wyrzwał na drugą stronę. Leżała tam wysmukła dziewczyna, ubrana tak samo skąpo jak młodzieniec. Najwidoczniej została ona rzucona na ścianę z olbrzymią siłą. Śmierć musiała nastąpić momentalnie. Twarz jej była zupełnie niezeszepecona, chociaż tył czaszki był zgruchotany. Jej śliczne usta i szarozielone oczy były na pół otwarte, a wyraz twarzy wskazywał na głębokie zamyślenie nad jakimś trudnym, lecz interesującym zagadnieniem. Nie wyglądała ani trochę na umarłą, tylko na obojętną na otoczenie. W jednej ręce trzymała jeszcze miedziane narzędzie ze szklaną rączką. Druga ręka leżała bezwładna i sztywna.

Przez kilka sekund nikt się nie odzywał, jakby obawiając się przerwać bieg myśli umarłej dziewczyny.

Potem pan Barnstaple usłyszał za sobą bardzo cichy głos dżentelmena o wyglądzie duchownego.

— Co za doskonale kształty.

— Przyznaję, że nie miałem racji — rzekł stanowczym tonem pan Burleigh. — Nie miałem racji... To nie są ziemskie istoty. Bez wątpienia. Ergo, nie znajdujemy się na ziemi. Nie mogę pojąć ani co się stało, ani gdzie my teraz jesteśmy. W obliczu przekonywających dowodów nigdy nie wahałem się odwoływać swych błędnych opinii. — Świat, który nas teraz otacza, nie jest naszym światem. To jest coś...

Urwał.

— To jest coś naprawdę niesłychanego... cudownego...

— I windsorskie towarzystwo — dokończył bez widocznego żalu pan Catskill — zje śniadanie bez naszego współudziału.

— Ale w takim razie — zauważył duchowny — co to jest za świat, w którym się znajdujemy, i jakeśmy się tu dostali?

— A! — rzekł łagodnie pan Burleigh — odpowiedź na to pytanie przekracza granice moich biednych intelektualnych możliwości. Znajdujemy się w jakimś świecie, który jest zdumiewająco podobny do naszego i zdumiewająco niepodobny. Musi on być w jakiś sposób związany z naszym światem, gdyż w przeciwnym razie nie moglibyśmy się tutaj dostać. Ale jaki to może być związek? Przyznaję, że jest to dla mnie niezgłębioną tajemnicą. Być może, że—znajdujemy się w jakimś innym wymiarze niż ten, który znamy. Moja biedna głowa pęka po prostu na myśl o tych wszystkich wymiarach. Jestem... jestem kompletnie zde—zo—rien—to—wa—ny.

— Einstein — wtrącił lakonicznie i z widocznym zadowoleniem jegomość z monoklem.

— Właśnie — odrzekł pan Burleigh. — Einstein mógłby nam to wytłumaczyć. Poczciwy Haldane mógłby także spróbować i zatopić nas falami swego tłustego hegelianizmu. Ale ja nie jestem ani Haldane'em, ani Einsteinem. Tutaj oto znajdujemy się w jakimś świecie, który z praktycznego punktu widzenia choćby naszych zobowiązań towarzyskich leży Nigdzie. Albo jeżeli wolicie grecki termin, jesteśmy w Utopii. I ponieważ, jak się zdaje, nie ma z tego żadnego wyjścia, przypuszczam, że jako rozumnym istotom, pozostaje nam jedynie pogodzenie się z losem i korzystanie z nastęrczających się okazji. To pewne, że jest to cudownie piękny świat. Nawet, co do mnie, zachwył przeważa nad zdumieniem. I

znajdują się tu myślące — ludzkie — istoty. Sądząc z tych tutaj porzrzucanych materiałów, jest to świat, w którym dokonywane są eksperymenty chemiczne, i to dokonywane aż do tragicznego epilogu wśród prawie sielankowych warunków. Chemia i — nagość. Muszę wyznać, że czy będziemy uważać tych dwoje ludzi, którzy najwidoczniej wysadzili się tutaj w powietrze, za greckich bogów, czy też za nagicznych dzikusów, to, podług mego zdania, będzie tylko kwestią indywidualnych zapatrywań. Ja skłaniam się do przypuszczenia, że jest to grecki bóg i bogini.

— Szkoda tylko, że trochę trudno jest wyobrazić sobie umarłych nieśmiertelnych — zapiszczał jegomość w monoklu tonem człowieka biorącego lewę.

Pan Burleigh chciał coś powiedzieć i, sądząc z wyrazu jego twarzy, byłaby to karcąca odpowiedź, ale zamiast tego wydał ostry okrzyk i zwrócił się w kierunku dwóch nieznanych istot, które pojawiły się właśnie na widowni. Całe towarzystwo zauważyło je w tej samej chwili. Koło ruin stali dwaj nadzy Apollinowie i przyglądali się naszym Ziemiom ze zdumieniem co najmniej tak wielkim jak ci ostatni — im.

Jeden z nich przemówił, i pan Barnstaple zdziwił się niepomniernie, gdy słowa jego odbiły się zrozumiałym echem w jego ziemskim mózgu.

— Czerwoni bogowie! — krzyknął Utopianin. — Co wy jesteście za jedni i jakeście się tutaj dostali?

Angielszczyzna! czysta angielszczyzna! Byłoby mniej zdumiewające, gdyby odezwali się po grecku. Ale fakt, że mówili w ogóle jakimś znanym językiem, był sam w sobie niepojęty i niewiarygodny.

II

Najmniej zdetonowany z całego towarzystwa okazał się pan Cecil Burleigh.

— Teraz — rzekł — mając do czynienia z rozumnymi, obdarzonymi mową istotami, możemy mieć nadzieję, że się dowiemy czegoś określonego.

Odchrząknął i chwyciwszy długimi, nerwowymi palcami wyłogi swego prochowca wziął na siebie obowiązki oficjalnego mówcy.

— Nie możemy wytłumaczyć panom naszej tutaj obecności. — Jesteśmy tak samo zdumieni jak panowie. Zdaliśmy sobie nagle sprawę, że znajdujemy się w zupełnie innym świecie, a nie w naszym.

— Pochodzicie z innego świata?

— Właśnie. Z zupełnie innego świata, w którym każdy z nas zajmuje stosowne dla siebie i odpowiednie miejsce. Podróżowaliśmy po naszym świecie w — och! — w pewnych wehikulach, kiedy nagle znaleźliśmy się tutaj. Przyznaję, że możemy się wydać intruzami, ale mogę panów zapewnić, że jesteśmy zupełnie niewinni i że stało się to bez udziału naszej świadomości.

— Nie wiecie, co było powodem nieudania się eksperymentu Ardena i Greenlake, a następnie ich śmierci?

— Jeżeli Arden i Greenlake są imionami tej pięknej młodej pary, to możemy powiedzieć tylko tyle, że znaleźliśmy ich leżących tak jak teraz, kiedyśmy tu podeszli, żeby się przekonać, a raczej dowiedzieć...

Znów odchrząknął i nie dokończył zdania.

Utopianin — jeżeli go tak dla wygody nazwiemy — ten, który się pierwszy odezwał, spojrział na towarzysza z niemym pytaniem. Potem zwrócił się znów do Ziemiaków. Przemówił i wyraźne dźwięki jego mowy zabrzmiały znów — tak się przynajmniej zdawało panu Barnstaple'owi — nie w uszach, lecz w głowach słuchaczy.

— Lepiej będzie, gdy ty i twoi towarzysze przestaniecie deptać po tych ruinach. Lepiej będzie, gdy zejdziecie z powrotem na drogę. Chodźcie ze mną. Mój towarzysz zgasi ten pożar i zrobi to, co należy, z naszym zmarłym bratem i siostrą. Później miejsce to zostanie zbadane przez tych, którzy znają się na takich eksperymentach, jakie się tu odbywały.

— Musimy zdać się bez zastrzeżeń na waszą uprzejmość i gościnność — rzekł pan Burleigh. — Jesteśmy na wasze rozkazy. To spotkanie, pozwólcie sobie powtórzyć, nie było, co się nas tyczy, umyślne.

— Chociaż z pewnością postaralibyśmy się o nie, gdybyśmy wiedzieli o takiej możliwości — wtrącił pan Catskill, zwracając się niby ogólnie do wszystkich, i spoglądając na pana Barnstaple'a, jakby w oczekiwaniu poparcia. — Ten wasz świat wydaje nam się niezmiernie pociągający.

— Na pierwszy rzut oka — zawtórował pan z monoklem — niezmiernie pociągający. Pod przewodnictwem Utopianina i pana Burleigha przebrnęli przez gąszcz kwiatów i zeszli z powrotem na drogę. Pan Barnstaple zauważył, że obok niego idzie lady Stella. Zwróciła się do niego i słowa jej na tle tych wszystkich dziwów wydały mu się tak nie do wiary banalne, że doznał uczucia oszołamiającego zdumienia.

— Czy myśmy się już gdzieś przedtem nie spotkali na śniadaniu czy czymś w tym rodzaju, panie... panie?

Czy to wszystko było jedynie dekoracją? Przez chwilę patrzył na nią tępym wzrokiem, a potem odpowiedział:

— Barnstaple.

— Panie Barnstaple? Dostroił się do jej tonu.

— Nigdy nie miałem przyjemności być pani przedstawionym, lady Stello! Chociaż naturalnie znam panią doskonale — doskonale z fotografii w tygodnikach ilustrowanych.

— Czy słyszał pan o tym, co przed chwilą mówił pan Cecil, że to może jest Utopia?

— Powiedział, że moglibyśmy nazwać to Utopią.

— To zupełnie w jego stylu. Ale czy to jest Utopia? Prawdziwa Utopia? Zawsze tak tęskniłam do Utopii — ciągnęła dama nie czekając na odpowiedź pana Barnstaple'a. — Jacyż to wspaniali ludzie ci dwaj Utopianie! Oni muszą — jestem tego pewna — należeć do tutejszej arystokracji — pomimo swoich negliżowych kostiumów. Albo może właśnie z tego powodu...

Panu Barnstaple'owi przyszła szczęśliwa myśl do głowy.

— Poznałem również pana Burleigha i pana Ruperta Catskilla, lady Stello, ale bardzo byłbym obowiązany, gdyby mi pani powiedziała, kto są ci dwaj pozostali panowie, ten młody człowiek w monoklu i ten jegomość o wyglądzie duchownego? Idą tuż za nami. Lady Stella udzieliła objaśnień czarująco poufnym szeptem.

— Pan w monoklu — rzekła — to jest — zaraz przeliteruję jego nazwisko: F.R.E.D.D.Y. M.U.S.H. Ma gust. Dobry gust oraz zadziwiającą intuicję w wynajdywaniu uzdolnionych

młodych poetów i w ogóle w zakresie spraw literackich; jest sekretarzem Ruperta. Uczestniczy na każdej literackiej akademii. Jest straszliwie krytyczny i sarkastyczny. Jechaliśmy właśnie do Taplow na cudownie intelektualny weekend, zupełnie jak za dawnych czasów. Skoro tylko towarzystwo z Windsoru by wyjechało, to znaczy... Pan Gosse miał przyjechać, i Max Beerbohm*, i wszyscy inni. Ale w dzisiejszych czasach zawsze się coś zdarza. Zawsze. To, co nieprzewidziane, aż za dużo tego dobrego... Duchowny jegomość — obejrzała się za siebie, by zobaczyć, czy dany osobnik znajdował się dość daleko — jest to ojciec Amerton, ten sam, który tak strasznie piorunuje na grzechy społeczeństwa i wszelkie tego rodzaju rzeczy. Dziwne to, ale poza kazalnica jest on właściwie nieśmiały, cichy i trochę niezręcznie operuje nożem i widelcem. Paradoksalne, nieprawdaż?

— Naturalnie! — wykrzyknął pan Barnstaple. — Teraz go sobie przypominam. Znałem tę twarz, ale nie mogłem się zorientować, do kogo należała. Dziękuję bardzo, lady Stello.

III

Towarzystwo tych wszystkich znanych, wybitnych ludzi, a przede wszystkim lady Stelli, napełniło pana Barnstaple'a jakimś poczuciem pewności i bezpieczeństwa. Lady Stella działała na niego krzepiąco. Przyniosła z sobą tyle ze starego, kochanego świata i najwidoczniej zamierzała przy pierwszej nadarzającej się sposobności narzucić temu nowemu światu pojęcia i zapatrywania tamtego. Osłabiła intensywność zdumiewającego czaru tego nowego piękna, które groziło panu Barnstaple'owi pełnym intelektualnym rozprężeniem. Spotkanie z nią i jej towarzystwem było samo w sobie dla człowieka w jego sytuacji społecznej przygodą, nie nadzwyczajną co prawda, ale w każdym razie absorbującą. Przeżycie to posłużyło jako ogniwo, wiążące monotonię jego normalnej, ziemskiej egzystencji z tą aż nazbyt podniecającą atmosferą Utopii, i rzuciło pomost myślowy przez przepaść zdumienia.

Oprócz tego nadało ono jakiś stały charakter świetlistej wspaniałości otoczenia i — jeżeli można użyć tutaj takiego wyrazu — zdegradowało ją do poziomu kompletnej wiarogodności. Wszak nie tylko on sam oglądał te dziwy; to samo czyniła i ona, i pan Burleigh, nie szczędząc uwag i komentarzy, zaś pan Freddy Mush oceniał je przez swój krytyczny monokl. To wszystko sprawiło, że rzeczy, które w wypadku samotnej wyprawy pana Barnstaple'a do krainy Utopii byłyby go tak oszołomiły, że może by nawet postradał zmysły, sprowadzone zostały niemal do rzędu zjawisk kolportowanych przez prasę.

Swobodne ciemnoskóre bóstwo, które w tej chwili rozprawiało z panem Burleighem, stało się dzięki pośrednictwu tego wielkiego człowieka zjawiskiem do pojęcia i przyjęcia. Jednakże pan Barnstaple doznał pomimo wszystko uczucia jakby braku tchu, kiedy uwaga jego, oderwawszy się od pasażerów limuzyny, skierowała się na ten uderzający szlachetnością, czarowny świat, na który się dostał tak niespodziewanie. Cóż to były za istoty, ci mieszkańcy dziwnej planety, gdzie, jak się zdaje, chwasty i zielska przestały się pnieć między kwiatami, a lamparty, pozbywszy się swej kociej drapieżności, spoglądały przyjaznym okiem na przechodniów?

Było doprawdy zdumiewające, że dwie pierwsze ludzkie istoty tego świata ujarzmionej natury, na jakie się natknęli, okazały się trupami, ofiarami, zapewne, jakiegoś ryzykownego eksperymentu. Jeszcze dziwniejsze było to, że ci dwaj żywi, którzy nazwali się braćmi umarłych, nie okazali z powodu tej tragedii ani żalu, ani przerażenia. Pan Barnstaple uświadomił sobie, że nie doszło do żadnej wstrząsającej sceny, płaczu i konsternacji, jak to zwykle bywa w takich wypadkach. Najwidoczniej byli raczej zaintrygowani i zdziwieni niż przerażeni i zrozpaczeni.

Utopianin, który pozostał przy ruinach, podniósł ciało dziewczyny i złożył je obok towarzysza, po czym, jak zauważył pan Barnstaple, powrócił do zburzonego domu i zaczął go uważnie badać.

Ale teraz na widowni pojawiło się więcej mieszkańców Utopii. Mieli oni, jak się okazało, aeroplany, gdyż dwa z nich, ciche i śmigłe jak jaskółki, wylądowały na pobliskim polu. Droga przyjechał człowiek na maszynie podobnej do dwuosobowego auta, lecz mającej jak rower dwa koła jedno za drugim. Była ona lżejsza i zgrabniejsza niż najpiękniejsze samochody na ziemi i w cudownie tajemniczy sposób utrzymywała równowagę.

Wybuch śmiechu od strony drogi skierował uwagę pana Barnstaple na grupę Utopian, którzy widocznie dopatrzyli się w limuzynie czegoś niesłychanie śmiesznego. Większość tych ludzi była tak skąpo ubrana i tak pięknie zbudowana, jak para zabitych eksperymentatorów. Kilku z nich miało na głowach ogromne słomkowe kapelusze, a jedna z kobiet, starsza już widocznie, przeszło trzydziestoletnia, ubrana była w białą szatę, obrzeżoną ciemnopąsową listwą. Właśnie w tej chwili zajęta była rozmową z panem Burleighem.

Pomimo że znajdowała się w odległości dwudziestu jardów, słowa jej brzmiały w mózgu pana Barnstaple'a z nadzwyczajną wyrazistością.

— Jak dotąd, nie wiemy jeszcze, jaki związek może mieć wasze zjawienie się na naszym świecie z eksplozją, która tu miała właśnie miejsce, i czy w ogóle taki związek istnieje. Chcemy dotrzeć do sedna obydwóch tych spraw. Sądzimy, że jest wskazane przewieźć was i wszystkie wasze rzeczy w jakieś dogodne miejsce, nie bardzo stąd odległe, dla odbycia konferencji. Staramy się właśnie o maszyny, które was stąd zabrają. Chcecie się może posilić? Nie wiem, jakie macie przyzwyczajenia i o jakich godzinach jadacie.

— Posiłek — rzekł pan Burleigh, chwytając się skwapliwie tej propozycji. — Oczywiście posililibyśmy się z przyjemnością, i to niezadługo. Faktycznie, gdybyśmy nie wylecieli tak nagle z naszego świata i nie znaleźli się na waszym, byłibyśmy w tym czasie siedzieli przy śniadaniu w doborowym towarzystwie.

— Cuda i śniadanie — pomyślał pan Barnstaple.

Człowiek jest stworzeniem, które musi jeść — z konieczności, czy dzieją się cuda, czy nie. Dziennikarz zdał sobie sprawę, że zaczyna być głodny i że powietrze, którym oddycha, jest ostre, świeże i wywołuje apetyt.

Jakaś nowa myśl uderzyła Utopiankę.

— Czy jadacie kilka razy dziennie? Co właściwie jadacie?

— Och! Pewnie! Nie jesteśmy wegetarianami! — wtrącił ostrym tonem pan Mush wypuszczając monokl z oka.

Wszyscy byli głodni. Malowało się to w wyrazie ich twarzy.

— Jesteśmy wszyscy przyzwyczajeni jadać kilka razy dziennie — rzekł pan Burleigh. — Może dobrze będzie, gdy dam pani krótkie resume* naszych posiłków. Mogą być różnice. Zaczynamy zazwyczaj od jednej filiżanki herbaty i cieniutkiego kawałka chleba z masłem — spożywamy to w łóżku. Potem przychodzi śniadanie...

Przystąpił do treściwego sprawozdania ze swego gastronomicznego porządku dziennego, opisał jasno, apetycznie i ze szczegółami śniadanie Anglika, z jajkami gotowanymi przez cztery i pół minuty, ani dłużej, ani krócej, drugie śniadanie z dodatkiem lekkiego wina, herbatę po południu, będącą raczej zebraniem towarzyskim niż poważnym posiłkiem, obiad, na który położył pewien nacisk, i nie codzienną, lecz okolicznościową kolację. Było to jedno z tych sprawozdań przejrzystych, lekkich, nawet wesołych, choć zaprawionych powagą, które wywołałyby burzę oklasków w Izbie Gmin. Utopianka patrzyła nań z wyrazem spotęgowanego zainteresowania.

— Czy wszyscy jadacie w ten sposób? — zapytała.

Pan Burleigh obrzucił wzrokiem całe towarzystwo.

— Nie odpowiadam za pana — pana?...

— Barnstaple... Tak, i ja jadam mniej więcej w ten sam sposób.

Z jakiegoś powodu Utopianka uśmiechnęła się do niego, ale chociaż miała bardzo piękne piwne oczy i choć jej uśmiech bardzo mu się podobał, wolałby przecież, żeby się w ten sposób nie uśmiechnęła.

— A jak długo sypiacie? — zapytała.

— Od sześciu do dziesięciu godzin, stosownie do okoliczności — odrzekł pan Burleigh.

— A kiedy się kochacie?

To pytanie zmieszało i do pewnego stopnia zgorszyło Ziemian. Co ona właściwie chciała powiedzieć? Przez kilka chwil wszyscy milczeli. W umyśle pana Barnstaple'a zamajaczyły nagle jakieś dziwne możliwości.

Wreszcie pan Burleigh, odznaczający się subtelną inteligencją i zdolnością do prześlizgiwania się nad pewnymi sprawami, jak przystało na współczesnego działacza i lidera, wstąpił odważnie w szranki.

— Nie systematycznie, mogę panią zapewnić — rzekł. — Nie systematycznie.

Kobieta w sukni z czerwoną obszywką zdawała się nad tym zastanawiać, po czym uśmiechnęła się słabo.

— Musimy was gdzieś zawieźć, gdzie będziemy mogli o tych wszystkich rzeczach pomówić. Nie ulega wątpliwości, że przybyliście z jakiegoś dziwnego świata. Nasi uczeni muszą się z wami zapoznać i przeprowadzić z wami dyskusję.

IV

Tego rana o wpół do jedenastej pan Barnstaple mknął autem po szosie przez Slough, a teraz, o wpół do drugiej unosił się niby ptak nad krajem dziwów i cudów prawie że zapomniany o swoim własnym świecie.

— Cudowne — powtarzał — cudowne. Wiedziałem, że będę miał dobre wakacje, ale to wszystko...

Był niewypowiedziane szczęśliwy jasną, niczym nie przyćmioną szczęśliwością doskonałego, sennego marzenia. Nigdy przedtem nie zaznał rozkoszy badacza

nieznanych krain i nie miał nadziei, żeby to się kiedy stało jego udziałem. Zaledwie przed kilku tygodniami napisał w „Liberalu” artykuł, w którym biadał nad końcem „Okresu badań i odkrywczych ekspedycji”. Był to artykuł tak gruntownie i bezcelowo pesymistyczny, że zachwyił bardzo pana Peeve’a. Przypomniiał to sobie teraz, ale nie poczuł żadnych wyrzutów sumienia.

Ziemskie towarzystwo zostało rozdzielone na grupy i załadowane do czterech małych aeroplanów. Wznosząc się w powietrze w towarzystwie ojca Amertona, pan Barnstaple spojrział na dół i zobaczył, że samochody i bagaże zabierano właśnie na ciężarowe auta o bardzo lekkiej budowie. Każde auto wyciągnęło parę błyszczących ramion i porwało ziemski wehikuł z zadziwiającą lekkością w powietrze niby piastunka niemowlę.

Podług współczesnych ziemskich pojęć o bezpieczeństwie pilot wiozący pana Barnstaple’a, leciał bardzo nisko. Bywały takie momenty, że przelatywał raczej między drzewami niż nad nimi, ale dzięki temu można było przyrzuć się dokładnie krajobrazowi, pomimo że taka jazda wydawała się początkowo trochę ryzykowna.

W pierwszej części podróży płynęli nad parkowymi pastwiskami, upstrzonymi stadami białego pasącego się bydła i plamami jaskrawokolorowej roślinności, zupełnie nie znanej panu Barnstaple’owi. Między tymi plantacjami wiły się wąskie dróżki, prawdopodobnie dla pieszych lub cyklistów. Gdzieś tam widniała droga, obrzeżona kwiatami i ocieniona drzewami owocowymi. Domy były nieliczne, a co do miast i wiosek, to nie było ich wcale widać. Domy odznaczały się wielką różnorodnością rozmiarów i kształtów — od małych odosobnionych budynków, które jak sądził pan Barnstaple, mogły być wytwornymi altanami lub małymi świątynkami, do kompleksów dachów i wieżyczek, nasuwających reminiscencje o arystokratycznych miejskich siedzibach lub rozległych budynkach gospodarstw rolnych i mlecznych. W niektórych miejscach ludzie zajęci byli robotą w polu lub dążyli w różne strony pieszo i na maszynach, ale w ogóle odnosiło się wrażenie, że cała ta kraina była skąpo zaludniona.

Stawało się rzeczą widoczną, że mieli przefrunąć nad łańcuchem śnieżnych gór, które tak zniecka zmiotły z horyzontu daleki widok zamku Windsor.

W miarę jak się zbliżali do gór, zielone plamy pastwisk zaczynały się przerzedzać, a za to ukazały się szerokie łany złotego zboża i ziemniaki stały się bardziej urozmaicone.

Zauważył — był tego pewien — winnice, rozpościerające się na słonecznych zboczach.

Coraz częściej rzucały się w oczy grupy robotników i ludzkie siedziby. Mała eskadra lotnicza pofrunęła nad szeroką doliną ku wąwozowi przerzynającemu góry, tak że pan Barnstaple miał czas i możliwość przyrzuć się uważnie górskiemu krajobrazowi.

Przelecieli nad lasami kasztanów i sosen.

Nad górskimi potokami widniały turbiny o cyklopicznych rozmiarach i długie, niskie, o wielu oknach budynki, służące prawdopodobnie do celów przemysłowych. Ku wąwozowi prowadziła łagodnie wznosząc się do góry droga, pełna niesłychanie śmiałych, lekkich i pięknych wiaduktów. Pomyślał, że górskie okolice gęściej były zaludnione niż nizinne, chociaż bez porównania słabiej niż analogiczne okręgi ziemskie.

Przez dziesięć minut płynęli nad skalistym pustkowiem, śnieżnymi polami i wielkim lodowcem, aż wreszcie zjechawszy w dół wylądowali na płaskowzgórzu na Placu Konferencji. Był to rodzaj zagłębienia między górami, opatrzonego muirowanymi

tarasami, tak śmiało zaprojektowanymi, że wydawały się częścią geologicznej masy górskiej. Plac graniczył z wielkim sztucznym jeziorem, opatrzonym od strony niższych kondygnacji doliny kolosalną groblą ochronną. Wzdłuż tej grobli w regularnych odstępach widniały duże kamienne filary, z lekka przypominające siedzące postacie. W dali zamajaczyła obszerna równina, przypominająca dolinę Po, ale w chwili lądowania znikła, przysłonięta prostą linią grobli.

Na wszystkich tarasach, szczególnie na niższych, widniały grupy i skupiska podobnych do kwiatów budynków. Dojrzał ścieżynki, schodki i sadzawki z wodą, jak gdyby całe to miejsce było jednym wielkim ogrodem.

Aeroplany osiadły lekko i z łatwością na rozległej łące, w pobliżu której stał zgrabny budynek wysunięty daleko na wody jeziora i służący jako przystań flotylli wesołych kolorowych łódeczek...

Ojciec Amerton zwrócił poprzednio uwagę pana Barnstaple'a na zupełny brak wiosek. Teraz zauważył, że nie widział ani kościołów, ani żadnych wieżyc i dzwonnicy. Pan Barnstaple sądził wszakże, że niektóre z tych małych domków mogły być kapliczkami lub świątynkami.

— Religia może tu mieć inne formy — powiedział.

— I jak tu mało dzieci i niemowląt! — ciągnął duchowny. — Nigdzie nie widziałem matki z dzieckiem.

— Z tamtej strony góry przelecieliśmy nad miejscem podobnym do placu gry koło dużej szkoły. Były tam dzieci i parę dorosłych osób, ubranych na biał.

— Widziałem to, ale idzie mi o niemowlęta. Porównaj pan z tym, co byś zobaczył w Italii.

Najpiękniejsze i najbardziej atrakcyjne kobiety — dorzucił wielebny dżentelmen — najbardziej atrakcyjne, jakie sobie można wyobrazić, i ani śladu macierzyństwa!

Pilot, opalony blondyn z bardzo błękitnymi oczyma, pomógł im wysiąść z maszyny.

Stanęli, przyglądając się lądowaniu reszty towarzystwa. Pan Barnstaple zauważył ze

zdziwieniem, z jaką szybkością zaczyna się przyzwyczajać do barw i harmonii tego nowego świata. Najdziwniejszymi szczegółami całego widowiska były dlań teraz sylwetki i ubrania jego towarzyszy. Pan Rupert Catskill w swym sławnym cylindrze, pan Mush w nedorzecznym monoklu, zabawnie cienki i długi pan Burleigh, rażący kanciastością konturów szofer tego ostatniego ubrany w skórzany płaszcz — wszyscy oni uderzyli naszego myśliciela jako bardziej niewiarygodni i absurdalni niż wdzięczne postacie otaczających Utopian.

Zainteresowanie i rozbawienie pilota spotęgowały u pana Barnstaple'a poczucie dziwaczności jego towarzyszy, ale potem przyszła nań fala głębokiego zwątpienia.

— Przypuszczam, że to wszystko jest prawdziwą rzeczywistością — rzekł do ojca Amertona.

— Prawdziwą rzeczywistością! A czymże innym mogłoby być?

— Przypuszczam, że nam się to wszystko nie śni.

— Czy prawdopodobnym jest, żebyśmy obaj mieli zupełnie identyczne sny?

— Może nie, ale dzieją się z nami niemożliwe rzeczy — absolutnie niemożliwe.

— Na przykład?

— No, na przykład, jak to się dzieje, że ci ludzie mówią po angielsku — poprawną współczesną angielszczyzną?

— Wcale o tym nie myślałem. To rzeczywiście nie do wiary. Ale ze sobą nie mówią po angielsku.

Pan Barnstaple spojrział zdumiony na ojca Amertona, uderzony po raz pierwszy tym jeszcze bardziej niewiarygodnym faktem.

— Nie mówią do siebie w ogóle żadnym językiem — zauważył. — I myśmy to dopiero teraz spostrzegli!

Rozdział czwarty

Cień Einsteina pada na scenę wydarzeń, ale wprędce znika

|

Z wyjątkiem tego jednego kłopotliwego faktu, że wszyscy ci Utopianie zdawali się władać biegle angielskim, wizja tego nowego świata rozwijała się w myśli pana Barnstaple'a tak harmonijnie i logicznie jak żadne dotychczasowe senne przeżycie. Była tak konsekwentna, tak spoista, że ten dziwny świat tracił coraz bardziej cechę niesamowitości, a upodabniał się stopniowo do jakiejś obcej, ale wysoko cywilizowanej krainy.

Pod nadzorem piwnookiej kobiety w czerwono obrzeżonej szacie Ziemianie zostali ulokowani w swoich kwaterach w pobliżu Placu Konferencji w sposób niesłychanie wygodny i gościnny. Pięciu czy sześciu młodzieńców i dziewcząt podjęło się obznajmiania cudzoziemców ze szczegółami domowych urządzeń Utopian. Każdy z oddzielnych budynków, w których ich pomieszczono, miał swoją małą miłą ubieralnię i łóżka z pościelą z najpiękniejszego płótna i leciutkimi puchowymi kołdrami. Łóżka te stały w otwartych loggiach, zbyt otwartych podług zdania lady Stelli, która pocieszyła się wszakże myślą, że „tu się człowiek czuje bezpieczny”. Przywieziono bagaż i oddano właścicielom ich walizki. Mieli wrażenie, że znajdują się w jakimś gościnnym ziemskim domu.

Lady Stella była wszakże zmuszona wyprosić ze swych apartamentów dwóch zbyt przyjacielskich młodzieńców, żeby móc otworzyć podróżną torbę i zaaplikować swej cerze jakieś odżywcze środki kosmetyczne.

W parę minut później zrobiło się pewne poruszenie z powodu gwałtownego wybuchu śmiechu i odgłosów wesolej, lecz nieco histerycznej walki, jakie dobiegły z głębi zacisza lady Stelli! Dziewczynka, która z nią pozostała, zainteresowała się żywo i zupełnie po kobiecemu jej garderobą. Natrafiła właśnie na szczególnie piękny i pajęczko przejrzysty komplet nocnej bielizny. Z niewiadomych powodów ten intymny wykwint ubawił niesłychanie młodą Utopiankę i lady Stelli z niejakim trudem udało się ją odwieść od zamiaru przystrojenia się w te powiewności i zatańczenia wobec licznych widzów.

— Więc ty się w to ubierz — nalegała dziewczyna.

— Ależ nie rozumiesz — zawołała lady Stella. — To jest prawie święte! Nikt tego nie może oglądać — nigdy.

— Ale dlaczego? — zapytała niesłychanie zdumiona Utopianka.

Lady Stella nie zdobyła się na odpowiedź.

Podano lekki posiłek, który według ziemskich pojęć wydał się zupełnie zadowalający. Niepokój pana Freddy Musha okazał się całkiem bezpodstawny: podano zimne kurczęta, szynkę i bardzo smaczny pasztet. Nie brakło też wybornego, choć grubo mielonego chleba, dobrego masła, wspaniałej sałaty, owoców, sera z gatunku Gruyere i lekkiego białego wina, które wywołało pochwałę pana Burleigha: „Moselle nie mogłoby z nim iść w zawody.”

— Znajdujecie, że nasze pożywienie jest bardzo podobne do waszego? — zapytała kobieta z czerwono obszytą suknią.

— Wyborne — rzekł z pełnymi ustami pan Mush.

— Pożywienie w ciągu ostatnich trzech tysięcy lat zmieniło się bardzo niewiele. Ludzie wynaleźli wszelkie dobre kombinacje na długo przed ostatnią erą zamętu.

— To jest za realne, żeby mogło być rzeczywistością — powtarzał sobie pan Barnstaple.

— Za realne na rzeczywistość.

Popatrzył na swych uradowanych, ożywionych i posilających się z apetytem towarzyszy. Gdyby nie absurdalna znajomość angielskiego u Utopian, mówiących tym językiem z wyrazistością, odbijającą się mocnym echem w głowie pana Barnstaple'a, liberalny dziennikarz nie miałby żadnych wątpliwości co do realności otaczających go dziwów. Przy kamiennym stole bez obrusa nie usługiwała żadna służba. Kobieta w biało-szkarłatnej sukni i dwaj piloci zasiedli do wspólnego posiłku z ziemskimi gośćmi, którzy usługiwali sobie nawzajem. Szofer pana Burleigha chciał się przesunąć skromnie do innego stołu, ale wielki mąż stanu zwrócił się doń z uprzejmymi słowami:

— Siadaj z nami, Perk. Obok pana Musha.

Inni Utopianie, przyjacielscy, lecz bacznie wszystkich obserwujący, weszli na wielką werandę z filarami, na której podano posiłek, i stanęli lub pozasiadali naokoło, uśmiechnięci i uprzejmi. Nie było żadnych przedstawień i w ogóle mało towarzyskich formalności.

— Wszystko to jest ogromnie pocieszające — rzekł pan Burleigh — ogromnie pocieszające. Muszę przyznać, że tutejsze brzoskwinie biją brzoskwinie Chatsworth. Mój kochany Rupercie, czy w tym małym ciemnym dzbanuszkach obok ciebie stoi śmietana? Tak mi się zdawało. Czy możesz mi jej trochę odstąpić? Dziękuję.

II

Kilku Utopian przedstawiło się gościom. Głosy ich wszystkich brzmiały w uszach pana Barnstaple'a dziwnie jednakowo, a słowa odcinały się tak wyraźnie jak drukowane litery. Ciemnooka kobieta nazywała się Lychnis. Mężczyzna z brodą, który podług opinii pana Barnstaple'a mógł mieć ze czterdzieści lat, nosił miano Urthreda albo Adama, albo Edoma. Imię to pomimo całej wyrazistości dźwiękowej trudne było do uchwycenia. Brzmiało ono tak, jakby duży druk był trochę zamazany. Urthred zakomunikował im, że jest etnologiem i historykiem, i wyraził życzenie dowiedzenia się możliwie wszystkiego o naszym świecie i jego sprawach. Pana Barnstaple'a uderzył jego łatwy i swobodny sposób bycia, właściwy raczej jakiemuś ziemskiemu finansjście lub właścicielowi wielkiego dziennika niż zwykłemu uczonemu, który w naszym zwyczajnym świecie odznacza się raczej nieśmiałością.

Drugi z gospodarzy, Serpentyń, był również człowiekiem nauki, jak się ze zdumieniem dowiedział pan Barnstaple, gdyż zachowanie się jego było po prostu dyktatorskie. Określił swoją specjalność w taki sposób, że nasz Anglik nie mógł się zorientować, co to właściwie oznaczało. Najprzód brzmiało to jak „mechanika atomów”, a potem dziwnym trafem jak „chemia molekularna”. A potem pan Barnstaple usłyszał jeszcze pana Burleigha, mówiącego do pana Musha, że to był „fizykochemik”.

— A ja myślałem, że on się nazwał materialistą — rzekł Mush.

— Ja słyszałem, jak mówił, że waży rzeczy — zauważyła lady Stella.

— Ich intonacja jest doprawdy szczególna — wtrącił pan Burleigh. — Czasami mówią aż nazbyt głośno, po prostu krzyczą, to znów dźwięki załamują się, i nastaje niezrozumiała przerwa...

Kiedy skończono się posilać, całe towarzystwo przeszło do innego budynku, przeznaczonego najwidoczniej na wykłady i dyskusje. Wewnątrz znajdowała się półkolista absyda, wokół której mieścił się rząd białych tabliczek, służących najwidoczniej prelegentowi do ilustrowania wykładów, gdyż na marmurowym gzymsie w wygodnej od nich odległości leżały czarne i kolorowe ołówki oraz kawałki sukna zamiast gąbki.

Wykładowca mógł w czasie prelekcji przechadzać się po półkolu.

Lychnis, Urthred, Serpentyń i Ziemianie usiedli na półkolistej ławce poniżej tej profesorskiej ścieżki, ale miejsc było tyle, że przed nimi mogło się jeszcze pomieścić z osiemdziesięciu lub stu słuchaczy. Wszystkie te miejsca były zajęte, a dalej na tle krzewów, podobnych do rododendronów, stało parę wdzięcznych grup, zasłaniając sobą przeświecające to tu, to tam zielone perspektywy murawy, która ciągnęła się aż do brzegów lśniących wód jeziora.

Miano mówić o tym nadzwyczajnym wtargnięciu obcych istot w granice cudownego świata Utopii. Czyż mogło być coś bardziej racjonalnego, jak omówienie tej kwestii? Czyż mogła się zdarzyć bardziej fantastyczna niemożliwość?

— Dziwne, że tu nie ma wcale jaskótek — rzekł nagle pan Mush prosto w ucho pana Barnstaple'a — Dziwię się, dlaczego tu nie ma jaskótek.

Uwaga pana Barnstaple'a skierowała się na puste niebo.

— Może dlatego, że nie ma tu ani much, ani komarów — zauważył, dziwiąc się, że go to wcześniej nie uderzyło.

— Szsz! — rzekła lady Stella. — Zaczyna się.

III

Zaczęła się niewiarygodna konferencja, otwarta przez osobnika nazwiskiem Serpentyń, który stanął przed audytorium i zdawał się wygłaszać przemowę. Wargi jego poruszały się, ręce gestykulowały, a wyraz twarzy odbijał treść słów i myśli. Pomimo to jednak w umyśle pana Barnstaple'a powstała nagle niesłychanie subtelna i prawie nieuchwytna wątpliwość, czy mówca rzeczywiście mówił. Było w tym wszystkim coś niesamowitego. Czasami wypowiedane słowa odbijały się w jego mózgu szczególnie donośnie, to znów brzmiały tak niewyraźnie i mętnie jak przedmioty widziane na dnie zmaconej wody albo też nie dochodziły zupełnie i pomimo że Serpentyń w dalszym ciągu poruszał swymi pięknymi rękami i spoglądał ku słuchaczom, zdarzały się momenty tak absolutnej ciszy,

iż panu Barnstaple'owi zdawało się, że ogłuchł... A jednak była to prelekcja, rzeczowa i przykuwająca uwagę.

Serpentyn zachowywał się jak człowiek, który, mówiąc o zawiłym przedmiocie, stara się usilnie przedstawić go możliwie prosto i przejrzysto. Wygłaszał, można by rzec, tezy, przedzielając je pauzami.

— Jest od dawna wiadome — zaczął — że możliwa liczba wymiarów, jak możliwa liczba wszystkiego, co może być wyliczone, jest nieograniczona!

Tak, pan Barnstaple pojął, o co chodzi, ale okazało się to nad siły pana Freddy Musha.

— Och, wielki Boże! — wyjąkał. — Wymiary! — upuścił monokl i z ponurą miną poniechał zupełnie słuchania.

— Z wielu praktycznych względów — ciągnął Serpentyn — ten właśnie wszechświat, ten właśnie system zjawisk, który jest naszym udziałem i którego stanowimy część składową, mógł być uważany jako istniejący w trójwymiarowej przestrzeni i jako podlegający interpretacji będącej w rzeczywistości trwaniem za pośrednictwem czwartego wymiaru, mianowicie: czasu. Taki system zjawisk był z konieczności systemem grawitacji.

— O? — rzekł ostro pan Burleigh. — Przepraszam, ale nie widzę związku przyczynowego między jednym a drugim.

A więc i ten w każdym razie słuchał uważnie.

— Każdy wszechświat, który trwa, musi z konieczności podlegać sile przyciągania — powtórzył Serpentyn, jakby stwierdzając fakt, rozumiejący się samo przez się.

— Nic nie rozumiem, ani słowa — powiedział po chwili namysłu pan Burleigh.

Serpentyn przypatrywał mu się parę sekund.

— Tak jest — rzekł i zaczął rozwijać w dalszym ciągu swoje wywody. — Nasze umysły — mówił — rozwinęły się po linii praktycznego pojmowania rzeczy, przyjęły je jako prawdziwe i dopiero dzięki wielkim wysiłkom, dzięki ciągłym, niezmordowanym próbom analizy mogliśmy sobie uprzytomnić, że wszechświat, w którym żyjemy, nie tylko się rozprzestrzenia, ale jest, że tak powiem, powyginany i z lekka poskręcany w wiele innych, nie podejrzewanych, przestrzennych wymiarów. Że rozciąga się poza granice swoich trzech przestrzennych wymiarów i przechodzi w inne wymiary tak jak cienki arkusz papieru, który jest z praktycznego punktu widzenia dwuwymiarowy, przechodzi w trzeci wymiar nie tylko na mocy swej grubości, ale także swoich zgięć i złożeń.

— Czyżbym ogłuchła? — zapytała scenicznym szeptem lady Stella. — Nie mogę dosłyszeć ani słowa.

— Ani ja — wtrącił ojciec Amerton.

Pan Burleigh uspokoił nieszczęsnych gestem ręki, nie odwracając jednocześnie oczu od twarzy Serpentyna.

Pan Barnstaple ściagnął brwi i objął mocno rękami kolana, starając się ze wszystkich sił wytrwać i pojąć.

Musi słyszeć — oczywiście: słyszy!

Serpentyn przystąpił do wyjaśnień, że tak samo, jak jest możliwe dla faktycznie dwuwymiarowych światów leżeć obok siebie jak arkusze papieru w trójwymiarowej przestrzeni, tak samo w wielowymiarowej przestrzeni, którą źle wyekwipowany ludzki

umysł poznaje i pojmuje tak wolno i z takim trudem, mogą niezliczone ilości faktycznie trójwymiarowych światów leżeć jeden obok drugiego i poruszać się mniej więcej równolegle w czasie. Spekulatywne dzieła Lonestone'a i Cephalusa dawno już dały mocną rozumową podstawę wierzeniu, że istnieje olbrzymia ilość takich przestrzenno-czasowych wszechświatów. Równoległych i podobnych do siebie, ale niecałkowicie, tak, jak nie mogą być zupełnie do siebie podobne kartki jednej książki. Wszystkie te światy trwałyby w czasie i byłyby systematami, opartymi na grawitacji...

(Pan Burleigh potrząsnął głową na znak, że nie jest przekonany.)

— I te leżące najbliżej siebie byłyby najbardziej do siebie podobne, a do jakiego stopnia, to się teraz okazało. Albowiem śmiałe próby dwóch genialnych, potężnych umysłów, Ardena i Greenlake, użycia — (niedosłyszalne) — ciśnienia atomu celem obrócenia wirowym ruchem cząsteczki utopijnego, materialnego wszechświata w tym wymiarze — wymiarze F — w który — wiedziano o tym od dawna — sięga on na długość ludzkiego ramienia — otóż, powtarzam: próby obrócenia tej części utopijnej materii, tak mniej więcej, jak drzwi obracają się na zawiasach, dały, jak widzimy, zadowalające wyniki. Drzwi otworzyły się, i wpadł przez nie powiew dusznego powietrza, chmura kurzu i ku niesłychanemu zdumieniu Utopii trzy grupy gości z nieznanego świata.

— Trzy? — szepnął tonem powątpiewania pan Barnstaple. — Czy on powiedział trzy? Serpentyń nie zwrócił nań uwagi.

— Nasz brat i siostra zostali zabici skutkiem jakiegoś niespodziewanego wyładowania energii, ale ich eksperyment otworzył drogę, która się już nigdy nie zamknie, drogę, wiodącą od obecnych przestrzennych ograniczeń Utopii do olbrzymiej ilości światów, której sobie dotąd nie wyobrażano. W sąsiedztwie naszym, tuż, tuż, jak to przed wiekami przeczuł Lonestone, i podług jego wyrażenia — bliżej nas niż krew krążąca w naszych sercach...

(„Bliżej nas niż własny oddech i bliżej niż ręce i nogi — przekręcił cytata, budząc się nagle, ojciec Amerton. — Ale o czymże on mówi. Nic nie rozumiem.”)

— Odkrywamy inną planetę, sądząc ze wzrostu jej mieszkańców, mniej więcej tej wielkości co nasza, krążącą, jak możemy z pewnością założyć, koło słońca podobnego do tego, które świeci na naszym niebie; planetę, na której krzewi się życie, podlegającą powolnemu ujarzmieniu, tak samo, jak i nasza — przez żywy rozum, który ewoluował widać w warunkach prawie równoległych do naszej własnej ewolucji. Ten siostrzany wszechświat jest, o ile możemy sądzić na podstawie nieścisłych danych, trochę opóźniony w czasie w stosunku do naszego. Nasi goście ubierają się podobnie do naszych przodków z ostatniej epoki zamętu i odznaczają się analogicznymi cechami fizycznymi...

Przypuszczenie, że ich historia była ściśle równoległa do naszej, nie wytrzymuje na razie krytyki. Nawet dwie cząstki materii nie są do siebie podobne ani też dwie vibracje. We wszystkich wymiarach bytu, we wszystkich bożych wszechświatach nigdy nie było i nie będzie dwóch rzeczy całkowicie jednakowych. Pojęliśmy wreszcie, że jest to absolutną niemożliwością. Jednakże ten wasz świat, który nazywacie Ziemią, jest widocznie bardzo bliski naszego i bardzo do niego podobny...

Pragniemy z całej duszy, o Ziemianie, wiele się od was nauczyć, skorygować naszą historię, której jeszcze zupełnie dobrze nie znamy, za pomocą waszych doświadczeń, pokazać wam stan naszej wiedzy oraz zorientować się w tym, co może być pożądane i wykonalne w zakresie przyjaznych, obustronnie korzystnych stosunków między ludem waszej planety i naszej. My tutaj stawiamy dopiero pierwsze kroki na drodze wiedzy. Jak dotąd nie posunęliśmy się wiele ponad zdanie sobie sprawy z ogromu rzeczy, które musimy poznać i których musimy dokonać. Wśród miliona pokrewnych zjawisk nasze dwa światy będą może w stanie świadczyć sobie wzajemnie usługi i dzielić się zdobyciami wiedzy...

Możliwe, że na waszej planecie istnieją dziedziczne cechy, które na naszej nie zdołały się rozwinąć albo zaginęły. Możliwe, że w jednym świecie są pierwiastki lub minerały, które na drugim są albo rzadkością, albo się wcale nie spotykają... Budowa waszych atomów (?)... nasze światy mogą się krzyżować (?)... dla obustronnego wzmocnienia... Słowa mówcy rozplynęły się w ciszy w chwili największego wzruszenia, zaśłuchania i zaciekawienia pana Barnstaple'a. Jednakże głuchy człowiek osądziłby, że przemowa trwała w dalszym ciągu.

Wzrok pana Barnstaple'a spotkał się z oczami pana Ruperta Catskilla, tak zdumionego i zmartwionego jak on sam. Ojciec Amerton siedział z twarzą ukrytą w dłoniach. Lady Stella i pan Mush, którzy już dawno przestali udawać, że słuchają, rozmawiali prawie niedosłyszalnym szeptem.

— Taka — zabrzmiał znów zniechęca głos Serpentina — jest nasza pierwsza próbna interpretacja waszego zjawienia się na naszym świecie i możliwości wzajemnych stosunków. Przedstawiłem wam nasze pojęcia tak przystępnie, jak tylko potrafiłem. Teraz pragnąłbym, żeby któryś z was powiedział nam prosto i wyraźnie, co według waszego pojmowania jest prawdą o waszym świecie, w stosunku do naszego.

Rozdział piąty

Ustrój i historia Utopii

|

Nastąpiło milczenie. Ziemianie popatrzyli na siebie, i spojrzenia ich zdawały się koncentrować na panu Cecilu Burleighu. Mąż stanu udał, że nie zauważa tego powszechnego oczekiwania.

— Rupercie — rzekł. — Może ty?

— Ja moje uwagi zatrzymuję na razie dla siebie — odrzekł pan Catskill.

— Ojcie Amertonie, wszak ojciec jest przyzwyczajony do rozprawiania o innych światach.

— Nie w pańskiej obecności, panie Cecilu. Nie.

— Ale cóż ja im mam powiedzieć?

— Co pan o tym wszystkim myśli — odrzekł pan Barnstaple.

— Właśnie — zauważył pan Catskill. — Powiedz im, co o tym wszystkim myślisz.

Nikt inny nie zdawał się zasługiwać na powołanie do odegrania tak trudnej roli. Pan Burleigh powstał wolno z ławki i podszedł wolno do środka półkola. Chwytał się za klapy

plaszcza i przez kilka chwil stał w milczeniu ze schyloną głową, jakby zastanawiając się, co ma powiedzieć.

— Panie Serpentyńce — zaczął wreszcie, wznosząc do góry niewinne oblicze i spoglądając przez binokle na błękitne niebo nad dalekim błękitnym jeziorem. — Panie i panowie...

Miał wygłosić mowę! Tak, jakby się znajdował na garden-party Ligi Pierwiosnka lub w Genewie. Było to niedorzeczne, ale cóż innego pozostawało do zrobienia?

— Muszę wyznać, wielce szanowny przedmówco, że jakkolwiek nie jestem nowicjuszem w sztuce publicznych słownych wystąpień, to przecież tym razem czuję się nieco zdezorientowany. Pańska świetna przemowa, prosta, bezpośrednia, przejrzysta, zwarta i wznosząca się chwilami do wyżyn prawdziwego krasomówstwa, to wzór, który bym chętnie naśladował, na co mi wszakże nie pozwala zarówno moja nieudolność jak i skromność. Szanowny pan chce, żebym mu przedłożył w sposób możliwie prosty i jasny zasadnicze fakty dotyczące się pojmowania przez nas własnego świata, z któregośmy tu przybyli, nie planując tej wyprawy ani też jej sobie nie uświadamiając.

Zważywszy znów na moje ograniczone zdolności pojmowania i roztrząsania tak abstrakcyjnych tematów, nie sądzę, żebym był w stanie poprawić lub dodać coś istotnego do pańskiego nieporównanego streszczenia matematycznej strony całej tej sprawy. To, co nam pan powiedział, obejmuje faktycznie najostatniejsze, najpiękniejsze zdobycze naszej ziemskiej nauki i wybiega daleko poza zwykłe powszechnie przyjęte poglądy. W pewnych kwestiach, na przykład, dotyczących stosunku czasu i grawitacji, zmuszony jestem przyznać, że się—z panem nie zgadzam, ale to jest raczej niemożność zrozumienia pańskiego stanowiska niż jakiś pozytywny sprzeciw. W związku z pańskim szerokim ujęciem zagadnienia nie następują żadne trudności, które by mogły stanąć na przeszkodzie dobremu porozumieniu. Przyjmujemy bez zastrzeżeń pańskie główne założenia, mianowicie, że jak wynika z rozumowania, żyjemy we wszechświecie, równoległym do waszego, na planecie, będącej rodzoną siostrą waszej planety. Istotnie zachodzi szalone podobieństwo między tymi dwoma światami, nawet jeżeli się weźmie pod uwagę wszelkie możliwe kontrasty, jakie nas już uderzyły.

Skłaniamy się z całą lojalnością do przyjęcia pańskiego poglądu, że nasz systemat jest prawdopodobnie mniej dojrzały i nie tak wyrobiony przez czas jak wasz, z różnicą może setek, a może tysięcy lat na rzecz waszego dłuższego doświadczenia. Nieuniknionym następstwem tego stanu rzeczy jest to, że nasze stanowisko w stosunku do was musi być zaprawione pewną pokorą i szacunkiem. Jako młodszym od was kulturą nie przystoi dawać wam rady i nauki, ale je od was odbierać. Nam wypada zapytać was: Czegoście dokonali? Coście osiągnęli? — a nie popisywać się przed wami z naiwną arogancją tym wszystkim, co nam jeszcze pozostaje do zdobycia i dokonania...

— Nie! — rzekł do siebie półgłosem pan Barnstaple. — Ja chyba śnię... Gdyby to był ktoś inny...

Przetarł rękami oczy i, otworzył je z powrotem, ujrzał, że siedzi w dalszym ciągu obok pana Musha wśród tych wszystkich olimpijskich bogów i bogiń. A pan Burleigh, ten wytworny sceptyk, który w nic nie wierzył i niczemu się nie dziwił, stał, pochylony ku przodowi, i mówił mówił, mówił z wprawą i pewnością siebie człowieka, który wygłosił

dziesięć tysięcy przemówień. Nie mógłby być bardziej pewnym siebie i swego audytorium, gdyby przemawiał w ratuszu w Londynie. A oni go rozumieli! I to było absurdalne!

Nic nie pozostawało do zrobienia, jak tylko pogodzić się z tą niesłychaną niedorzecznością, siedzieć cicho i słuchać. Chwilami myśl pana Barnstaple'a odlatywała daleko od przedmiotu mowy pana Burleigha, potem znów powracała i czepiała się rozpaczliwie słów oratora. Z rękami przy binoklach lub klapach ubrania pan Burleigh we właściwy sobie parlamentarny, urywany sposób składa Utopii treściwe sprawozdanie ze stanu spraw naszego świata, starając się być zrozumiałym, logicznym i przejrzystym. Opowiadał im o krajach i państwach, o wojnach i wielkiej wojnie, o ekonomicznej organizacji i dezorganizacji, o rewolucjach i bolszewizmie, o Rosji, zagrożonej straszną klęską głodu, o braku uczciwych mężów stanu i funkcjonariuszy państwowych, o bezradności prasy, słowem o wszystkich ciemnych, mętnych stronach ludzkiego bytowania. Serpentyn użył raz terminu „ostatnia epoka zamętu”. Pan Burleigh przyswoił sobie to określenie i ubarwiał nim swoją mowę...

Była to wielka krasomówcza improwizacja i trwała pewnie całą godzinę. Utopianie przysłuchiwali się z natężoną uwagą, od czasu do czasu kiwając głowami na znak, że uznają lub przyjmują to lub owo stwierdzenie.

— Zupełnie — pukało chwilami w mózgu pana Barnstaple'a — zupełnie jak u nas w epoce zamętu.

Wreszcie pan Burleigh, wyczerpawszy materiał, zakończył swą przemowę odpowiednimi uprzejmościami z właściwą sobie parlamentarną rutyną.

Skłonił się słuchaczom. Pan Mush zaczął bić hałaśliwie brawa, aż wszyscy podskoczyli na ławkach, ale nikt nie poszedł za jego przykładem.

Pan Barnstaple poczuł, że nie wytrzyma dłużej nerwowego napięcia, i porwał się na równe nogi.

II

Stanął i zaczął wykonywać niepewne i zachęcające gesty, które są czymś tak zwykłym u niedoświadczonego mówcy.

— Panie i panowie — zawołał. — Utopianie, panie Burleigh! Upraszam o chwilę łaskawej uwagi. Chodzi o rzecz drobną, ale nagłą. Przez parę sekund milczał.

Potem w oczach Urthreda wyczytał zainteresowanie i zachętę.

— Jest coś, czego nie rozumiem. Coś niewiarogodnego, chcę powiedzieć: niesamowitego. Mała luka, która sprawia, że wszystko zamienia się w niesamowitą fantasmagorię.

Inteligentny wyraz oczu Urthreda był niezmiernie zachęcający. Pan Barnstaple poniechał próby przemawiania do całego zgromadzenia i ograniczył się wyłącznie do Urthreda.

— Wy, Utopianie, wyprzedziliście nas w rozwoju o setki tysięcy lat. Jak to może być, że potraficie mówić współczesnym językiem angielskim — tym samym, którym my się posługujemy? Pytam pana, jak się to dzieje? To jest nie do wiary. To denerwuje. To sprawia, że wy wszyscy wydajecie mi się sennym marzeniem. A przecież jesteście tacy realni. To sprawia — powtarzam — że wydaję się sobie prawie... obłąkańcem.

Urthred uśmiechnął się sympatycznie.

— My nie mówimy po angielsku — rzekł.

Pan Barnstaple doznał wrażenia, że ziemia usuwa mu się pod nogami.

— Ale ja przecież słyszę, że mówicie — rzekł.

— A jednak nie mówimy — powtórzył Urthred. Uśmiechnął się jeszcze weselej niż poprzednio.

— My w ogóle — w zwykłych warunkach — nie mówimy żadnym językiem.

Pan Barnstaple, któremu mózg odmówił posłuszeństwa, pozostał w pozie pełnej uszanowania i uwagi.

— Przed wiekami — ciągnął Utopianin — mówiliśmy, naturalnie, różnymi językami.

Wydawaliśmy dźwięki i słuchaliśmy dźwięków. Ludzie myśleli, a potem wybierali i szeregowali wyrazy, żeby wypowiedzieć swoje myśli. Słuchający przejmował dźwięki, zapamiętywał je i tłumaczył na pojęcia i idee. Później w jakiś sposób, którego jeszcze dobrze nie rozumiemy, ludzie zaczęli chwycić idee, zanim jeszcze zostały wcielone w słowa i zakomunikowane za pomocą dźwięków. Zaczęli słyszeć mózgami, z chwilą gdy mówiący uświadomił sobie własne idee i zanim jeszcze sam zdażył nadać im w swoim mózgu symboliczną formę słowną. Wiedzieli, co chce powiedzieć, nim zdażył to wymówić. Bezpośrednie przejmowanie myśli stało się niebawem zjawiskiem powszechnym. Przekonano się, że większość ludzi była w stanie porozumiewać się do pewnego stopnia w taki właśnie sposób, i ta nowa forma porozumiewania rozwinęła się systematycznie aż do obecnego jej stanu.

Teraz w naszym świecie jest to powszechnym zwyczajem. Myślimy do siebie bezpośrednio. Postanawiamy przesłać myśli i momentalnie przesyłamy samym aktem woli — o ile tylko odległość nie jest za wielka. Teraz w Utopii posługujemy się dźwiękami tylko dla przyjemności i poetyckich deklamacji w momentach najsilniejszego wzruszenia, przy wołaniu na odległość lub zwracając się do zwierząt, ale nigdy w celu przelania idei z jednego ludzkiego umysłu do drugiego pokrewnego. Kiedy myślę do ciebie, myśl moja odbija się w twoim umyśle, o ile tylko znajdzie w nim równoznaczne idee i odpowiednie słowa. Myśl moja w twoim umyśle ubiera się w słowa, które zdajesz się słyszeć, i oczywiście, są to słowa i zdania twojej zwyczajnej, codziennej mowy. Bardzo prawdopodobne, że wszyscy twoi towarzysze słyszą to, co do ciebie mówię, każdy stosownie do swojej indywidualnej frazeologii i zapasu wyrazów.

Pan Barnstaple przysłuchiwał się tym wywodom, podkreślając je inteligentną, wyrazistą mimiką. Czasami otwierał już usta, by coś wtrącić, wreszcie wybuchnął:

— Więc to dlatego chwilami — na przykład, kiedy pan Serpentyń wykladał nam te wspaniałe rzeczy — nie słyszymy nic z tego, co mówicie. To znaczy, że poruszacie kwestie, które nie mają żadnego odpowiednika w naszych umysłach.

— Czy są takie luki? — zapytał Urthred.

— Obawiam się, że dla wielu z nas — ogromne — rzekł pan Burleigh.

— To tak, jakby się chwilami głuchło — dodała lady Stella. — I chwile te są częste. Ojciec Amerton skinął potwierdzająco głową.

— I dlatego nie możemy sobie zdać jasno sprawy, czy pan się nazywa Urthred, czy Adam, i dlatego pomieszałem imiona Ardena i Greenwood, i Forest.

— Spodziewam się, że czujesz się teraz swobodniej pod względem umysłowym? — zapytał Urthred.

— Najzupełniej — odparł pan Barnstaple. — Najzupełniej. I zważywszy wszelkie okoliczności, jest to dla nas nader szczęśliwym trafem, że istnieje taka metoda komunikowania sobie myśli, gdyż w przeciwnym razie czekałyby nas całe tygodnie lingwistycznych studiów, przyswajania sobie obustronnie elementarnych zasad naszych gramatyk, logiki, różnic pojęciowych itd. po większej części nudnych rzeczy, zanim byśmy byli w stanie dojść do takiego porozumienia jak teraz.

— To ciekawe, bardzo ciekawe — rzekł pan Burleigh, zwracając się z ogromnie przyjacielskim gestem do pana Barnstaple'a. — Bardzo ciekawe. Nigdy bym nie zwrócił uwagi na ten uderzający szczegół, gdyby pan go nie podkreślił. To coś nadzwyczajnego, wcale, ale to wcale nie zauważyłem takiej — takiej różnicy.

Muszę przyznać, że byłem zajęty swymi własnymi myślami. Przypuszczałem, że oni mówili po angielsku. Przyjąłem to jako rzecz rozumiejącą się samo przez się.

III

Panu Barnstaple'owi zaczęło się zdawać, że całe to cudowne doświadczenie było tak pełne, iż nic już nie pozostawało, czemu by się można dziwić, z wyjątkiem jego absolutnej wiarygodności. Siedział w pięknym małym budynku, przyglądając się czarodziejskim kwiatom i grającemu w słońcu jezioru wśród mieszanego, dziwnego zgromadzenia Anglików w strojach stosownych na weekend i Utopian, więcej niż po olimpijsku nagich. Nagość ta przestała go już wszakże dziwić i razić. Siedział, przysłuchiwał się temu, co mówiono, i od czasu do czasu dorzucał swoje uwagi, gdyż po kolejnych przemówieniach wywiązywała się długa, swobodna, ogólna dyskusja.

Właściwie była to dyskusja, w której wykazały się zdumiewające, zasadnicze różnice moralnych i społecznych założeń obu światów. Obecnie jednak wszystko stało się tak dalece rzeczywiste, że zupełnie naturalne wydało się przypuszczenie, iż niebawem powróci do domu, napisze o wszystkim do „Liberala” i opowie żonie, tyle oczywiście, ile by uznał za wskazane — o zwyczajach i ubraniach tego dotąd nie odkrytego świata. Nie miał nawet poczucia dzielącej go od domu przestrzeni. Sydenham mogło się znajdować nie dalej jak za rogiem.

Niebawem dwie śliczne młode dziewczyny przyrządziły herbatę na stolczku między rododendronami i przyniosły ją towarzystwu. Herbata! Było to coś podobnego do naszej chińskiej herbaty, bardzo delikatnej i podanej w małych filiżaneczkach bez uszek na sposób chiński. Była to wszakże prawdziwa i bardzo pokrzepiająca herbata.

Zainteresowanie Ziemiań skierowało się przede wszystkim na metody rządzenia. Było to może i naturalne, zważywszy na obecność takich dwóch mężów stanu, jak panowie Burleigh i Catskill.

— Jaką macie formę rządu? — zapytał Burleigh. — Monarchię, autokrację czy czystą demokrację? Czy rozdzielacie władzę prawodawczą od wykonawczej? I czy jest jeden centralny rząd dla całej planety, czy też istnieje kilka oddzielnych centrów władzy?

Z pewną trudnością wytłumaczono panu Burleighowi i jego towarzyszom, że w Utopii centralna władza nie istnieje.

— Ale przecież — rzekł pan Burleigh — musi gdzieś istnieć ktoś czy coś... — jakaś rada czy biuro, czy ja wiem zresztą co, od kogo zależy ostateczna decyzja w wypadkach zbiorowej akcji dla powszechnego dobra? Zdaje mi się, że musicie, po prostu musicie posiadać jakiś organ najwyższej władzy...

Utopianie oświadczyli, że ich świat obywateli się w zupełności bez takiej koncentracji władzy. W przeszłości miała ona miejsce, ale od dawna rozplynęła się w całym społeczeństwie. Decyzje, odnoszące się do poszczególnych kwestii, pozostawiono w rękach ludzi, którzy najlepiej się w danych sprawach orientowali.

— Ale jeżeli to postanowienie ma obowiązywać cały ogół? Na przykład, jeżeli idzie o przepisy dotyczące zdrowia publicznego, któż je narzuca?

— Nie potrzebują być narzucone. Po co?

— Ale przypuśćmy, że ktoś nie zechciałby się im podporządkować, co wtedy?

— Przeprowadzilibyśmy dochodzenie, dlaczego on czy ona nie chce się do nich zastosować. Mogłyby istnieć jakieś wyjątkowe powody.

— A jeżeli nie?

— Zbadalibyśmy, jaki jest jego czy jej stan umysłowy i moralny.

— A więc lekarz chorób umysłowych odgrywa tu rolę policjanta — zauważył pan Burleigh.

— Ja bym wolał policjanta — rzekł pan Rupert Catskill.

— Wolałbyś, Rupercie — wtrącił Burleigh takim tonem, jakby mówił: „Mam cię, ptaszku.”

— A więc daje pan do zrozumienia — ciągnął dalej, zwracając się do Utopianina z wyrazem wielkiego zainteresowania — że wszystkimi waszymi sprawami kierują specjalne ciała czy organizacje — nie wiem, doprawdy, jak to nazwać — które wcale nie są ze sobą skoordynowane.

— Wszystkie poczynania naszego świata — odparł Urthred — są skoordynowane celem zapewnienia ogólnej swobody. Mamy cały szereg inteligentnych osobników, których zadaniem jest czuwanie nad ogólną psychologią rasy i harmonią poszczególnych działań.

— Nie jestże w takim razie owa grupa intelektualistów klasą rządzącą? — zapytał pan Burleigh.

— Nie w tym sensie, żeby miała sprawować jakąś arbitralną władzę — odrzekł Urthred.

— Mają do czynienia z ogólnymi zagadnieniami i stosunkami i to jest wszystko. Ale nie wywyższają się z tego powodu i nie znaczą więcej, tak samo jak filozof nie wynosi się nad uczonego specjalistę.

— To jest w samej rzeczy republika! — wykrzyknął pan Burleigh. — Ale jak ona funkcjonuje i jak powstała, tego sobie nie wyobrażam. Wasze państwo jest prawdopodobnie przede wszystkim — ustrojem socjalistycznym.

— Wy życie jeszcze w świecie, na którym prawie wszystko, z wyjątkiem powietrza, dróg, mórz i pustyni jest prywatną własnością, nieprawdaż?

— Tak — odrzekł pan Catskill. — Prywatną własnością, o którą rywalizujemy między sobą.

— I myśmy przeszli przez to stadium. W końcu przekonaliśmy się, że prywatna własność, z wyjątkiem bardzo osobistych rzeczy, jest plagą ludzkości, więc ją znieśliśmy.

Artysta lub uczoney rozporządza swobodnie wszelkimi materiałami, jakie są mu potrzebne. Wszyscy posiadamy nasze indywidualne narzędzia i sprzęty, pokoje i domki, ale nie istnieje żadna własność mogąca być przedmiotem handlu i spekulacji. Cała ta własność, źródło walk, własność narzędzi produkcji została całkowicie usunięta. Ale dużo by o tym mówić, jakeśmy to przeprowadzili. Nie stało się to w ciągu paru lat. Przesadne znaczenie przypisywane prywatnej własności było zupełnie naturalnym i koniecznym stadium w rozwoju natury ludzkiej. Doprowadziło to w końcu do monstrualnych następstw, ale właśnie tylko dzięki tym strasliwym i katastrofalnym następstwom ludzie zdali sobie sprawę z potrzeby ograniczenia własności prywatnej.

Pan Burleigh przybrał postawę, którą widocznie często przybierał. Wyciągnął się w krześle i skrzyżowawszy przed sobą długie nogi, złożył z nadzwyczajną dokładnością palce obu rąk końcami do siebie.

— Muszę wyznać — rzekł — że niezmiernie mnie interesuje ta szczególna forma anarchii, jaka się tu zdaje panować. O ile pana rozumiem, to każdy człowiek trudni się tutaj swoim zadaniem, jako sługa państwa. Dorozumiewam się, że macie — poprawcie mnie, jeśli się mylę — wielką liczbę ludzi, zajmujących się produkowaniem, rozdzielaniem i przygotowywaniem pożywienia; mniemam, że wglądają oni w potrzeby świata, czynią im zadość i sami ustanawiają dla siebie prawa tyczące własnych sposobów działania. Przeprowadzają badania, robią doświadczenia. Nikt ich nie zmusza, nie zobowiązuje, nie ogranicza i nie powstrzymuje. (Ludzie mówią z nimi o wszystkim — rzekł ze słabym uśmiechem Urthred.) Inni znowu zajmują się dobywaniem, przerabianiem i studiowaniem metali dla dobra całej ludzkości i również sami tworzą dla siebie prawa. Inni jeszcze trudnią się kwestią mieszkaniową waszego świata, planują i budują te cudowne siedziby, rozdzielają je i objaśniają, jak się z nimi obchodzić. Inni poświęcają się czystej nauce. Inni robią doświadczenia w zakresie możliwości wyobraźni i uczuć: są artystami. Inni jeszcze uczą.

— Ci są bardzo ważni — wtrąciła Lychnis.

— I czynią wszystko w ramach harmonii i odpowiednich proporcji bez współdziałania centralnego organu prawodawczego czy wykonawczego. Przyznam, że wszystko to wygląda zachwycająco, ale — nieprawdopodobnie. Na świecie, z którego pochodzimy, o podobnej rzeczy nawet jeszcze nie wspomniano.

— Coś podobnego projektowali już dawno temu — rzekł pan Barnstaple — socjaliści.

— Boże mój! — wykrzyknął pan Burleigh. — Bardzo niewiele wiem o gildystach*. Co to byli za ludzie? Może mi pan opowie.

Pan Barnstaple uchylił się milcząco od wyjaśnień.

— Idea ta wcale nie jest obca naszemu młodemu pokoleniu — rzekł. Laski* nazywa to państwem pluralistycznym w odróżnieniu od państwa monistyczne—go, w którym najwyższa władza jest scentralizowana. Istnieje to nawet u Chińczyków. Profesor pekiński, S. C. Chang, napisał broszurę o tak zwanym przez siebie „profesjonalizmie”. Czytałem ją nie dawniej jak przed kilku tygodniami. Przysłał ją do redakcji „Liberala”. Wykazuje w niej, jak niepożądane i niekonieczne dla Chin jest przejście przez fazę demokratycznej polityki na wzór Zachodu. Pragnie, żeby Chiny przeszły bezpośrednio do współrzędnej niezależności różnych funkcjonalnych klas społecznych, mandarynów,

przemysłowców, pracowników rolnych i tak dalej, bardzo podobnie, jak się to tutaj dzieje. Tak mi się przynajmniej zdaje. Rzecz naturalna, że taki przewrót musi nastąpić drogą zrewolucjonizowania systemu wychowawczego. Nie ulega wątpliwości, że zarodki tego, co pan tutaj nazywa anarchizmem, unoszą się już w powietrzu, z którego pochodzimy. — Mój Boże! — rzekł pan Burleigh z inteligentniejszą i bardziej tolerancyjną miną niż kiedykolwiek przedtem. — Czyżby? Nie miałem najłżejszego wyobrażenia!

IV

Rozmowa ciągnęła się dalej; wymiana poglądów, choć dorywcza w formie, odbywała się szybko i skutecznie. Niebawem, jak się zdawało panu Barnstaple'owi, w umyśle jego naszkicował się zarys historii Utopii od ostatniej epoki zamętu aż do dni dzisiejszych. Im więcej dowiadywał się o ostatniej epoce zamętu, tym bardziej upodabniała się ona do współczesnego ziemskiego okresu. W owych czasach Utopianie nosili obfite ubrania i mieszkali w miastach zupełnie podobnych do ziemskich. Szczęśliwy zbieg wypadków i okoliczności raczej niż jakiś z góry powzięty plan zapoczątkował dla nich kilkuwiekowy okres ekspansji i pomyślności. Po długim okresie biedy, głodu, epidemii i wojen udręczonej rasie Utopian uśmiechnęły się sprzyjające fazy klimatyczne i polityczne szansę.

Po raz pierwszy Utopianie znaleźli się w warunkach pozwalających zbadać i poznać całą planetę, na której żyli, dzięki czemu wielkie dziewicze obszary gruntu dostały się pod panowanie siekiery, łopaty i pługa. Nastąpił olbrzymi wzrost bogactw, dobrobytu i swobód. Wiele tysięcy ludzi zostało wyniesionych z normalnych brudnych i nędznych nizin ludzkiego życia na poziomy, na których mogli dowolnie myśleć i działać z bezprzykładną swobodą. Garstka, ale nie taka znów nikła garstka — znalazła się na wysokości zadania. Nastąpił szalony rozwój badań naukowych, a w ślad za nim powstało wielkie mnóstwo doniosłych wynalazków, które obdarzyły ludzkość wielką potęgą i mocą. Już przedtem w historii Utopii miały miejsce takie wybuchy działalności naukowej, ale żaden nie zdarzył się w tak pomyślnych okolicznościach ani nie trwał dostatecznie długo, żeby wydać w praktyce obfite żniwo. Nagle w przeciągu krótkiego okresu kilku stuleci Utopianie, którzy dotąd pełzali po swej planecie niby powolne mrówki lub podróżowali pasożytniczo na większych i szybszych zwierzętach, znaleźli się w możliwości fruwania jak ptaki i momentalnego porozumiewania się z każdym miejscem swej planety. Posiedli nadto umiejętność posługiwania się siłą mechaniczną w stopniu przewyższającym wszystkie dawniejsze próby, i nie tylko siłą mechaniczną. W ślad za rozwojem fizyki i chemii nastąpił rozkwit psychologii i fizjologii. Utopianom zaświtały nadzwyczajne możliwości kontroli nad własnym ciałem i życiem społecznym. Ale te rzeczy przyszły — kiedy wreszcie przyszły — i dokonały się z taką szybkością i wśród takiego zamętu, że tylko maleńka mniejszość ludzi zdała sobie sprawę z możliwości tego szalonego rozrostu nauki i rozróżniła je od konkretnych, osiągniętych już zdobyczy. Reszta przyjęła te nowe wynalazki tak, jak się zjawily, na chybił trafił, i do nowych konieczności, wypływających z tych przeobrażeń, dostosowała się wnosząc w to możliwie mały nakład myśli, możliwie mało zmieniając swój tryb życia.

Pierwszym skutkiem wzmożonej potęgi, zamożności i swobody dla ogółu Utopian był ogromny wzrost ludności. Zachowali się oni tak automatycznie i bezmyślnie, jak pierwsze lepsze zwierzę lub roślina. Mnożyli się i mnożyli, dopóki nie zdławili zupełnie wszelkich szerszych, pomyślnych możliwości, jakie się przed nimi otworzyły. Zaczęli zużywać szybko wielkie dary nauki na proste, brutalne mnożenie pospolitego życia. W pewnym okresie ostatniej epoki zamętu ludność Utopii doszła do przeszło dwóch miliardów...

— A teraz? — zapytał pan Burleigh.

Utopianie objaśnili go, że obecnie było ich wszystkich dwieście pięćdziesiąt milionów. Była to maksymalna ilość ludzi, jaka mogła żyć pełnym kulturalnym życiem na powierzchni Utopii. Teraz wszakże w miarę rozwoju nauki i techniki wzrasta i ludność. Z ust ojca Amertona wyrwał się stłumiony okrzyk przerażenia. Od pewnego czasu lękał się, że rzeczy tak się właśnie przedstawiały. Uczuł się dotknięty, w swych zasadach moralnych

— I wy ośmielacie się regulować przyrost ludności? Kontrolować liczbę urodzeń? I wasze kobiety zgadzają się rodzić dzieci w miarę potrzeby lub się od tego wstrzymują?

— Naturalnie — odrzekł Urthred — Dlaczegoż by nie?

— Obawiałem się tego — rzekł ojciec Amerton i, pochyliwszy się ku przodowi z twarzą ukrytą w rękach, zamruczał: — Czułem to w tej atmosferze! Ludzka obora zarodowa! Wzdraganie się przed stwarzaniem dusz! O przewrotności człowiecza! Och, mój Boże!

Pan Burleigh przyjął wzburzenie wielebnego dżentelmena z wyrazem lekkiego zgorznienia. Błysnął nań zza binokli. Nienawidził ostentacji. Jednakże ojciec Amerton reprezentował w społeczeństwie bądź co bądź bardzo wartościowe konserwatywne elementy. Pan Burleigh zwrócił się ponownie do Utopianina. — To doprawdy nadzwyczajnie interesujące — rzekł. — Nawet w dzisiejszych czasach nasza ziemia jest w stanie wyżywić ludność co najmniej pięć razy liczniejszą od tej cyfry.

— Ale tej zimy, jak nam przed chwilą powiedziałeś, jakieś dwadzieścia milionów lub coś koło tego będzie głodowało... I tylko bardzo drobna część pozostałych prowadzi życie, które nawet wy możecie nazwać pełnym i wygodnym?

— Pomimo to kontrast jest uderzający — rzekł pan Burleigh.

— To jest straszne! — dorzucił ojciec Amerton.

Utopianie kładli szczególny nacisk na fakt, że przeludnienie planety w ostatniej epoce zamętu było podstawowym złem, z którego powstały wszelkie inne klęski i nieszczęścia, trapiące ludzkość. Przemozna fala rodzących się ludzi zalała świat i zdławiła wszelkie wysiłki inteligentnej mniejszości, mającej na celu wykształcenie dostatecznej liczby istot mogących sprostać nowym, wciąż szybko zmieniającym się warunkom życiowym. Inteligentna mniejszość nie była sama w możności i stanie kierować przeznaczeniem rasy. Owe mnogie zastępy ludności, które przyszły na świat przypadkiem i znajdowały się pod przemożnym wpływem przestarzałych i rozkładających się tradycji, dając się uwodzić najgłupszym hasłom, były z natury rzeczy łupem i narzędziem każdego awanturnika, który potrafił podzielać na ich zbiorową wyobraźnię w sposób dostatecznie jaskrawy swoją bezczelną postawą i prymitywną koncepcją powodzenia. System ekonomiczny, niezręcznie i naprędce zorganizowany stosownie do zmienionych warunków mechanicznej produkcji i podziału, zaczął się stawać coraz to obfitszym

źródłem okrutnej a bezwstydney eksploatacji mas przez garstkę chciwych, nieuczciwych spekulantów. Prosta—czy, ciemny ogół od kolebki do grobu jęczał w więzach nędzy i zależności. Bywał systematycznie obalamuca—ny, kupowany, sprzedawany i wodzony na pasku przez bezczelną mniejszość, zuchwalszą i niewątpliwie energiczniejszą, ale pod wszelkimi innymi względami nie wyżej stojącą od niego. Urthred orzekł, że dzisiejszemu Utopianinowi trudno było przedstawić z dostatecznym realizmem monstrualną głupotę, marnotrawstwo i wulgarność, charakteryzującą bogaczy i potentatów z ostatniej epoki zamętu.

(— Nie potrzebujecie sobie zadawać tego trudu — zauważył pan Burleigh. — Na nieszczęście wiemy o tym dobrze... wiemy, och, aż nadto dobrze.)

Na tę, ropiejącą, zdeprawowaną niezliczoną masę ludzkich istot spadły w końcu klęski niby rój os na kupę gnijących owoców. Było to naturalne i nieuniknione. Wojna, która objęła prawie całą planetę, rozprężyła jej wąty system finansowy i podminowała jej cały ustrój ekonomiczny poza wszelką możliwość ratunku i naprawy. Wojny domowe i niezręczne próby rewolucji socjalnych posunęły jeszcze dalej dzieło dezorganizacji i rozkładu. Na domiar złego nastąpiło wiele lat złej pogody i nieurodzajów, i powszechna bieda wzrosła jeszcze bardziej. Ambitni i chciwi awanturnicy, zbyt ograniczeni, by móc zdać sobie sprawę ze znaczenia i doniosłości wydarzeń, w dalszym ciągu oszukiwali i bałamucili masy i niweczyli podstępnie wszelkie usiłowania uczciwych ludzi, by położyć temu kres, tak samo, jak osa, która nie przestaje jeść nawet wtedy, gdy jej się odetnie tułów. Twórczy wysiłek został triumfalnie wyparty z życia Utopian przez żądzę zdobycia i zagarnięcia wszystkiego dla siebie. Produkcja zmniejszyła się do tego stopnia, że prawie zanikła. Nagromadzone bogactwa uległy rozproszению i zniweczeniu. Przygniatający system długów, roje wierzycieli, niezdolnych moralnie do wyrzeczenia się swych zasobów, wszystko to zdławiło wszelką świeżą inicjatywę.

Długa diastola* spraw utopijnych, która zaczęła się wraz z wielkimi wynalazkami, przeszła w fazę szybkiej systoli*. To, co pozostało jeszcze w świecie zasobów materialnych i innych, zostało tym chciwiej zagarnięte przez spekulantów finansowych i przemysłowych. Zorganizowana nauka uległa już dawno komercjalizacji i została głównie „zastosowana” do uganiania się za korzystnymi patentami i wykupywania zawczasu zapasów.

Zaniedbany płomień czystej wiedzy przyćmił się i zaczął migotać jak przed zgaśnięciem, grożąc Utopii pozostawieniem jej w ciemnościach, takich samych, jakie panowały w ciemnych wiekach przed rozpoczęciem ery odkryć i wynalazków...

— To doprawdy wygląda na ponurą diagnozę naszego ziemskiego stanu rzeczy — rzekł pan Burleigh. — Nadzwyczajne. Jakby się to wszystko podobało dziekanowi Inge'owi!*

— Niewątpliwie niewiernemu takiego kalibru wydałoby się to radosną rzeczą — rzekł trochę niedorzecznie ojciec Amerton.

Uwagi te zirytowały nieco pana Barnstaple'a, któremu pilno było usłyszeć więcej.

— A potem — zwrócił się do Urthreda — co się stało potem?

V

Dorozumiał się, że potem nastąpiła powolna zmiana w sposobie myślenia Utopian. Coraz większa liczba ludzi zaczęła sobie zdawać sprawę, że wśród potężnych i łatwo wyzwających się sił, które nauka i organizacja oddały ha usługi człowieka, stara koncepcja społecznego współżycia w formie państwa, jako ograniczonej i ulegalizowanej walki o byt mężczyzn i kobiet, zaczęła się stawać zbyt niebezpieczna, by można ją było znosić. To samo stwierdzono w odniesieniu do rozwijającej się ciągle straszliwej techniki nowoczesnych metod prowadzenia wojen. Odrębna suwerenność poszczególnych narodów stawała się zbyt niebezpieczna, by można ją było znosić. Jeżeli historia nie miała się zakończyć klęską i upadkiem, trzeba było stworzyć nowe idee i nowe formy ludzkiego współżycia.

Wszystkie społeczeństwa powstały na gruncie ograniczenia za pomocą praw, zakazów zwyczajowych i umów dzikiej, żywiołowej zaborczości i bezwzględności pierwotnego człowieka, małpoluda. Stara tendencja podkreślania własnych praw musiała ustąpić restrykcjom, współmiernym z nowymi siłami i niebezpieczeństwami zagrażającymi rasie. Idea współzawodnictwa w posiadaniu, jako przewodnia idea współżycia ludzi, była niczym źle działający motor, zagrażający spalaniem maszyny, którą uprzednio wprawiał w ruch. Musiała przeto ustąpić z kolei idei twórczej służby. Jeżeli społeczne życie miało się w ogóle ostać, ludzki umysł i wola musiały oprzeć się o tę właśnie ideę. Założenia i twierdzenia, które w minionych wiekach uchodziły za wyraz natchnionego i egzaltowanego idealizmu, zaczęto uznawać nie tylko za prostą prawdę psychologiczną, ale za prawdę praktyczną i niezbędną. Wyjaśniając te rzeczy, Urthred wyraził się w sposób, który obudził w umyśle pana Barnstaple'a wspomnienie jakichś bardzo znanych słów; mówił mianowicie, że kto chce zachować swoje życie, ten je utraci, a kto je odda, ten zyska w zamian cały świat.

Zdawało się, że pamięć ojca Amertona zareagowała na nie w analogiczny sposób, gdyż nagle przerwał on mówcy:

— Ależ to jest cytata!

Urthred przyznał, że rzeczywiście zacytował ustęp z nauk człowieka o wielkiej poetyckiej potędze wyobraźni, który żył w bardzo dawnych czasach, kiedy ludzie posługiwali się żywym słowem.

Chciał mówić dalej, ale ojciec Amerton był zbyt wzburzony, żeby dać mu dojść do słowa.

— Ale kto to był ten nauczyciel? — zapytał. — Kiedy żył? Jak przyszedł na świat? W jakich okolicznościach umarł?

W świadomości pana Barnstaple'a odbił się nagle obraz samotnej bladolicej postaci, zbitej i pokrwawionej, którą otaczały zbrojne strażę, pchające się, stłoczone, spieczone przez słońce tłumy, wypełniające wąską, głęboką uliczkę. Ujrzał też duży, szpetny przyrząd, niesiony za tą postacią i pochylający się lub wznoszący równoległe z falowaniem tłumów.

— Czy i na tym świecie umarł On na krzyżu? — krzyknął ojciec Amerton. — Czy umarł na krzyżu?

Powiedziano mu, że ten prorok Utopii umarł wśród wielkich cierpień, ale nie na krzyżu. Został poddany jakimś torturom, ale ani Utopianie, ani nasi Ziemianie nie mieli dostatecznego wyobrażenia o technicznej stronie tortur, żeby zdać sobie z tego

należycie sprawę. Zdaje się, że ów mądry nauczyciel został następnie przymocowany do wolno obracającego się koła i tak pozostał aż do śmierci. Była to hańbiąca kara panującej wtedy okrutnej rasy i w danym wypadku została zastosowana dlatego, że doktryna powszechnej służby dla dobra ludzkości, głoszona przez winowajcę, zagrażała możnym i bogatym, którzy nie chcieli niczemu służyć. Przed oczami pana Barnstaple'a mignęła przelotna wizja powykręcanych członków, rozciągniętych na kole tortury i wystawionych na żar słonecznych promieni. I — o cudowny triumfie życia nad śmiercią! — na tym oto świecie, który był w stanie dopuścić się takiego czynu, narodził się ten wielki pokój i otaczające go zewsząd piękno!

Ale ojciec Amerton nie miał jeszcze dosyć.

— Ale czyście nie pojęli, kim był ten człowiek? Czyż ten świat niczego się nie domyślił?

— Bardzo wielu ludzi myślało, że ten człowiek był Bogiem. On wszakże zwykł był siebie nazywać po prostu synem Boga lub synem człowieczym.

Ojciec Amerton nie ustępował.

— Ale teraz go czcicie?

— Stosujemy się do jego nauk, bo są wspaniałe i prawdziwe — odrzekł Urthred.

— Ale go czcicie?

— Nie.

— Ale czyż nikt tego nie czyni? Byli przecież tacy, co go czcili?

— Byli tacy, co go czcili. Byli tacy, co drżeli przed jego nauką, przed surową wspaniałością jego nauki, a przecież nie mogli się pozbyć dręczącego uczucia, że w jej słowach tkwiła głęboka prawda. Oszukiwali więc swoje niespokojne sumienia, traktując go nie jako światło swoich dusz, ale jako jakiegoś magicznego Boga. Dzieje jego męki spleli ze starożytnymi tradycjami królów—ofiarników i zamiast przyjąć go szczerze i otwarcie i uczynić częścią swego intelektu i woli, udawali, że go spożywają w mistyczny sposób i czynią częścią swego ciała. Koło jego uczynili cudownym symbolem i pomieszczyli je z równikiem, ze słońcem i ekliptyką — właściwie ze wszystkimi przedmiotami o kształcie koła. Wierzano, że w razie niepowodzeń, chorób lub nieurodzajów zakreślenie w powietrzu kółka palcem wierzącego było bardzo pomocne i skuteczne.

Z tego, że pamięć nauczyciela była bardzo droga sercom ciemnych tłumów z powodu jego dobroci i miłosierdzia, skorzystały przebiegłe i interesowne typy, które, ogłosiwszy się bojownikami i kapłanami koła i zdobywszy w jego imię bogactwa i władzę, poprowadziły ludy na wielkie wojny dla chwały mistrza i jego symbolu użyły jako pokrywki i usprawiedliwienia dla zawiści, tyranii, nienawiści i strasznych pożądań. W końcu ludzie powiedzieli, że gdyby prorok po raz drugi zstąpił na Utopię, jego własne triumfujące koło zgmiotłoby go i zabiło tak jak poprzednio...

Ojciec Amerton zdawał się nie słyszeć ostatnich uwag. Patrzył na rzeczy z innego punktu widzenia.

— Ale z pewnością — zauważył — została się jeszcze garstka wyznawców! Może wzgardzonych, lecz...

— Nie. Nikt nie pozostał. Cały świat uznawał nauki Wielkiego Nauczyciela, ale nikt go nie czcił. Na niektórych starych, zakonserwowanych budowlach można jeszcze spotkać

wyrzeźbiony znak koła często w połączeniu z najbardziej fantastycznymi motywami dekoracyjnymi. W muzeach zaś i zbiorach przechowują się masy obrazów, posągów, amuletów itp. rzeczy.

— Nie rozumiem tego — rzekł ojciec Amerton. — To... to straszne. Kręci mi się w głowie. Nie rozumiem.

VI

Piękny, wysmukły mężczyzna z piękną i subtelną twarzą, noszący imię Lwa, jak się później dowiedział pan Barnstaple, zastąpił niebawem Urthreda m pracy objaśniania Ziemi i odpowiadania na ich pytania.

Był on jednym z koordynatorów oświatowych Utopii. W jasny sposób dał do zrozumienia, że zmiana w sposobie życia Utopian nie nastąpiła nagle na skutek rewolucji. Żaden nowy systemat praw i zwyczajów, żadna nowa metoda ekonomicznej kooperacji, opartej na idei służby powszechnemu dobru, nie objawiły się za jednym zamachem w skończonej i doskonałej formie. W ciągu długiego okresu, przed i w czasie ostatniej fazy zamętu ciągle rosące zastępy badaczy i pracowników kładły podwaliny pod nowy ustrój społeczny. Nie powodował nimi żaden określony plan czy też powzięta z góry koncepcja, lecz wspólny impuls służby dobru i wspólna rzetelność i jasność umysłu wywołały nieświadomą kooperację wszystkich.

Dopiero w trakcie największego rozprzężenia ostatniego okresu zamętu zaczęła się w Utopii rozwijać wiedza psychologiczna na skalę, dającą się porównać z postęпами wiedzy geograficznej i fizycznej, jakie miały miejsce w ubiegłych stuleciach. Społeczny i ekonomiczny bezład, który hamował naukę eksperymentalną i wypaczał zorganizowaną pracę uniwersytetów, pobudzał do badań nad procesami psychologicznymi ludzkich zreszeń i badaniom tym nadawał piętno rozpaczliwej nieustraszości.

Pan Barnstaple doznał wrażenia, że nie mogło tu być mowy o tych gwałtownych zmianach, które nasz świat nauczył się nazywać rewolucjami, ale że światło zrozumienia, jutrzeńka nowych idei, rosło i rosło, że w jego blaskach stary porządek rozpręgał się stopniowo, aż ludzie na j naturalnie j w świecie zaczęli postępować podług nowych wyobrażeń, które wyrugowały stare.

Początki nowego stanu rzeczy narodziły się w dyskusjach, książkach i psychologicznych laboratoriach, a wyrosły na glebie szkół i kolegiów. W okresie starego porządku nauczyciel dostawał bardzo nędzne wynagrodzenie; kierownicy starego ładu zbyt byli zajęci i pochłonięci walką o bogactwo i władzę, żeby poświęcać dużo uwagi nauczaniu, którego ciężar brali na siebie ludzie — mężczyźni i kobiety — pragnący budować nowy świat w młodych duszach bez wielkiej nadziei konkretnego wynagrodzenia i uznania za swoje poświęcenie.

W świecie rządzonym ostentacyjnie przez politycznych awanturników, w świecie, gdzie ludzie dochodzili do władzy za pomocą spekulacji i sztuczek finansowych, zaczęła się niebawem szerzyć nauka, że prywatna własność na dużą skalę jest społecznie szkodliwa i że państwo nie może należycie funkcjonować ani wychowawcze metody dawać zadowalających rezultatów równorzędnie z istnieniem nieodpowiedzialnej klasy bogaczy, gdyż z samej natury ich społecznego stanowiska atakowali oni, osłabiali, podkopywali i

niweczyli każde przedsięwzięcie państwowe. Ich pełna pychy egzystencja odbierała moc i skuteczność wszelkim wartościom życia. Należało ich przeto usunąć dla dobra rasy.

— Czy nie walczyli? — zapytał wojowniczo pan Catskill.

— Walczyli bez planu, ale z wielką zaciętością. Walka o opóźnienie czy niedopuszczenie do powstania powszechnego państwa, opartego na nauce i wychowaniu, walka świadomej reakcji trwała w Utopii przez prawie pięć stuleci. Walka ta była walką chciwych, roznamiętnionych, zacofanych i samolubnych osobników przeciwko skryształowaniu się w konkretne formy tej nowej idei powszechnej, zorganizowanej służby społecznej.

Zwalczano ją wszędzie, gdzie sięgało królestwo myśli; zwalczano za pomocą dymisji, gróźb, bojkotów, przemocy, gwałtów, kłamstw i fałszywych oskarżeń, prześladowań i aresztowań, linczów, smoły i pierza, roztopionej parafiny, maczugu i broni palnej, bomb i dynamitu.

Ale ludzi gotowych oddać się w służbę nowej idei nie zabrakło nigdy. Ziarno jej padło na żyzne serca i wykiełkowało w nich z przemożną siłą. Zanim państwo nauki zostało ustanowione w Utopii, zginęło przez nie i dla niego więcej niż milion męczenników, nie mówiąc o nieprzeliczonych zastępach tych, których cierpienia nie zakończyły się śmiercią. Krok za krokiem posuwały się falangi bojowników światła, zdobywając coraz to nowe pozycje w zakresie wychowania, prawodawstwa i metod ekonomicznych. Nie da się ustalić konkretnej daty zmiany. Nadszedł czas, kiedy Utopianie spostrzegli się, że otacza ich światło nowego dnia i że stary porządek rzeczy ustąpił miejsca nowemu...

— Tak musi być — rzekł pan Barnstaple, jak gdyby Utopia nie znajdowała się już przed jego oczami. — Tak być musi.

Odpowiadano właśnie na nowe pytanie. Każde dziecko Utopii otrzymuje wykształcenie proporcjonalne do jego umysłowej pojemności i zostaje zakwalifikowane do pracy odpowiadającej jego pragnieniom i zdolnościom. Jest pomyślnie urodzone z bezwzględnie zdrowych rodziców, z matki, która zgodziła się wydać je na świat po gruntownym namyśle i przygotowaniu. Rośnie ono i rozwija się w doskonałych warunkach zdrowotnych; jego naturalne impulsy, by uczyć się i bawić, rozkwitają pod wpływem subtelnych metod wychowawczych. Ręce, oczy i całe ciało mają wszelką możliwość rozwinięcia się i wyrobienia. Uczy się ono rysować, pisać i wypowiadać się oraz posługiwać wielką ilością symboli, wzbogacających i rozszerzających dziedzinę myśli. Uprzejmość i grzeczność stają się wrodzonymi przyzwyczajeniami, gdyż wszyscy ludzie dokoła są grzeczni i uprzejmi. W szczególności czuwa się nad rozwojem jego wyobraźni i stwarza dla niej jak najkorzystniejsze warunki. Dziecko uczy się przedziwnej historii swego świata i rasy, dziejów minionych i dzisiejszych walk człowieka, wyzwającego się z więzów swej wcześniejszej, zwierzęcej, ograniczonej natury i egoizmu, dążąc do opanowania bytem, który to cel zaledwie przebłyskuje dotąd w oddali przez gęste osłony ignorancji. Wszystkim pragnieniom dziecka nadaje się szlachetny kierunek. Uczy się ono na poezji, na przykładzie i miłości tych, którzy je otaczają, zatracać swój egoizm w miłości. Jego skłonności seksualne zostają wyzyskane dla zwalczania samolubnych tendencji, ciekawość rozkwita przyjmując formę badań naukowych, bojowy zapał obraca się na zwalczanie nieładu, wrodzona duma i ambicja znajduje ujście w szlachetnym

współdziałaniu z innymi ludźmi dla dobra powszechności. Stosownie do własnych upodobań wybiera ono sobie pracę, która je pociąga.

Jeżeli jakaś jednostka jest opieszła, to ostatecznie nie ma to wielkiego znaczenia, gdyż Utopia ma wszystkiego w obfitości, ale ona sama nie znajdzie dla siebie kochanka czy kochanki ani doczeka się potomstwa, bo w Utopii nikt nie kocha tych, którzy niczym się nie wyróżniają ani nie posiadają energii. W miłości Utopian wielką rolę odgrywa duma z ukochanej, wybranej istoty. W Utopii nie ma wcale bogatej próżniaczej sfery, tzn. „towarzystwa”, ani gier, ani żadnych pokazów przeznaczonych wyłącznie dla widzów. Zwykli widzowie nic by tu dla siebie nie znaleźli. Miły to i pociągający świat dla ludzi spragnionych wypoczynku, ale nie dla tych, którzy w ogóle nic nie robią.

Już od wielu stuleci utopijna nauka zdołała rozciągnąć kontrolę nad urodzeniami i teraz prawie każdy przeciętny Utopianin stoi na takiej intelektualnej wyżynie, że za dawnych czasów uchodziłby za potężnego twórczego ducha. W Utopii nie spotyka się wcale ludzi anormalnych, a bardzo niewielu ograniczonych. Leniw—cy, ludzie o letargicznych skłonnościach lub słabej wyobraźni po większej części wymarli; typ melancholika również zaginął; usposobienie złośliwe i choleryczne spotyka się coraz rzadziej. Olbrzymia większość Utopian to osobniki energiczne, żywe, wynalazcze, wrażliwe i zrównoważone. — I nie macie nawet parlamentu? — zapytał niedowierzającym tonem nie przekonany jeszcze pan Burleigh.

— Utopia nie posiada ani parlamentu, ani polityki, ani prywatnej własności, ani przemysłowo—handlowo—go współzawodnictwa, ani policji, ani więzień, ani wariatów, ani kalek, a nie ma ich dlatego, że posiada takie szkoły i takich nauczycieli, którzy są ideałem w swoim rodzaju. Polityka, handel i współzawodnictwo są to metody współżycia niezbędne dla społeczeństw znajdujących się na niskim stopniu cywilizacji. W Utopii wyszły one z użycia przed więcej niż dziesięcioma wiekami. Dorośli Utopianie nie potrzebują ani rządu, ani kontroli, gdyż cała potrzebna doza tych specyfików została im zaaplikowana w dzieciństwie i wczesnej młodości. — Nasze metody wychowawcze są naszym rządem — powiedział Lew.

Rozdział siódmy

Trochę ziemskiego krytycyzmu

|

Chwilami w ciągu tego pamiętnego popołudnia i wieczora pan Barnstaple doznawał wrażenia, że nic się właściwie nie stało, tyle tylko, że został wciągnięty w nadzwyczajny dialog o rządzie i historii i że ten dialog w jakiś niepojęty sposób stał się widzialny i dotykalny. Czuł się tak, jakby wszystko rozgrywało się tylko w jego umyśle, a potem świadomość absolutnej realności całej przygody ogarniała go znów z nieodpartą potęgą i zainteresowanie intelektualne przechodziło w roztargnienie, pomieszane z szalonym, dręczącym zdumieniem.

W takich chwilach wzrok jego przenosił się kolejno na twarze otaczających go Utopian, to znów zatrzymywał się na jakimś cudownym szczególnie architektury budynku, by za moment spocząć z powrotem na ich bosko wdzięcznych postaciach.

Potem z niedowierzaniem zaczynał się przypatrywać towarzyszom — Ziemianom.

Wszystkie twarze Utopian były szczere, otwarte, poważne i piękne jak anielskie twarze z obrazów włoskich malarzy. Jedna z kobiet przypominała dziwnie delficką Sybillę Michała Anioła. Mężczyźni i kobiety siedzieli razem w swobodnych pozach, przysłuchując się po większej części dyskusji, chociaż pan Barnstaple czuł niekiedy na sobie badawcze spojrzenie pary przyjacielskich oczu lub dostrzegał zainteresowanie się któregoś z Utopian kostiumem lady Stelli lub monoklem pana Musha.

Na pierwszy rzut oka pan Barnstaple doznał był wrażenia, że wszyscy Utopianie byli to ludzie młodzi. Teraz zauważył, że wiele z tych twarzy nosiło znamiona zdrowej dojrzałości. Na żadnej z nich nie było widać rzucających się w oczy oznak wieku, właściwych mieszkańcom ziemi, ale zarówno Urthred, jak Lew mieli koło oczu, ust i na czole linie, które żłobi myśl i doświadczenie.

Widok tych ludzi wywoływał w umyśle pana Barnstaple'a dziwną mieszaninę zdumienia i poczucia czegoś od dawna znanego. Uświadamiał sobie zawsze, że taka rasa mogła istnieć i że ta świadomość pociągała za sobą krytykę tysiąca ludzkich instytucji i wyobrażeń. Jednocześnie zaś tonął w niezgłębionych odmętach niedowierzania i zdumienia, że znajduje się na tym samym świecie co i oni, Utopianie. Byli oni jednocześnie normalni i godni podziwu w porównaniu z nim samym i jego towarzyszami, którzy ze swej strony wydawali się jednocześnie dziwaczni i zupełnie zwyczajni.

Z silnym pragnieniem zaprzyjaźnienia się i spoufalenia z tymi pięknymi, wytwornymi istotami, oddania się im i związania z nimi za pomocą obustronnych usług łączyła się trwoga i lękliwe uwielbienie. Obawiał się kontaktu z nimi i drżał za ich dotknięciem. Tak bardzo pragnął, żeby go uznali za przyjaciela i towarzysza, że poczucie własnej bezwartościowości i miernoty dławilo go po prostu za gardło. Chciał bić przed nimi pokłony. Na dnie świetlistego piękna otaczających go rzeczy czaiło się dręczące przecucie, że ten nowy świat nie uzna go w końcu, lecz odrzuci.

Wrażenie, jakie Utopianie zrobili na umyśle pana Barnstaple'a, było tak głębokie, tak bardzo uległ on urokowi ich wdzięku i fizycznej wspaniałości, że przez czas pewien nie zwracał uwagi na swoich ziemskich towarzyszy i na sposób, w jaki reagowali na otoczenie. Brak normalnych w ludzkim życiu dziwaczności, groteskowości i okrucieństwa u Utopian sprawił, że nasz ziemski malkontent gotów był przyjąć i uznać bezkrytycznie wszystkie ich instytucje i urzędnika.

Dopiero zachowanie się ojca Amertona nasunęło mu refleksję, że można było zając wręcz przeciwne stanowisko wobec tego cudownego ludu, potępić go, a nawet okazać uczucia bardzo wrogie. Początkowo nad okrągłym kołnierzykiem czcigodnego kapłana malowało się pucłowate, rozwartookie zdumienie. Skłonny był zachowywać się biernie i ustępować pierwszeństwa komukolwiek. Nie powiedział też ani słowa, dopóki naga piękność martwej Greenlake nie wywołała mu na usta słów nieklerykalnego zachwyty. Jednakże w czasie podróży na brzeg jeziora, w czasie posiłku i wstępnych omówień przy zaczęciu konferencji nastąpiła w nim reakcja i jego pierwsze naiwne i pełne uznania zdumienie ustąpiło miejsca krytycyzmowi i wrogim uczuciom. Wyglądało to tak, jakby ten nowy świat, który na początku przedstawił mu się w formie widowiska, przeobraził się w jakąś propozycję, którą w swym mniemaniu musiał albo przyjąć, albo odepnąć. Możliwe, że nałóg myślowy publicznego cenzora był w nim zbyt silny i że nie mógł się czuć

normalnie, dopóki znów nie zaczął potępiać. Możliwe, że był naprawdę zgorzony i strapiony samym widokiem nagości otaczających go ślicznych ciał. Wkrótce bowiem zaczął wydawać dziwne pokasywania i chrząkania, mrużyć coś do siebie samego i zdradzać wzrastające zdenerwowanie.

Po raz pierwszy wystąpił z protestem, kiedy podniesiono kwestię zaludnienia. Przez chwilę jego inteligencja trzymała w szachu wewnętrzne wzburzenie podczas omawiania problemu proroka, umęczonego na kole, ale potem napływ wezbranych uczuć wziął górę nad zimną krwią i obiektywnością.

Pan Barnstaple usłyszał jego mrużenie.

— Muszę się wypowiedzieć — szeptał. — Muszę, muszę...

I nagle zaczął zadawać pytania.

— Są pewne rzeczy, które chciałbym wyświecić — powiedział. — Chciałbym się dowiedzieć o moralnym stanie tak zwanej Utopii. Przepraszam!

Wstał. Przez moment stał tak, poruszając rękami, niezdolny przemówić słowa. Potem poszedł na sam koniec szeregu siedzeń i umieścił się w takiej pozycji, że mógł oprzeć ręce o poręcz ławki. Przesunął palce przez czuprynę i zdawał się wciągać w płuca głębokie hausty powietrza. Twarz jego ożywiła się niezwykle i okryła połyskującą czerwienią. Mózg pana Barnstaple'a przeszło straszne podejrzenie, że Amerton musiał tak wyglądać w czasie swych tygodniowych kazań, owych nieustraszonych potępień i oskarżeń prawie wszystkiego i wszystkich, odbywających się w kościele Św. Barnaby w zachodniej dzielnicy. Podejrzenie to wprędce zamieniło się w jeszcze okropniejszą pewność.

— Przyjaciele, bracia z tego nowego świata, mam wam powiedzieć pewne rzeczy, z którymi nie mogę dłużej zwlekać. Muszę wam zadać kilka sięgających do głębi duszy pytań. Chcę z wami pomówić o kilku prostych i zrozumiałych, ale zasadniczych sprawach. Chcę je wam przedstawić w sposób szczery i otwarty, jak przystało między rozumnymi ludźmi, a nie bawić się w wykrętne omówienia rzeczy tak nagłych i delikatnych. Pozwólcie mi przystąpić bez wstępu do jądra kwestii. Chcę was zapytać, czy w tej tak zwanej Utopii zachowujecie jeszcze, szanujecie i czcicie największą instytucję społecznego życia. Czy szanujecie więzy małżeńskie?

Umilkł, i w tejże chwili do świadomości pana Barnstaple'a doszła odpowiedź Utopian.

— W Utopii nie ma żadnych więzów.

Ale ojciec Amerton nie zadawał pytań po to, by na nie otrzymać odpowiedzi, zadawał je retorycznie, po kaznodziejsku.

— Chciałbym wiedzieć — grzmiał donośnie — czy ten święty związek, objawiony naszym pierwszym rodzicom w rajskim ogrodzie, utrzymuje się tutaj w mocy; czy to uświęcone i obowiązujące do końca życia przymierze między mężczyzną i kobietą wśród złych i dobrych kolei losu, wyłączające wszelkie inne związki tego rodzaju, jest regułą waszego życia. Chcę wiedzieć...

— Ależ on nie chce wiedzieć — przerwali Utopianie.

— Czy ta ochrania i strzeżona obustronna czystość...

Pan Burleigh podniósł długą białą rękę.

— Ojcie Amertonie — zaproponował — proszę posłuchać!

Ręka pana Burleigha była to potężna ręka, zdolna nakazać posłuch. Mało było rzeczy pod słońcem, które mogły zahamować ojca Amertona, skoro raz dał się porwać wirom burzy sumienia, ale należała do nich właśnie ręka Burleigha.

— ...doznała losu innego, jeszcze cenniejszego daru i została tutaj poniechana i zupełnie odrzucona przez ludzi? Czego pan sobie życzy, panie Burleigh?

— Chciałbym, żeby ojciec dał na razie pokój całej tej sprawie, aż dowiemy się więcej o panujących tu stosunkach. Najwidoczniej oni tu mają inne instytucje. Nawet instytucja małżeństwa może tu być zupełnie inna.

Twarz kaznodziei wyciągnęła się nieco.

— Panie Burleigh — rzekł. — Ja muszę mówić.

Jeżeli moje podejrzenia są uzasadnione, to chciałbym zderzyć z tych ludzi maskę rzekomej cnoty i zdrowia.

— Nie bardzo jest co zdzierać — zauważył bardzo głośnym szeptem szofer pana Burleigha.

W głosie tego ostatniego zabrzmiała nuta gniewu.

— A więc niech ojciec zadaje pytania — rzekł. — Pytania bez tych oratorskich popisów. Proszę, niech ojciec przestanie kazać. Oni tego nie chcą.

— Zadałem pytanie — rzekł kwaśno ojciec Amerton z retorycznym, wściekłym błyskiem oczu w stronę Urthreda, trwając nadal w stojącej pozycji.

Odpowiedź zabrzmiała jasno i zrozumiale.

W Utopii mężczyźni i kobiety nie podlegają żadnemu przymusowi życia w nierozdzielnych stadłach. Dla większości Utopian byłoby to niedogodnością. Bardzo często mężczyźni i kobiety, których praca związała razem, stają się kochankami i przebywają ciągle ze sobą, jak np. Arden i Greenlake. Nic ich wszakże do tego nie zmusza.

Nie zawsze cieszyli się taką wolnością. Za starych ciężkich dni konfliktów, w szczególności w środowisku pracowników rolnych i w ogóle ludzi zależnych, mężczyźni i kobiety, którzy byli niegdyś kochankami, pozostawali skuci ze sobą na całe życie pod groźą surowych kar. Żyli razem w małym domku, który kobieta oprzątała, będąc sługą mężczyzny i rodząc mu nadto tyle dzieci, ile tylko mogła, a on starał się dla nich o pożywienie. Dzieci były nabytkiem pożądanym, gdyż w bardzo prędkim czasie pomagały przy robotach w polu lub chodziły do pracy. Na szczęście warunki, które zmuszały kobiety do tego rodzaju współżycia z mężczyznami, minęły i przeszły do historii. Ludzie dobierają się oczywiście parami, ale czynią to na podstawie wewnętrznej konieczności, a nie pod zewnętrznym przymusem.

Ojciec Amerton przysłuchiwał się ze źle ukrywanym zniecierpliwieniem. Nagle skoczył jak oparzony.

— A więc miałem słusność, znieśliście instytucję rodziny?

Wskazujący palec wycelował na Urthreda tak, jakby rzucał mu osobiste oskarżenie.

— Nie. Utopia nie zniosła rodziny, rozszerzyła ją jedynie i uszlachetniła, aż pojęcie rodziny objęło całą ludzkość. Dawno temu, ów prorok koła, którego ojciec Amerton zdawał się szanować, nauczał o takim rozszerzeniu rodzinnego domu. Raz, kiedy

nauczał, powiedziano mu, że na dworze stoją jego bracia i matka i czekają na niego, ale on nie chciał do nich iść, tylko zwróciwszy się do tłumu, który chłonał jego słowa, rzekł:
— Oto moja matka i moi bracia!

Ojciec Amerton z wielkim hałasem uderzył nagle w poręcz ławki.

— Wykręty — wrzasnął. — Wykręty! I szatan może cytować pismo.

Pan Barnstaple wiedział dobrze, że ojciec Amerton zupełnie nad sobą nie panuje. Był sam przerażony tym, co czynił, a jednak nie mógł się powstrzymać. Był zbyt wzburzony, żeby myśleć obiektywnie i panować nad swym głosem, tak że krzyczał i ryczał w dziki sposób. Puszczal wodze swej naturze, ufając rutynie kazalnicy Św. Barnaby, że jakoś z tego wybrnie.

— Pojmuję teraz, do czegoście doszli. Ach, widzę jasno stan waszych sumień. Od samego początku podejrzewałem, że tak z wami być musi. Czekałem — czekałem, by się upewnić, jak się rzeczy mają, zanim dałem świadectwo prawdzie. Ale wasze bezwstydne stroje, wasza rozwiązła swoboda obyczajów mówi sama za siebie! Młodzi ludzie, młode kobiety, uśmiechający się do siebie i biorący się za ręce, omal nie padający sobie w objęcia, wtedy kiedy spuszczone oczy, spuszczone oczy byłyby najslabszym hołdem, jaki moglibyście złożyć skromności! I te nikczemne słowa o miłości kochanków bez więzów czy błogosławieństwa, bez reguł i ograniczeń. Co to znaczy? Do czego to prowadzi? Nie wyobrażajcie sobie, że dlatego, że jestem księdzem, człowiekiem czystym i dziewiczym pomimo wielkich pokus, nie wyobrażajcie sobie, że ja tego nie rozumiem! Czyż nie przenikam w najskrytsze zakątki serca? Czy zmiażdżeni grzesznicy, strzępy ludzkie, nie pełzną do mnie ze swymi żalnymi spowiedziami? Powiem wam przeto wyraźnie i jasno, dokąd dążycie i jaki jest stan waszych sumień! Ta wasza tak zwana wolność nie jest niczym innym, jak rozpustą. Wasza tak zwana Utopia, widzę to dobrze, jest piekłem nieokiełznanych namiętności! Tak, nieokiełznanych namiętności!

Pan Burleigh podniósł ostrzegawczym ruchem rękę, ale elokwencja uniosła ojca Amertona ponad tą przeszkodę.

Uderzył pięścią w poręcz ławki.

— Dam świadectwo — wrzasnął — dam świadectwo prawdzie. Nie będę się ceremoniował. Powiadam wam, nie będę owijał słów w bawełnę. Wy wszyscy żyjecie w... Tak to się nazywa. W zwierzęcej promiscuité* W bestialskiej promiscuité!

Pan Burleigh porwał się z miejsca i podniósłszy do góry obie ręce, dawał znaki londyńskiemu „synowi gromu”, aby usiadł.

— Nie, nie! — wołał. — Proszę przestać, ojczy Amertonie. Doprawdy, proszę przestać. Ojciec ich znieważa. Ojciec nie rozumie. Proszę usiąść. Proszę usiąść.

— Siadaj i bądź cicho — zabrzmiał bardzo wyraźnie czyjś głos — bo inaczej zostaniesz stąd wyprowadzony.

Ojciec Amerton spostrzegł nagle, że u jego boku stoi jakaś cicha postać. Oczy jego spotkały się ze wzrokiem gibkiego, młodego człowieka, który przyglądał się fizycznej budowie kaznodziei jak portrecista, lustrujący nowy model. W zachowaniu się młodzieńca nie było żadnej groźby, stał zupełnie bez ruchu, a przecież ojca Amertona ogarnęło poczucie dziwnej bezsilności i kruchości. Głos wielkiego kaznodziei ugrzązł mu w gardle.

Zabrzmiął łagodny, pojednawczy głos Burleigha.

— Szanowny panie Serpentyńcu, zwracam się do pana z przeprosinami i usprawiedliwieniem. Ten człowiek nie jest w zupełności odpowiedzialny za swoje czyny. My, reszta, wyrażamy swój żal z powodu tego incydentu. Proszę was, nie wyprowadzajcie go stąd, cokolwiek by to miało znaczyć. Będę odpowiadał odtąd osobiście za jego właściwe zachowanie... Proszę usiąść, ojcie Amertonie, proszę; natychmiast, bo inaczej umyję ręce od tej całej sprawy.

Ojciec Amerton zawahał się.

— Przyjdzie mój czas — rzekł, spojrzawszy w oczy młodemu człowiekowi i poszedł z powrotem do swojej ławki.

Urthred odezwał się spokojnym i jasnym głosem:

— Wy, Ziemiańcy, jesteście trudnymi gośćmi do podejmowania. Nie koniec na tym... Najwidoczniej umysł tego człowieka jest bardzo nieczysty. Jego seksualna imaginacja jest niewątpliwie rozogniona i chora. Miota nim gniew i pragnienie wymierzenia zniwag i razów. A w dodatku jest strasznie hałaśliwy. Jutro trzeba go będzie zbadać i zobaczyć, co się da z nim zrobić.

— Jak? Co? — wykrzyknął ojciec Amerton, przy czym jego okrągła twarz pokryła się nagłą szarością. — Co przez to rozumiecie? Co chcecie ze mną zrobić?

— Proszę, niech się ojciec nie odzywa — rzekł pan Burleigh. — Proszę, niech się ojciec w ogóle nie odzywa. Dostyc już ojciec narobił kłopotu...

Zdawało się, że incydent na razie został zażegnany, lecz w sercu pana Barnstaple'a pozostało po nim uczucie dziwnego, kłującego niepokoju. Ci Utopianie wydawali się bardzo łagodni i uprzejmi, ale przez chwilę nad ziemską gromadką zawisła jakaś ciemna groźba. Nieproszonych gości otaczała atmosfera piękna i słonecznych blasków, nie osłabiała to wszakże faktu, że byli tu obcy, obcy i bezradni w tym dziwnym, nieznanym świecie. Twarze Utopian promieniały życzliwością i pewnym zaciekawieniem, ale więcej w nich było czujności niż życzliwości. Było to tak, jakby spoglądali spoza jakiejś nieprzekraczalnej otchłani różności.

Wśród tej udręki pan Barnstaple spotkał spojrzenie piwnych oczu Lychnis i poczuł, że kryje się w nich więcej dobroci niż w oczach innych Utopian. Ona przynajmniej zrozumiała, że ogarnął go strach, i skłonna była uspokoić go i ofiarować mu swą przyjaźń. Pan Barnstaple patrzył na nią przez chwilę w taki mniej więcej sposób, jak robi to zbłąkany pies, który zbliżywszy się do wątpliwie życzliwej grupy osób spotyka się z przyjacielskim spojrzeniem i powitaniem.

II

Drugi umysł, znajdujący się w czynnej opozycji do Utopii, był to umysł pana Freddy'ego Musha. W samej rzeczy nie raziły go ani religia, ani moralność, ani organizacja społeczna Utopii. Od dawna już się nauczył, że żaden dżentelmen z poważnymi aspiracjami estetycznymi nie powinien zdradzać żadnego zainteresowania takimi rzeczami. Rozumiało się samo przez się, że umysł jego był na to za subtelny. Niebawem okazał, że istnieje rzecz bardzo starożytna i piękna, zwana „równowagą natury”, którą zniweczyły w Utopii naukowe metody jej mieszkańców. Co to właściwie było i jak się

objawiało na ziemi, tego ani Utopianie, ani pan Barnstaple nie byli w stanie jasno pojąć. Pod gradem krzyżowych pytań pan Mush zarumienił się, „rozindyczył” i począł rzucać gniewne błyski zza monokla.

— Idzie mi o jaskółki — powtarzał. — Jeżeli nie możecie zrozumieć mojego punktu widzenia w tej sprawie, to doprawdy nie wiem, jak mam to wytłumaczyć.

Zaczął od faktu, do którego ciągle powracał, że w Utopii nie widzi się wcale jaskółek, a nie ma ich dlatego, że nie ma również ani muszek ani komarów. W Utopii wytępiono celowo prawie wszystkie owady, i to odbiło się poważnie na wszelkich stworzeniach, których istnienie pośrednio lub bezpośrednio zależało od istnienia owadów.

Gdy tylko nowy stan rzeczy ugruntował się w Utopii na dobre i metody wychowawcze zostały w pełni zastosowane, uwaga społeczeństwa utopijnego skierowała się na systematyczne wytępienie różnych dokuczliwych i szkodliwych gatunków, z którą to myślą noszono się już od dłuższego czasu. Przeprowadzono staranne badania nad szkodliwością i sposobami pozbycia się np. domowej muchy, os i szerszeni, różnych gatunków myszy i szczurów, królików, pokrzyw itd. Oddano pod sąd dziesięć tysięcy gatunkowy — od zarazków chorób do nosorożca i hieny. Każdy gatunek dostał swego adwokata. O każdy zapytano: Czy jest pożyteczny? W czym jest szkodliwy? Jakim sposobem będzie go można wytępić? Czy w razie usunięcia go nie zginą jakieś inne gatunki i jakie mianowicie? Czy warto, żeby wyginął? Czy nie dałoby się go unieszkodliwić i zatrzymać przy życiu? I nawet, kiedy zapadł nieodwołalny wyrok śmierci, Utopianie przystępowali do wykonania go z wielkimi ostrożnościami. W jakimś odosobnionym, pewnym miejscu zachowano dotąd trochę okazów wszystkich potępionych gatunków.

Najzaraźliwsze i najszkodliwsze rodzaje febry zostały w zupełności wytępione; jedne się dały zwalczyć z łatwością, inne ustąpiły dopiero po wypowiedzeniu im bezwzględnej wojny i poddaniu całej ludności ostrej dyscyplinie. Pozbyto się również kompletnie wielu zewnętrznych i wewnętrznych pasożytów ludzkich i zwierzęcych. Potem nastąpiło wielkie oczyszczanie świata od szkodliwych owadów, chwastów, robactwa i niebezpiecznych zwierząt. Przepadły moskity, muchy domowe, gromadnice i w ogóle olbrzymia ilość much; zostały one wygnane poza nawias życia dzięki kampaniom niezwykle trudnym, uporczywym i rozciągającym się na całe szeregi pokoleń. O wiele, och, było o wiele łatwiej pozbyć się takich szkodników, jak hieny i wilki, niż wytępić ten zabójczy drobiazg. Walka z muchami pociągnęła za sobą gruntowną przebudowę wielkiej ilości domów Utopian i drobiazgowe oczyszczenie wszystkich budowli na całej powierzchni planety. Zagadnienie, co przypadnie z usunięciem jakiegoś gatunku, było jednym z najtrudniejszych zadań, jakie się nastręczyły w Utopii. Na przykład pewne gatunki owadów były w pierwszym stadium życia szkodliwymi i niszczyielskimi robakami jako liszki lub poczwarki, ale potem stawały się albo piękną ozdobą krajobrazu, albo niezbędnym czynnikiem w zapładnianiu pożytecznych czy wspaniałych kwiatów. Inne znów, niepożądane same w sobie, stanowiły konieczne, niezastąpione pożywienie dla miłych i potrzebnych stworzeń. Nie jest prawdą, że jaskółki wyginęły w Utopii, stały się tylko ogromną rzadkością. Również rzadkie stały się liczne gatunki małych owadożernych ptaszków, jak na przykład muchołówki, te arlekiny powietrza. Nie wyginęły

wszakże całkowicie, wytępienie owadów nie posunęło się aż tak daleko, pozostało ich dostatecznie dużo, żeby w niektórych okolicach te miłe ptaki mogły utrzymać się przy życiu.

Wiele roślin, pod innymi względami szkodliwych, było dogodnym źródłem złożonych substancji chemicznych, zbyt jak dotąd kosztownych lub trudnych do otrzymania drogą syntezy, i dlatego utrzymały się przy życiu, choć nie na poczesnym miejscu. Rośliny i kwiaty, prostsze gatunkowo i łatwiej poddające się rakom hodowców i eksperymentatorów niż zwierzęta, uległy w Utopii olbrzymiej zmianie. Nasi Ziemianie poznali z setką gatunków liści i cudnych, pachnących kwiatów, jakich nigdy przedtem nie widzieli. Pan Barnstaple dowiedział się, że rośliny hodowano i uprawiano w ten sposób, żeby skłonić je do wydalenia nowych, nie znanych dawniej wydzielin, wosku, gumy, olejków itp. substancji niezmiernie pożytecznych i pożądaných.

Zastosowano na wielką skalę obłaskawianie i oswojanie zwierząt. Wielkie zwierzęta mięsożerne, czesane i czyszczone oraz trzymane na mlecznej diecie, straciły swą srogość i dzikość, złagodniały i stały się ulubieńcami i ozdobą Utopii. Słoń, który był prawie na wymarciu, znów się rozmnożył; poza tym Utopia zachowała żyrafy. Brunatny niedźwiedź, zawsze skłonny do wegetarianizmu i łasy na słodycze, rozwinął się bardzo pod względem inteligencji. Pies przestał czekać i stał się stosunkowo rzadki. Nie było ani psów myśliwskich, ani małych pokojowych faworytów.

Koni pan Barnstaple nie widział wcale, ale będąc bardzo współczesnym typem mieszkańca wielkich miast nie zauważył prawie ich braku i w czasie pobytu w Utopii nawet się o nie nie zapytał. Nigdy nie dowiedział się, czy wyginęły, czy nie.

Przysłuchując się w to pierwsze popołudnie spędzone w nowym świecie historii poprawiania, kierowania, plewienia i uszlachetniania natury przez ludzkość, pomyślał, że taka faza była w ludzkich dziejach konieczna i naturalna.

„Zważywszy to wszystko — powiedział do siebie samego — dobrze ktoś powiedział, że człowiek został stworzony na ogrodnika.”

A teraz człowiek plewił i uszlachetniał swoją własną rasę...

Utopianie opowiadali o początkach eugeniki, o nowym i bardziej niezawodnym rozstrzygnięciu w sprawie doboru rodziców i o zwiększającej się pewności w zakresie wiedzy o dziedziczności. Pan Barnstaple, porównując zdrowie, czyste piękno twarzy i członków wszystkich Utopian z niedbałym zlepkim rysów i nieproporcjonalnymi ciałami swoich ziemskich towarzyszy, zdał sobie sprawę, że ci Utopianie, którzy wyprzedzili nas zaledwie o jakieś trzy tysiące lat, przestali być ludźmi takimi jak on i osiągnęli szlachetniejsze stadium człowieczeństwa. Stawali się, jednym słowem, gatunkowo różni.

III

Tak, gatunkowo różni.

W miarę jak pytania, wyjaśnienia i wymiana myśli posuwały się tego popołudnia coraz dalej, pan Barnstaple zaczął dochodzić do przekonania, że różnice cielesne były niczym w porównaniu do różnic duchowych i intelektualnych. Z natury szlachetniejsze umysły tych dzieci światła rozwinęły się swobodnie, bez takich przeszkód, jak owe straszliwe tarcia, konflikty, zatajenia, dwuznaczności i ignorancja, które wypaczają rozwój umysłowy

Ziemiem. Są prości, otwarci i bezpośredni. Nie znana jest im ta podejrzliwa nieufność wobec nauczyciela, to opieranie się nauczaniu, będące naturalną reakcją na agresywne narzucanie wiadomości. Wypowiedzi ich mają charakter pięknej, nieostrożnej szczerości. Ironie, zatajenia, fałszywe próżności i pretensje ziemskich rozmów zdają się im być zupełnie nieznane. Pan Barnstaple pomyślał, że ta ich umysłowa nagość była tak wonna i świeża jak górskie powietrze, którym oddychał. Zdumiewał się, że mogli się zdobyć na tyle cierpliwości i wyrozumiałości w stosunku do tak nieokrzesanych istot...

Nieokrzesani, tak, tym słowem określił siebie i swoich towarzyszy. Sam czuł się najgorszym ze wszystkich. Bał się Utopian. Czuł się snobem i nędzną kreaturą wobec tych świetnych półbogów, niby jakiś ordynarny ziemski gbur, który się znalazł w salonie. Wstydział się gorzko swej własnej nikczemności. Wszyscy pozostali Ziemiem z wyjątkiem pana Burleigha i lady Stelli zdradzali zaczepno–odporną przekorę świadomie niższych istot, zmagających się z tą świadomością.

Szofer pana Burleigha. tak samo jak i ojciec Amerton, był najwidoczniej wielce wzburzony i wstrząśnięty widokiem nagich ciał Utopian. Jego uczucia znajdowały swój wyraz w gestach, grymasach i okolicznościowych sarkastycznych uwagach jak np.: „Ciężka cholera!” albo „A to ci widowisko!” Po większej części zwracał się z nimi do pana Barnstaple’a, dla którego jako dla właściciela małego starego auta zdawał się żywić mieszane uczucia głębokiej pogardy i społecznej solidarności. Zwracał również jego uwagę na rzeczy, które go uderzały w zachowaniu się czy ruchach Utopian, za pomocą specyficznego spojrzenia i grymasu oraz podnoszenia do góry brwi. Miał swój sposób wskazywania na coś ustami i nosem, co w normalnych warunkach ubawiłoby pana Barnstaple’a. Teraz wszakże nie był w odpowiednim nastroju.

Lady Stella, która na pierwszy rzut oka zrobiła na panu Barnstaple’u wrażenie bardzo wielkiej damy w nowoczesnym stylu, zaczęła teraz, jak zauważył, przybierać ton wyraźnej rezerwy, trochę zbyt wielkoświatowej. Pan Burleigh wszakże odznaczał się nadal pewną arystokratyczną wyniosłością. Przez całe swoje życie był na ziemi wielkim człowiekiem i najwyraźniej nie widział żadnej racji, dla której nie miałby być uznany za takiego i w Utopii. Na ziemi działał niewiele, był tylko inteligentnie chłonny z najszcześniejszymi w świecie rezultatami. Jego żywy, badawczy umysł, wolny od wszelkich wierzeń, przekonań czy też rewolucyjnych pragnień, z największą łatwością dostosował się do roli wybitnej osobistości badającej z dystygowaną bezstronnością o życzliwym zabarwieniu instytucje zaprzyjaźnionego państwa. Rozmowę jego przeplatał bezustannie zachęcający frazes: „A proszę mi powiedzieć”...

Zbliżał się wieczór. Czyste niebo Utopii gorzało złotymi blaskami zachodu, a zwarty wał chmur nad jeziorem zmieniał różowe zabarwienie na ciemnopurpurowe, kiedy uwagę pana Barnstaple’a zwróciło zachowanie się pana Ruperta Catskilla, kręcącego się niespokojnie na swym miejscu.

— Mam coś do powiedzenia — powtarzał. — Mam coś do powiedzenia.

Zerwał się z podskokiem z ławki i wyszedł na środek półkola, skąd przedtem przemawiał pan Burleigh.

— Panie Serpentynie — zaczął. — Panie Burleigh. Chciałbym powiedzieć parę rzeczy, jeżeli mi łaskawie udzielicie głosu.

IV

Zdjął szary cylinder i po złożeniu go na miejscu, z którego wstał, wrócił na środek absydy. Tu odrzucił w tył poły ubrania, oparł ręce na biodrach, wysunął ku przodowi głowę, zlustrował audytorium z wyrazem chytrej nieufności, zamruczał jakieś niezrozumiałe słowa i zaczął przemowę.

Początkowo nie zrobiła ona dodatniego wrażenia. Catskill miał lekkie trudności z wymową, jakby trochę sepleniał, i starał się to opanować gardłowymi tonami. Pierwsze zdania brzmiały tak, jakby je z trudem i niepewnością wykrztusił, ale potem pan Barnstaple zorientował się, że mały mąż stanu daje wyraz swym poglądom na Utopię, bardzo określonym, wyrozumowanym i dostępnym. Pan Barnstaple odrzucił z miejsca z wielką gwałtownością ten krytycyzm, musiał wszakże przyznać, że takie stanowisko było zrozumiałe.

Pan Catskill zaczął od słów ogólnikowego uznania dla piękności i ładu Utopii. Wychwalał „rumiane zdrowie”, tryskające „ze wszystkich policzków”, bogactwo, spokój i wygody utopijnego życia. Utopianie „ujarzmili siły natury i tak nakierowali, aby służyły jednemu celowi — materialnym potrzebom rasy”.

— Ależ Arden i Greenlake?... — zamruczał pan Barnstaple.

Pan Catskill albo go nie usłyszał, albo udawał, że nie słyszy.

— Pierwsze wrażenie, mój szanowny przedmówco — panie Serpentyń, chciałem powiedzieć — pierwsze wrażenie jest dla ziemskiego umysłu potężne, oszołamiające. Czyż można się dziwić — spojrzal na Burleigha i Barnstaple'a — czy można się dziwić, że przez chwilę wasza granicząca z cudem piękność tak nas oczarowała, że zapomnieliśmy o właściwościach naszej natury — o naszych własnych głębokich, tajemniczych impulsach, pragnieniach, koniecznościach do tego stopnia, że byliśmy gotowi powiedzieć: „Oto nareszcie znaleźliśmy krainę lotosu. Tu pozostajmy, przystosujmy się do tej celowej i zorganizowanej wspaniałości, tu żyjemy odtąd i tu umieramy”. I ja również, panie — panie Serpentyń, uległem na chwilę czarowi Utopii. Ale tylko na chwilę. I oto, szanowny panie, pełen jestem wątpliwości i dociekań... Jego jasny, przenikliwy umysł uchwycił się faktu, że każdemu okresowi plewienia i oczyszczania litanii z pasożytów, zarazków i chorób towarzyszyła możliwość równoległych ograniczeń i strat, albo może lepiej będzie powiedzieć, że fakt ten opanował jego umysł. Zignorował zupełnie namysły i ostrożności, związane z każdym przedsięwzięciem, znaczące każdy etap procesu mającego na celu uczynienie świata bezpiecznym i zdrowym miejscem dla ludzkiej działalności. Był zdania, że każdy zysk okupiony został stratami, przesadził wielkość tychże strat i doszedł gładko do nieuniknionej dla brytyjskiego parlamentarzysty metafory wyrzucenia dziecka razem z kąpielą.

Oświadczył, że Utopianie rzeczywiście wiedli życie nadzwyczajnie wygodne, bezpieczne, łatwe i „niech mi wolno będzie powiedzieć — lekkie” („Pracują” — rzekł pan Barnstaple.), ale czyż razem z tysiącem uciążliwych i przykrych rzeczy nie przepadło również coś większego i cenniejszego? Przyznał, że życie na ziemi było niepewne, pełne bólów i utrapień, pełne prawdziwej nędzy, nieszczęść i niepokojów, ale również i właśnie dzięki

tym ujemnym stronom — bogate w chwilę napięcia, nadziei, radosnych niespodzianek, powodzeń, zwycięstw i uniesień, niemożliwych w uporządkowanym życiu Utopii.

— Pozbyliście się konfliktów i udręk, a czyście przez to nie pozbawili się również przejmującej, cieplej realności życia?

Zaczął wygłaszać pochwałę życia ziemskiego i wynosić pod niebiosą żywotną siłę ziemi, tak, jakby w otaczających go wspaniałościach nie było żadnych śladów żywotności.

Mówił o „huczących, ludnych miastach”, o „naglących potrzebach rojących się milionów”, o „wzburzonych falach życia, objawiającego się w działalności handlowo–przemysłowej oraz w wojnach”, o „odpływach i przyptywach, które wznoszą się i opadają w tłumnych portach życia”.

Miał zdolność splatania zdań i domieszkę wyobraźni, zastępującą elokwencję. Pan Barnstaple zapomniał o lekkim zacinianiu się i chropowatości głosu, wypowiadającego te zdania oratora. Catskill przyznał otwarcie, że istnieją wszystkie ziemskie zła i niebezpieczeństwa, wyliczone przez pana Burleigha. Wszystko, co ten ostatni powiedział, było prawdą. Wszystko zgadzało się z faktycznym stanem rzeczy. Wiemy, co to głód, wiemy, co to zaraza. Cierpimy na tysiące chorób, które Utopia zwalczyła.

Doznajemy tysiąca zgryzot, znanych współczesnej Utopii jedynie z zamierzchłej tradycji.

— Szczury gryzą, a muchy w lecie dręczą i doprowadzają do szaleństwa. Czasami życie cuchnie i kopci. Przyznaję, szanowny panie, przyznaję, że tak jest. Wasze najcięższe przeżycia nie mogą dać wyobrażenia o głębiach naszych udręk, o niedolach, troskach, trwogach, cierpieniach fizycznych i duchowych, o goryczy, rozpacz i bezsilności. Tak jest. Ale czyż jednocześnie nie wnosimy się wyżej od was?! Rzucam wam wyzwanie.

Cóż wy możecie wiedzieć wśród tego olbrzymiego bezpieczeństwa o napięciu, szaleńczym, desperackim napięciu wielu naszych usiłowań i zamierzeń? Cóż wy możecie wiedzieć o umorzonych wyrokach, o chwilach wytchnienia, o wyzwoleniu? .Pomyślcie o naszym szczęściu, które jest dla was nie do osiągnięcia! Cóż wy tutaj wiecie o słodkich dniach wczesnej rekonwalescencji? O wyjeździe na odpoczynek i pozostawieniu za sobą niemiłego otoczenia? O podjęciu się jakiejś rzeczy, zagrażającej bezpieczeństwu życia lub całości majątku i doprowadzeniu jej do pomyślnego końca? O pokonaniu olbrzymich trudności? O radości opuszczenia murów więziennych? I, szanowny słuchaczu, niech mi wolno będzie dodać, iż w naszym świecie są ludzie, którzy znaleźli urok w cierpieniu. Dlatego właśnie, że nasze życie jest okropniejsze, ma ono i musi mieć momenty szczęśliwości, przewyższającej nieskończenie wasze wyobrażenia o szczęściu. Nasze życie jest tytaniczne, a wasze po prostu uporządkowane. I my jesteśmy do niego przyzwyczajeni i przezeń zahartowani w taki sposób, że ostrze naszego wyczucia stało się o wiele subtelniejsze. To jest właśnie wniosek, do którego dochodzę. Załadajcie od nas, żebyśmy się wyrzekli naszego ziemskiego bezładu, naszej nędzy, naszych udręk, naszego wysokiego procentu śmiertelności i wstrętnych chorób, i odruchowo na taką propozycję każdy mężczyzna i każda kobieta odpowiedzą z ochotą: „Ależ tak! Chętnie, z całego serca!” Odruchowo, szanowny panie Serpentyne!

Pan Catskill trzymał przez chwilę audytorium w zawieszeniu, stojąc z podniesionym do góry palcem.

— A potem zaczniemy się zastanawiać. Zaczniemy stawiać pytania, takie same, jakie wasi przyrodnicy zadawali, gdy chodziło o muchy itp. szkodliwe małe stworzenia; zaczniemy pytać: Co przez to stracimy? Czym zapłacimy? I kiedy się dowiemy, że zapłacimy za to wszystko intensywnością odczuwania, głębią desperackiej energii, zdobytym wśród trudów hartem, tym hartem, podobnym do hartu szczurów i wilków, zrodzonym z wiecznych zmagania z życiem — wtedy... zawahamy się. Zawahamy się!!! I w końcu, szanowny panie, wierzę, mam nadzieję i ufam, nawet modłę się o to i wierzę, że powiemy: „Nie!” Powiemy: „Nie!”

Pan Catskill wpadł w stan wielkiego intelektualnego podniecenia. Zaciśniętą pięścią wykonywał krótkie, porywcze gesty. Głos jego huczał, to podnosząc się, to opadając. Chwiał się na nogach, wykręcał na wszystkie strony, spoglądał na swych ziemskich towarzyszy, czekając na oznaki poparcia z ich strony, i rzucał przelotne uśmiechy w kierunku pana Burleigha.

Idea, że nasz biedny, swarzący się, bezsilny, zdany na pastwę losów świat jest w gruncie rzeczy zwartym, mocnym systematem potężnych reakcji, kontrastującym z wieczorną pogodą i spokojem skonstruowanej już i gotowej Utopii, o władnęła” nieodparcie jego umysłem.

— Nigdy przedtem, czcigodny panie, nie zdawałem sobie do tego stopnia sprawy z wzniosłych, straszliwych, pełnych ryzyka przeznaczeń naszej ziemskiej rasy. Patrzę na ten wasz złocisty kraj lotosu, boski, doskonały kraj, z którego wygnano wszelkie konflikty...

Pan Barnstaple dojrzał cień uśmiechu na twarzy kobiety, która przypominała mu delficką Sybillę.

— ...i uznaję, i podziwiam jego ład i piękno tak samo, jak pokryty kurzem śmiały pielgrzym mógłby zatrzymać się w drodze do jakiegoś tajemniczego, wzniosłego celu i uznać, i złożyć hołd pięknym, mądrze urządzonym ogrodom jakiegoś bogatego sybaryty. I tak samo, jakby postąpił ten pielgrzym, pozwolę sobie, czcigodny panie Serpentyń, poddać w wątpliwość mądrość waszego sposobu bytowania, gdyż uważam za rzecz dowiedzioną, że życie i cała moc, i piękno życia rodzą się z walki, współzawodnictwa i konfliktu. Zostaliśmy stworzeni i przeznaczeni do trudów i mozołu tak samo jak i wy, Utopianie. Wbrew temu wszakże narkotyzujecie się marzeniem, że na zawsze usunęliście konflikt z życia. Mniemam, że wasz ustrój ekonomiczny jest jakąś formą socjalizmu. Znieśliście współzawodnictwo na wszelkich polach działalności ludzkiej. Wasz ustrój polityczny sprowadza się do powszechnej jedności. Usunęliście zupełnie z życia hartującą i uszlachetniającą groźbę i oczyszczające i przerażające doświadczenia wojenne. Wszystko jest pewne i bezpieczne. Wszystko jest pewne oprócz jednej rzeczy, panie...

Przykro mi, że zakłóczę pański spokój, ale doprawdy muszę nazwać po imieniu tę jedną zapomnianą rzecz — degenerację! Coście uczynili, żeby zapobiec degeneracji? Czy jej zapobiegacie?

Jakie kary zagrażają jeszcze tutaj gnuśnemu niedbalstwu? Co stanowi nagrodę wyjątkowej energii i wysiłków? Co skłania ludzi do pracowitości i czujności, skoro nie istnieje żadne osobiste niebezpieczeństwo, żadna osobista strata, tylko jakieś dalekie,

nieokreślone niebezpieczeństwo i krzywda społeczności. Przez czas jakiś na mocy niejako prawa bezwładności możecie jakoś wegetować. Może się wam nawet zdawać, że zwyciężacie naturę. Przyznaję, że to tak naprawdę wygląda. Jesienna wspaniałość barw! Splendor chylącego się ku zachodowi słońca! A tymczasem we wszechświatach równoległych do waszego równoległe rasy ciągle się mozolą, ciągle cierpią, ciągle współzawodniczą i podlegają selekcji, i rosną w moc i energię!

Pan Catskill w retorycznym triumfie machnął ręką pod adresem Utopian.

— Nie chcę, żeby szanowny pan myślał, że krytyczne uwagi o pańskim świecie podane są w duchu nieprzychylniej opozycji. Przeciwnie. Wypływają one z jak najprzychylniejszych, no, i jak najlojalniejszych uczuć. Na waszej biesiadzie odgrywam rolę szkieletu, ale szkieletu przyjacielskiego i proszącego o przebaczenie, że jest intruzem. Stawiam wam tak nieprzyjemne i krytyczne pytanie, dlatego że muszę. Czyż naprawdę wybrana przez was droga jest drogą mądrości i przezorności? Życie wasze pełne jest słodyczy, światła — i wolnego czasu. Zgoda. Ale jeżeli istnieje ta mnogość wszechświatów, o których opowiedziałeś nam, czcigodny panie Serpentyńcu, w sposób tak jasny i wyczerpujący, i jeżeli jeden z nich otworzy się na drugi tak, jak nasz otworzył się na wasz, to powiedzcie mi, proszę, jak dalece bezpieczne jest wasze słodkie, promienne i swobodne życie? Rozmawiamy teraz ze sobą, oddzieleni sami nie wiemy jak kruchą przegrodą od nieprzeliczonych światów. I na tę myśl, panie, doznaję wrażenia, że słyszę — stojąc tutaj w tym pięknym miejscu wśród ogromnego, złocistego spokoju — prawie że słyszę tupot głodnych miriad, tak dzikich i zaciekłych, jak szczury lub wilki, prawie że słyszę wycie ras, wdrożonych do wszelkich cierpień i okrucieństw, groźbę straszliwych heroizmów i bezlitosnych podbojów...

Nagle urwał i zakończył swój dyskurs. Uśmiechnął się słabo, a pan Barnstaple odniósł wrażenie, że był to uśmiech triumfu nad Utopią. Stojąc z rękami wspartymi na biodrach i nie odrywając ich zgiął się w sztywnym ukłonie i wyszeplecił w sobie właściwy sposób z okiem utkwionym w pana Burleigha:

— Powiedziałem, co miałem do powiedzenia. Skończyłem.

Wykręcił się i popatrzył na pana Barnstaple'a z taką miną, jakby mrugał. Skinął głową gestem, podobnym do uderzenia młota wbijającego gwóźdź w deskę, ruszył energicznie i poszedł z powrotem na swoje miejsce.

V

Urthred nie tyle odpowiedział panu Catskillowi, ile zaczął myśleć dosłyszalnie dla wszystkich, siedząc z łokciem wspartym na kolanie, a brodą na ręce.

— Zawziętą niszczycielskość szczura — dumął — dziką krwiożerczość wilka, mechaniczną uporczywość osy i muchy oraz zarazków chorobowych — wszystko to wymazaliśmy z powierzchni naszego życia. To jest prawda. Położyliśmy kres tym wrogim nam siłom i nią straciliśmy nic godnego posiadania. Cierpienie, brud, rzeczy hańbiące dla nas — czy dla innych stworzeń — to wszystko przeszło lub przemija właśnie. Nie jest wszakże prawdą, że w naszym świecie zaginęło współzawodnictwo. Dlaczego on to mówi? Każdy czy każda pracuje tutaj ze wszystkich sił — dla wyróżnienia się i dla dobra powszechności. Nikt nie może wykręcić się oszukańczo od pracy i obowiązku, jak to

czynili ludzie w wieku zamętu, kiedy nikczemnicy i chciwcy żyli i nurzali się w zbytku kosztem bardziej lekkomyślnych lub szlachetniejszych osobników. Dlaczego on mówi, że grozi nam degeneracja? Wszak ta sprawa była już omawiana. Gnuśni, leniwi i źli wcale się tutaj nie rozplądają.

I dlaczegoż on nam grozi fantastycznymi najezdami z innych dzikich i barbarzyńskich światów? Przecież to my mamy możliwość otwierać drzwi na inne wszechświaty lub zamykać je — stosownie do chęci i potrzeby. Dlatego, że .wiemy. Możemy się na te światy przedostać — i zrobimy to, gdy osiągniemy odpowiednią technikę — ale oni nie będą w stanie przyjść do nas. Jest tylko jedna droga przełamania prętów w klatce życia: wiedza... Dziwny jest doprawdy umysł tego człowieka.

Ci Ziemianie znajdują się dopiero na początku ery nauki. Faktycznie znajdują się w tej fazie strachu i zakazów, która w rozwoju Utopii nastąpiła przed okresem ufności i zrozumienia. Z tej fazy własny nasz świat wyrwał się w ciągu ostatniej epoki zamętu. Umysły tych Ziemian przepojone są zakazami i strachami i chociaż świta im już w głowach, że mogliby może opanować swój wszechświat, ta myśl wydaje im się jeszcze zbyt przerażająca. Odwracają od niej umysły. Pragną w dalszym ciągu, tak samo jak ich ojcowie, trwać w przeświadczeniu, że wszechświat jest lepiej urządzony przez przychylnie im moce, niż potrafiliby to uczynić sami, gdyż w tym wypadku mogą oddawać się swobodnie swoim własnym indywidualnym gwałtownym impulsikom. „Pozostawmy bieg rzeczy Bogu — krzyczą — albo pozostawmy go współzawodnictwu.”

— Naszym ulubionym hasłem była ewolucja — rzekł głęboko zainteresowany pan Barnstaple.

— To zupełnie wszystko jedno: Bóg czy ewolucja, czy jak tam wolicie — dopóki rozumiecie przez te słowa potęgę górującą nad wami i będącą dla was usprawiedliwieniem uchylania się od obowiązku. Utopia mówi: „Nie pozostawiajcie rzeczy samym sobie. Zawładnijcie nimi!” Ale ci Ziemianie nie nauczyli się jeszcze patrzeć na nagą, nie udrapowaną rzeczywistość. Ten człowiek w białych płóciennych kajdanach naokoło szyi boi się nawet patrzeć na mężczyzn i kobiety w ich nagiej prawdzie. Widok zwykłego ludzkiego ciała podnieca go w odrażający sposób. Tamten ze szklaną soczewką w lewym oku usiłuje wierzyć, że poza pozorami rzeczy istnieje mądra stara matka natura, utrzymująca równowagę. Doprawdy, fantastyczne było to, co opowiedział o równowadze natury. Czyż nie widzi, czyż nie patrzy głębiej przez swoje dwoje oczu i jedną soczewkę, żeby wygłaszać takie nonsensy? Ten człowiek, który przemawiał ostatnio z takim przejęciem, myśli, że stara czarownica natura jest dla nas nieograniczonym źródłem woli i energii — o ile poddamy się jej kaprysom i okrucieństwom i będziemy naśladować jej najdziksze nastroje, o ile potrafimy, jak należy, rozpychać się, zabijać, rabować i krzywdzić jedni drugich... Głosi on również doktrynę starego fatalizmu i wierzy, że to jest zgodne z wiedzą...

Ci Ziemianie nie mają jeszcze odwagi spojrzeć prosto w twarz naszej matce naturze i pojąć, czym ona jest w rzeczywistości. Na dnie ich umysłów czai się wciąż pragnienie zdania się na jej łaskę i niełaskę. Nie widzą, że jest ona ślepa i pozbawiona celowości, tylko nasza wola i oczy nie chcą tego uznać. Nie jest przerażająca — jest okropna. Nic sobie nie robi z naszych kryteriów i w ogóle z żadnych kryteriów doskonałości. Stworzyła

nas przypadkiem. Wszystkie jej dzieci są bastardami — przychodzącymi na świat wbrew jej woli. Kocha je lub zaniedbuje, pieści lub głodzi i torturuje bez powodu, bez uzasadnienia. O nic się nie troszczy, wszystko lekceważy. Wznosi nas na wyżyny potęgi i inteligencji, to znów zniża do poziomu nędznej bezsilności królika lub lepkiej, białej oślizgłości tysiąca swych pasożytniczych tworów. Musi w niej tkwić i dobro, gdyż jej dziełem jest wszystko dobro, które w nas jest — ale jest ona również źródłem — niewyczerpanym źródłem zła. Czyż wy, Ziemianie, nie widzicie, nie dostrzegacie okrucieństwa, brudu, szaleńczej, haniebnej niesprawiedliwości wielu jej poczyńań? — Uf! To gorsze niż „natury krwawe kły i szpony” — zamruczał pan Freddy Mush. — To zupełnie jasne — dumiał Urthred. — Trzeba się tylko odważyć spojrzeć w oczy prawdzie.

Połowa żyjących na naszej planecie gatunków, co mówię, dużo więcej niż połowa były to kreatury szkodliwe lub odrażające, bezsensowne, nędzne, nieszczęśliwe, trapione skomplikowanymi chorobami, beznadziejnie źle przystosowane do stale zmieniających się warunków środowiska. Tak było, gdyśmy po raz pierwszy wzięli w karby tę starą czarownicę, naszą matkę—naturę. Po całych stuleciach walki złamaliśmy jej najgorsze nawyczki, wymyliśmy ją, wyczesaliśmy i nauczyliśmy szanować i troszczyć się o ostatni produkt jej swawolnego życia, ostatnie jej dziecko — człowieka. Wraz z człowiekiem zjawilo się w naszym wszechświecie logos, słowo, i wola, po to, ‘by ten wszechświat obserwować i bać się go, by się go nauczyć i przestać się lękać, by go zrozumieć, przeniknąć i opanować. Tak, że my, Utopianie, nie jesteśmy już bitymi i głodzonymi dziećmi natury, ale jej wolnymi, dorastającymi synami. Objęliśmy zarząd nad majątkiem starej jejmości. Z każdym dniem uczymy się skuteczniej panować nad naszą małą planetą. Z każdym dniem myśli nasze wydzierają się śmieiej ku gwiazdom, będącym naszym dziedzictwem. I ku otchłaniom zagwiezdnym i podgwiezdnym.

— Dosięgliście gwiazd? — wykrzyknął pan Barnstaple.

— Nie jeszcze. Nawet nie skomunikowaliśmy się jeszcze z innymi planetami. Ale nie ulega wątpliwości, że zbliża się czas, kiedy te ogromne przestrzenie przestaną być nieprzezwyiężalną przeszkodą...

Urwał.

— Wielu z nas będzie musiało rzucić się w przestrzenne otchłanie... I nigdy nie powrócić... Oddać życie... I w te nowe przestrzenie — nieprzeliczone zastępy dzielnych ludzi...

Urthred zwrócił się do pana Catskilla:

— Twoje szczerze wyrażone poglądy szczególnie nas dzisiaj zainteresowały. Pomagasz nam zrozumieć przeszłość naszego własnego świata. Pomagasz nam w rozstrzygnięciu naglącego problemu, który ci niebawem wyjaśnimy. W naszej starożytnej literaturze sprzed dwóch i trzech tysięcy lat znajdujemy wyrażone te same myśli, to samo propagowanie samolubnej przemocy jako cnoty. Ale nawet wtedy inteligentni ludzie orientowali się w tej sprawie, jak należy, i ty sam mógłbyś to pojąć, gdybyś się naumyślnie nie upierał przy fałszywych poglądach. Doprawdy, z twojego sposobu bycia i mówienia łatwo jest wywnioskować, że jesteś w swoich sądach niesłychanie uparty. Musisz zdać sobie sprawę, że nie jesteś wcale piękny — jeśli chodzi o powierzchowność

— i prawdopodobnie twoje postępy i upodobania również nie są pociągające. Ale masz nadmiar sił życiowych, i to tłumaczy, dlaczego uciekasz się do podniet ryzyka i wybiegów i myślisz, że najlepszą rzeczą w życiu jest poczucie konfliktu i zwycięstwa. W ekonomicznym bezładzie takiego świata jak wasz jest do wykonania ogrom nieznośnie ciężkiej pracy, tak niemiłej, że każdy człowiek obdarzony żywotnością stara się wykręcać od niej, o ile tylko może, i domaga się zwolnienia z trudów z tytułu swej godności, dzielności czy pomyślności swego losu. Niewątpliwie, ludzie twego świata z łatwością przekonywają siebie samych, że są w tym najzupełniej usprawiedliwieni, i ty też jesteś ofiarą tego przeświadczenia. Żyjesz w świecie klas. Twój źle wyszkolony mózg nie musiał się trudzić wynajdywaniem usprawiedliwień; klasa, w której się urodziłeś, podała ci je gotowe.

Sytuacja jest taka, że czerpiesz bez skrępowań najlepsze rzeczy z życia i igrasz z nim przeważnie kosztem innych ludzi. Umysł twój został urobiony przez różne okoliczności w ten sposób, że nie potrafi wyobrazić sobie możliwości ludzkiego bytowania jednocześnie szczęśliwego, pełnego i opartego na dyscyplinie i umiarze. Przez całe życie zwalczałeś tę koncepcję, tak jakby była twoim osobistym nieprzyjacielem. I to jest twój osobisty nieprzyjaciel, bo potępia twój sposób życia i... ciebie.

Teraz opierasz się w dalszym ciągu, pomimo że zostałeś skonfrontowany z wizją życia uporządkowanego i uszlachetnionego. Opierasz się z przerażenia. Dowodzisz, że nasz świat jest nieromantyczny, dekadentki, bezsilny i słabowity. No, a co się tyczy siły fizycznej, spróbuj walczyć z tym człowiekiem, który siedzi obok ciebie.

Pan Catskill spojrział na wyciągniętą rękę młodzieńca i potrząsnął znacząco głową.

— Mów pan dalej — rzekł.

— Jednak, kiedy ci mówię, że ani nasza wola, ani nasze ciała nie są tak słabe jak wasze, umysł twój opiera mi się uporczywie. Nie chcesz uwierzyć. Jeżeli przez chwilę dasz się porwać prawdzie, to potem cofasz się z powrotem trwożnie za osłonę konwencjonalizmów, które strzegą twej godności. Tylko jeden z was uznaje nasz świat, i to raczej dlatego, że jest znużony swoim własnym światem, niż aby był spragniony naszego. Przypuszczam, że tak być musi. Wasze umysły są typowe dla wieku zamętu, przyuczone do konfliktów, przywykłe do niepewności i tajemnego egoizmu.

Natura i społeczeństwo wasze nauczyły was żyć w ten sposób, i tak żyć musicie, póki nie pomrzecie. Dla odrobienia tych nauk potrzeba będzie dziesięciu tysięcy pokoleń i trzech tysięcy lat powolnych prze—kształceń metod wychowawczych.

Mamy do rozwiązania kłopotliwe zagadnienie, co z wami począć? Postaramy się ze wszystkich sił traktować was lojalnie i po przyjacielsku, jeżeli tylko będziecie szanować nasze prawa i obyczaje.

Wiemy wszakże, że przyjdzie to wam z wielką trudnością. Sami nie zdajecie sobie dotąd sprawy, jak wam to utrudniają wasze przyzwyczajenia i uprzedzenia. Jak dotąd zachowywaliście się właściwie i rozsądnie, jeżeli nie w myślach — to przynajmniej w czynie. Ale dzisiaj mieliśmy jeszcze inne dużo tragiczniejsze doświadczenie z Ziemią. Wasze słowa o dzikich, barbarzyńskich światach, atakujących naszą planetę, znalazły dziś groteskową paralelę w rzeczywistości. Prawda. W ziemskich

ludziach jest coś zacieklego, szczurzego i niebezpiecznego. Nie jesteście jedynymi Ziemianami, jacy wdarli się do Utopii przez uchyloną na moment bramę. Są inni.

— Naturalnie! — rzekł pan Barnstaple. — Mogłem się być tego domyślić! Ta trzecia partia!

— Na Utopii znajduje się jeszcze jedna dziwaczna lokomotywa, taka jak wasze.

— Szare auto! — rzekł pan Barnstaple do pana Burleigha. — Jechało przed wami, nie dzieliło was nawet sto jardów odległości.

— Ścigało się z nami od Hounslow — zauważył szofer Burleigha — Diabelska maszyna. Burleigh zwrócił się teraz do pana Freddy Musha.

— Pan zdaje się kogoś z nich poznać?

— Lorda Barralongę, proszę pana, jestem prawie pewny, że to był on, i wydaje mi się, że pannę Greetę Grey.

— Byli tam jeszcze dwaj mężczyźni — rzekł pan Barnstaple.

— To komplikuje sprawę — odrzekł pan Burleigh.

— Już skomplikowało — odezwał się Urthred. — Zabili tu człowieka.

— Utopianina?

— Tamci ludzie — jest ich pięcioro — których, jak się zdaje, znacie, zjawili się w Utopii tuż przed wami, tuż przed waszymi wehikułami, ale zamiast stanąć, znaleźli się na nieznanym drodze, tak, jak wyście uczynili, zwiększyli jeszcze szybkość, i to w bardzo znacznym stopniu. Tak to przynajmniej wyglądało. Minęli kilku mężczyzn i kilka kobiet i machali do nich w dziwaczny sposób rękami, a nadto narobili obrzydliwego hałasu na instrumencie, specjalnie do tego przeznaczonym. Dalej spotkali srebrnego lamparta, przejechali go i pozostawili na drodze z pogruchotanym grzbietem. Nie przyszło im nawet do głowy zobaczyć, co się z nim stało. Młody człowiek, nazwiskiem Złocisty, wyszedł na środek szosy i zażądał, aby się zatrzymali, ale ich maszyna jest zbudowana w tak głupi, skomplikowany i fantastyczny sposób, że nie można jej od razu zahamować. Nie jest mianowicie poruszana za pomocą prostego mechanizmu, łatwego do skontrolowania, ale posiada bardzo skomplikowany wewnętrzny system złożony z kółek zębatach, osadzonych na osi tylnych kół auta, a ponadto masę różnych niezręcznych przyrządów do zatrzymywania maszyny za pomocą tarcia w pewnych punktach. Pozornie można gnać z największą szybkością, a jednocześnie zahamować koła, żeby przestały się obracać. Kiedy ten młody człowiek znalazł się przed nimi, nie byli już w stanie zatrzymać. Może i próbowali to zrobić. Mówią, że próbowali. Ich maszyna skręciła gwałtownie, a on dostał się pod koła.

— I został zabity?

— Na miejscu. Jego ciało uległo straszliwym obrażeniom... Ale oni nie zatrzymali się nawet wtedy. Zwolnili, zrobili pośpieszną radę, lecz widząc nadbiegających ludzi, powiększyli szybkość i uciekli. Zdaje się, że ogarnął ich strach, paniczny strach przed odpowiedzialnością i karą. Trudno zresztą pojąć, co nimi powodowało. Faktem jest, że pomknęli przed siebie. Gnali tak przez naszą krainę przez kilka godzin. Niebawem wysłano jeden aeroplan, by śledził, którądy jadą, a drugi — przodem — dla usuwania im z drogi wszelkich przeszkód. Było to bardzo ciężkie zadanie, bo ani nasi ludzie, ani nasze zwierzęta nie znają się na takich wehikułach — ani też nie są przyzwyczajeni do

takiego zachowania. Po południu wjechali w góry, i najwidoczniej nasze drogi okazały się za gładkie i za trudne dla ich maszyny. Wyprawiła straszliwe, niezwykle hałasy, jakby zgrzytając zębami, i ziała niebieskim oparem o wstrętnym zapachu; na jednym zakręcie, gdzie powinna się była zatrzymać, poślizgnęła się bokiem, stoczyła ze skały i runęła w dół z wysokości może podwójnego wzrostu człowieka w sam środek strumienia.

— I oni się... zabili? — zapytał pan Burleigh, jak się zdawało Barnstaple'owi, z odcieniem ożywienia w głosie.

— Nikt się nie zabił.

— Och! — rzekł Burleigh — więc co się stało?

— Jeden z mężczyzn ma złamaną rękę, a drugi — poważną ranę twarzy. Dwaj pozostali i kobieta wyszli bez szwanku, tyle tylko, że doznali wstrząsu i najedli się strachu. Kiedy nasi ludzie podeszli do nich, czterej mężczyźni podnieśli ręce nad głowami. Obawiali się pewnie, że zostaną na miejscu zabici, i uczynili to na znak, że proszą o miłosierdzie.

— I coście z nimi zrobili?

— Sprowadzimy ich tutaj. Uważamy, że lepiej będzie, jak wszystkich Ziemiaków zgromadzimy w jednym miejscu. W obecnej chwili nie wiemy jeszcze, co z wami zrobimy. Chcemy się od was czegoś nauczyć i chcemy być z wami w przyjacielskich stosunkach, jeżeli to leży w zakresie możliwości. Proponowano, żeby was z powrotem odesłać na ziemię. Ostatecznie może to będzie najlepszym wyjściem, ale w danej chwili nie jesteśmy jeszcze w stanie tego dokonać: Arden i Greenlake, robiąc doświadczenie nad obróceniem części naszej materii w kierunku wymiaru F, przypuszczali, że obrót ten będzie miał miejsce w pustej przestrzeni. Fakt, że wyście się właśnie znaleźli w polu ich eksperymentu i zostaliście przetrzuceni do naszego wszechświata, jest najdziwniejszym zdarzeniem, jakie zaszło w Utopii w ciągu ostatniego tysiąca lat.

Rozdział siódmy

Przybycie lorda Barralongi i kompanii jego

|

Konferencja urwała się na powyższym oznajmieniu, ale lord Barralonga i jego kompania zostali przywiezieni do Parku Konferencyjnego dopiero długi czas po zapadnięciu zmroku. Nie przedsięwzięto żadnych kroków celem ograniczenia lub kontrolowania ruchu Ziemiaków. Pan Burleigh poszedł na spacer nad jezioro w towarzystwie lady Stelli i psychologa nazwiskiem Lew, przy czym wywiązała się między nimi ożywiona rozmowa. Szofer tegoż magnata włóczył się z dość smętną miną w niedalekiej odległości od swego pana, gotowy na zawołanie. Pan Rupert Catskill ujął ramię pana Musha, jakby chcąc mu udzielić wskazówek, i razem podążyli w nieokreślonym kierunku.

Pan Barnstaple pragnął przespacerować się samotnie dla przemyślenia i uświadomienia sobie raz jeszcze zdumiewającej rzeczywistości, jaka się przed nim roztoczyła od kilku godzin, oraz dla oswojenia się z cudownością tego pięknego świata, jakże pięknego i tajemniczego w wieczornym zmierzchu ze swymi drzewami i kwiatami, rozplywającymi się w półcieniach i półświatłach, z czystymi, wdzięcznymi zarysami gmachów, zacierającymi się w mrokach nadciągającej nocy. Ziemość jego towarzyszy stanęła między nim i tym światem, który w innym razie — czuł to dobrze — byłby go przyjął jak

swego i wchłonał całkowicie. Znajdował się na nim, ale tylko na nim, nie w nim i to w charakterze dziwnego i zbuntowanego wewnętrznie intruza. Pomimo to kochał go już, bał się go stracić i pragnął z całej duszy stać się jego częścią. Miał mętne, lecz bardzo silne uczucie, że gdyby tylko mógł odłączyć się od swoich towarzyszy, gdyby tylko mógł zrzucić z siebie swoje ziemskie odzienie i w ogóle wszystko, co znaczyło go piętnem ziemskości i skuwało z ziemią, to już przez sam ten fakt stałby się dzieckiem Utopii i pozbył się momentalnie tego dziwnego dręczącego uczucia pustki i obcości, zalewającej mu duszę. Stałby się nagle Utopianinem w rzeczywistości i z natury, i wtedy ziemia przemieniłaby się w niewiarygodny sen, który niebawem uleciałby nawet z jego pamięci. Jednakże przez czas jakiś obecność ojca Amertona, który spragniony był słuchacza, przeszkodziła mu oderwać się od ziemskich myśli i spraw. Ojciec Amerton przyczepił się do pana Barnstaple'a i zasypał go gradem pytań i komentarzy, co nadało tej utopijnej scenie charakter jakiejś wystawy w Earl's Court, którą by obaj zwiedzali i wspólnie krytykowali. Wszystko wydawało się ojcu Amertonowi tak prowizoryczne, tak wątpliwe i nierealne, iż pan Barnstaple czuł, że ojciec nie zdziwiłby się wcale, gdyby w krajobrazie zrobiła się nagle szpara, przez którą doleciałyby hałasy i szum stacji kolei żelaznej Earl's Court lub mignął fragment szablonej wieżycy gotyckiej Św. Barnaby na zachodniej stronie.

Początkowo ojciec Amerton zastanawiał się głównie nad tym, że nazajutrz mają z nim coś „zrobić” z powodu sceny, jaką on zrobił na konferencji.

— Co oni mogą ze mną zrobić? — pytał po raz czwarty.

— Słucham ojca — rzekł pan Barnstaple.

Za każdym razem, gdy Amerton zaczynał mówić, Barnstaple odpowiadał: „Słucham ojca”

— celem zaznaczenia, że przerwano mu bieg myśli, ale za każdym razem, gdy Barnstaple powiedział: „Słucham ojca”, Amerton robił uwagę, że powinien on „zasięgnąć porady lekarskiej w sprawie swego słuchu”, i ciągnął dalej swoje roztrząsanie.

— Co oni mogą ze mną zrobić? — pytał pana Barnstaple'a i otaczających ciemności. — Co oni mogą ze mną zrobić?

— Och! Zastosują psychoanalizę czy coś w tym rodzaju — odparł pan Barnstaple.

— Do takiej zabawy potrzebni są dwaj partnerzy — rzekł ojciec Amerton, jak się zdawało panu Barnstaple'owi, z lekkim odcieniem ulgi w głosie. — O cokolwiek mnie zapytają, cokolwiek mi podsuną, nie załamie się, lecz dam świadectwo prawdzie.

— Nie ulega wątpliwości, że znajdą w ojcu twarde orzechy do zgryzienia — rzekł z goryczą pan Barnstaple.

Przez czas jakiś przechadzali się w milczeniu między wyniosłymi krzewami o słodkiej woni i białym kwieciu. Niekiedy pan Barnstaple przyspieszał lub zwalniał kroku z myślą powiększenia odległości, dzielącej go od ojca Amertona, lecz ten ostatni zupełnie automatycznie stosował się do jego ruchów.

— Promiscuité — zaczął po pewnej chwili. — Jak inaczej to określić?

— Doprawdy nie wiem, o co ojcu chodzi — rzekł Barnstaple.

— Czyż mogłem użyć innego wyrazu jak promiscuité? Czegóż innego można się spodziewać po ludziach, uwijających się po świecie tak zaskakująco całkiem nie

odzianych, jak nie małpiej moralności? Przyznają przecież, że nasza instytucja małżeństwa jest im faktycznie nie znana!

— To jest inny świat — odrzucił z irytacją pan Barnstaple. — Zupełnie inny świat.

— Prawa moralności są obowiązujące dla każdego wyobraźnego świata.

— Ale chyba nie dla świata, w którym ludzie rozmnażaliby się za pomocą dzielenia komórek i nie istniałyby dwie płci?

— Moralność byłaby prostsza, ale byłaby to ta sama moralność.

Za chwilę Barnstaple powtórzył znów swoje: „słucham ojca”.

— Powiadam, że ten świat jest zgubiony.

— Nie wygląda na zgubiony — zauważył sympatyk Utopii.

— Odrzucił zbawienie i zapomniał o nim.

Pan Barnstaple wsadził ręce w kieszenie i zaczął cicho wygwizdywać barkarolę z Opowieści Hoffmana. Czyż ojciec Amerton nigdy go nie opuści? Czyż nie ma sposobu, żeby się go pozbyć? Na pokazach w Eari's Court znajdowały się zawsze druciane kosze na niepotrzebne papiery, niedopałki papierosów i w ogóle wszelkiego rodzaju śmieci.

Gdyby tak można nagłym pchnięciem wrzucić ojca Amertona do takiej kryjówki!

— Zostało im ofiarowane zbawienie, ale oni je odtrącili i prawie o nim zapomnieli. I to jest właśnie powód, dla którego Opatrzność nas tutaj zesłała. Zostaliśmy im zesłani, by przypomnieć im o tej jednej istotnej rzeczy, o tej jednej zapomnianej rzeczy. Raz jeszcze przyjdzie nam wznieść zbawczy symbol, tak jak go wzniósł Mojżesz na pustyni. Nielatwe to posłannictwo. Zostaliśmy przysłani do tego piekła zmysłowego materializmu...

— Och, Panie Boże! — rzekł Barnstaple i zaczął znów gwizdać barkarolę... — Słucham ojca, przepraszam — wykrzyknął niebawem.

— Gdzie jest Gwiazda Polarna? Co się stało z Wielką Niedźwiedzicą?

Pan Barnstaple spojrzał na niebo. Nie myślał przedtem o gwiazdach i spojrzał teraz w górę z uczuciem, że w tym nowym wszechświecie ujrzy jak najdziwniejsze konstelacje. Jednakże tak samo, jak życie i wielkość planety, na której się znaleźli, były analogiczne do ziemskich i gwiazdziste sklepienie nieba Utopii uderzało siostrzanym podobieństwem do naszego. I tak samo, jak świat Utopii nie był analogiczny do ziemskiego, również i jego konstelacje wydawały się nie całkiem poprawnie rozmieszczone. Nasz gość pomyślał, że Orion szerzej się rozkraczył, a na jednym jego rogu jaśniała wielka, nieznana mgławica, i — to prawda — Wielka Niedźwiedzica rozpląszczyła się, a jej najdalej wysunięte gwiazdy zwrócone były ku wielkiej próżni.

— Ich Gwiazda Polarna przepadła, a Wielka Niedźwiedzica wykrzywiła się. To jest symboliczne — mówił ojciec Amerton.

Pan Barnstaple poczuł, że zbiera się na natychmiastową burzę elokwencji ze strony czcigodnego towarzysza. Poczuł również, że musi ją zażegnać za wszelką cenę.

II

Na ziemi pan Barnstaple był bierną ofiarą wszelkiego rodzaju natrętów i nudziarzy. Z natury delikatny i wrażliwy, odznaczał się wyrozumiałością i współczuciem w odniesieniu do ludzi, których ograniczoność i płytkość objawiała się na zewnątrz nachalnością i brakiem taktu. Tutaj wszakże uderzyło mu już do głowy wolne powietrze Utopii i

wyzwolilo w nim inicjatywę, krępowaną dotąd przez nadmierne względy wobec drugich. Miał dość ojca Amertona. Koniecznym było pozbyć się go i nasz Ziemianin przystąpił do zrealizowania swego zamiaru z bezpośredniością i prostotą, która jego samego przejęła zdumieniem.

— Ojcie Amertonie — rzekł. — Chcę się przed ojcem wypowiadać.

— Ach! — wykrzyknął duchowny. — Proszę, jestem do usług.

— Chodził ojciec za mną krok w krok i krzyczał mi w uszy, aż mnie porwała gwałtowna chęć zamordowania ojca.

— Jeżeli to, co powiedziałem, trafiło panu do przekonania...

— Wcale mi nie trafiło do przekonania. To wszystko brzmiało w moich uszach jak męczące, głupie, ogłuszające jazgotanie i nużyło mnie niewymownie. Przeszkadzało mi studiować otaczające mnie cuda. Doskonale rozumiem, co ojciec miał na myśli mówiąc, że nie ma tu Gwiazdy Polarnej i że to jest symboliczne. Ocenilem ten symbol, i doprawdy, jest on bardzo wyraźny, lecz naciągnięty i bardzo nieścisły. Ale ojciec jest jednym z tych upartych duchów, które wierzą wbrew wszelkim świadectwom, że wieczne pagórki są na zawsze wieczne, a stałe gwiazdy stałe na amen. Chce, żeby ojciec zrozumiał, że absolutnie nie sympatyzuje z jego bzdurstwami. Ojciec zdaje się wcielać w swojej osobie wszystko to, co w katolickiej doktrynie jest błędne, brzydkie i niemożliwe. Zgadzam się z Utopia—nami, że mózg ojca jest nie w porządku, jeśli chodzi o seksualną stronę życia. Według wszelkiego prawdopodobieństwa został on zbakierowany we wczesnej młodości. To, co ojciec mówi i insynuuje w kwestii seksualnego życia Utopii, jest okropne i obelżywe. Tak samo wybuchają we mnie wrogie uczucia gniewu i wstrętu, kiedy ojciec mówi o religii. Czyni ją ojciec odpychającą tak samo jak miłość. Ojciec jest plugawym księdzem! To, co ojciec nazywa chrystianizmem, jest ciemnym, brzydkim przesądem, prostym usprawiedliwieniem złości i prześladowań. Jest obrazą Chrystusa. Jeżeli ojciec jest chrześcijaninem, to ja oświadczam gorąco, że nim nie jestem. Ale chrystianizm można rozumieć w innym duchu niż ten, który ojciec przedstawia. I w pewnym, sensie ta Utopia jest chrześcijańska w najgłębszym znaczeniu tego wyrazu. Ojciec jednak tego nie pojmie. Znaleźliśmy się w tym wspaniałym świecie, który w porównaniu do naszego jest kryształową czarą postawioną obok starej blaszanki, i ojciec ma bezwstydną czelność powiedzieć, że zostaliśmy tutaj zesłani jako misjonarze, żeby tych ludzi nauczać Bóg wie czego!

— Bóg wie czego — rzekł ojciec Amerton, trochę oszołomiony i zaskoczony, ale szybko odzyskujący tupet.

— Och! — krzyknął pan Barnstaple i na moment oniemiał.

— Proszę mnie posłuchać, przyjacielu — rzekł ojciec Amerton chwytając go za rękaw.

— Nigdy w życiu! — wrzasnął odskakując Barnstaple. — Proszę popatrzeć! Tam na końcu alei nad brzegiem jeziora widać czarne sylwetki. To pan Burleigh, pan Mush i lady Stella. Oni ojca tu przywieźli. Oni należą do kompanii ojca i ojciec do nich należy. Gdyby towarzystwo ojca nie było dla nich pożądane, nie znalazłby się ojciec w ich aucie. Proszę wracać do nich. Ja mam tego dosyć, dosyć, dosyć. Proszę się ode mnie odzepić. To jest ścieżka ojca. Ta, obok małej budowli — moja. Proszę nie iść za mną, bo wezmę się do

rękoczynów i sprowadzę Utopian, żeby rozstrzygnęli nasz spór... Daruj mi otwartość, ojcie Amertonie, i wynoś się ode mnie, och, wynoś, wynoś...

Pan Barnstaple odwrócił się i widząc, że ojciec Amerton stoi niezdecydowany na skrzyżowaniu ścieżek, wziął nogi za pas i uciekł.

Pognał ścieżką, ocienioną wysokim żywopłotem, skręcił na prawo, potem na lewo, przebiegł przez wysoki most koło kaskady, która prysnęła mu na twarz pianą, potracił dwie pary kochanków, szepczących słodko w ciemnościach, przeciął ukośnie inkrustowany kwiatami trawnik i w końcu rzucił się bez tchu jak długi na jakieś stopnie. Schody te prowadziły na taras, z którego roztaczał się widok na góry i jezioro, a który, o ile się można było zorientować w mroku wieczora, przyozdobiony był masywnymi kamiennymi figurami ludzi i zwierząt, siedzącymi lub przyczajonymi w pełnych oczekiwania postawach.

— Wy, miłosierne nieba! — jęknął pan Barnstaple. — Nareszcie jestem sam.

Długo, długo siedział na stopniach z oczami utkwionymi w otaczającą go przyrodę, rozkoszując się świadomością, że zdobył przynajmniej tę krótką chwilę sam na sam z Utopią bez obecności ziemskich świadków.

III

Nie mógł nazwać tego cudownego świata światem swoich marzeń, gdyż nie ośmielił się nigdy marzyć o świecie, tak ściśle dopasowanym do pragnień i przeczuć swego serca. Jednakże był to z pewnością ów świat lub rodzony jego brat, ukryty głęboko w myślach i marzeniach tysięcy normalnych, udręczonych mężczyzn i kobiet, mieszkańców świata bezładu, z którego Barnstaple pochodził. Nie był to świat pustego spokoju, złotej dekadencji i lenistwa, jak to sobie próbował wyobrazić pan Catskill. Pan Barnstaple uświadomił sobie, że był to świat czynny, wojujący, zwycięski i zaborczy, zwyciężający ślepy opór materii i energii, martwe obszary pustej przestrzeni i wszystkie antagonistyczne tajemnice bytu.

W Utopii przeszłości, uginającej się pod brzemieniem powierzchniowych „działań” takich mężów stanu, jak Burleigh i Catskill, i współzawodnictwa handlarzy i spekulantów, tak nikczemnych i wulgarnych w każdym calu jak ich ziemscy koledzy, praca spokojnych i cierpliwych myślicieli i nauczycieli rozwijała się i wydawała owoce. Zostały wtedy założone podwaliny obecnego stanu rzeczy: pogodnej intensywności działania. Jakże niewielu z tych pionierów odczuło coś więcej niż przejściowe błyski tego czystego uroku świata, uroku stworzonego przez ich ofiarne życia.

Lecz nawet wśród nienawiści, bezładu i niedoli dni zamętu musiała istnieć zapowiedź doskonałych i wspaniałych możliwości życia. Ponad najbardziej cuchnącymi zaułkami wschodziło i zachodziło słońce, apelując do ludzkiej imaginacji, a ze szczytów łańcuchów górskich, skroś wielkich dolin, ze skał i zboczy, ze zmiennej i strasznej wspaniałości morza musiały emanować przebłyski dających się pojąć i osiągnąć cudów bytu. Każdy płatek kwiatu, każdy pławiący się w słońcu listek, wszelka żywotność młodych istot, zwycięskie błyski ludzkiego umysłu znajdujące swój szczytowy wyraz w sztuce, wszystko to musiało być materiałem dla twórczej nadziei i podjętą do wysiłków. I wreszcie, w końcu — teraz — ten świat!

Pan Barnstaple podniósł w górę ręce, jak człowiek oddający cześć bogom, ku mnogim rojom przyjacielskich gwiazd, jaśniejących na niebie. — Widziałem — wyszeptał. — Widziałem. Drobne światełka i miękkie lśnienia iluminacji przeblyskiwały to tu, to tam ponad tym ogromnym parkiem, złożonym z podobnych do kwiatów budowli i ogrodów, schodzących pochyło ku jezioru. W górze brzęczał, zataczając kółka, podobny do gwiazdy aeroplan.

Wysmukła dziewczyna zeszła po stopniach i na widok gościa przystanąła.

— Czy jesteś jednym z Ziemiaków? — padło pytanie, i pan Barnstaple ujrzał przelotny błysk bransolety, opasującej jej ramię.

— Przybyłem tu dzisiaj — rzekł, podnosząc na nią oczy.

— Jesteś człowiekiem, który przyjechał sam w małej blaszanej maszynie z kołami, opasanymi gumowymi workami, wypełnionymi powietrzem. Maszyna jest bardzo zardzewiała od spodu i pomalowana na żółto. Oglądałam ją.

— To niezła maszynka — zauważył pan Barnstaple.

— Początkowo myśleliśmy, że przyjechałeś nią razem z księdzem.

— On nie jest wcale moim przyjacielem.

— Wiele lat temu, dawno już, i w Utopii byli tacy księża. Robili wiele złego ludowi.

— On przyjechał z tamtą kompanią — rzekł pan Barnstaple. — Nie uważam, co prawda, żeby się nadawał do wesołego spędzenia weekendu.

Usiadła na schodach o jakiś stopień wyżej od niego.

— To naprawdę cudowne, żeście do nas zjechali z waszego świata. Czy bardzo cię zdumiewa nasz świat? Przypuszczam, że wiele rzeczy, które mnie się wydają banalne dlatego, że się wśród nich urodziłam, musi ci się przedstawiać jako coś zadziwiającego.

— Musisz być bardzo młodziutka?

— Mam jedenaście lat. Uczę się historii wieków zamętu i dowiedziałam się, że wasz świat przeżywa właśnie wiek zamętu. To wygląda tak, jakbyś przyszedł do nas z przeszłości — z historii. Byłam na konferencji i przyglądałam się twojej twarzy. Ty kochasz nasz świat — a przynajmniej pociąga on ciebie bardziej niż twoich towarzyszy.

— Pragnąłbym przeżyć na nim resztę mego życia.

— Ciekawa jestem, czy by to było możliwe.

— Dlaczegoż by nie miało być możliwe? W każdym razie — łatwiejsze niż odesłanie mnie z powrotem. Nie będę nikomu przeszkadzał. Najwyżej przeżyłbym tutaj jakieś dwadzieścia — trzydzieści lat, nauczyłbym się wszystkiego, co bym mógł, i robiłbym wszystko, co by mi kazano.

— Ale czyż w twoim świecie nie masz żadnej pracy do dokonania?

Barnstaple nie odpowiedział. Zdawało się, że nawet nie usłyszał pytania. Dziewczyna przerwała znów milczenie:

— Mówią, że Utopianie w młodocianym wieku, zanim ich umysły i charakter zostaną zupełnie ukształtowane i w ogóle przed dojściem do dojrzałości, są ogromnie podobni do mężczyzn i kobiet z wieku zamętu. Mówią, że jesteśmy w tym okresie bardziej egoistyczni, że życie przedstawia nam się jeszcze jako nieznana kraina i że wskutek tego jesteśmy nastroszeni awanturniczo i romantycznie. Przypuszczam, że ja jestem jeszcze w tej fazie — egoizmu i awanturniczości. I ciągle mi się zdaje, że pomimo wielu

strasznych i przerażających rzeczy w tej naszej przeszłości, tak bardzo podobnej do twojej terażniejszości, musiało być wiele rzeczy niesłychanie podniecających i godnych posiadania i przeżycia. Cóż to musiało być np. za wspaniałe uczucie być generałem i wchodzić do zdobytego miasta! Albo księciem, którego koronują! Albo posiadać wielkie bogactwa i zdumiewać lud potęgą i szczodrobliwością! Albo męczennikiem, prowadzonym na śmierć za jakąś wzniosłą, niezrozumiałą dla innych sprawę?

— Te rzeczy wyglądają lepiej w opowiadaniach i historii niż w rzeczywistości — rzekł pan Barnstaple po chwili zastanowienia. — Czy słyszałaś przemowę pana Ruperta Catskilla, tego z Ziemiań, który przemawiał ostatni?

— On myśli romantycznie, choć wcale na romantycznego nie wygląda.

— A żył niesłychanie romantycznie. Bił się dzielnie na wojnach. Został wzięty do niewoli i uciekł z niej cudownym sposobem. Jego gwałtowna wyobraźnia spowodowała śmierć tysięcy ludzi. Wkrótce ujrzymy drugiego romantycznego awanturnika w osobie lorda Barralongi, którego tu macie sprowadzić. Jest to człowiek bajecznie bogaty — usiłuje zdumiewać lud swoimi bogactwami tak, jak się to tobie marzyło.

— Czy mu się to udaje?

— Romans to nie rzeczywistość — odrzekł pan Barnstaple. — Jest on jednym z licznych u nas rozleniwionych, demoralizujących ludzi bogaczy, którzy są udręczeniem dla samych siebie i nieznośnym ciężarem dla reszty świata. Ich pragnieniem jest żyć ostentacyjnie, w ordynarny sposób. Pan Barralonga był pomocnikiem fotografa i kawałkiem aktora, kiedy na naszym świecie dokonano wynalazku kinematografu. Wtedy stał się wielkim przedsiębiorcą w branży filmowej, po części dzięki zbiegowi okoliczności, a po części skutkiem niesumiennego eksploatowania różnych wynalazców. Potem zaczął spekulować na przewozach i na handlu mrożonym mięsem, sprowadzanym z wielkich odległości. Dzięki różnym kombinacjom sprawił, że żywność stała się dla niektórych niedostępna, a dla wielu — niesłychanie kosztowna, i tym sposobem zdobył wielkie bogactwa, bo w naszym świecie ludzie bogacą się, raczej ujmując innym niż służąc. W końcu stał się haniebnie bogaty i dochrapał się tytułu lorda na skutek starań niektórych naszych polityków, którym wyświadczył w swoim czasie ważne usługi. Czy ty te rzeczy rozumiesz? Czy wasz wiek zamętu był taki sam jak i nasz? Nie wiedziałaś, że to były takie brzydkie czasy? Daruj mi, jeżeli cię rozczarowuję do wieku zamętu i jego romantycznych możliwości, ale tylko co wyszedłem ze świata kurzawy, bezładu, hałasu, braku dyscypliny, ograniczeń, okrucieństw, niedoli i udręczenia, od którego umiera nadzieja... Może, jeżeli cię mój świat pociąga, będziesz jeszcze miała okazję opuszczenia tej całej otaczającej cię harmonii i rzucenia się w nasz zamęt... To byłaby rzeczywiście przygoda... Kto wie, co może zająć między naszymi światami?... Obawiam się tylko, że nie będzie ci się u nas podobało. Nie możesz sobie wyobrazić, jaki nasz świat jest plugawy... Brud i choroby, oto, co idzie trop w trop za naszą romantycznością...

Zapadło milczenie. Starszy pan pograżył się w myślach, a dziewczynka siedziała i dziwiła się jemu i jego słowom.

Wreszcie przemówił ponownie.

— Czy chcesz, żebym ci powiedział, o czym myślałem, kiedyś się do mnie odezwała?

— O, tak!

— Twój świat jest ziszczeniem miliona pradawnych marzeń. Jest precudowny! Jest cudem, sięgającym do nieba. Serce mnie tylko boli, że nie mogę mieć tu ze sobą dwóch moich drogich przyjaciół i pokazać im całej wspaniałości Utopii. Dziwne doprawdy, jak mnie myśl o nich prześladowuje. Jeden z nich znajduje się już, niestety, poza granicami wszystkich światów, ale drugi bawi jeszcze na moim świecie. Ty, moja droga, uczysz się; przypuszczam, że cała młodzież twojego świata uczy się, lecz w naszym świecie studenci stanowią odrębną grupę społeczną. My trzej byliśmy razem szczęśliwi, bo byliśmy studentami i nie porwał nas jeszcze w swoje tryby młyn bezsensownych trudów i zabiegów. I byliśmy może nie mniej szczęśliwi przez to, żeśmy wspólnie cierpieli wielką biedę, a często i głód. Zwykliśmy rozprawiać i dysputować. W naszym studenckim towarzystwie dyskusyjnym roztrząsaliśmy przyczyny bezładu, panującego na naszym świecie, i sposoby zaradzenia złu. Czy za waszych wieków zamętu istniał też taki studencki świat, przymierający głodem, a płonący zapalem i nadzieją?

— Mów dalej — rzekła dziewczyna, pochłaniając oczyma jego mroczny profil. — W starych powieściach czytałam o takich głodnych studentach—marzycielach.

— My trzej zgodziliśmy się na jedno, że najwyższą potrzebą naszych czasów jest kształcenie i oświecanie mas. Zgodziliśmy się, że na tym polu moglibyśmy oddać największą usługę naszemu światu. Każdy wziął się do tego na swój sposób, ja wybrałem najmniej pożyteczny ze wszystkich. Trochęśmy się od siebie odbili. Oni wydawali wielki miesięcznik, w którym ogniskowała się działalność świata naukowego. Jeden z nich pracował w poważnej firmie wydawniczej, wydawał szkolne książki, prowadził pismo wychowawcze i był nadto inspektorem szkolnym. Był on zbyt bezinteresowny, by dbać o płacę i zyski, toteż nigdy nie doszedł do stopnia nawet średniej zamożności, choć firma ciągnęła wielkie zyski z jego pracy. Całe jego życie było jednym wielkim poświęceniem dla dobra nauki i nauczania; nigdy nie odpoczywał nawet przez miesiąc na rok. Kiedy żył jeszcze, niewiele ważyłem sobie jego trudy, ale po jego śmierci dowiedziałem się od nauczycieli szkół, do których przyjeżdżał na inspekcję, i od autorów, którym udzielał wskazówek, o niesłychanej doniosłości jego pracy, o jego wielkim, współczującym sercu i cierpliwości. Takie życia jak jego są fundamentem tej Utopii, na której zaczyna się rozwijać twoje miłe istnienie. Na takich właśnie fundamentach nasz ziemski świat zbuduje swoją Utopię. Lecz życie mojego przyjaciela dobiegło nagle kresu w taki sposób, że mi serce o mało nie pękło z bólu. Pracował za ciężko, bez wytchnienia w okresie przesileniowym, kiedy trudno mu było wziąć urlop. Jego system nerwowy nie wytrzymał napięcia i załamał się z katastrofalną szybkością. Dostał biedak ostrej melancholii i — umarł. Prawdą jest, och, jakąż prawdą, że stara natura nie zna ani sprawiedliwości, ani litości. Stało się to kilka tygodni temu. Tamten drugi stary przyjaciel, ja i jego żona, która pomagała mu niezmiernie w pracy — my troje byliśmy głównymi żałobnikami na pogrzebie tego bohatera. Dzisiaj to wspomnienie nasunęło mi się z nadzwyczajną żywością. Nie wiem, co wy tu robicie ze swoimi umarłymi, bo u nas na ziemi grzebie się ich po większej części w ziemi.

— U nas zostają spaleni.

— I u nas też wolnomyśliciele każą się po śmierci spalać. Nasz przyjaciel został spalony. Wzięliśmy udział w nabożeństwie, odprawionym podług rytuału naszej starożytnej religii, w którą przestaliśmy już wierzyć. Niebawem ujrzeliśmy, jak jego trumna, pokryta wieńcami kwiatów, prześliznęła się przez drzwiczki prowadzące do pieca krematorium i znikła nam z oczu, a z nią tyle naszej wspólnej młodości... Mój drugi ukochany, stary przyjaciel wybuchnął łkaniem. I ja również tłumiliem łzy, myśląc, że to dzielne, poświęcające się pracowite życie zakończyło się, jak się zdawało, w tak nędzny i jałowy sposób.

Książkę czytał długą, swarliwą rozprawę teologicznego Pisarza, niejakiego Pawła, pełną złych argumentów, Opartych na analogiach, i słabych twierdzeń. Pragnąłem, żeby w miejsce tych idei pomysłowego starożytnego filozofa wygłoszono przemowę o prawości i szlachetności naszego przyjaciela, o jego dumie, pracowitości i pogardzie dla kariery. Przez całe swoje życie pracował z bezgranicznym poświęceniem, by położyć podwaliny pod taki świat jak wasz, a przecież wątpię, czy miał kiedy wizję jaśniejszego, szlachetniejszego życia ludzkości, takiego, na jakie pracował on i jemu podobni — ach! wśród jakich trudów! — życia, którego nadejście w dalekiej przyszłości czynili oni pewnym i nieuniknionym. Żył wiarą. Za bardzo żył wiarą. W życiu jego za mało było słonecznych blasków. Gdybym mógł go tu mieć koło siebie i tego drugiego ukochanego przyjaciela, który tak gorzko po nim rozpaczał; gdybym mógł im odstąpić swoje miejsce tutaj, tak żeby mogli ujrzeć, jak ja to widzę, prawdziwą wielkość swoich istnień, odzwierciedloną w wielkich wynikach takich egzystencji, jakimi były ich egzystencje — wtedy, o, wtedy mógłbym się cieszyć Utopią... Czuję się tak, jakbym zagarnął oszczędności mego starego przyjaciela i wydał je na siebie...

Pan Barnstaple przypomniał sobie nagle o zbyt młodocianych latach słuchaczki.

— Daruj mi, moje dziecko, że się tak dałem ponieść uczuciom i wyobraźni, ale masz taki dobry głosik, że...

Dziewczynka w odpowiedzi schyliła się i miękkimi wargami musnęła jego wyciągniętą rękę. Nagle skoczyła na równe nogi.

— Spójrz na to światło — rzekła — między gwiazdami!

Pan Barnstaple podniósł się i stanął obok niej.

— To jest aeroplan, wiozący lorda Barralongę i jego towarzyszy. Lord Barralonga zabił dzisiaj człowieka! Czy to jest ogromny, silny człowiek — samowolny i wspaniały?

Pan Barnstaple, tknięty jakimś powątpiewaniem, spojrzał uważnie na słodką, wzniesioną w górę twarzyczkę.

— Nigdy go nie widziałem. Jest podobno dość młody, nieco łysy, bardzo niski i cierpi poważnie na wątrobę i nerki. To przeszkodziło mu wyładować energię na młodzieńcze zabawy, przyjemności i sporty i umożliwiło skoncentrowanie jej na nabywaniu własności. Tym tylko sposobem był w stanie kupić sobie tytuł, który tak podziałał na twoją wyobraźnię. Chodź ze mną, to go zobaczymy.

Dziewczynka stała nieruchomo. Spojrzała mu w oczy. Miała dopiero jedenaście lat i była tego wzrostu co on.

— Ale w przeszłości było romantyczne piękno?

— Tylko w młodych sercach. I umarło.

— Już go wcale nie ma?

— Jest go nieskończenie dużo i nastanie w przyszłości. Ty je poznasz.

IV

Przywiezienie lorda Barralongi i jego towarzyszy było najprzykrzejszym momentem cudownego dnia pana Barnstaple'a. Czuł się zmęczony i w niedorzeczny sposób zirytowany inwazją tych ludzi na Utopię.

Obie partie Ziemiaków spotkały się w jasno oświetlonym hallu w pobliżu trawnika, na którym wylądował aeroplan z Barralongą. Nowoprzybyli weszli zbitą gromadką, mrugając oczyma, znużeni podróżą i zmizerowani. Było oczywiste, że widok innych Ziemiaków napełnił ich uczuciem niezwyklej ulgi, gdyż dotąd nie zdołali się jeszcze otrząsnąć z dręczącego, zdumiewającego oszołomienia. Nie przeżyli bowiem niczego, dającego się porównać ze spokojną, przejrzystą dyskusją w pawilonie konferencyjnym. Znalezienie się w tym dziwnym świecie było dla nich dotąd niepojętą zagadką.

Lord Barralonga był właścicielem tej właśnie gnomiej twarzy, która wyrzała na pana Barnstaple'a z mijającego go na maidenheadzkiej szosie wielkiego szarego auta.

Czaszkę miał bardzo krótką i szeroką, podobna do płaskiego korka butelki. Wyglądał na zgrzanego i zmęczonego, był potargany i zmiętoszony jakby na skutek walki i jedno ramię miał na temblaku. Małe piwne oczka latały mu jak u złego łobuza, który dostał się w ręce policjanta. Tuż przy nim trzymał się niczym natrętny duszek mały szofer o wyglądzie dżokeja, którego lord nazywał: Ridley. Twarz Ridleya nosiła również wyraz ostrej determinacji człowieka znajdującego się w trudnej sytuacji i nie zamierzającego bynajmniej kapitulować. W katastrofie automobilowej pokaleczył sobie ucho i lewy policzek, które pooklejało mu plasterkami. Panna Greta Grey, jedyna kobieta w tym towarzystwie, była to piękna blondynka w białym flanelowym kostiumie. Dziwne okoliczności, w jakich się znalazła, nie zrobiły na niej absolutnie żadnego wrażenia. Zachowywała się tak, jakby sobie wcale nie uświadamiała nadzwyczajności całej przygody. Na twarzy jej malował się wyraz wyniosłości, właściwy pięknej dziewczynie, prawie zawodowo narażonej wszędzie na ryzyko zaczepek i niegodnych umizgów. Dwaj pozostali członkowie towarzystwa byli to: czujnooki Amerykanin w szarym garniturze i tegoż koloru cerze, król kinowy, jak się pan Barnstaple dowiedział od pana Musha, Hunker, i czarnowłosa, elegancko ubrany Francuz, ogromnie zdenerwowany i źle władający angielskim. Ten ostatni robił takie wrażenie, jakby nie tyle należał do towarzystwa lorda Barralongi, ile się do niego przypadkowo dostał.

Pan Barnstaple doszedł do konkluzji, której zresztą później nic nie zadało kłamu, że jakiś interes, związany z kinematografią, rzucił owego dżentelmena w wir gościnności lorda Barralongi i że został on przypadkiem zagarnięty, jak to się łatwo zdarza cudzoziemcom, na całkiem mu nie odpowiadający weekend.

W chwili gdy lord Barralonga i pan Hunker podeszli, by się przywitać z panami Burleighem i Catskillem, Francuz zwrócił się do pana Barnstaple'a z zapytaniem, czy mówi po francusku.

— Nie rozumiem — mówił. — Mieliśmy jechać do Viltshire, i zaczęły się dzieć okropne rzeczy, jedna po drugiej. Dokąd właściwie przyjechaliśmy i co to są za jedni ci ludzie,

którzy mówią tak świetnie po francusku? Czy to jest żart lorda Barralongi, czy sen i co się z nami w ogóle stało?

Pan Barnstaple usiłował mu coś niecoś wytłumaczyć. — Inny wymiar — powtórzył Francuz — inny świat. No dobrze, ale ja muszę załatwić interesy w Londynie. Na co mi się zdało wracać w ten sposób do Francji, jakiejś innej Francji, Francji z innego świata. I żart jest dobry, ale w miarę.

Pan Barnstaple próbował wyjaśnić mu całą sprawę gruntowniej. Z niepewnego wyrazu twarzy zdetonowanego interlokutora było widać, że wyrażał się dlań zbyt nieprzystępnie. Zwrócił się tedy bezradnie do lady Stelli, która z gotowością podjęła się udzielenia informacji.

— Ta pani — rzekł — lepiej to panu wytłumaczy. Lady Stello, to jest monsieur...

— Emile Dupont — skłonił się Francuz. — Jestem, jak wy to nazywacie, dziennikarzem i publicystą. Interesuję się kinematografią z punktu widzenia metod wychowawczych i propagandy. I właśnie dlatego znalazłem się w towarzystwie lorda Barralongi.

Język francuski był główną umiejętnością lady Stelli. Rozpięta też zaraz żagle wymowy i z całym zapalem zabrała się do objaśniania pana Duponta; w trakcie tego, zwróciwszy się na chwilę do panny Greety Grey, wyraziła nawiasem zadowolenie, że nie będzie odtąd jedyną ziemską kobietą na tym dziwnym świecie.

Uwolniony od monsieur Duponta, pan Barnstaple usunął się na bok i objął wzrokiem stojącą na środku sali małą grupkę Ziemian, otoczoną kołem wysmukłych, czujnych Utopian. Ci ostatni trzymali się jakby trochę z daleka od nieproszonych gości. Pan Burleigh potraktował lorda Barralongę z chłodną uprzejmością, a pan Hunker wyraził swoje wielkie zadowolenie ze spotkania „najwybitniejszego męża stanu Wielkiej Brytanii”. Catskill stał obok Barralongi z wielce przyjacielską miną — znali się doskonale — a ojciec Amerton wymieniał spostrzeżenia z panem Mushem. Ridley i Pęnk po krótkiej wzajemnej ostrej lustracji odsunęli się razem na bok i zaczęli roztrząsać półgłosem techniczną stronę zdarzeń bieżącego dnia. Na pana Barnstaple’a nikt nie zwrócił uwagi. Robiło to wrażenie mityngu na stacji kolejowej lub towarzyskiego przyjęcia. Było zupełnie niewiarygodne i jednocześnie banalne. Czuł znużenie. Był nasycony i wyczerpany cudownością.

— Och! Pójdę do łóżka! — rzekł nagle, ziewając. — Pójdę do mego malutkiego łóżka.

Przecisnął się przez tłum przyjaznookich Utopian i wyszedł; ogarnął go spokój gwiazdzistej nocy. Pozdrowił skinieniem głowy dziwną mgławicę na rogu Oriona tak, jak znużony ojciec mógł pozdrowić natrętną latorośl. Zastanowił się nad tym z rana.

Niepewnym krokiem powlókł się sennie do swojej kwatery.

Tu rozebrał się, położył i zasnął momentalnie głębokim snem jak zmęczone dziecko.

Rozdział ósmy

Wczesny poranek w Utopii

|

Obudził się powoli z głębokiego snu. Miał nieokreślone uczucie, że pierzcha przed nim jakiś rozkoszny i zdumiewający sen. Starał się go zatrzymać i nie otwierać oczu. Śnił o wielkim świecie, pełnym pięknych ludzi, którzy wyzwolili się od tysiąca ziemskich

utrapień, ale marzenie rozprzęgło się i uleciało. Sny rzadko nawiedzały teraz pana Barnstaple'a. Leżał cicho, z zamkniętymi oczami, niechętnie powracając do codziennego życia i jego spraw.

Troski i udręczenia ostatnich dwóch tygodni opadły go z dawną siłą. Czyż uda mu się wyjechać samemu na odpoczynek? Nagle przypomniał sobie, że przecież walizę z rzeczami ulokował już w Żółtym Niebezpieczeństwie, ale że to nie miało miejsca wczoraj wieczorem — był tego pewien — lecz przedwczoraj. I wyruszył w drogę... Tak!

Przypomniał sobie, jak wyruszył i jak na myśl, że pani Barnstaple niczego nie przeczuwała, przeszedł go lekki dreszcz, gdy wyjechał za bramę... Otworzył oczy i, utkwivszy je w białym suficie, starał się przypomnieć sobie, co się potem stało... Odżył mu w pamięci zakręt na Camberwell New Road, wesola jasność poranku, Vauxhall Bridge, okropny ruch i ścisk na Hyde Park Corner. Zawsze był zdania, że zachodnie dzielnice Londynu przedstawiały o wiele trudniejszy teren do jazdy samochodem niż wschodnie. A potem czy dojechał do Uxbridge? Nie. Przypomniał sobie drogę do Slough i nie wiedział, co się dalej stało.

Jaki to wspaniały sufit! Żadnego pęknięcia, żadnej plamy!

Ale jakże to spędził resztę dnia? Musiał gdzieś zajechać, gdyż leżał teraz w nadzwyczaj wygodnym łóżku — w pysznym łóżku. Na dworze śpiewał drozd. Zawsze utrzymywał, że dobry drozd mógł iść z powodzeniem w zawody ze słowikiem; ten, który śpiewał teraz, był to istny Caruso. I drugi mu odpowiadał! W lipcu! Pangbourne i Caversham były wymarzonymi miejscowościami dla słowików. W czerwcu. Ale teraz był lipiec — i drozdy... Skroś tych sennych myśli — widziadeł mignęła mu postać pana Ruperta Catskilla z rękami na biodrach, z twarzą wysuniętą ku przodowi, rozgadanego o nadzwyczajnych rzeczach i zwracającego się ku nagiej postaci, siedzącej naprzeciwko z poważną, zasłuchaną twarzą... I inne jeszcze postacie... Jedna z rysami Sybilli delfickiej. Pan Barnstaple jął sobie przypominać, że w jakiś sposób przyłączył się w Taplow Court do jakiegoś towarzystwa jadącego na weekend. Więc ta mowa została wygłoszona w Taplow Court? Lecz w Taplow Court noszono przecież ubrania! Ale może arystokracja u siebie w domu, w zaciszu...?

Utopia?... Czy to było możliwe?

Pan Barnstaple usiadł w łóżku, przejęty niezmiernym zdumieniem.

— Niemożliwe?! — powtórzył.

Leżał w małej loggii, na pół otwartej dla dostępu świeżego powietrza. Między wysmukłymi filarami z wyżłobionego szkła ujrzał w perspektywie łańcuch uwieńczonych śniegiem gór, a na pierwszym planie dużą grupę wysokich kiści, okrytych purpurowym kwieciami. Ptak śpiewał w dalszym ciągu — uszlachetniony drozd w uszlachetnionym świetle. Teraz wszystko sobie przypomniał. Wszystko się wyjaśniło. Nagły podskok auta, dźwięk jakby pękającej struny skrzypiec i — Utopia! Teraz przypomniał sobie wszystko, począwszy od widoku słodkiej martwej Greenlake, a skończywszy na przywiezieniu lorda Barralongi wieczorem, kiedy niebo iskrzyło się dziwnymi, nieznanymi konstelacjami.

To nie był sen. Spojrzał na swą rękę, spoczywającą na przepięknej kołdrze. Przesunął palcami po szorstkiej brodzie. Był to świat na tyle realny, żeby pomyśleć o ogoleniu — i poczuć wielki apetyt na śniadanie. Wielki — bo przeoczył wczorajszą kolację. Jakby w

odpowiedzi na jego myśl, na schodkach, wiodących do jego sennego zacisza, ukazała się uśmiechnięta dziewczyna z małą tacą w rękach. Ostatecznie dużo przemawiało za panem Burleighem. Jego to przenikliwym politycznym talentom pan Barnstaple zawdzięczał tę poranną filiżankę herbaty.

— Dzień dobry! — rzekł pan Barnstaple.

— Dlaczegoż by nie? — odparła młoda Utopianka; postawiła tackę i uśmiechnawszy się po macierzyńsku, odeszła.

— Przypuszczam, że miało to znaczyć: dlaczegoż by dzień nie miał być dobry — rzekł do siebie pan Barnstaple.

Przez chwilę medytował z brodą wspartą o kolana, po czym zabrał się z zapalem do herbaty i chleba z masłem.

II

Malutka ubieralnia, w której znalazł swoją leżącą w takim nieładzie, w jakim ją porzucił raj, wydała mu się jednocześnie nadzwyczajnie prosta i nadzwyczajnie interesująca. Nucąc coś pod nosem, uwijał się po niej, badając szczegółowo urządzenia.

Wanna była daleko płytsza niż przeciętne ziemskie wanny. Widocznie Utopianie nie uznawali gotowania się w pozycji leżącej. Kształty wszystkich przedmiotów były inne — prostsze i estetyczniejsze. Pomyślał, że na ziemi sztuka polega w znacznej mierze na dowcipie i pomysłowości. Artysta posiada pewien ograniczony wybór opornych materiałów i określone potrzeby i jego zadanie polega na mądrym pogodzeniu owej oporności z tymi potrzebami; oporności materii z estetycznymi, z góry powziętymi koncepcjami ludzkiego umysłu. Jakiż cudownie pomysłowy jest np. ziemski cieśla, posługujący się mądrze odpowiednimi do różnych celów gatunkami drzewa stosownie do ich właściwości. Tutaj artysta ma nieograniczoną władzę nad materiałem, i element sprytnego dostosowania nie gra żadnej roli w jego pracy. Jedynym czynnikiem, z którym się musi liczyć, to ciało i umysł człowieka. Wszystkie przedmioty znajdujące się w tym małym pokoiku były w prosty sposób doskonale wygodne i trudne do uszkodzenia. Jeżeli się wyplusnęło za wiele wody, boczna zewnętrzna krawędź zapobiegała zalaniu podłogi. Obok wanny na tacy leżała ogromna wspaniała gąbka. A więc Utopianie albo w dalszym ciągu wyławiali gąbki, albo hodowali je lub wyćwiczyli tak (któż mógł to wiedzieć?), że wyrastały same.

W chwili, gdy ustawiał swoje przybory toaletowe, potracił kubek, stojący na szklanej półeczce, który upadł na ziemię, ale się, o dziwo! — nie potłukł. Pan Barnstaple, chcąc zrobić eksperyment, upuścił go po raz drugi z tym samym skutkiem.

Początkowo nie mógł znaleźć żadnych kurków, chociaż oprócz wanny stała tam wielka umywalnia. Potem dopiero zauważył w ścianie cały szereg guziczków z czarnymi znakami — prawdopodobnie pismem utopijnym. Zaczął eksperymentować. Przekonał się, że wanna jego napełniła się kolejno to bardzo gorącą wodą, to bardzo zimną, to znów za naciśnięciem innego jeszcze guziczka tryskała fontanna ciepłej wody prawdopodobnie z mydłem. Były i inne płyny — jeden o zapachu sosny, a drugi — słabej woni chloru.

Utopijne litery widniejące na guziczkach dały mu wiele do myślenia. Było to pierwsze pismo, na jakie się tu natknął. Wyglądało nieskomplikowanie, ale czy były to znaki oznaczające dźwięki, czy też bardzo uproszczone hieroglify, tego nie mógł rozstrzygnąć. Potem jego umysł przerzucił się nagle w innym kierunku, gdy zauważył, że wszystkie metalowe części przedmiotów, znajdujących się w ubieralni, zdawały się być zrobione ze złota. Stwierdził, że w pokoju było strasznie dużo złota. Był on literalnie wykładany i inkrustowany złotem. Miękkie żółte linie migotały i błyszczały. Złoto najwidoczniej było tanie w Utopii. Może nauczono się je wyrabiać.

Zabrał się do swojej toalety. W pokoju nie było żadnego lustra, ale kiedy zaczął majstrować koło — jak sądził — ręczki od drzwi szafy, otworzyły się one, i oczom jego ukazało się potrójne zwierciadło, sięgające od podłogi do sufitu. Przekonał się później, że w Utopii nie było wcale odkrytych lusterek, gdyż Utopianie uważali za rzecz nieprzyzwoitą przypominać sobie o swym zewnętrznym wyglądzie w taki sposób. Utopijna metoda polegała na jednorazowym pilnym zlustrowaniu całej postaci, by przekonawszy się, że wszystko jest w porządku, zapomnieć o sobie na resztę dnia.

Nasz Ziemianin stał teraz przed lustrem, z nadzwyczajną niechęcią przyglądając się swemu nieogolonemu, ubranemu w piżamę odbiciu. Dlaczego szanujący się obywatele noszą takie brzydkie piżamy w różowe paski? Odpakował szczoteczkę do zębów i do paznokci, Pędzel do golenia i rękawicę do mycia. Przedmioty te wydały mu się niesłychanie ordynarne, jakby wzięte z popularnej farsy. Szczególnie haniebnie wyglądała szczoteczka do zębów. Żałował, że nie kupił nowej w składzie aptecznym koło dworca Wiktoria. I jego ubrania — jakie brzydkie i dziwaczne! Przyszła mu fantastyczna myśl przejęcia utopijnej mody w zakresie stroju, ale chwila namysłu przed lustrem odwiodła go od tego zamiaru. Potem przypomniał sobie, że zapakował przecież jedwabną tenisową koszulę i flanelowy garnitur. A gdyby się tak w to ubrał, ale bez kołnierzyka i krawata — i wyszedł na dwór bosy?

Przyjrzał się nogom. Podług ziemskich pojęć nie były to wcale takie złe nogi i marnowały się po prostu, bo ich nikt nie oglądał.

III

Niebawem pan Barnstaple, niepokalanie czysty i promieniejący, wynurzył się na utopijny poranek. Był biało ubrany z gołą szyją i bosymi stopami. Uśmiechnął się, wyciągnął ramiona i odetchnął głęboko słodkim, wonnym powietrzem. Nagle twarz jego przybrała wyraz twardej zaciętości.

Z drugiego sypialnego domku, oddalonego o niecałe dwieście jardów, wylaniał się ojciec Amerton. Pan Barnstaple wyczuł intuicyjnie, że zamierzał on albo przebaczyć, albo prosić o przebaczenie za wczorajszą wieczorną utarczkę. Przybranie roli winowajcy czy ofiary miało zależeć od okoliczności. Pewnym było wszakże, że pragnął kryształową jasność i przejrzystość porannego krajobrazu zamącić nudną, emocjonalną babraniną osobistych spraw i nieporozumień. Na wprost pana Barnstaple'a, trochę na prawo, widniały szerokie schody, prowadzące w stronę jeziora. Trzy kroki — i oto pędził w dół, przeskakując po dwa stopnie na raz. Mogła to być złuda jego rozgorączkowanej

wyobraźni, ale miał wrażenie, że doleciał go głos ojca Amertona: „Panie Barn— stalpe!”, i że duchowny ruszył za nim w pogoń.

Uciekinier pędził kołując. Przebiegł przez most, zawieszony nad wyrwą. Most ten od tyłu zbudowany był z masywnych marmurów, za to od strony jeziora jaśniał delikatnymi szklanymi, pryzmatycznymi kolumnami; pokryty był dachem. Światło słoneczne, odbijające się od kolumn, rozpryskiwało się w plamy czerwone, niebieskie i złociste. Na jakimś zakręcie trawnika, błękitniejącego gencjanami, pan Barnstaple nieomal cudem uniknął zderzenia z panem Rupertem Catskillem. Catskill był ubrany tak samo jak ubiegłego dnia, tyle tylko że poniechał swego szarego cylindra. Szedł spacerowym krokiem z założonymi z tyłu rękami.

— Halo! — zawołał. — Cóż to taki pośpiech? Zdaje się, że my pierwsi witamy nowy dzień.

— Widziałem ojca Amertona.

— Aha, rozumiem! Bałeś się pan, żeby ci nie kazał asystować na nabożeństwie — jutrzni czy prymarii, czy jak on to nazywa. Mądry człowiek z pana, żeś się ratował ucieczką. On będzie się modlił za nas wszystkich. I za mnie też.

Nie czekając na potwierdzenie pana Barnstaple'a, ciągnął dalej.

— Dobrze się panu spało? Co pan myśli o odpowiedzi tego starego jegomościa na moją mowę? Ee!! Wykrętna paplanina. W razie wątpliwości lzy się adwokata strony skarżącej. Nie zgadzamy się z nim, dlatego że mamy złe serca.

— O kim pan mówi? O jakim starym jegomościu?

— O tym godnym dżentelmenie, który przemawia po mnie.

— O Urthredzie? Ależ on nie ma nawet czterdziestu lat.

— Ma siedemdziesiąt trzy. Powiedział nam to potem Oni tu długo żyją, długo się objijają po świecie. Z ich punktu widzenia życie nasze równa się krótkiemu paroksyzmowi gorączki. Ale jak powiedział Tennyson: „Lepsze pięćdziesiąt lat europejskiej egzystencji niż cały wiek w Katalju...” Hm?! Odpowiadał wykrętnie, nie wprost. To jest kraj lotosu, kraj zachodzącego słońca. Nie będą nam wdzięczni, żeśmy im zakłócimy spokojną drzemkę.

— Wątpię, czy to można nazwać drzemką.

— Może robak socjalizmu ukąsił i pana. Tak — widzę to — już się pan zaraził! Proszę mi wierzyć, że to jest najpełniejszy okaz dekadencji, jaki sobie można wyobrazić.

Najpełniejszy. I my zakłócimy ich drzemkę — jestem tego pewien. Przekonasz się pan, że natura jest po naszej stronie w sposób, o jakim nikt dotąd nie pomyślał.

— Ale ja nie widzę tu żadnych oznak chylenia się ku upadkowi — zauważył pan Barnstaple.

— Nie ma gorszych ślepców nad tych, co nie chcą widzieć. Przecież to rzuca się po prostu w oczy. Ich rumiane, nadzwyczajne pseudozdrowie! Wyglądają jak tuczne bydło! A traktowanie Barralongi?! Nie wiedzą, jak z nim postąpić. Nawet go nie aresztowali. Od tysiąca lat nie aresztowali nikogo. Pędzi jak szalony przez ich kraj, zabija, kaleczy, sieje popłoch i trwogę, i oni są zdetonowani, spłoszeni. Nic więcej. To zupełnie tak, jakby wściekły pies wpadł w świat, zaludniony owcami. Sądzę, że gdyby nie katastrofa samochodowa, to by Barralonga rozbijał się dotychczas po ich drogach, mordując ludzi. Zatracili instynkt społecznej obrony.

— Ciekaw jestem...

— Bardzo dobre nastawienie, o ile ulega mu się z umiarkowaniem. Jak to panu przejdzie, zobaczy pan, że mam rację. Hm? Ach! Spójrz pan na taras! Czyż nie jest to lord Barralonga i jego francuski znajomy? Właśnie. Wdychają poranne powietrze. Pan pozwoli, za go zostawię i pójdę z nimi pogawędzić. W której stronie był ojciec Amerton? Nie chcę mu przeszkadzać w modlitwie. W tamtej? Więc jeśli pójdę na prawo... Zrobił przez ramię uprzejmy grymas.

IV

Pan Barnstaple natknął się na dwóch Utopian, zajętych pracą w ogrodzie. Mieli dwie lekkie, srebrzyste taczki i wycinali właśnie suche gałęzie i wybujale pędy z gęstwiny, okrywającej szorstką krawędź skalną pianą róż karmazynowych i ciemnoczerwonych. Dwaj ogrodnicy mieli nadto wielkie skórzane rękawice i fartuchy z garbowanej skóry, a w rękach trzymali noże i haki.

Pan Barnstaple nigdy nie widział takich róż jak te, które oni tam opatrywali. Woń ich przepelniała powietrze. Nie wiedział, że pełne róże można było hodować w górach. W Szwajcarii na dużych wysokościach widywał pojedyncze jasnoczerwone gatunki, ale nigdy takich bujnych olbrzymów kwiatowych jak te. Liście ich wydawały się wskutek tego nazbyt drobne. Łodygi były długie, węzowate, w czerwone prążki. Wiły się szeroko i pięły po skalistych występach, znad których wyrastały. Wielkie płatki sypały się niczym czerwony śnieg albo pędzone wiatrem ćmy lub krople krwi na miękką ziemię, wyściełającą szczeliny między brunatnymi skałami.

— Jesteście pierwszymi Utopianami, jakich widzę przy pracy — zauważył.

— To nie jest nasza praca — uśmiechnął się bliższy z dwójki, jasnowłosy, błękitnooki, upstrzony piegami młodzieniec. — Ale ponieważ lubimy te róże, musimy koło nich chodzić.

— Czy to są wasze róże?

— Wielu ludzi uważa, że z tymi pełnymi, górskimi różami jest za dużo zachodu i roboty z powodu ich kolców i wijących się gałęzi, i jest zdania, że na tych wysokościach powinno się hodować tylko pojedyncze gatunki róż, a tę cudowną odmianę zarzucić, żeby wyginęła. Czy ci się podobają nasze róże?

— Takie róże jak te? — zapytał pan Barnstaple. — Och, czarujące.

— Dobrze, to przysuń mi moje taczki do zebrania tych odciętych gałęzi. Jesteśmy odpowiedzialni za przyzwoite zachowanie się tych gąszczy, ciągnących się prawie do samej wody.

— I musicie sami nad tym czuwać?

— A któż, jak nie my?

— Ale czy nie moglibyście dostać kogoś, wynająć, żeby to dla was zrobił?

— Och, siwa relikwio ze starożytnej przeszłości! — odpowiedział młodzieniec. — Och, wykopaliskowy nieuku z barbarzyńskiego wszechświata! Czyż nie rozumiesz, że na Utopii nie ma klasy robotniczej? Wymarła przed półtora tysiącem lat czy coś koło tego. Skończyło się raz na zawsze z płatnym niewolnictwem, wyzyskiem itp. Czytamy o tych rzeczach w książkach. Kto kocha róże, musi im sam służyć.

— Ale wy pracujecie.

— Nie dla zapłaty. Nie dlatego, że ktoś inny kocha coś lub czegoś pragnie, lecz jest za leniwy, by to zdobyć osobiście za cenę trudu. My pracujemy i jesteśmy mózgiem i wolą Utopii.

— Czy mogę zapytać, w jakiej dziedzinie?

— Ja badam wnętrze naszej planety. Studiuję chemię wysokiego ciśnienia. A mój przyjaciel...

Zwrócił się do towarzysza, którego ciemna twarz i brązowe oczy ukazały się nagle nad morzem kwiecia.

— Zajmuję się żywnością.

— Jesteś kucharzem?

— W swoim rodzaju. Teraz np. czuвам nad waszą ziemską dietą. Jest to bardzo interesujące i ciekawe — ale powiedziałbym — trochę niszczycielskie. Obmyślani dla was dania... Widzę, że masz niespokojną minę. Śniadanie przygotowałem dla ciebie wczoraj wieczorem.

Spojrzał na malutki zegarek na bransoletce, ukryty pod ogrodniczą rękawicą.

— Za jakąś godzinę będzie gotowe. — Jak ci smakowała nasza herbata?

— Była wyborna — odrzekł pan Barnstaple.

— Doskonale — zauważył ciemny młodzieniec. — Staralem się, jak mogłem. Mam nadzieję, że śniadanie będzie równie zadowalające. Wczoraj musiałem lecieć aeroplanem dwieście kilometrów po wieprza. Sam go zabiłem, oprawiłem i przyrządziłem po zdobyciu odpowiednich informacji. Jedzenie wieprzowiny wyszło u nas ze zwyczaju. Spodziewam się, że moja szynka będzie ci smakowała.

— Strasznieś szybko to przyrządził jak na szynkę — rzekł pan Barnstaple. — Mogliśmy się bez tego obejść.

— Wasz mówca bardzo się przy tym upierał.

Młody człowiek o jasnych włosach wydostał się z zarośli i oddalił z taczkami. Pan Barnstaple złożył czarnemu młodzieńcowi życzenia „dobrego dnia”.

— A dlaczegożby nie miał być dobry? — zapytał czarnowłosy młodzieniec.

V

Nasz Ziemianin zauważył zbliżających się Ridleya i Penka. Twarz i ucho pierwszego zdobyły jeszcze plasterki, a w zachowaniu przebijał się niepokój i wzburzenie. Penk szedł trochę z tyłu, trzymając jedną rękę przy twarzy. Obaj mieli na sobie swoje zawodowe ubrania: czapki o białych denkach, skórzane kurtki i czarne kamasze. Nie zrobili żadnego ustępstwa na rzecz utopijnej swobody w kwestii toalet.

Ridley zaczął mówić, jak tylko doszedł do przekonania, że słowa jego dobiegną do uszu pana Barnstaple'a.

— Nie wiesz pan, gdzie tutejsze dekadenty wtrynili naszą maszynę?

— Myślałem, że poszła w drzazgi, jakeście się rozbili.

— Nie Rolls-Royce, panie, jeszcze by też. Może tam pogruchotali się: szyba, błotniki i stopnie... Zwalili my się bokiem w dół. Chciałbym popatrzeć na maszynę. Nie zamknąłem dopływu benzyny. Moja wina. Karburator przeciekał cośkolwiek. Nie

uważałem na filter, psiamać. Jak wszystka benzyna się wyleje, to gdzie ja jej dostanę w tym zapowietrzonym raj. Nigdzie ani znaku. A jak nie będę gotów do jazdy na czas, to dopiero jaśnie pan się zgniewa.

Pan Barnstaple nie miał najmniejszego pojęcia, co się stało z autami.

— Ni masz pan swojej własnej maszyny? — zapytał z wyrzutem szofer.

— Mam, ale od chwili, jak z niej wysiadłem, wcale o niej nie myślałem.

— Właściciel — szofer — rzekł z goryczą Ridley.

— W każdym razie nie mogę wam nic pomóc, o ile idzie o znalezienie waszych maszyn.

Czy pytaliście się Utopian, co z nimi zrobili?

— Jeszcze by też!... Wolimy od nich z daleka — odparł Ridley.

— Oni by was objaśnili.

— I szpiegowali, i wypatrywali, co przy nich robimy — przy maszynach. Nieczęsto im się zdarza okazja zobaczenia Rolls-Royce'a. Tylko patrzeć, jak się w nich będą rozbijać. Nie podoba mi się to miejsce, i ludzie też mi do gustu nie przypadają. Dziwolągi, proszę pana. I całkiem bez wstydu. Jaśnie pan powiada, że tu zatrzęsienie degeneratów, i widzi mi się, że prawie trafił w sedno. Nie jestem ja żaden purytanin, ale to łażenie nago wcale mnie się nie podoba. Chciałbym wiedzieć, gdzie oni wtrynili nasze maszynki.

Pan Barnstaple przyglądał się Penkowi.

— Skaleczyliście twarz? — zapytał.

— Bagatelka — odparł Penk. — Myślę sobie, że powinniśmy walić dalej.

Ridley spojrział na Penka, a potem na pana Barnstaple'a.

— Trochę się poharatał — zauważył i lekki uśmiech rozjaśnił jego kwaśną miną.

— Lepiej nie marudźmy, jeżeli mamy znaleźć maszyny — wtrącił Penk.

Na twarzy Ridleya ukazał się wyraz łobuzerskiej uciechy. Wyszczrzył zęby.

— Nabił sobie guza, ojej!

— Och, zamknij gębę! — rzekł Penk. Ale taką rzecz trudno było przemilczeć.

— Jedna tutejsza panna tak go urządziła.

— Co takiego? — zapytał pan Barnstaple. — Chyba nie pozwoliliście sobie na...?

— Gdzie tam — odparł Penk. — Ale jak pan Ridley był taki grzeczny, co zaczął o tym mówić, to ja myślę, że trzeba mnie opowiedzieć, co się zdarzyło. To będzie najlepszy przykład, żeśmy tu dostali się między takie Judzie, przez połowę dzikie, a przez połowę wariaty.

Ridley uśmiechnął się i mrugnął do pana Barnstaple'a.

— Sprąła go też, sprąła, aż się chłop obalił. Położył jej rękę na ramieniu i buch! już leży.

Nigdy nie widział czegoś podobnego.

— Przykra sprawa — zaopiniował pan Barnstaple.

— To się tak prędko odbyło, jakby piorun trząśł.

— Szkoda, że się to stało.

— Niech się pan aby nie omyli i nie patrzy fałszywie na ten przypadek — rzekł Penk. —

Nie chcę, żeby się z tego zrobiło gadanie — to by mi bardzo mogło zaszkodzić u pana

Burleigha. Szkoda, że pan Ridley ma taki długi ozór. Nie wiem, o co się ona obraziła.

Coś ją, widać, ukąsiło. Przyszła do mojego pokoju, kiedy wstawałem, i przecie nic na

sobie nie miała, całkiem była goła. Udała mi się, fajna była dziewczucha, nie ma co gadać, i

strzeliło mi do głowy, żeby jej coś powiedzieć — no, trochę pieprznego. Nieraz przecie człowiek nie utrzyma na wodzy swoich myśli — nieprawda? Mężczyzna to mężczyzna. Jeżeli mężczyzna ma być całkiem skromny w swoich prywatnych myślach o dziewczętach, które nie mają na sobie ani jednej nitki, no to trochę za wiele żądać! Głupi na to jestem. Ani w ząb nie rozumiem, jak to może być. To jest przeciwne ludzkiej naturze. Wcale o tym nie mówiłem, o czym może myślałem. Pan Ridley powie, czy nie prawda. Ani słowa do niej nie powiedziałem. Ani pary z ust nie puściłem, kiedy mnie trzepnęła. Obaliła mnie jak kręglą. Nawet nie wyglądała na rozzłoszczoną. Bokiem spojrzałem i widziałem. Rozłożyłem się jak długi na ziemi — raczej ze zdziwienia.

— Ale Ridley mówi, że pan jej dotknął.

— Może i położyłem jej rękę na ramieniu po ojcowsku. Ona akurat szykowała się do odejścia, nie była pewna, czy się do niej odezwę, czy nie. I co się zrobiło! Jeżeli mam mieć chryję, dlatego żem dostał w łeb ni z tego, ni z owego...

Penk wyraził wymownym gestem beznadziejną desperację.

Pan Barnstaple zadumał się chwilę.

— Nie narobię wam bigosu — rzekł w końcu. — Tylko powiem wam, że powinniśmy być bardzo ostrożni z tymi Utopianami. Oni mają inne zwyczaje i pojęcia niż my.

— Dzięki Bogu! — zawołał Ridley. — Im prędzej wrócę z tego świata do starej Anglii, tym się będę bardziej cieszył.

Odwrócił się, by odejść.

— Powinien pan był słyszeć naszego lorda — rzucił przez ramię Ridley. — On powiada, że to jest świat paskudnych degeneratów, zgniłych degeneratów, naprawdę, daruje pan... degeneratów. Co? Święta prawda.

— Ramię młodej kobiety nie było widocznie bardzo zdegenerowane — rzekł pan Barnstaple, znosząc mężnie wstrząs wywołany tymi przymiotnikami.

— Nie mów pan tego — odparł z goryczą Ridley. — Nie patrzy pan dalej niż koniec swego nosa. Jakże to! Czy jest jakiś pewniejszy znak degeneracji jak to, że kobiety zaczynają rozbijać mężczyzn?! To przecie nie godzi się z instynktem. W żadnym porządnym, przyzwoitym świecie nic by się takiego nie mogło zdarzyć. Jakże?!

— Jakże?! — zawtórował Penk.

— W naszym świecie taka dziewczyna dostałaby z miejsca nauczkę. Z miejsca, powiadam. A co to?

Błądzące dokoła oko pana Barnstaple'a odkryło nagle ojca Amertona, dążącego pośpiesznym krokiem na przelaj przez szeroki trawnik i dającego mu znaki, by się zatrzymał. Barnstaple zorientował się, że nie ma chwili do stracenia.

— Macie tu kogoś, kto, jeśli zechce, z pewnością pomoże wam znaleźć samochody. To bardzo uczynny człowiek: ojciec Amerton. I jego poglądy na kobiety są zbliżone do waszych. Prędko dojdziecie do porozumienia. Jeżeli go zatrzymacie i przedstawicie całą sprawę wyraźnie i jasno...

Ruszył żwawym krokiem nad brzeg jeziora.

Miał już niedaleko do małego letniego pawilonu, wysuniętego na wodę, koło którego były uwiązane wesołe, barwne łódki.

Gdyby mu się tak udało wsiąść w jedną z nich i wypłynąć na jezioro, pozostawiłby ojca Amertona daleko poza sobą. Gdyby nawet pocziwiec poszedł za jego przykładem, nie byłoby to już takie niebezpieczne. Nie można przecież urządzić naprawdę wzruszającej patetycznej sceny wiosłując z całych sił, by dogonić drugą łódkę.

VI

W chwili gdy pan Barnstaple odwiązywał wybraną przez siebie białą łódź z wymalowanym na dziobie ogromnym niebieskim okiem, na pomoście ukazała się lady Stella. Wyszła z pawilonu, stojącego nad wodą. W szybkich jej ruchach było coś tak znaczącego, że panu Barnstaple'owi nasunęła się myśl, iż się przed kimś ukrywa.

Rozejrzała się naokoło i rzekła żywo:

— Zamierza pan wyjechać na jezioro? Czy mogę wsiąść?

Zauważył, że strój jej był kompromisem między stylem ziemskim i utopijnym. Miała na sobie szatę, która mogła uchodzić równie dobrze za bardzo skromną popołudniową suknię śmietankowego koloru jak za ogromnie wyszukane okrycie kąpielowe. Jej śliczne smukłe ramiona były zupełnie odkryte, zdobiły je jedynie bransolety ze złota i bursztynu; niezwykle kształtne nóżki tkwiły w sandałkach. Była bez kapelusza; ciemne włosy uczesała bardzo zwyczajnie i otoczyła czarno-złotą opaską, co bardzo harmonizowało z jej inteligentną twarzą. Pan Barnstaple był ignorantem w kwestii strojów kobiecych, zdołał wszakże zauważyć, że podchwyciła mądrze styl Utopian. Pomógł jej wsiąść do łodzi.

— Powiosłujemy daleko, ku środkowi — rzekła, rzucając przez ramię długie spojrzenia, i usiadła.

Przez czas niejaki pan Barnstaple płynął prosto ku środkowi jeziora, tak że przed sobą miał tylko zalaną słońcem wodą, niebo, niskie wzgórza, oddzielające jezioro od wielkiej równiny, olbrzymie filary dalekiej grobli i lady Stellę. Udawała, że rozplywa się z zachwytem nad pięknnością zbocza Parku Konferencyjnego, pokrytego domkami i tarasami, które leżało za jego plecami, ale on widział dobrze, że nie spogląda ona na całość krajobrazu, lecz że błądzi po nim niespokojnie oczami, szukając jakiegoś przedmiotu czy osoby. Usiłowała rozwodzić się swobodnie nad urokiem poranku i nad faktem, że tu ptaki śpiewają „w lipcu”.

— Ależ tu niekoniecznie musi być lipiec — rzekł Barnstaple.

— Jakaż ja naiwna! Naturalnie, że nie.

— Ma się wrażenie, jakby to był piękny maj.

— Prawdopodobnie jest bardzo wczesna godzina — zauważyła. — Zapomniałam nakręcić zegarek.

— Dziwna rzecz, wydaje się, jakby nasze dwa światy wykazywały mniej więcej ten sam czas — rzekł pan Barnstaple. — Mój zegarek wskazuje siódmą.

— Nie — odparła lady Stella z oczyma, utkwionymi w dalekie ogrody, odpowiadając swoim własnym myślom. — To dziewczyna z Utopii. Czy spotkał pan już dzisiaj kogoś z naszego ziemskiego towarzystwa?

Pan Barnstaple wykręcił łódkę w taki sposób, że i on mógł spojrzeć ku wybrzeżu. Z tej odległości można było widzieć, jak wspaniałe olbrzymie tarasy, doliny i wyniosłości splatały się i dopełniały z wystającymi turniami i skalnymi zrębami górskich mas leżących

w głębi. Gęstwiny krzewów przechodziły w wyniosłe sosnowe lasy. Strumienie i kaskady, lejące się ze śnieżnych pól, ujęto w karby i rozprowadzono przez szmaragdowe zbocza do ogrodów Parku Konferencyjnego. Tarasy, pokryte ziemią uprawną, zamykały jego obręb, rozciągały się w obie strony ogromnie daleko i wrzynały w cielsko gór. Zbudowane były z materiału mieniającego się szeroką gamą kolorów od ciemnej czerwieni do bieli, porysowanej siecią purpurowych żyłek. Urozmaicały je ogromne łuki wznoszące się nad strumieniami i skalistymi wyrwami, olbrzymie okrągłe, tryskające wodą otwory i kaskady schodów. Budynki rozrzucone były po tych tarasach i obramujących je trawiastych zboczach pojedynczo lub grupkami czy kompleksami. Budowle te były purpurowe, błękitne, świetliście białe i subtelne jak otaczające je alpejskie kwiaty. Przez kilka chwil pan Barnstaple milczał, oczarowany urokiem krajobrazu, po czym odpowiedział na pytanie lady Stelli.

— Spotkałem pana Ruperta Catskilla i obu szoferów — rzekł — iż daleka widziałem ojca Amertona, lorda Barralongę i monsieur Duponta. Co do panów Burleigha i Musha — to nic o nich nie wiem.

— Pan Cecil jeszcze się prędko nie pokaże. Będzie leżał do dziesiątej lub jedenastej. Zawsze z rana zażywa długiego wypoczynku, jeżeli go czeka wielki wysiłek umysłowy. Lady zawahała się, po czym zapytała:

— Przypuszczam, że nie widział pan panny Greety Grey?

— Nie — odparł Barnstaple. — Nie szukałem naszych ziomeków. Po prostu przechadzałem się i starałem się nie natknąć na pewną osobę.

— Na cenzora obyczajów i ubrań?

— Właśnie... To było powodem, żem wsiadł w łódkę. Lady namyśliła się i postanowiła przystąpić do zwierzeń.

— I ja przed kimś uciekałam.

— Nie przed kaznodzieją?

— Przed panną Grey.

Lady Stella puściła wodze wymowie.

— Trudno będzie, bardzo trudno przebywać w takim świecie. Ludzie tutejsi są bardzo subtelni i wrażliwi. Możemy ich łatwo urazić.

— Są dość inteligentni, by nas zrozumieć.

— Czy ci, co rozumieją, koniecznie muszą przebaczać? Zawsze wątpiłam o słuszności tego twierdzenia.

Pan Barnstaple, nie chcąc, by rozmowa zesła na ogólnikowe tory, nie odpowiedział wiosłując dalej w milczeniu.

— Wie pan, panna Grey grywała Fryne w jednej z rewii.

— Zdaje się, że coś sobie przypominam. Dużo o tym pisano.

— To ją pewnie naprowadziło na myśl... Wiosło plusnęło przeciągle trzy razy.

— Dziś rano przyszła do mnie i powiedziała, że wystąpi w całkowitym utopijnym kostiumie.

— To znaczy?

— Że się tylko trochę urózuje i upudruje na twarzy i... Nie powinna tego robić, panie Barnstaple. To jest faux pas*. To nieprzyzwoite. Biega teraz po ogrodach... Może kogoś

spotkać. Całe szczęście, że pan Cecil jeszcze nie wstał. Jeżeli spotka ojca Amertona... Ale lepiej o tym nie myśleć. Widzi pan, panie Barnstaple, ci Utopianie i ich opalone brązowe ciała, wszystko razem — zestraja się tu z całością. Wcale się nie czuję zakłopotana ich obecnością. Ale panna Grey. Ziemska cywilizowana kobieta bez ubrania wygląda nago. Nieprzyzwoicie. Jakby wybielona wapnem. Ta sympatyczna kobieta, Lychnis, która zdaje się nami opiekować, radząc mi, jak się mam ubrać, nie napomknęła nawet o czymś podobnym... Naturalnie, nie znam panny Grey na tyle, żeby z nią pomówić, i zresztą nigdy nie wiadomo, jak tego rodzaju kobieta przyjmie...

Pan Barnstaple popatrzył ku brzegowi, ale nigdzie nie było widać niezwykle rzucającej się w oczy panny Greety Grey. Nagle przyszła mu pewna myśl do głowy.

— Lychnis weźmie ją pod swoją opiekę — rzekł.

— Mam nadzieję. Może, jeżeli tu jakiś czas zabawimy...

— Zaopiekują się nią — dorzucił. — Myślę, że panna Grey i w ogóle towarzystwo lorda Barralongi narobi nam dużo kłopotu. Wolałbym, żeby się tu byli nie znaleźli wraz z nami.

— Pan Cecil jest tego samego zdania — rzekła lady Stella.

— Naturalnie będziemy zmuszeni dużo z nimi przebywać i zostaniemy ryczałtowo osądzeni przez Utopian.

— Naturalnie — zawtórowała lady Stella.

Przez chwilę milczała, ale było widocznym, że ma jeszcze coś do powiedzenia. Pan Barnstaple poruszał wolno wiosłami.

— Panie Barnstaple — zaczęła niebawem.

Wiosła umilkły.

— Panie Barnstaple, czy pan się boi?

Pan Barnstaple zastanowił się.

— Za bardzo się zdumiewam, żeby odczuwać lęk.

Lady Stella zdecydowała się zrobić wyznanie.

— A ja się boję — rzekła. — Początkowo byłam spokojna. Wszystko wydawało mi się takie łatwe i proste, ale w nocy obudziłam się nagle, i... ogarnęła mnie straszna trwoga.

— Nie — rozważał pan Barnstaple. — Nie. Ja dotąd nie doświadczyłem uczucia strachu... Może to jeszcze przyjdzie.

Lady Stella pochyliła się ku przodowi i zaczęła mówić poufnym tonem, śledząc bacznie, jakie wrażenie zrobią jej słowa na starszym towarzyszu.

— Ci Utopianie — początkowo myślałam, że to takie proste, zdrowe ludzkie istoty, niewinne i pełne artystycznych zamiłowań. Omyliłam się, panie Barnstaple. Jest w nich coś twardego i skomplikowanego, coś, co nas przerasta, czego nie pojmujemy. I oni wcale się o nas nie troszczą. Spoglądają na nas wzrokiem, w którym nie ma ani odrobiny serca. Lychnis jest dobra, ale nie można tego powiedzieć o reszcie. I myślę, że jesteśmy dla nich niewygodni.

Pan Barnstaple zadumał się nad jej słowami. — Może to i racja. Ja osobiście byłem tak pochłonięty zachwytem, tyle tu jest piękna, o jakim nigdy nie śniłem, że nie stało mi czasu, żeby się nad tym zastanowić. Ale... tak... oni wydają się rzeczywiście zajęci innymi rzeczami i nami interesują się bardzo niewiele z wyjątkiem tych, których

widocznie wyznaczono do pilnowania i studiowania nas. I ten wściekły pęd lorda Barralongi przez ich kraj musiał im się nie podobać.

— Zabił człowieka.

— Wiem o tym.

Przez kilka chwil milczeli oboje.

— I nasuwają mi się jeszcze inne rzeczy — zaczęła znów mówić lady Stella. — Oni myślą zupełnie inaczej niż my. Sądzę, że już nami gardzą. Zaobserwowałam coś... Wczoraj wieczorem nad jeziorem pan nie był z nami, kiedy pan Cecil zapytał ich o ich filozofię. Opowiedział im o Heglu i Bergsonie, o lordzie Haldane i swoim własnym zdumiewającym sceptycyzmie. To było niezwykle. On taki zawsze w sobie zamknięty. Słuchałam — z wielkim zainteresowaniem. W trakcie tego obserwowałam Urthreda i Lwa i zauważyłam — jestem tego pewna — że rozmawiają ze sobą w ten milczący, im właściwy sposób — o czymś zupełnie innym. Po prostu udawali, że uważają. A potem, kiedy Freddy Mush próbował zainteresować ich poezją neogeorgijską i kwestią wpływu wojny na literaturę i wyraził nadzieję, że oni tu w Utopii mają może coś w przybliżeniu tak pięknego jak nasza Iliada, chociaż przyznał, że trudno by mu było w to uwierzyć, to już nawet nie udawali, że słuchają. Wcale mu nie odpowiadali... Nasze umysłowości nic ich nie obchodzą.

— W tej dziedzinie. Są oni przecież od nas o trzy tysiące lat starsi kulturalnie. Za to moglibyśmy ich może zainteresować jako uczniowie.

— Czyż byłoby interesującym oprowadzać po Londynie Hotentota i wszystko mu wyjaśniać po ubawieniu się początkowo jego ignorancją? Może i tak, tylko nie zdaje mi się, żeby oni bardzo byli radzi z naszej obecności tutaj, i nie zdaje mi się, żeby nas mieli bardzo polubić; nie mam pojęcia, co by też z nami zrobili, gdybyśmy im zbytnio dokuczali. Więc się boję, bardzo boję.

Przerzuciła się na inny temat.

— W nocy przypomniały mi się małpy mojej siostry, pani Kelling. Ma manię na punkcie małp. Biegają sobie po ogrodach, wchodzą do domu i niebożęta ciągle coś broją. Nie zdają sobie dobrze sprawy z tego, co im wolno, i z tego, co mają zakazane. Wszystkie mają okropnie znękanę minki, bo bezustannie dostają klapsy, są wynoszone i wyrzucane za drzwi itd. Psują różne rzeczy i denerwują gości. Nigdy się właściwie nie wie, co małpa może zrobić. I wszyscy nie cierpią tego małpiego otoczenia oprócz mojej siostry, która je wciąż strofuje: „Zejdź stamtąd, Jack! Połóż to, Sadie!” Pan Barnstaple wybuchnął śmiechem.

— Nie będzie z nami aż tak źle, lady Stello. Nie jesteśmy przecież małpami.

Młoda kobieta roześmiała się również.

— Może i nie będzie, ale pomimo wszystko w nocy czułam, że może do tego dojść.

Jesteśmy niższymi istotami. Na to nie ma rady...

Ściągnęła brwi. Na jej pięknej twarzyczce odbił się wielki intelektualny wysiłek.

— Czy pan zdaje sobie sprawę, jak bardzo jesteśmy odcięci od naszego świata?... Może pan pomyśli, że jestem głupiotką, panie Barnstaple, gdy panu powiem, że wczoraj wieczorem przed pójściem spać zasiadłam, żeby napisać list do mojej siostry i

opowiedzieć jej o wszystkim, dopóki jeszcze mam to świeżo w pamięci. I nagle uświadomiłam sobie, że mogłabym równie dobrze napisać — do Juliusza Cezara.

Pan Barnstaple wcale się dotąd nad tym nie zastanawiał.

— To jest rzecz, z którą się nie mogę pogodzić, panie Barnstaple, ani listów, ani telegramów, ani dzienników, ani rozkładu jazdy. Nie ma w tej Utopii tych wszystkich rzeczy, o które dbamy. A ludzie, dla których żyjemy?! Odcięci! Nie wiadomo, na jak długo, ale kompletnie odcięci... Jak długo oni nas tu mogą trzymać?

Na twarzy pana Barnstaple'a odmalowało się zamyślenie.

— Czy jest pan pewny, że oni będą nas w ogóle mogli odesłać z powrotem? — zapytała lady Stella.

— Zdaje się, że to trochę wątpliwe. Choć z drugiej strony są oni tak zdumiewająco mądrzy.

— Takeśmy się tu łatwo znaleźli. Zupełnie jakby się minęło zakręt. Naturalnie, ściśle biorąc, zostaliśmy wyrzuceni poza nawias czasu i przestrzeni... W wyższym nawet stopniu niż umarli... Biegun Północny lub Afryka Środkowa są o cały wszechświat bliżej naszych domów, niż my jesteśmy... Trudno to pojąć. W blaskach tego słońca wszystko wydaje się takie jasne i zwyczajne... A jednak tej nocy przychodziły na mnie takie chwile, że o mało nie krzyczałam...

Urwała i popatrzyła ku brzegowi, po czym zaczęła z poważną minką wciągać nosem powietrze.

Pan Barnstaple poznał szczególnie ostry i apetyczny zapach, dolatujący od strony lądu.

— Tak — powiedział.

— To boczek na śniadanie! — zawołała trochę piskliwym głosem lady Stella.

— Tak właśnie, jak im powiedział pan Burleigh — rzekł wioślarz, automatycznie wykręcając łódkę ku brzegowi.

— Boczek na śniadanie! To dobry znak, znak bezpieczeństwa... Może to ostatecznie było naprawdę niemądrze, że się tak bałam. Aha! dają nam znaki!

Podniosła rękę.

— Greeta w białej sukni, tak, jak pan przepowiedział — i pan Mush, ubrany w rodzaj togi, właśnie z nią rozmawia... Skąd on wzięł tę togę?

Dobiegło ich słabe echo nawołujących głosów.

— Wra-camy! — krzyknęła lady Stella. — Mam nadzieję, że nie dałam się ponieść pesymizmowi — rzekła, zwracając się do towarzysza. — Ale w nocy tak mi było straszno.

Księga druga

Kwarantanna na skale

Rozdział pierwszy

Epidemia

|

Na drugi dzień po wylądowaniu naszej małej ziemskiej gromadki na Utopię padł cień wielkiej epidemii. Już więcej niż od dwudziestu wieków Utopianie cieszyli się zupełnym bezpieczeństwem od wszelkiego rodzaju zakaźnych chorób. I nie tylko tyczyło się to poważniejszych epidemicznych gorączek i różnych chorób skórnych, zatruwających

życie ludzi i zwierząt, ale także wszystkich mniejszych zaraźliwych niedomagań, przeziębień, kaszłów, influency itp. Wszystkie te plagi zostały opanowane i raz na zawsze usunięte ze świata. Dzięki izolacji, kontroli osobników zarażonych i innym środkom fatalne zarazki zostały umiejscowione i skazane na wymarcie.

W ślad za tym nastąpiło odpowiednie przeobrażenie w fizjologii Utopian. Wydzieliny gruczołów i reakcje organizmu, uodporniające go przeciw zakażeniom, uległy częściowemu zanikowi; energia, jaka się w nich ujawniała, znalazła zastosowanie w pożyteczniejszych zakresach. Fizjologia Utopian, uwolniona od tych czysto obronnych konieczności, uprościła się i stała się dużo bezpośredniejszą i sprawniejszą. To pokonanie chorób zakaźnych tak dawno już przeszło do historii, że tylko ci, którzy specjalizowali się w zakresie dziejów patologii, wiedzieli coś niecoś o niedoli, jaką ludzkość przez nie wycierpiała, lecz nawet ci specjaliści nie zdawali się jasno orientować, do jakiego stopnia rasa utopijna straciła odporność na zarazę. Zdaje się, że pan Rupert Catskill był pierwszą osobą, która pomyślała o tej utraconej odporności. Pan Barnstaple przypomniał sobie, że kiedy się spotkali pierwszego poranka ich pobytu w Parku Konferencyjnym, Catskill wspominał coś o tym, że natura w jakiś nieokreślony sposób stanie po ich stronie.

Jeżeli uczynienie ich szkodliwymi dla Utopii miało oznaczać faworyzowanie ich przez naturę, to rzeczywiście była ona po ich stronie. Wieczorem drugiego dnia po ich przybyciu prawie wszyscy Utopianie, którzy byli w kontakcie z ziemskimi gośćmi, z wyjątkiem Lychnis, Serpentina i trzech czy czterech innych ludzi, którzy widocznie zatrzymali w organizmach część pradawnych antytoksyn, leżeli w gorączce, kaszlący, z obolałymi gardłami, rwaniem w kościach, bólem głowy i w ogóle tak fizycznie złamani i znękani, jak się to nikomu nie zdarzyło w Utopii od dwudziestu już stuleci. Pierwszym mieszkańcem Utopii, który przypieczętował to śmiertelnie, był ów lampart, który powąchał rękę pana Ruperta Catskilla zaraz po jego przybyciu. Drugiego ranka po tym incydencie znaleziono go nieżywego z niewiadomego powodu. Zaś po południu tego samego dnia jedna z dziewcząt, która pomagała lady Stelli odpakowywać rzeczy, zachorowała nagle i umarła...

Utopia była mniej nawet przygotowana na wybuch zarazy niż na wizytę ziemskich ludzi, którzy ją z sobą przywieźli. Potworna ilość szpitali, ogólnych i zakaźnych, lekarzy, aptek itp., cechująca ostatni wiek zamętu dawno już przeszła do historii. Istniało chirurgiczne pogotowie w razie wypadków i nadzór nad zdrowiem młodzieży, a nadto miejsca wypoczynkowe, gdzie doglądano zgrzybiałej starości, nic to jednak nie miało wspólnego z akcją sanitarną, która niegdyś walczyła z chorobami.

I nagle ni z tego ni z owego inteligentne mózgi Utopian musiały z powrotem podjąć splot problemów, dawno już rozwiązanych i zaniechanych, zaimprovizować zapomniane aparaty i organizacją dezynfekcyjno–lecniczą i powrócić do wszystkich środków dyscyplinarnych wojny z chorobami, jakie dwadzieścia wieków temu charakteryzowały pewną epokę w historii tejże wojny. W samej rzeczy przyniosła ona Utopii pewne stałe korzyści. Wytępiono prawie wszystkie owady przenoszące zarazki i rozwiązano pomyślnie problemy sanitarne, związane ze szczurami, myszami i niechlujnymi gatunkami małych ptaszków. To ograniczyło zdecydowanie szerzenie się nowych infekcji

oraz rodzaje infekcji, jakie się mogły szerzyć. Obecnie Ziemianie byli w stanie zarazić Utopian tylko takimi chorobami, których zarazki można było wydzielać na odległość przez oddech lub przekazywać za pomocą dotyku. Chociaż nikt z przybyszów nie był chory, nie ulegało wątpliwości, że któryś z gości przyniósł Utopii odrę, a trzech czy czterech posieli dawno wytępioną influencę. Sami zbyt zahartowani, by chorować, stali się źródłami dwóch epidemii, podczas gdy Utopianie, ich ofiary, za pośrednictwem kaszlu, kichania, pocałunków i szeptów roznosili je po całej planecie. Dopiero po południu drugiego dnia po przybyciu Ziemian Utopia zdała sobie sprawę z tego, co się stało, i zabrała się do walki z tą zapomnianą już barbarzyńską klęską.

II

Pan Barnstaple dowiedział się o epidemii prawdopodobnie ostatni z Ziemian. Znajdował się właśnie z dala od reszty towarzystwa na samotnej wycieczce.

Wprędce zdał sobie sprawę, że Utopianie nie mają bynajmniej zamiaru poświęcać wiele czasu czy wysiłków na podniesienie moralno–umysłowego poziomu swych ziemskich gości. Po wyjaśnieniu, jakie miało miejsce po południu w dzień ich przybycia, nie robiono już żadnych dalszych prób objaśniania im konstytucji i metod Utopii i zadano tylko parę krótkich pytań, dotyczących się stanu ziemskiego społeczeństwa. Ziemianie, pozostawieni prawie ciągle samym sobie, mieli czas na obszernie omawianie wszelkich wydarzeń. Kilku Utopianom najwidoczniej polecono czuwać nad ich wygodami i potrzebami, nie zdawali się oni wszakże uważać, żeby ich obowiązki rozciągały się aż do nauczania i zabawiania gości.

Pana Barnstaple'a irytowały bardzo niektóre uwagi i krytyki towarzyszy tej doli czy niedoli, uległ więc wrodzonemu impulsowi i postanowił zbadać Utopię na własną rękę. W obszernej równinie, rozciągającej się poniżej jeziora, która mignęła mu w trakcie lądowania aeroplanu w Dolinie Konferencji, było coś uroczego, co działało mu na wyobraźnię. Toteż na drugi dzień wziął małą łódkę i popłynął przez jezioro; ciekaw był grobli, zatrzymującej jego wody, oraz widoku, rozciągającego się z nasypu tamy na wielką równinę.

Jezioro było o wiele szersze, niż mu się początkowo zdawało, a grobla dużo większa. Woda zachwycała krystaliczną przejrzystością. Była bardzo zimna i uboga w ryby. Wypłynął zaraz po śniadaniu, ale nim dobił do ogromnej tamy i objął wzrokiem niższą część doliny i wielką równinę, zrobiło się prawie południe.

Grobła zbudowana była z olbrzymich bloków czerwonej, porysowanej złotymi żyłkami skały. Biegła po jej wierzchu droga, do której wiodły schodki, umieszczone w określonych odstępach. Wielkie siedzące postacie, patrzące w zadumie na dalekie równiny, zostały tu umieszczone jakby w przystępie artystycznej swawoli. Odnosiło się wrażenie, że te kolosalne figury, pół–ludzie, a pół–skały, siedzą tu w zadumie lub na straży czegoś. Pan Barnstaple doszedł do przekonania, że wysokość ich musiała dochodzić do jakich dwustu stóp; zmierzwszy zaś za pomocą kroków odległość jednej od drugiej i policzwszy następnie wszystkie posągi, wywnioskował, że długość grobli wynosiła przypuszczalnie od siedmiu do dziesięciu mil. Na dalszym planie grobla opadała prostopadle w blisko pięciusetstopową przepaść, od strony której podpierał ją szereg

olbrzymich filarów, przechodzących prawie niedostrzegalnie w zwykłą skałę. W zatoczkach między tymi filarami huczały wielkie baterie turbin wodnych, spod których, dokonawszy pierwszego zadania, spływała spieniona, wzburzona woda, by się zebrać w drugim szerokim jeziorze, zabezpieczonym drugą wielką groblą, leżącym o jakie dwie mile dalej i może o tysiąc stóp niżej. Jeszcze dalej widać było trzecie jezioro, trzecią tamę, a potem dopiero równinę. Wśród tych tytanicznych robót inżynierskich widać było tylko trzech czy czterech miniaturowych z tej odległości Utopian.

Pan Barnstaple stał niby malutki pionek w cieniu zadumanego kolosa i poprzez bliższe przedmioty spoglądał na mglistą dal równiny.

Jaki rodzaj życia pulsował tam daleko? Stosunek gór do równiny przypominał mu silnie Alpy i wielką równinę północnej Italii, przez którą nieraz wędrował za młodości lat w czasie letnich wakacji. Tam wiedział z góry, że dalekie płaszczyzny znajdzie urozmaicone ludnymi miastami, wioskami i starannie nawodnionymi i uprawionymi polami. Gęsta ludność pracowała tam z mrówczą zapobiegliwością nad produkcją żywności. Liczba jej wzrastała, dopóki nieuniknione następstwa przeludnienia — choroby i epidemie nie ustaliły pewnego stosunku między powierzchnią kraju i liczbą rodzin, mozolących się nad zdobyciem pożywienia. Pracujący ciężko człowiek może wytworzyć więcej produktów spożywczych, niż ich jest w stanie skosztować, a cnotliwa kobieta może urodzić więcej dzieci, niż potrzeba ich do pracy na roli; rezultatem tego jest gromadzenie się nadwyżkowej bezrolnej ludności w miastach i miasteczkach o charakterze pasożytniczym i oddawanie się takim zajęciom, jak prawne i finansowe operacje, szkodliwe dla rolnictwa, i fabrykowanie artykułów przemysłowych w podłym gatunku.

Dziewięćdziesiąt dziewięć procent ludności od dzieciństwa do starości oddawało się ciężkiej pracy, zwanej „zarabianiem na życie”. Wszędzie wznosiły się kościoły i świątynie, wyraz rzekomej wiary w jakieś magiczne pośrednictwa utrzymujące pasożytnicze hordy księży, mnichów i zakonnic. Jedzenie i rozmnażanie się, zwykła powszechna rutyna życia istniejąca od chwili powstania ludzkich społeczeństw, komplikacje ekonomiczne, wyszukany mechanizm chciwości i haracz, płacony strachowi — taki widok przedstawiała każda żyzna i ciepła strefa ziemi.

Czasami zdarzały się przebłyski śmiechu i humoru, krótkie świąteczne wytchnienia, buzowanie płomiennej młodości przed zagaśnięciem w mozolach dojrzałego wieku. Dominującą wszakże nutę stanowiła nieustanna ciężka praca, gniewy i nienawiści wynikające z przeludnienia, wieczysty strach przed nędzą... Zgrzybiałość następowała w sześćdziesiątym roku życia; czterdziestoletnie kobiety były już stare i zniszczone. Jednak ta utopijna leżąca tam w dole równina, chociaż żyzna i zalana słońcem, podlegała innemu prawu. Tu skończyła się już raz na zawsze ta pospolita ludzka dola, starożytna tradycja, sędziwe żarty i opowieści, przekazywane z pokolenia w pokolenie, sezonowe święta, pobożne trwogi i spazmatyczne chwile odprężenia, ograniczone, a żałośnie trwałe dziecinne nadzieje, straszliwa nędza, tragiczna jałowość i czczość istnienia. Ten starszy świat pozbył się tego wszystkiego na wieczność. Potężny przypływ powszedniego, szarego, pospolitego życia cofnął się i zniknął, pomimo że ziemia pozostała urodzajna, żyzna i słońce świeciło jak zawsze. Pan Barnstaple doznał uczucia

trwożnej czci na myśl o tym, jak w ciągu krótkiego okresu paru stuleci wyplewiono do czysta zachwaszczone rozłogi życia, jak mocno, z jaką straszną odwagą umysł człowieka rzucił na szalę duszę, ciało i przeznaczenie i oświadczył życiem i przeznaczeniem rasy. Zrozumiał, że sam jest istotą przejściową, pogrążoną głęboko w rutynie starego życia, a sympatyzującą z nowymi ideami, które na ziemi zaczęły zaledwie świtać. Od dawna już zdawał sobie sprawę z intensywnego wstrętu i nienawiści, żywionych do cuchnącego chłopskiego życia, będącego naszą przeszłością. Teraz po raz pierwszy uprzytomnił sobie, jak szalenie lęka się wzniesłego surowego życia Utopii, jakie leży przed nami w mgławicach przyszłości. Ten świat tutejszy wydawał mu się bardzo czysty i straszny. Co się tam dzieje na tej dalekiej równinie? Jak się tam przedstawia codzienne życie ludzi?

Poznał już na tyle Utopię, żeby przewidzieć, że cały kraj podobny jest do ogrodu, w którym podkreślono i rozwinięto wszelkie przyrodzone skłonności do piękna, a poprawiono i usunięto to, co z natury skłaniało się do brzydoty. Ci ludzie potrafili pracować i walczyć o piękno — o tym wiedział — dwaj hodowcy róż pouczyli go. Tu krzątali się pilnie ludzie, czuwając nad żywnością, nad kwestią mieszkaniową i nad ogólnym biegiem spraw, utrzymując ekonomiczny mechanizm życia w takim stanie sprawności, że nie słyszało się ani szczęku, ani zgrzytów, ani wewnętrznych trzasków, stanowiących dominującą nutę ziemskich spraw i działań. Skończył się okres ekonomicznych sporów i eksperymentów. Znalaziono odpowiedni sposób załatwiania spraw. I ludność Utopii, która w pewnej fazie spadła do zaledwie dwustu milionów, teraz znów wzrastała proporcjonalnie do zwiększających się źródeł utrzymania i dobrobytu. Rasa, uwolniwszy się od tysiąca bolączek, które w przeciwnym razie rosłyby wraz z jej wzrostem, mogła rozwijać się i kwitnąć.

Tam daleko w dole, w osnutej błękitnymi oparami rozległej dolinie prawie wszyscy ci, którzy nie pracowali nad produkcją żywności, nad architekturą, zdrowiem, wychowaniem młodego pokolenia, skoordynowaniem różnorodnych czynności, oddawali się twórczej pracy, badając niezmordowanie świat wewnętrzny i świat zewnętrzny za pomocą metod naukowych i twórczości artystycznej. Bezustannie powiększali zbiorową władzę nad życiem oraz jego istotną wartość.

Pan Barnstaple zwykł był wyobrażać sobie nasz ziemski świat jako dziki pęd wynalazków i wiedzy, pojął wszakże, że całej sumy ziemskiego postępu w ciągu stuletniego okresu nie można było porównać z jednorocznym zrywem tych milionów zrzeszonych inteligencji. Wiedza gnała tu naprzód, wciąż naprzód i ciemności pierzchały jak cienie chmur w czasie wietrznej pogody.

Tam w dole badano minerały śpiące w łonie planety i tkano sieć do złowienia w nią gwiazd i słońca. Życie szło tu naprzód, strach było pomyśleć jak ogromnymi krokami. Strach — dlatego, że na dnie umysłu pana Barnstaple'a jak na dnie wielu inteligentnych umysłów naszego świata czaiło się przekonanie, że niebawem wszystko zostanie poznane i naukowy proces dojdzie do końca. I wtedy będziemy szczęśliwi, na zawsze, na zawsze...

Nie żył się z ideą postępu w całym tego słowa znaczeniu, nie wrosła mu ona w mózg i w serce. Zawsze wyobrażał sobie Utopię jako wielki spokój i definitywne ustalenie

wszystkiego. Nawet teraz, pod osłoną oparów, na równinie zdawał się panować spokój, wiedział wszakże, że to był spokój równomiernego biegu młyńskiego koła, które w swym cichym rozpędzie wydaje się prawie nieruchome, dopóki bąbelki wody, płatek piany lub rzucony na wodę listek nie objawi jego szalonej szybkości.

Jakież to musiało być dziwne uczucie — żyć w Utopii?! Życie tutejszego ludu musi być zbliżone do egzystencji .bardzo dobrze prosperujących artystów lub uczonych badaczy naszego świata, musi być ciągłym ożywczym odkrywaniem nowych rzeczy, bezustanną przygodą i poznawaniem nieznanego i niedoświadczonego. Dla odpoczynku podróżowano po planecie. W Utopii życie pienilo się miłością, śmiechem i przyjaźnią. Życie towarzyskie było łatwe, bogate, pełne szczerości i prostoty. Gry, nie pociągające za sobą fizycznego wysiłku, owe namiastki umysłowego wysiłku i badań, przeznaczone dla płytkich półgłówków, wyszły zupełnie z użycia, ale uprawiano wiele ruchliwych gier dla rozrywki i nabycia siły i sprawności... Musiało to być wspaniałe życie dla tych, którym je wpojono przez wychowanie; doprawdy, życie godne zazdrości.

Nade wszystko musiało je przenikać szczęśliwe poczucie celowości, pociągające za sobą nieskończone konsekwencje. I kochali ci ludzie, niewątpliwie potrafili kochać, subtelnie i słodko — lecz może trochę surowo. Może na tych dalekich równinach trudno było o litość lub czułość. Mieszkały tu istoty promienne i cudowne — tylko nie współczujące. Ta cecha wcale tu nie była potrzebna...

Jednakże kobieta, imieniem Lychnis, wyglądała na dobrą...

Czy ci ludzie byli sobie wierni? Czy potrzebowali być sobie wierni tak jak ziemscy kochankowie? Czym była utopijna miłość? Kochankowie szeptali tu ze sobą o zmierzchu tak jak na ziemi... Co było istotą miłości? Upodobanie, słodka duma, zyskanie rozkosznego daru, wspaniałe poczucie pewności ciała i umysłu...

Co to musiało być za uczucie kochać i być kochanym przez jedną z Utopianek? Tulić do twarzy jej gorejącą twarzyczkę, pulsować życiem pod żarem jej pocałunków?...

Pan Barnstaple siedział bosy w flanelowym garniturze w cieniu kamiennego kolosa. Czuł się niby malutki zabłąkany robaczek, siedzący na ogromnej grobli. Wydawało mu się niemożliwością, żeby ta triumfująca rasa Utopian mogła kiedy podupaść i osłabnąć w swych wspaniałych zapasach z naturą, w swym dążeniu do podbicia wszechbytu. Świat wspiał się tu na straszliwe wyżyny i piał się stale i niezmordowanie. Z pewnością bezpieczne i pewne było to, co osiągnął dotąd, a przecież cała ta niesłychana pewność i władza nad naturą dokonały się w krótkim okresie trzech tysięcy lat...

Rasa nie mogła się była zasadniczo zmienić przez tak nieznaczny przeciąg czasu. W istocie swej była to jeszcze rasa z epoki kamiennej, i od dni, w których nie znała metali i nie umiała czytać ani pisać, nie dzieliło jej jeszcze dwadzieścia tysięcy lat. Głęboko na dnie jej natury, powstrzymane i nierozwinięte, spoczywały dotąd zarodki gniewu, strachu i niezgody. W Utopii musiało się jeszcze ostać wiele niespokojnych i niesfornych duchów. Eugenika zaledwie się narodziła. Stała się mu w myśli żywa, słodka twarzyczka dziewczeczki, która rozmawiała z nim w gwiazdzisty wieczór w dzień przybycia do Utopii, i zabrzmiał w uszach ton jej romantycznie drżącego głosu, gdy zapytała, czy lord Barralonga nie był mocarnym i okrutnym człowiekiem. Czyż chochlik romantyzmu nawiedzał jeszcze wyobraźnię tutejszych ludzi? Może tylko młodzieńczą imaginację.

Czy wśród tego wspaniałego porządku nie był już możliwy jakiś wielki wstrząs lub nowa faza zamętu? Czyż nie mogło się zdarzyć, że ich system edukacyjny pod wpływem znużenia dyscypliną załamał się, by paść ofiarą tendencji eksperymentalnych? Któż może zaręczyć, że nieprzewidziane nie czai się w ukryciu i nie grozi tej rasie? Przypuśćmy, że religijny ferwor ojca Amertona okazałby się zaraźliwy lub że nieuleczalne pragnienie fantastycznych przygód i przeżyć, nękające pana Ruperta Catskilla, zapadłoby w serca Utopii?

Nie! Tego nie można było sobie wyobrazić. Osiągnięcia tego świata były zbyt pewne i wielkie.

Pan Barnstaple wstał i zeszedł po stopniach olbrzymiej tamy do miejsca, gdzie na przejrzystej wodzie kołysała się jego mała łódka niby drobny płatek kwiatu.

III

Zauważył, że na placach Parku Konferencyjnego zapanował duży ruch.

W powietrzu krążyło więcej niż trzydzieści aeroplanów, które to spadały, to wznosiły się w górę, a drogą wiodącą przez wąwóz gnały w tę i w tamtą stronę liczne ogromne białe wehikuly. Ludzie zdawali się krążyć żwawo między domami, ale z tej odległości nie można było rozróżnić, co właściwie robili. Przez chwilę przyglądał się niezrozumiałej scenie, a potem wsiadł do łódki.

W drodze powrotnej przez jezioro nie mógł obserwować, co się działo na lądzie, gdyż zwrócony był plecami do zboczy wzgórz; raz tylko aeroplan zniżył się tuż, tuż nad nim, przy czym zdołał zauważyć, że pilot przygląda się jego wiosłowaniu. A potem znów, gdy obejrzał się na wybrzeże, przestawszy na chwilę wiosłować dla nabrania tchu, ujrzał dwóch ludzi, niosących, jak mu się zdawało, parę noszy.

Kiedy znajdował się już blisko brzegu, wyjechała mu na spotkanie druga łódka. Zdziwił się ogromnie na widok jadących nią ludzi, przybranych w przyrządy, podobne do szklanych hełmów ze spiczastymi białymi daszkami. Zdumiał się i zdetonował.

W miarę, jak się zbliżali, zabrzmiały mu w mózgu przesłane przez nich słowa.

— Kwarantanna. Musisz poddać się kwarantannie. Wy, ziemscy goście, wywołaliście u nas epidemię i musicie się teraz koniecznie poddać kwarantannie.

A więc te szklane hełmy były czymś w rodzaju masek gazowych!

W momencie spotkania się dwóch łódek zauważył, że się nie omylił. Hełmy zrobione były z substancji niesłychanie giętkiej i zupełnie przezroczystej...

IV

Przeprowadzono go obok kilku sypialnych loggii, gdzie leżeli w łózkach Utopianie, koło których kręcili się inni w gazowych maskach. Stwierdził naocznie, że wszyscy Ziemianie i ich rzeczy z wyjątkiem samochodów zostali sprowadzeni do gmachu, w którym odbyła się konferencja. Dowiedział się również, że całe towarzystwo miało być przewiezione do innego miejsca w celu izolacji i dezynfekcji.

Jedyni dwaj obecni Utopianie byli w maskach gazowych. Przechadzali się oni po otwartym portyku, przy czym z zachowania ich i postawy widać było, że pełnią funkcję strażników czy też wartowników. Ziemscy goście odczuli to w nieprzyjemny sposób.

Wszyscy siedzieli nie razem, lecz rozrzućeni po sali małymi grupkami oprócz pana Catskilla, który gadając krążył tam i z powrotem po absydzie. Był podniecony, zaczerwieniony, bez kapelusza, z włosami w nieładzie.

— Stało się tak, jak przewidziałem — powtarzał. — Czyż nie powiedziałem, że natura będzie po naszej stronie? Czyż nie mówiłem?

Pan Burleigh był wstrząśnięty i próbował argumentować.

— Słowo honoru, nie pojmuję, gdzie tu jakaś logika — perorował. — Jesteśmy tu jedynymi — absolutnie jedynymi odpornymi na zarazę ludźmi — i — i to my mamy być izolowani.

— Oni mówią, że się od nas zarazili — wtrąciła lady Stella.

— Dobrze — odparł pan Burleigh, gestykulując długą, białą ręką. — Dobrze, więc w takim razie ich trzeba izolować. To są chińskie metody; wszystko do góry nogami. Doprawdy, zawiodłem się na nich.

— Ja jestem zdania, że jest to, bądź co bądź, ich świat — zauważył pan Hunker — i musimy robić tak, jak im się podoba.

Pan Catskill zwrócił się do lorda Barralongi i dwóch szoferów.

— Cieszę się z takiego obrotu sprawy. Bardzo się cieszę.

— Co mówisz, Rupercie? — rzekła jego lordowska mość. — Tracimy przecież swobodę ruchów, swobodę działania.

— Wcale nie — odparł pan Catskill. — Wcale nie. Zyskujemy ją właśnie. Mamy być izolowani. Mamy być przewiezieni na jakąś wyspę czy górę i pozostawieni samym sobie. Dobrze. Doskonale. Znakomicie. To jest dopiero początek naszych przygód. Zobaczmy to... co zobaczymy.

— Ale jakim sposobem?

— Poczekaj. Teraz nie mogę mówić swobodnie... Ich postępowanie wskazuje na panikę, epidemia dopiero się zaczęła... Wszystko się dopiero zaczęło. Wierz mi.

Pan Barnstaple usiadł zasępiiony przy swojej walizce, unikając wyzywających oczu pana Catskilla.

Rozdział drugi

Zamek na skale

|

Miejsce, gdzie Ziemianie mieli odbyć kwarantannę, musiało być znacznie oddalone od Parku Konferencji, gdyż podróż ich trwała prawie sześć godzin i przez cały czas lecieli bardzo wysoko i bardzo szybko. Wszyscy znajdowali się w jednym samolocie, który był tak obszerny i wygodny, że mógł pomieścić może cztery razy tyle pasażerów.

Towarzyszyło im około trzydziestu Utopian w maskach gazowych, między nimi dwie kobiety. Piloci mieli na sobie ubrania z białej wełnistej substancji, która wzbudziła zainteresowanie i zazdrość obu Ziemianek, zarówno panny Grey, jak lady Stelli. Samolot przeleciał nad doliną, nad wielką równiną, nad wąskim morzem i drugim lądem o skalistym wybrzeżu i gęstym zalesieniu, wreszcie nad ogromną przestrzenią pustego oceanu. Na jego wodach nie zauważyli prawie żadnych okrętów. Pan Barnstaple pomyślał, że żaden ziemski ocean nie był tak mało uczęszczany. Tylko parę razy spotkali

kołyszące się na falach olbrzymie statki, zupełnie niepodobne do ziemskich okrętów, przypominające raczej olbrzymie platformy czy tratwy, i parę razy prawdopodobnie łodzie towarowe — tak to przynajmniej wyglądało — z masztami i żaglami. Powietrze było również puste i mało uczęszczane. Od chwili, gdy ziemia znikła im z oczu, aż do momentu lądowania spotkali tylko trzy aeroplany.

Przebrunęli nad dość gęsto zaludnionym, pięknym pasem pobrażnym i znaleźli się nad jałową, najwidoczniej pustynną okolicą; był to widać kraj kopalni i przeprowadzano tu olbrzymie roboty inżynierskie. W oddali rysowały się wyniosłe góry śnieżne, ale aeroplan spuścił się w dół, nim do nich dojechali. Przez czas jakiś lecieli nad olbrzymimi zwałami żużlowatych odpadków, które robiły wrażenie wyrzuconych z olbrzymiego, podobnego do studni szybu, idącego w głąb planety na nieznaną głębokość. Z otchłani tej dolatywał straszliwy huk maszyn i kłęby dymu. Wokoło uwijały się tłumy robotników, którzy, jak się zdawało, mieszkali w obozowiskach rozbitych wśród rumowisk. Najwidoczniej pracownicy ci przybyli tutaj, pociągnięci urokiem samej pracy. Domów nie było widać ani śladu. Aeroplan wiozący Ziemiaków okrążył okolicę i wzniósł się nad skalistą, prawie bezdrzewną pustynią, pociętą prostopadłymi wąwozami typu kanionów. Ludzi tu było niewiele, ale za to rzucały się w oczy liczne dowody robót inżynierskich. Nad każdym strumieniem, każdym wodospadem huczała turbina. Grube kable biegły wzdłuż krawędzi skalnych i dalej przez pustynne obszary. W rozleglejszych wąwozach zieleń sosen — i dość obfita liściasta roślinność.

Wysoki skalisty szczyt, będący celem ich podróży, miał kształt prawie zupełnie odosobnionego klina, sterczącego w rozwidleniu dwóch zbiegających się kanionów. Wystrzelał może na jakie dwa tysiące metrów nad poziom terenu, górując nad szumiącymi i pieniającymi się u jego stóp potokami; potężna bryła zielonawych i purpurowych skał, pociętych i porysowanych pęknięciami i białymi krystalicznymi żyłkami. Wąwóz z jednej strony był o wiele bardziej stromy niż z drugiej, krawędź jego tak zwisała nad głębiną, że panowały tam ciemności prawie jak w tunelu, tutaj też w odległości jakich stu stóp od szczytu skały wisiał nad otchłanią lekki most, zbudowany z metalu. Kilka jardów wyżej widać było występy, będące może pozostałością dawniejszego kamiennego mostu. Od tyłu skała opadała prostopadle na kilkaset stóp w dół i przechodziła w rozległą pochyłość, pokrytą skąpą roślinnością. Pochyłość ta zlewała się następnie z główną masą górską, ze ścianą skalną o płaskim wierzchołku.

Na tej to pochyłości wylądował aeroplan jednocześnie z trzema czy czterema mniejszymi powietrznymi wehikułami. Na szczycie skały widniały wyniosłe ruiny starego zamku. W obrębie jego murów tuliła się grupa budowli, w których do niedawna pracowali chemicy. Ich eksperymenty i badania, mające związek z atomową budową materii, zupełnie niezrozumiałe dla pana Barnstaple'a, zostały zakończone, i miejsce to opustoszało. Laboratorium było jeszcze przepelnione przyrządami i materiałami służącymi do doświadczeń. Wodą i elektrycznością doprowadzono tu z wąwozu za pośrednictwem kabli i rurek. Znajdowały się tu również obfite zapasy żywności. Gromada Utopian pracowała pilnie, przystosowując miejsce do nowego celu izolacji i dezynfekcji przybywających. Ukazał się Serpentyń w towarzystwie człowieka w masce gazowej, nazwiskiem Cedr. Cedr był cytologiem, któremu powierzono urządzenie zaimprovizowanego sanatorium.

Serpentyn wyjaśnił, że sam osobiście pofrunął naprzód na skałę, gdyż znał się na miejscowych urządzeniach i wiedział, na czym polegały odbywające się tam uprzednio badania, a oprócz tego jego znajomość Ziemiań i względna odporność na rozsiewane przez nich zarazki umożliwiały mu przyjęcie roli pośrednika między nimi i lekarzami, którzy mieli się nimi zaopiekować. Objasnień tych udzielił panom Burleighowi, Barnstaple'owi, Hunkerowi i lordowi Barralondze. Inni Ziemiań stali opodal w małych grupach obok aeroplanu, z którego wysiedli, przyglądając się z nie bardzo tęgimi minami uwieńczonemu zamkiem szczytowi skały, nędznym krzewom, zarastającym jałowe zbocze, i wyniosłym ścianom skalnym sąsiednich kanionów.

Pan Catskill odszedł na bok i stanąwszy prawie na samym zrębie ogromnego kanionu z rękami z tyłu w napoleońskiej niemal postawie, zapatrzył się w zamyśleniu w jego bezsłoneczne głębiny. Powietrze dygotało od huku płynących dołem wód, który chwilami stawał się prawie niedostłyszalny.

Panna Greta Grey wydobyła nagle kodak. Przypomniała sobie o nim, pakując się do tej ostatniej podróży, i teraz zrobiła migawkowe zdjęcie całego towarzystwa.

Cedr oświadczył, że wytłumaczy wszystkim zasady metody kuracyjnej, jaką zamierza przeprowadzić, i lord Barralona zawołał na pana Catskilla: „Rupert!”, chcąc, żeby się przyłączył do grupy słuchaczy Cedra.

Cedr wypowiedział się równie jasno i zwięźle jak poprzednio Urthred. Było rzeczą niewątpliwą, oznajmił, że organizmy Ziemiań są zbiornikami różnorodnych zakaźnych bakterii, od których zabezpieczały ich uodporniające substancje, jakich brakło Utopianom, toteż spodziewali się oni zyskać odporność dopiero po ciężkiej i katastrofalnej epidemii. Jedyną drogą zapobieżenia spustoszeniu całej planety było po pierwsze zebranie w jedno miejsce wszystkich zarażonych celem izolacji i kuracji, co uczyniono, obróciwszy Park Konferencyjny w jeden olbrzymi szpital, a następnie rozciągnięcie kontroli nad ziemskimi gośćmi i izolowanie ich od Utopian aż do chwili oczyszczenia ich organizmów od niebezpiecznych zarazków. Uczony przyznał, że potraktowanie Ziemiań w ten sposób było rzeczywiście niegościnne, ale nie było innego wyjścia, jak przywieźć ich tutaj, w to szczególnie czyste i suche pustynne powietrze i tu obmyślić sposoby przeprowadzenia całkowitej dezynfekcji ich ciał. Jeżeli to jest w ogóle możliwe, rzecz ta zostanie przeprowadzona i wtedy Ziemiań będą znów mogli swobodnie krążyć po planecie, jak im się będzie podobało.

— Ale przypuśćmy, że się to okaże niemożliwe? — zagadnął zniecierpliwiony pan Catskill.

— Sądzę, że się to uda.

— Ale jeżeli się nie uda?

Cedr uśmiechnął się do Serpentina.

— Przeprowadza się w dalszym ciągu badania nad materia, w których celowali Arden i Greenlake, i niedługo będziemy w stanie powtórzyć ich eksperyment i wtedy go odwrócimy.

— Posługując się nami, jako surowym materiałem?

— Dopiero wówczas, kiedy się upewnimy, że będziecie mogli wylądować bezpiecznie na waszej planecie.

— Chcesz pan powiedzieć — rzekł pan Mush, który przyłączył się do grupy, otaczającej Cedra i Serpentina — Ze zamierzacie odesłać nas z powrotem?

— Jeżeli nie będziemy was mogli tu trzymać — odparł z uśmiechem Cedr.

— Rozkoszna perspektywa! — rzekł z niezadowoleniem pan Mush. — Zostać wystrzelonym w przestrzeń... eksperymentalnie.

— A czy wolno mi zapytać — zabrzmiał głos ojca Amertona — czy wolno mi zapytać, na czym będzie polegała wasza kuracja, tj. owe doświadczenia, przy których będziemy odgrywać, że się tak wyrażę, rolę świnek morskich. Czy to będzie coś w rodzaju szczepienia?

— Zastrzyki — wyjaśnił pan Barnstaple.

— Jeszcze nie jestem pewny — odparł Cedr. — Problem ten budzi z uśpienia zagadnienia, o których świat już od wieków zapomniał.

— Pozwolę sobie skonstatować na samym wstępie, że jestem zdecydowanym przeciwnikiem wszelkich szczepień — oznajmił ojciec Amerton. — Absolutnie. Szczepienie jest gwałtem zadawanym naturze. Jeżeli przedtem, zanim zstąpiłem na ten zdeprawowany świat, miałem jakieś wątpliwości, to teraz nie mam żadnych! Gdyby Bóg chciał, żeby owe rozcyny i serum istniały w naszych organizmach, to znalazłby naturalniejszy i odpowiedniejszy sposób wprowadzenia ich tam niż za pomocą strzykawki.

Cedr nie podjął wcale tej kwestii. Przeszedł do dalszych usprawiedliwień. Będzie musiał prosić Ziemiaków, żeby przez czas jakiś trzymali się w obrębie pewnych granic, a mianowicie, nie wychodzili dalej poza skałę niż na jej zbocza, stykające się z górami.

Następnie będzie odtąd rzeczą wykluczoną, żeby młodzież miała im usługiwać tak jak przedtem. Będą musieli sami sobie gotować i w ogóle sami się sobą zajmować.

Wszystkie potrzebne rzeczy znajdą na szczycie skały i on z Serpentinem udzieli im wszelkich niezbędnych wyjaśnień. Znajdą tam również obfite zapasy żywności.

— Więc mamy tu zostać sami? — zapytał pan Catskill.

— Na pewien przeciąg czasu. Kiedy przemyślimy cały ten problem, powrócimy do was i powiemy, co zamierzamy zrobić.

— Doskonale — rzekł pan Catskill. — Doskonale.

— Żałuję, że wysłałam pociągiem moją pannę służącą — zauważyła lady Stella.

— Mam na sobie ostatni czysty kołnierzyk — rzekł monsieur Dupont z ironicznym grymasem... — To wcale nie żart ta wycieczka z lordem Barralonga.

Lord Barralonga zwrócił się nagle do swego szofera:

— Zdaje mi się, że Ridley jest bardzo dobrym kucharzem.

— Dlaczego, mogę spróbować — odparł Ridley. — Robiło się niejedno, raz nawet jeździłem na lokomotywie.

— Człowiek, który potrafi utrzymać w porządku jedną z tych... tych maszyn, potrafi wszystkiego dokazać — rzekł z wielkim wzruszeniem Penk. — Nie mam nic naprzeciwno, żeby być dziewczką do wszystkiego przy panie Ridleyu na jakiś czas. Zacząłem swoją karierę w kredensie i nie wstydzę się do tego przyznać.

— Jeżeli ten dżentelmen pokaże nam, gdzie stoją garnki — wtrącił Ridley, wskazując na Serpentina.

— Właśnie — dodał Penk.

— I jeżeli my wszyscy będziemy sprawiali możliwie mało kłopotów — powiedziała odważnie panna Greta.

— Myślę, że damy sobie jakoś radę — rzekł do Cedra a pan Burleigh — jeżeli na początek udzieli nam pan trochę rad i pomocy.

II

Cedr i Serpentyń pozostali z Ziemianami na skale kwarantanny aż do późnego popołudnia. Pomogli przygotować kolację i zastawili ją na zamkowym dziedzińcu. Odjechali, przyobiecawszy, że się zjawią na drugi dzień rano. Ziemianie przypatrywali się, jak wzbili się w niebo razem z innymi towarzyszącymi im aeroplanami.

Pan Barnstaple stwierdził ze zdziwieniem, że odjazd ich ogromnie go zasmucił. Miał wrażenie, że towarzysze jego knują jakieś fatalne plany i że usunięcie się Utopian rozwiązało im ręce. Pomógł lady Stelli zrobić omlet, a po podaniu go musiał odnieść z powrotem do kuchni półmisek i patelnię, tak że ostatni zasiadł do stołu. Stwierdził, że to, czego się obawiał, już się zaczęło.

Pan Catskill zdążył skończyć tymczasem kolację i stał właśnie z nogą opartą o ławkę, przemawiając do całej kompanii.

— Pytam was, panie i panowie — perorował — pytam was, czy przygoda dnia dzisiejszego nie jest wyraźną wskazówką przeznaczenia? Nie bez powodu to miejsce było w starożytnych czasach fortecą. I może się nią stać z powrotem. Tak — fortecą... W tak śmiałej przygodzie, wobec której zbledną dzieje Corteza i Pizarry jak świece przy słońcu!

— Mój kochany Rupercie! — wykrzyknął pan Burleigh. — Coś ty sobie znów wbił w głowę?

Pan Catskill zrobił dramatyczny gest dwoma palcami:

— Podbój nowego świata!

— Wielki Boże! — wykrzyknął pan Barnstaple. — Czyś pan oszalał?

— Tak jak Clive — odparł pan Catskill — lub sułtan Baber, kiedy maszerował do Panipatu.*

— Jest to pomysł niesłychany — zauważył pan Hunker, który zdawał się już być przygotowany na tę wypowiedź — ale skłaniam się do udzielenia mu posłuchu. O ile się orientuję w sytuacji, mamy poza tym alternatywę, że nas wyszorują i wytną z wierzchu i od środka i wystrzelą z powrotem na ziemię — ryzykując, że w drodze rozbijemy się o coś twardego. Powiedz im pan, panie Catskill!

— Powiedz im — rzekł lord Barralunga, który również był już przygotowany. — Przyznaję, że to hazard, ale są sytuacje, w których człowiek musi albo grać, albo być stawką. Ja jestem za akcją.

— To z pewnością hazard — dodał pan Catskill. — Na tym wąskim przyłładku, na tej niespełna kwadratowej mili ziemi ważą się losy dwóch wszechświatów. Nie czas na czułośćkliwość i paraliżującą oglądnosc. Szybki plan — błyskawiczna akcja...

— Och, wspaniale, cudowne! — wykrzyknęła panna Greta Grey, oplatając rękami kolana i przesyłając promienny uśmiech panu Mushowi.

— Ci ludzie — przerwał pan Barnstaple — wyprzedzili nas cywilizacyjnie o trzy tysiące lat. Jesteśmy jak garstka Hotentotów, których pokazuje w Earl's Court, przygotowujących się do zdobycia Londynu.

Pan Catskill z rękami na biodrach zwrócił się do pana Barnstaple'a z nadzwyczajnym wprost humorem.

— Oddalili się od nas o trzy tysiące lat... tak! Ale nie wyprzedzili nas! Tu się właśnie rozchodzą nasze zapatrywania. Pan powiada, że ci Utopianie są nadludźmi. Hm, nadludźmi... Ja nazywam ich de-ge-ne-ra-ta-mi. Pozwól pan, że mu wyłożę swoje zapatrywania w tym względzie. Uważam ich za degeneratów pomimo ich urody, wielkich materialnych i intelektualnych zdobyczy itd. Idealny lud, przyznaję... Ale cóż z tego?... Mój pogląd na nich jest taki, że doszli oni do szczytu i przeszli go, że trwają teraz jedynie na mocy prawa inercji i że stracili odporność nie tylko na choroby, ta ułomność będzie się coraz bardziej potęgowała, ale również szybkość orientacji i decyzji w razie nieprzewidzianych, katastrofalnych zdarzeń. Są delikatni. Za delikatni. Są bezsilni, niesprawni. Nie wiedzą, co czynić. Obecny tu ojciec Amerton zakłócił pierwsze porozumienie z nimi w sposób obraźliwy. (Wie ojciec, że to prawda. Wcale ojca za to nie ganią. Jest ojciec człowiekiem wrażliwym moralnie, a tam były rzeczy, które ojca mogły oburzyć.)

Pogrożono mu za to w taki sposób, w jaki stara, słabowita kobieta grozi małemu chłopcu. Coś z nim miano zrobić. Czy zrobiono?

— Przyszli do mnie na rozmowę mężczyzna i kobieta — odrzekł ojciec Amerton.

— I co ojciec wówczas zrobił?

— Zbiłem po prostu ich zarzuty. Podniosłem głos i zbiłem ich zupełnie z tropu.

— Cóż oni mówili?

— Cóż mogli mówić?

— Myśleliśmy wszyscy, że biednego ojca Amertona spotkają straszliwe rzeczy. Tak. A teraz weźmy poważniejszy wypadek. Nasz przyjaciel, lord Barralonga, leci jak szalony w swoim aucie... i zabija człowieka. Hm! Nawet u nas w kraju odebrano by mu prawo jazdy i skazano by go na grzywnę. A tutaj?... Zaledwie, że o tym wspomniano? Dlaczego? Dlatego, że nie wiedzą ani co na to powiedzieć, ani jak postąpić! Teraz znów wpakowali nas tutaj, z prośbą, żebyśmy byli grzeczni aż do czasu, kiedy do nas przyjdą robić nam jakieś zastrzyki, próbować, eksperymentować i już sam nie wiem co. I jeżeli im się poddamy, zgodzimy się na utratę naszej najgroźniejszej broni przeciwko nim, naszej władzy opierania się chorobom przy jednoczesnym ich udzielaniu i w dodatku może jeszcze mocy inicjatywy, która może iść w parze z tą fizjologiczną krzepkością, jakiej nas chca pozbawić. Mogą sobie żartować z naszych gruczołów wydzielania wewnętrznego, wiedza wszelako poucza nas, że właśnie te gruczoły wydzielają nasze „ja”, tworzą naszą osobowość. Zostaniemy po prostu unieszkodliwieni umysłowo i moralnie. Jeżeli ulegniemy, jeżeli ustąpimy. Przypuśćmy jednak, że się nie damy, co wtedy?

— Tak — powtórzył lord Barralonga — co wtedy?

— Nie będą wiedzieli, co zrobić. Nie dajcie się uwieść zewnętrznym oznakom piękna i sprawności. Ci ludzie żyją tak samo jak starożytni Peruwianie za czasów Pizarry, w stanie rozstroju, snu na jawie. Napili się obezwładniającego trunku, zwanego

socjalizmem, i tak jak w dawnym Peru, nie pozostała w nich ani odrobina zdrowia, potęgi woli. Garstka śmiałych ludzi — mężczyzn i kobiet, którzy odważą się na czyn — będzie mogła łatwo zatriumfować nad takim światem. Wobec czego przedstawię państwu moje plany.

— Zamierzasz pan zawładnąć tą całą utopijną planetą? — zapytał pan Hunker.

— Nie lada zadanie — rzekł lord Barralonga.

— Zamierzam, szanowny panie, przeciwstawić mocniejszy ustrój społeczny — słabszemu. Siedzimy tu w fortecy. Jest to prawdziwa forteca i bardzo obronna. Wtedy, kiedy państwo zajęci byli rozpakowywaniem rzeczy, ja, Baralonga i Hunker przeprowadziliśmy inspekcję. Jest tu ukryta studnia, tak, że w razie potrzeby możemy czerpać wodę z kanionu z dołu. Skala ma wydrążenia w kształcie grot i kryjówek; od strony lądu jest mocna, bez skaz, wysoka i tak szklista, że nie można by się po niej wdrzeć. Sklepione przejście można będzie w razie czego z łatwością zabarykadować. W skale wykute są schodki wiodące do tego małego mostu, od strony którego potrafimy się również, gdy zajdzie tego potrzeba, zabezpieczyć. Nie zbadaliśmy jeszcze wszystkich grot. W osobie pana Hunkera posiadamy chemika, t j. był nim, póki go kinematografia nie powołała na swego mistrza. Otóż powiada on, że w laboratorium jest wielki zapas materiału do fabrykacji (bomb. Nasze towarzystwo, jak się przekonałem, rozporządza pięcioma rewolwerami z amunicją. To więcej, niż się spodziewałem. Żywności mamy na wiele dni.

— Och! To jest po prostu śmieszne! — krzyknął pan Barnstaple, podnosząc się i opadając z powrotem na siedzenie. — To niedorzeczne! Porywać się na te przyjacielskie istoty! Ależ oni wysadzą w powietrze to małe wzniesienie, kiedy tylko zechcą.

— Ach! — rzekł pan Catskill, wskazując nań palcem. — I o tym pomyśleliśmy. Możemy wyjąć kartkę z księgi Corteza, który w samym środku Meksyku trzymał Montezumę jako swego więźnia i zakładnika..! my również będziemy mieli zakładnika. Zanim ruszymy palcem, pierwszy nasz zakładnik...

— A bomby powietrzne!

— Czy istnieje w Utopii coś podobnego? Czy mogła w ogóle powstać tu taka myśl? I powtarzam — musimy mieć zakładnika.

— Kogoś znacznego — dodał pan Hunker.

— I Cedr, i Serpentyń są wybitnymi osobistościami — zauważył pan Burleigh tonem oderwanego zainteresowania.

— Na Boga, nie traktuje pan przecież na serio tych chłopięcych pirackich planów! — zawołał szczerze wstrząśnięty pan Barnstaple.

— Chłopięcych planów! — wtrącił oburzony ojciec Amerton. — Zaimprovizowanych przez takich chłopców, jak członek gabinetu ministrów, par Anglii i wielki przedsiębiorca!

— Panie kochany — rzekł pan Burleigh — ostatecznie zastanawiamy się tylko nad ewentualnościami. Doprawdy, nie widzę przyczyny, dlaczego nie mielibyśmy się zastanowić nad różnymi możliwościami. Chociaż wolałbym, żeby nam nieba zaoszczędziły wprowadzenia ich w czyn. Co mówisz, Rupercie?

— Musimy się tu mocno ustalić, zapewnić sobie niezależność i dać się we znaki tym Utopianom.

— Słuchajcie, państwo! — rzekł serdecznym tonem Ridley. — Tak ze dwom, to ja bym chciał osobiście dać się we znaki.

— Musimy obrócić to więzienie w Kapitol, w pierwszą placówkę ludzkości na tym świecie. To tak jak wepchnięcie nogi między odporne skrzydła drzwi, które nigdy już nie zamkną się przed naszą rasą.

— Są zamknięte — wtrącił pan Barnstaple. — Jeżeli ci Utopianie nie zlitują się nad nami, to nigdy już więcej nie ujrzymy naszego świata, naszej ziemi. I nawet z ich najlepszą wolą jest to wątpliwe.

— To mi nie daje spać po nocach — rzekł pan Hunker.

— Ta myśl musiała się nam wszystkim nasunąć — dodał pan Burleigh.

— I jest ona tak diabelnie nieprzyjemna, że wołało się o tym nie mówić — uzupełnił lord Barralonga.

— Nie przyszło mi to do głupiej głowy aż do teraz — powiedział Penk. — Jaśnie pan nie myśli naprawdę, że nie moglibyśmy powrócić na nasz świat?

— Stanie się to, co się ma stać — odparł pan Burleigh. — Dlatego chciałbym usłyszeć zdanie pana Catskilla.

Pan Catskill oparł ręce na biodrach i przybrał uroczystą postawę.

— Tym razem — rzekł — jestem tego samego zdania co pan Barnaba. Sądzę, że wszystko przemawia za tym, iż nigdy w życiu nie ujrzymy już więcej kochanych miast naszego rodzinnego świata.

— Czułam to — szepnęła zbielełymi wargami lady Stella. — Wiedziałam o tym dwa dni temu.

— A więc moja wycieczka na weekend rozciągnęła się na całą wieczność! — rzekł monsieur Dupont i przez czas jakiś nikt się nie odzywał.

— To tak jakby — powiedział wreszcie Penk — no, przecie to tak, jakbyśmy umarli!

— Ale ja muszę wracać — wybuchnęła nagle panna Greeta Grey jak ktoś odrzucający nedorzeczny pomysł. — To absurd. Muszę drugiego września być w Alhambrze.

Absolutnie. Koniecznie. Dostaliśmy się tutaj z taką łatwością; a teraz słyszę, że nie będę mogła powrócić tą samą drogą. To wprost śmieszne.

Lord Barralonga popatrzył na nią z serdeczną złościwością.

— Poczekaj pani — rzekł.

— Ale ja muszę! — zaśpiewała.

— Istnieje coś takiego jak niemożliwość, nawet dla panny Greety Grey.

— Zamów pan specjalny aeroplan! — zawołała. — Zresztą cokolwiek bądź.

Popatrzył na nią z chochlikowatym uśmiechem i potrząsnął głową.

— Mój miły przyjacielu — rzekła — widziałeś mnie tylko w świątecznym humorze jak dotąd. Ale praca to poważna rzecz.

— Moja droga, pani Alhambra jest teraz od nas tak daleko jak dwór króla Nabuchodonozora... To się nie da zrobić.

— To musi być zrobione — zakonkludowała z miną królowej. — Nie mam nic więcej do powiedzenia w tej sprawie.

III

Pan Barnstaple wstał od stołu, odszedł na bok i usiadłszy koło wyrwy w ścianie zamku, zapatrzył się w mroczniejącą pustkę krajobrazu. Chwilami oczy jego wędrowały ku małej grupie, rozmawiającej koło zastawionego stołu, to znów zatrzymywały się na ozłoconych promieniach zachodzącego słońca krawędziach skał za kanionem i dzikich, samotnych górskich zboczach poniżej skalnej fortecy. Możliwe, że na tym to świecie przyjdzie mu dokonać reszty dni swego żywota.

I dni te może już były policzone, zważywszy na plany pana Catskilla. Sydenham, żona i chłopcy byli naprawdę tak dalecy jak „dwór króla Nabuchodonozora”.

Od chwili gdy na dworcu Victoria wysyłał list do domu, prawie że nie myślał o rodzinie. Teraz poczuł dziwne pragnienie przesłania jej paru słów lub innego dowodu pamięci — żeby tylko było można! Nie do wiary, doprawdy, że już nigdy więcej o nim nie usłyszą ani nie dostaną listu! Jakże oni sobie bez niego dadzą radę? Czy będą mieli jakieś trudności z rachunkiem w banku? Albo z pieniędzmi za ubezpieczenie? Zawsze miał zamiar składać pieniądze na wspólny rachunek z żoną, a jakoś nigdy tego nie zrobił. Wspólny rachunek... Każdy człowiek powinien się w ten sposób zabezpieczać... Uwaga jego skierowała się z powrotem na pana Catskilla, rozwijającego swoje plany.

— Musimy pogodzić się z myślą, że nasz pobyt tutaj może się bardzo, bardzo, bardzo przedłużyć. Nie łudźmy się co do tego. Może trwać całe lata — może trwać całe pokolenia.

Ostatnie słowa uderzyły Penka.

— Nie kapują — zauważył — jakby to mogło być? Pokolenia?

— Zaraz to wyjaśnię — odparł pan Catskill.

— Do licha — szepnął Penk i zapadł w głębokie zamyślenie, z oczami utkwionymi w lady Stellę.

— Musimy pozostać w tym świecie obcą społecznością, małą obcą komórką, dopóki go nie opanujemy tak, jak Rzymianie opanowali Grecję, i dopóki nie posiadziemy jego wiedzy i nie zastosujemy jej do naszych celów— Walka może się przeciągnąć bardzo długo. Naprawdę bardzo, bardzo, bardzo długo. A tymczasem musimy się utrzymać w charakterze oddzielnej społeczności; musimy uważać się za kolonię, za garnizon aż do dnia połączenia. Musimy mieć zakładników i nie tylko zakładników. Może się stać konieczne dla naszych celów — a jeżeli będzie konieczne, to niech się tak stanie — wciągnąć tu więcej Utopian, nałapać młodych osobników, zanim tzw. nauczanie uczyni ich niezdarnymi do naszych celów, i wychować ich w wielkich tradycjach naszego imperium i naszej rasy.

Pan Hunker chciał coś powiedzieć, ale się powstrzymał.

Monsieur Dupont wstał gwałtownie od stołu, odszedł cztery kroki, powrócił i stanął, zapatrzonej bacznie w pana Catskilla.

— Pokolenia? — powtórzył pytająco Penk.

— Tak — potwierdził Catskill. — Pokolenia. Jesteśmy tutaj obcymi przybyszami — cudzoziemcami jak owa nieliczna gromadka awanturników, która przed dwudziestoma pięcioma wiekami ufortyfikowała się na Kapitolu, obok wartkiego Tybru. To jest nasz Kapitol. Większy Kapitol — większego Rzymu — w rozleglejszym świecie. I podobnie jak owa gromadka Rzymian, i my będziemy zmuszeni wzmocnić nasze szczuple szeregi

kosztem otaczających nas Sabinów — wziąć sobie służbę, pomocników i — żony! Żadna ofiara nie jest za wielka, jeżeli idzie o niesłychane możliwości naszej nadzwyczajnej przygody.

Monsieur Dupont zdawał się gotować mężnie do ofiary.

— Małżeństwa będą zawarte według obrządku kościelnego — wtrącił ojciec Amerton.

— Małżeństwa będą zawarte według obrządku — powtórzył nawiasowo Catskill. — I tym sposobem utrzymamy się tutaj, wzrośniemy w siły, opanujemy tę pustynną krainę, wyrobimy sobie prestiż i wpływy i tchniemy naszego ducha w bezwładne ciało tego gnijącego utopijnego świata, dopóki w końcu nie o władniemy tajemnicą Ardena i Greenlake i nie otworzymy powrotnej drogi naszemu ludowi, a drogi tutaj milionowym zastępom naszego imperium.

IV

— Przepraszam — przerwał pan Hunker. — Przepraszam! W kwestii imperium!

— Właśnie — dodał monsieur Dupont, wyrwany nagle z jakichś romantycznych snów na jawie. — W kwestii imperium!

Pan Catskill popatrzył na nich uważnie i wyzywająco.

— Mówiąc imperium, mam na myśli najogólniejsze znaczenie tego wyrazu.

— Właśnie — warknął monsieur Dupont.

— Myślałem ogólnikowo o naszej... atlantyckiej cywilizacji.

— Szanowny panie, zanim zaczniesz się pan rozwodzić nad anglosaską jednością i rasą mówiącą po angielsku — rzekł z potęgującą się nutą goryczy w głosie monsieur Dupont

— pozwól pan sobie przypomnieć o bardzo doniosłym fakcie, który zdaje się pan przeoczać. Językiem Utopii jest język francuski. Chcą panu to przypomnieć. Chcę panu zwrócić na to uwagę. Nie będę tu kładł żadnego nacisku na ofiary i męczeństwa poniesione przez Francję dla sprawy cywilizacji.

— Bardzo naturalne nieporozumienie — wtrącił się do dyskusji pan Burleigh — ale pozwoli pan, że sprostuję jego błędne mniemanie w tej kwestii. Językiem Utopii nie jest francuski.

„Naturalnie — pomyślał pan Barnstaple. — Monsieur Dupont nie był obecny przy wyjaśnianiu zawilosci językowych.”

— Daruje szanowny pan, ale wolę wierzyć własnym uszom — odpowiedział Francuz z grzeczną wyniosłością. — Zapewniam pana, że ci Utopianie mówią po francusku, i tylko po francusku, i to świetną francuszczyzną.

— Oni nie mówią żadnym językiem — rzekł pan Burleigh.

— Nawet po angielsku? — zapytał szyderczo monsieur Dupont.

— Nawet po angielsku.

— A może mówią językiem Ligi Narodów? Ale — ba! Po cóż ja dyskutuję? Oni mówią po „francusku. Nawet Niemiec by temu nie zaprzeczył. Trzeba Anglika...

„Śliczna kłótnia” — pomyślał pan Barnstaple. Nie było żadnego Utopianina, który mógłby wyprowadzić z błędu monsieur Duponta, i Francuz trwał uporczywie i wyniośle przy swoim mniemaniu. Pan Barnstaple przysłuchiwał się z mieszanym uczuciem litości, szyderstwa i gniewu tej małej gromadce zgubionych ludzkich istot, sprzeczących się z

coraz większą gwałtownością o „prawa” ich trzech narodów do „opanowania” Utopii, „prawa”, wysnute całkowicie z błędnych zapatrywań i oparte na chciwości i zaborczości. Wśród tego wielkiego, dziwnego, obcego i może wrogiego świata, tonącego już w zmierzchu, głosy ich wybuchały krzykliwymi tonami i zniżały się do namiętnego, intensywnego szeptu, w miarę jak wzbierał w nich narodowościowy egotyzm, któremu hołdowali przez całe życie. Pan Hunker nie chciał słyszeć o żadnym „imperium”, monsieur Dupont nie uznawał niczego oprócz najwyższych „praw” Francji. Pan Catskill trzepotał się jak mucha w ukropie. Panu Barnstaple’owi ta walka patriotycznych pretensji wydawała się bójką psów na tonącym okręcie. W końcu uparty i przebiegły pan Catskill załatwił się ze swymi antagonistami.

Stanął u szczytu stołu i wytłumaczył, że słowa „imperium” użył ot, tak sobie, mając właściwie na myśli nie Wielką Brytanię, lecz całą zachodnią cywilizację. Przeprosił za niewłaściwe wyrażenie.

— Mówiąc imperium — rzekł, zwracając się do pana Hunkera — rozumiałem przez to braterstwo wspólnego porozumienia. — Spojrzał na monsieur Duponta. — Naszą wypróbowaną i niespożytą ententę.

— Przynajmniej nie ma tu Rosjan — zauważył Dupont — i Niemców.

— Prawda — potwierdził lord Barralonga. — Wyprzedziliśmy ich tutaj i utrzymamy się na czele.

— Rozumie się — dorzucił Hunker — że Japończycy są wykluczeni.

— Nie ma powodu, dla którego nie mielibyśmy wykluczyć kolorowych ras w ogóle — zastanawiał się lord Barralonga. — Mnie się ten świat wydaje światem białego człowieka.

— Jednocześnie — rzekł chłodno i z naleganiem monsieur Dupont — daruje pan, jeżeli poproszę o bliższe określenie naszego obecnego wzajemnego stosunku i o gwarancję, rzeczową gwarancję, że olbrzymie ofiary, jakie Francja poniosła i ciągle jeszcze ponosi dla sprawy cywilizacji, zostaną w obecnym przedsięwzięciu uznane i że spotka je należyta nagroda... Domagam się jedynie sprawiedliwości — zakończył Francuz.

V

Oburzenie dodało śmiałości potulnemu zazwyczaj panu Barnstaple’owi. Zeskoczył ze swej grzędę na murze i podszedł do stołu.

— Czy panowie zwariowali — zapytał — czy ja? Ta sprzeczka o flagi i kraje, fantastyczne prawa i zasługi — jest beznadziejnym szaleństwem. Czyż nie zorientowaliście się dotąd jeszcze, w jakim jesteśmy płożeniu?

Na chwilę urwał, bo stracił dech, po czym ciągnął, dalej:

— Czy nie potraficie myśleć o sprawach ludzkich inaczej, jak kategoriami flag, walk, podbojów i grabieży? Czy nie zdajecie sobie sprawy z proporcji rzeczy i jakości świata, w jakim się znaleźliśmy? Jak już powiedziałem, można by nas porównać do bandy dzikusów z Earl’s Court, spiskujących nad podbiciem Londynu. Jesteśmy niby kanibale, trzymani pod strażą w sercu wielkiego miasta i marzący o wskrzeszeniu naszych starych i zapomnianych plugastw. Jakież są nasze szansę w tej fantastycznej walce?

— Zapomina pan o wszystkim, co tu mówili — odezwał się tonem nagany Ridley. — Całkiem. Połowa narodu leży w influency i odrze. I przecie jasna rzecz, że oni tu w tej Utopii są ze wszystkim niezdatni do zdrowej bójki.

— Właśnie — rzekł pan Catskill.

— No więc przypuśćmy, że macie jakieś szanse. Jeżeli to czyni wasze zamierzenie łatwiejszym, to czyni je również okropniejszym. Tu oto zostaliśmy wyrzuceni poza nawias naszych ciężkich czasów i skonfrontowani z wizją cywilizacji, z rzeczywistością taką, jaką nasz świat może przypuszczalnie osiągnąć dopiero za dziesiątki stuleci! Oto jest świat pokoju, świat wspaniały, szczęśliwy, pełen mądrości i nadziei! I my mamy go zniszczyć, zdruzgotać, jeżeli nam tylko na to pozwolą nasze słabe siły i podła przebiegłość! Chcemy obrócić w perzynę ten świat. Powiadam wam, że to nie jest przygoda. To zbrodnia. To ohyda. Ja nie przyłożę do tego ręki. Potępiam was za ten zamach.

Ojciec Amerton chciał się odezwać, ale pan Burleigh powstrzymał go gestem ręki.

— A co by pan chciał, żebyśmy zrobili? — zapytał.

— Żebyśmy się poddali ich intelektualnej wyższości, ich wiedzy i nauczyli się od nich możliwie dużo. Może bardzo prędko zostaniemy wyleczeni z naszych wrodzonych trucizn i wolno nam będzie powrócić z tej pustyni kopalń, skał i turbin do ich mieszkalnych ogrodów, zaledwie ujrzanych, a niepoznanych. I tam my również będziemy mogli się czegoś nauczyć o cywilizacji... W końcu będziemy może mogli powrócić do naszego chorego, rozstrojonego świata — z wiedzą, nadzieją i pomocą, jako misjonarze nowego porządku.

— Ale dlaczego... — zaczął ojciec Amerton. Znów zabrał głos pan Burleigh.

— Wszystko, co pan powiedział — zauważył — spoczywa na nie dowiedzionych założeniach. Podoba się panu patrzeć na Utopię przez różowe okulary. My, pozostali, to jest — policzył obecnych — jedenaście osób przeciw jednej — patrzymy na rzeczy bez tego rodzaju z góry powziętych przychylnych opinii.

— I czy wolno mi zapytać — rzekł ojciec Amerton, porywając się na nogi i waląc pięścią w stół z taką pasją, że zadzwoniły wszystkie szklanki — czy wolno mi zapytać, kim pan jesteś, żeby się w ten sposób przeciwstawiać, jako sędzia i cenzor powszechnej opinii całej ludzkości? Bo powiadam ci, człowieku, iż w tym pustym, złym i obcym świecie my tu we dwanaście osób reprezentujemy ludzkość. Jesteśmy przednią strażą, pionierami w tym nowym świecie, który Bóg nam podarował tak, jak niegdyś przed trzema tysiącami lat dał Kanaan Izraelowi, swemu wybranemu ludowi. Kim pan jesteś?

— Właśnie — powtórzył Penk. — Kim pan jesteś?

Ridley poparł go energicznie.

— Kim pan, u diabła, jesteś? — wrzasnął.

Pan Barnstaple nie posiadał oratorskich zdolności potrzebnych do odparcia tak bezpośredniego ataku. Stał, bezradny. Ku powszechnemu zdumieniu przyszła mu z pomocą lady Stella.

— To nieładnie, ojczy Amertonie — rzekła. — Pan Barnstaple, kimkolwiek jest, ma zupełne prawo do wyrażania swoich opinii.

— I wyraziwszy je — wtrącił Catskill, który przechadzał się tam i z powrotem po przeciwnej stronie stołu niż ta, po której stał dziennikarz — i wyraziwszy je, proszę pani,

powinien pozwolić nam zająć się naszymi sprawami. Między nami znalazł się oponent, sumienny antagonist, przypuszczam, że to było nieuniknione, nawet tu w Utopii.

Stwierdzam, że poza tym wszyscy pozostali oceniają sytuację mniej więcej jednakowo.

— Tak — rzekł pan Mush, spoglądając złośliwie na sympatyka Utopian.

— Dobrze. W takim razie musimy odwołać się do precedensów, ustalonych w analogicznych wypadkach. Nie będziemy żądali od pana... od pana Barnstaple'a, aby dzielił z nami niebezpieczeństwa i honor walki. Powierzmy mu jedynie pomocnicze funkcje cywilne.

Pan Barnstaple podniósł rękę.

— Nie — oznajmił. — Nie chcę żadnych pomocniczych funkcji. Nie uznaję analogii obecnej sytuacji do potrzeb wielkiej wojny i pod każdym względem jestem przeciwny temu projektowi zbójczego zamachu na cywilizację. Nie możecie mnie nazwać przeciwnikiem walki w ogóle, bo uznaję ją w słusznej sprawie. Lecz ta wasza awantura nie jest słuszną sprawą. Błagam pana, panie Burleigh, jako nie tylko polityka, ale człowieka kulturalnego i filozofa, o zastanowienie się nad tym krokiem, nad aktem przemocy i nikczemności, z którego nie będzie już żadnego wyjścia, a do którego nas tu pchają!...

— Panie Barnstaple — odparł Burleigh z godnością i powagą, tonem lekkiego wyrzutu.

— Ja się zastanowiłem i pozwolę sobie powiedzieć, że jestem człowiekiem doświadczonym w ludzkich sprawach, tradycyjnie doświadczonym. Może nie zgadzam się w zupełności z moim przyjacielem, Catskillem. Tak jest! Powiem więcej: nie zgadzam się z nim w istocie pod wieloma względami. Gdybym tu był autokrata, powiedziałbym, że musimy się oprzeć tym Utopianom — ze względów godności osobistej — ale nie uciekając się do gwałtów i przemocy, tak, jak on to sobie wyobraża. Myślę, że moglibyśmy osiągnąć daleko większą sprawność, siłę i powodzenie, niż to będzie prawdopodobnie jego udziałem. To jest wszakże moja osobista opinia. Nie dzielą jej ani pan Hunker, ani lord Barralonga, ani pan Mush, ani monsieur Dupont. Ani też pan i nasi przyjaciele, inżynierowie, technicy. Uważam jednak, że najważniejszą rzeczą, rzeczą istotnej wagi dla nas, garstki Ziemiaków, zabłąkanych w tym obcym wszechświecie, jest jedność akcji. Cokolwiek by się stało, wewnętrzne niesnaski nie powinny nas obezwładniać. Musimy trzymać się razem i działać razem jak jeden mąż. Dyskutujcie, ile wam się podoba, w czasie nadającym się do dyskusji, ale w końcu postanawiajcie, a zdecydowawszy się raz, trwajcie lojalnie przy postanowieniu. Co się tyczy zapewnienia sobie jednego czy dwóch zakładników, uważam, że Catskill ma pod tym względem zupełną słuszność.

Pan Barnstaple nie posiadał talentu do debat.

— Ależ ci Utopianie są takimi samymi ludźmi jak i my — zaprotestował. — Są oni tym, co w nas jest najzdrowsze i najkulturalniejsze.

— Och, Boże! — przerwał celowo szorstkim głosem

Ridley. — Nie możemy przecież tak bez końca pyskować. Tylko patrzeć, jak zrobi się noc, i pan... ten dżentelmen — dosyć się nagadał, więcej, niż było potrzeba. Powinni nam przed nocą wyznaczyć robotę, co kto ma robić, co komu przypada. Pozwalam sobie

zapropionować: wybierzmy pana Catskilla na naszego dowódcę i dajmy mu pełną władzę wojskową.

— Popieram ten projekt — rzekł z poważną pokorą Burleigh.

— Może monsieur Dupont — powiedział Catskill — zechce działać razem ze mną, jako sprzymierzony wódz, reprezentujący naszą sławną sojuszniczkę, a jego wielką ojczyznę.

— W braku godniejszego reprezentanta — zgodził się Francuz — celem czuwania nad interesami Francji.

— I może by pan Hunker przyjął funkcję mego zastępcy?... Lord Barralonga będzie naszym kwatermistrzem, a ojciec Amerton — kapelanem i cenzorem. Pan Burleigh, jak się rozumie samo przez się, będzie naszą władzą cywilną.

Hunker zakaszlał i zmarszczył czoło z miną człowieka gotującego się do trudnych wyjaśnień.

— Nie będę, ściśle biorąc, zastępcą — rzekł. — Nie przyjmę żadnej oficjalnej funkcji. Mam odrazę do... do międzynarodowych powikłań i nieporozumień. Będę po prostu widzem, chętnym do przyjścia z pomocą. Przekonacie się wszakże, dżentelmeni, że będziecie mogli na mnie liczyć, gdy zajdzie potrzeba pomocy.

Pan Catskill usadowił się u szczytu stołu i wskazał stojące obok siebie krzesło monsieur Dupontowi. Pomiędzy tym ostatnim i Hunkerem usiadła panna Greta Grey. Pan Burleigh pozostał na swym miejscu w odległości jednego krzesła od Hunkera. Reszta podeszła i stanęła koło wodza z wyjątkiem lady Stelli i pana Barnstaple'a.

Ten ostatni prawie ostentacyjnie wykręcił się tyłem do nowej władzy. Uderzyło go, że lady Stella pozostała na dawnym miejscu w dole stołu, patrząc niepewnym wzrokiem na grupę zgromadzoną u szczytu. Potem oczy jej zwróciły się ku widniejącemu w oddali nagiemu łańcuchowi gór.

Zadrżała gwałtownie i wstała.

— Po zachodzie słońca bardzo się oziębiło — rzekła do nikogo w szczególności. — Pójdę rozpakować okrycie.

Poszła wolnym krokiem na swą kwaterę i więcej nie powróciła.

VI

Pan Barnstaple nie chciał, by sądzono, że przysłuchuje się tej radzie wojennej. Poszedł ku murom starego zamczyska i kamiennymi schodkami i wierzchem wałów dostał się na sam szczyt fortecznej skały, dokąd szum i huk wód, płynących dwoma zbiegającymi się kanionami, dochodził bardzo głośno i wyraźnie.

W dali, na wierzchołku skał wieńczących łańcuch górski, błyszczał jeszcze świetlisty rąbek słonecznej pożogi, podczas gdy reszta świata tonęła już w głębokich granatowych cieniach, a w kanionach w dole gromadziła się biała wełnista mgła, zasnuwając stopniowo hałaśliwe potoki. Mgła ta wzniosła się niebawem prawie do poziomu małego mostu, łączącego węższy kanion z opatrzoną poręczami ścieżką, wiodącą na szczyt skały po drugiej stronie. Po raz pierwszy od chwili przybycia do Utopii pan Barnstaple doznał uczucia chłodu i bolesnego osamotnienia.

W górnej części szerszego z dwóch kanionów odbywały się jakieś inżynierskie roboty i w regularnych odstępach czasu błyski ognia rozświetlały gęstniejące tumany lotnej mgły.

Daleko, daleko ponad górami szybujący wysoko samotny aeroplan chwycił na skrzydła ostatnie promienie słońca i rzucał na dół drżące refleksy olśniewającego złotego światła. Wkrótce jednak zatoczył koło i zniknął w potęgującym się mroku.

Dziennikarz spojrział w dół, w głąb wielkiego dziedzińca starożytnego zamczyska. W szarości zmięzchu nowoczesne budynki rozrzucone wśród archaicznych murów wyglądały jak widmowe namioty. Ktoś przyniósł światło i wódz Rupert Catskill, nowy Cortez, w otoczeniu swojego oddziału zabrał się do pisania rozkazów.

Światło padało na twarz, ramiona i ręce panny Greety Grey, zagląającej przez ramię wodza, żeby zobaczyć, co pisze. Nagle podniosła rękę i zakryła nią usta celem ukrycia ziewnięcia, którego nie potrafiła opanować.

Rozdział trzeci

Pan Barnstaple jako zdrajca ludzkości

|

Pan Barnstaple spędził znaczną część nocy siedząc na łóżku i dumając nad nieobliczalnymi elementami sytuacji, w jakiej się znalazł.

Cóż mógł uczynić? Co powinien uczynić? Co mu nakazywała lojalność? Ponure tradycje i ziemskie jady zbyt szybko przemieniły to cudowne zdarzenie w brzydki i niebezpieczny antagonizm, by mógł przystosować umysł do nowej sytuacji. Przed nim zdawały się leżeć otworem jedynie dwie możliwości. Albo Utopianie okażą się silniejsi i mądrzejsi i on, i jego zbójceccy towarzysze zostaną pokonani i wybici jak robactwo, albo szaleńcze ambicje pana Catskilla zostaną zrealizowane i oni staną się jątrzącą raną na pięknym ciele tej szlachetnej cywilizacji, bandą rabusiów i niszczycieli, ściągającą Utopię rok po roku i wiek po wieku na poziom ziemski. Dylemat ten nastęczał jedno tylko wyjście: uciec z tej twierdzy do Utopian, objawić im spisek Ziemian i zdać siebie i towarzyszy na ich łaskę i niełaskę. Trzeba się z tym jednak śpieszyć, nim ci ostatni zdążą chwycić zakładników i doprowadzą do rozlewu krwi.

Przede wszystkim jednak umknienie od ziemskiej bandy mogłoby nastęczać obecnie poważne trudności. Catskill zorganizował już zapewne straże i placówki, a dzięki szczególnemu położeniu skały wszystkie drogi, którymi Barnstaple mógł ewentualnie uciec, widoczne były jak na dłoni; po drugie zaś pan Barnstaple miał głębokie, zadawnione nawyki umysłowe odstręczające go od donosicielstwa i niesolidarności. Wychowanie szkolne wyrobiło w nim skłonność do podporządkowywania się wszelkiej grupie czy bandzie, w której się znajdował: swojej klasie, swemu stronnictwu, domowi, szkole, klubowi, partii itd. Pomimo to jego inteligencja i bezgraniczna, bezinteresowna ciekawość świata i rzeczy przeciwstawiły się zawsze tym ciasnym konspiracjom przeciwko szerokiemu życiu. Przez cały ciąg swej ziemskiej egzystencji był buntownikiem i malkontentem. Miał wstręt do politycznych partii i politycznych liderów, odrzucał z pogardą nacjonalizm i imperializm oraz wszelką związaną z nimi bezwartościową lojalność. Zaborczych zdobywców, łupieżczych finansistów, nie liczących się z niczym geszefciarzy nienawidził tak samo, jak os, szczurów, hien, rekinów, pcheł, ostów i tym podobnych plag ludzkości; przez całe życie był właściwie

obywatelem Utopii, wygnanym na Ziemię. Na swój sposób starał się służyć Utopii. Dlaczegoż by nie miał jej służyć teraz?

To, że jego grupa była nieliczna i gotowa na wszystko, nie było dostateczną racją, żeby miał służyć zniechęconym przez siebie sprawom. Jeżeli oni byli szaleńcami, nie zmieniało to faktu, że byli również jako całość zbrodniczą bandą. Nie ma racji, dla której liberalizm miałby się wyrodzić w chorobliwą sympatię do mniejszości...

Tylko dwie osoby spośród Ziemiaków, lady Stella i pan Burleigh, wzbudzili w nim pewną życzliwość. Co do tego ostatniego żywił jednak wątpliwości. Burleigh był jednym z tych dziwnych ludzi, którzy zdają się wszystko rozumieć, a nic nie odczuwać. Na panu Barnstaple'u zrobił wrażenie inteligentnie nieodpowiedzialnego. Czyż nie było to w gruncie rzeczy gorsze od nieinteligentnej awanturniczości takiego Hunkera lub Barralongi?

Umysł dziennikarza powrócił z długiej wyprawy między etyczne niuanse do otaczającego go rzeczywistości. Jutro zbada teren, obmyśli plany i może o zmierzchu wymknie się z fortecy.

To odwlekanie akcji prawie aż do końca następnego dnia leżało całkowicie w jego charakterze. Życie jego niemal od samego początku było takim odwlekaniem akcji.

II

Wypadki jednak nie myślały czekać na pana Barnstaple'a. O świcie przyszedł doń Penk i zawiadomił, że odtąd garnizon będzie co rano budzony za pomocą elektrycznego gwizdka, obmyślnego przez niego i Ridleya. W trakcie jego przemowy straszliwe wycie owego wynalazku zainaugurowało nową erę. Po tem wręczył mu świstek papieru, wydartego z notesu, na którym pan Catskill wypisał, co następuje:

„Cywil Barnaba. Pomagać Ridleyowi przygotowywać śniadania, lunche i obiady; rozkład i menu na ścianie jadalni; sprzątać i zmywać. Poza tym być na usługi i do rozporządzenia zast. Hunkera w laboratorium chemicznym przy robieniu doświadczeń i fabrykowaniu bomb. Sprzątać laboratorium.”

— To pańska robota — rzekł Penk. — Ridley czeka.

— Dobrze — powiedział pan Barnstaple i wstał z łóżka.

Nie było sensu sprzeciwiać się i kłócić, jeżeli miał uciec. Poszedł tedy do poharatanego i obandażowanego Ridleya i obaj wspólnymi siłami stworzyli dobrą imitację wojskowej kuchni angielskiej z roku wielkiej wojny 1914.

Drugie solo syreny wywołało wszystkich na śniadanie o wpół do siódmej. Potem odbył się przegląd mężczyzn przez Catskilla, któremu asystował monsieur Ekiipont. Hunker stał obok nich, ale w odległości paru jardów. Wszyscy pozostali z wyjątkiem pana Burleigha, który jako departament cywilny, pozostał w łóżku oraz nie zmobilizowanego pana Barnstaple'a stanęli w szeregu. Panna Greta Grey i lady Stella, siedząc w słonecznym rogu podwórza, szyły flagę. Miała to być błękitna bandera z białą gwiazdą, dostatecznie niepodobna do żadnej istniejącej narodowej flagi, żeby nie zranić patriotycznej wrażliwości żadnego z obecnych. Miała ona być symbolem Ziemskiej Ligi Narodów.

Po odbytej paradzie mały garnizon rozpierchnął się i wszyscy podążyli zająć wyznaczone sobie stanowiska i funkcje; monsieur Dupont objął dowództwo, a pan Catskill, który całą noc czuwał, udał się na odpoczynek. Miał on napoleońską właściwość zasypiania na godzinę o każdej porze dnia.

Penk poszedł na szczyt zamczyska, gdzie zainstalowano syrenę, objąć posterunek strażnika.

Między chwilą, kiedy pan Barnstaple skończył pomagać Ridleyowi, a tą, w której Hunker mógł odkryć, że potrzeba mu asystenta, było parę wolnych momentów, i dziennikarz poświęcił je na zbadanie murów zamku od strony łagodniejszych pochyłości. Gdy stał tak na starym wale, ważąc szansę wymknięcia się stąd o zmierzchu, nad skałą pokazał się aeroplan, który wylądował wkrótce na najbliższym zboczach. Wysiedli zeń dwaj Utopianie i po chwili rozmowy z pilotem skierowali się ku twierdzy Ziemiań.

Głos syreny wywołał na przedmurze, gdzie stał Barnstaple, zaspanego Catskilla. Wódz wydobył polową lornetkę i zlustrował przez nią zbliżające się postacie.

— Serpentyń i Cedr — rzekł, opuszczając lornetkę — I w dodatku sami. Dobra nasza.

Wykręcił się i dał znak ręką Penkowi, fetory odpowiedział nań podwójnym świstem syreny. Był to sygnał ogólnej zbiórki.

W dole na podwórzach ukazała się reszta sprzymierzonych wraz z Hunkerem w ordynku, będącym dość dobrą imitacją dyscypliny wojskowej.

Pan Catskill minął Barnstaple'a, nie zwróciwszy nań wcale uwagi, i przyłączył się do stojących na dole monsieur Duponta, Hunkera i ich podkomendnych. Zaczęło się udzielanie instrukcji, jak mają postąpić w zbliżającym się krytycznym momencie. Pan Barnstaple nie mógł usłyszeć, co mówiono. Zauważył z sardoniczną niechęcią, że każdy z mężczyzn po wysłuchaniu danego sobie rozkazu uderzał obcasami i salutował; potem na jedno słowo komendy rozbiegli się wszyscy na swoje miejsca.

Z ogólnego poziomu dziedzińca prowadziły na dół przez wielką bramę w murze częściowo zrujnowane schody, którymi można było wejść i zejść na zbocze góry. Ridley i Mush stanęli po prawej ich stronie, zakryci wystającą masą muru w taki sposób, że nie było ich widać z dołu. Ojciec Amerton i Hunker ukryli się w podobny sposób z lewej strony. Dziennikarz zauważył, że duchownego zaopatrzone w zwój liny i że pan Mush ogląda rewolwer, który następnie schował z powrotem do kieszeni. Lord Barralonga zajął oddzielny posterunek o parę stopni wyżej od Musha i również wydobył rewolwer swoją jedyną sprawną ręką. Pan Catskill pozostał na szczycie schodów. I on także miał rewolwer. W pewnej chwili, odwróciwszy się do cytadeli, popatrzył na Penka, kazał mu zejść na dół i połączyć się z resztą. Monsieur Dupont, uzbrojony w masywną nogę stołową, stanął po prawej ręce wodza.

Przez czas pewien pan Barnstaple przyglądał się tym manewrom, nie zdając sobie sprawy z ich znaczenia. Potem oczy jego z przyczajonych wewnątrz zamku postaci przeniosły się na dwóch zbliżających się ku i niczego nie podejrzewających Utopian, i zrozumiał, przed upływem dwóch minut Serpentyń i Cedr będą się szamotać w rękach podstępnych napastników.

Spostrzegł, że musi działać, i to bezzwłocznie. Dotąd życie jego zamykało się jedynie w ramach obserwacji i krytyki i nie był przyzwyczajony do szybkiej decyzji.

Zaczął drzeć gwałtownie.

III

Nawet w tych ostatnich fatalnych momentach nie opuściło go jeszcze pragnienie jakiejś pośredniczącej interwencji. Podniósł ramię i krzyknął „Hiiii!” zarówno do Ziemian w dole, jak i Utopian na zewnątrz przedmurza. Nikt nie zauważył jego gestu ani też nie usłyszał słabego okrzyku.

Potem wola jego, jakby wyłamawszy się ze splotu, komplikacji, uczepiła się jednej zasadniczej myśli. Serpentyń i Cedr nie zostaną pochyceni. Własne niezdecydowanie napęliło go oburzeniem i zdumieniem. Naturalnie, nie pozwoli, żeby ich pochwycono! Trzeba z tą błazenadą skończyć od jednego zamachu. Dał cztery susy i, znalazłszy się na wale nad bramą, zaczął wołać głośno i wyraźnie:

— Niebezpieczeństwo! — krzyczał. — Uważać! — I znowu: — Niebezpieczeństwo!!! Usłyszał zdziwiony okrzyk Catskilla, i koło głowy gwizdnęła mu kula rewolwerowa. Serpentyń zatrzymał się, spojrzął w górę, dotknął ramienia Cedra i wskazał palcem w kierunku wału.

— Ziemianie chcą was uwięzić. Nie podchodźcie tutaj! Niebezpieczeństwo! — wrzeszczał, wymachując rękami, pan Barnstaple, podczas gdy pan Catskill — „paf, paf, paf” — doświadczał niepowodzeń w strzelaniu z rewolweru.

Serpentyń i Cedr zaczęli się zabierać do odwrotu, ale powoli i z wahaniem.

Przez chwilę Catskill nie wiedział, co począć, potem wszakże rzucił się w pogoń po schodach, krzycząc:

— Ścigać! Łapać! Za mną!

— Wracajcie! — wołał do Utopian Barnstaple. — Wracajcie! Prędko! Pręęędkooo!!!...

Z dołu zabrzmiał tętent nóg, i ośmiu ludzi, stanowiących zbrojne siły Ziemian w Utopii, wynurzyło się spod bramy, pędząc ku zdziwionym Utopianom. Na przodzie biegł pan Mush z następującym mu na pięty Ridleyem. Celował z rewolweru i wrzeszczał z całej mocy płuc. Za nim biegł gorliwy i zapalczywy monsieur Dupont. Tyły zamykał ojciec Amerton ze zwojem lin w ręku.

— Wracajcie! — charczał załamującym się głosem Barnstaple.

Nagle umilkł z oczami wbitymi w rozgrywający się dramat i z zaciśniętymi mocno rękami. Po zboczu od strony maszyny pędził pilot na pomoc Serpentyńowi i Cedrowi, a na błękitnie nieba ukazały się dwa nowe aeroplany. Dwaj Utopianie nie chcieli się poniżyć pośpieszną ucieczką, i w kilka sekund ścigający dogнали ich; Hunker, Ridley i Mush prowadzili atak. Wymachujący kijem monsieur Dupont trzymał się na jednej linii z nimi, ale zabiegał od prawej strony, jakby w zamiarze przecięcia drogi lotnikowi. Catskill i Penk lecieli trochę z tyłu za przodującą trójką. Jednoręki Barralonga znajdował się o jakieś dziesięć jardów w tyle, a ojciec Amerton przystanął nieco, by poprawić ciężący mu zwój lin.

Wywiązała się, sądząc na oko, krótka pertraktacja, po czym Serpentyń zrobił szybki ruch, jakby chcąc pochwyć Hunkera. Rozległ się wystrzał rewolwerowy, a w ślad za nim jeszcze trzy detonacje.

— Och, Boże! — krzyknął pan Barnstaple. — Och, Boże!

Serpentyn wyrzucił ramiona w górę i runął na wznak na ziemię, podczas gdy Cedr, porwawszy Musha, podniósł go do góry i cisnął nim w Catskilla i Penka z taką siłą, że wszyscy trzej potoczyli się razem niby zbity, splątany kłębek. Monsieur Dupont wydał dziki okrzyk i uderzył na Cedra, ale trochę się spóźnił. Utopianin odparował uderzenie, tak że maczuga napastnika wystrzeliła w powietrze, po czym schyliwszy się porwał go za nogę, wykręcił, podniósł do góry jak królika i zamachnął nim celem wymierzenia ogłuszającego ciosu panu Hunkerowi.

Lord Barralonga odbiegł kilka kroków w tył i zaczął strzelać do zbliżającego się lotnika. Splątana kupa rąk i nóg na ziemi zamieniła się z powrotem w trzech oddzielnych ludzi. Catskill wydał rozkazy swym podkomendnym i skoczył ku Cedrowi, za nim Penk, Mush i w końcu Hunker i Dupont. Opadli Utopianina niby psy odyńca, ale on otrząsał ich z siebie po każdym nowym ataku. Ojciec Amerton bezradnie krążył w pobliżu z linami w ręku. Przez kilka chwil uwaga pana Barnstaple'a ześrodkowała się na usiłowaniach napastników pokonania Cedra, niebawem jednak zauważył, że po zboczu pędzą inni Utopianie na pomoc towarzyszowi... Dwa aeroplany wylądowały właśnie.

Pan Catskill prawie równocześnie z panem Barnstaple'em zdał sobie sprawę z nadciągającej nieprzyjacielowi odsieczy. Do uszu tego ostatniego doleciały jego okrzyki: — Wracać! Do zamku! Do zamku!

Ziemiańskie rozpierzchli się pozostawiwszy na placu boju wysoką postać z potarganymi włosami i po chwilowym wahaniu podążyli naprzód wolno, a potem biegiem w kierunku zamku.

W pewnym momencie Ridley odwrócił się i z zimną krwią strzelił do Cedra. Utopianin podniósł ręce do piersi i usiadł ciężko na ziemi.

Ziemiańskie wycofali się do stóp schodków, wiodących przez bramę do zamku, i stanęli tam zdyszani, poharatani i odrapani. W odległości pięćdziesięciu jardów leżał nieruchomy Serpentyn, lotnik, postrzelony przez Barralongę, wił się i jęczał, a Cedr, siedząc na trawie, z zakrwawionymi piersiami, starał się dotknąć swego grzbietu. Pięciu innych Utopian pędziło z pośpiechem na pomoc towarzyszom.

— Co to za strzelanina? — zapytała lady Stella, ukazując się nagle u boku pana Barnstaple'a.

— Czy schwycili zakładników? — dodała panna Greeta Grey.

— Na Boga! — rzekł pan Burleigh, który w tej chwili wdrapał się na wał zamkowy o jard dalej — do tego nie powinno było dojść. Jak się to stało, lady Stello?

— Wołałem na nich — wtrącił dziennikarz.

— Pan na nich wołał! — powtórzył z niedowierzaniem pan Burleigh.

— Zdrada, której nie przewidziałem — rozległ się wściekły głos Catskilla, wchodzącego w bramę.

IV

Przez chwil kilka pan Barnstaple nie robił żadnych prób uniknięcia niebezpieczeństwa, jakie zawisło nad jego głową. Zawsze żył życiem pewnym i bezpiecznym, i zdolność odczuwania osobistego niebezpieczeństwa uległa u niego jak u wielu wysoce cywilizowanych osobników, w bardzo silnym stopniu atrofii. Zarówno z temperamentu,

jak i wychowania był on jedynie biernym widzem. Stał teraz, jakby patrząc na siebie samego, w roli czołowej postaci jakiejś wielkiej i beznadziejnej tragedii. Myśl o ucieczce nasunęła mu się z pewnym opóźnieniem w sposób pośredni i mało naglący.

— Rozstrzelany jako zdrajca — rzekł głośno. — Jako zdrajca.

Nad wąską gardzielą wisiał most. Gdyby się zdecydował od razu, mógłby zdążyć przezeń przebiec. Gdyby biegł szybko — szybciej niż oni. Był zbyt inteligentny, żeby od razu ruszyć biegiem; to by z pewnością wywołało natychmiastowy pościg. Ruszył tedy wzdłuż wału swobodnym krokiem i minął pana Burleigha, który był zbyt kulturalny, aby interweniować. Potem, przyspieszywszy kroku, dotarł do schodów wiodących do cytadeli. Tam zatrzymał się na chwilę celem zorientowania się w sytuacji. Catskill zajęty był właśnie ustawianiem warty koło bramy. Może nie pomyślał dotąd o moście i sądził, że pan Barnstaple jest i tak zdany na jego łaskę i niełaskę. W górę zbocza szli Utopianie unosząc zabitych czy rannych ludzi.

Pan Barnstaple wszedł po schodach, jak gdyby pogrążony w myślach, i stanąwszy na murze z rękami w kieszeniach spodni, udawał, że ogląda krajobraz. Po paru sekundach zeszedł po kręconych schodach do jakiejś izby, będącej rodzajem kordegardy. Teraz, nie będąc już na niczyich oczach, zaczął myśleć i działać z wielką szybkością.

Kordegarda wprawiła go w zakłopotanie. Miała pięćdziesiąt drzwi, z których każde z wyjątkiem tych, przez które się tu dostał, mogły prowadzić do klatki schodowej. Jedne wszakże zagrodzone były stosem zgrabnych skrzynek. Pozostawały trzy do wyboru. Biegł od jednych do drugich, zostawiając wszystkie otworem. Od dwóch biegły na dół kamienne schody do podestu i zakrętu. Stał niezdecydowany przed trzecimi i poczuł, że wieje od nich chłodny przeciąg. Z pewnością musiało to być znakiem, że prowadziły one w dół do skalnej krawędzi, bo skąd mógł dochodzić tu wiatr. Tak, to nie ulegało wątpliwości.

Czy powinien zamknąć drzwi, które pootwierał? Nie! Zostawi je wszystkie otwarte.

Od strony cytadeli usłyszał na schodach głośny tupot. Szybko i ostrożnie zbiegł i przystanął sekundę na zakręcie. Zmuszony był posłuchać i zorientować się w zamiarach ścigających. Usłyszał krzyk Ridleya: „Te drzwi prowadzą do mostu, panie generale!”, a potem słowa Catskilla: „Skala Tarpejska”, i Barralongi: „Właśnie! Dlaczegoż mielibyśmy tracić jeden nabój? Czy jesteście pewni, Ridley, że te schody prowadzą do mostu?”

Podłoga kordegardy zadudniła krokami, które skierowały się do innej klatki schodowej. — Zyskałem trochę na czasie! — szepnął pan Barnstaple i nagle stanął jak skamieniały. Wpadł w pułapkę!!! Na schodach wiodących do mostu znajdowali się właśnie oni, ścigający!

Zejdą na dół, aż do mostu i znalazłszy się tam, przekonają się, że go nie ma ani na moście, ani na schodach po drugiej stronie wąwozu, że zatem nie zdołał prawdopodobnie zemknąć. Z pewnością przetną mu drogę albo zamknąwszy na amen znajdujące się tam ewentualnie drzwi, albo postawiwszy wartę. Potem powrócą i zrobią nań wygodne polowanie.

Co to mówił Catskill? Skala Tarpejska?...

Straszne!

Nie wezmą go żywcem...

Będzie walczył jak wpędzony do kąta szczur i zmusi ich, żeby go zastrzelili...

Szedł na dół schodami niżej i niżej. Zrobiło się bardzo ciemno, a potem znów zajaśniało światło dzienne, Schody wiodły do zwyczajnej dużej piwnicy, która niegdyś mogła być zbrojownią lub magazynem. Oświetlały ją dość dobrze dwa nie oszklone okna, wycięte w skale. Teraz leżały tu zapasy żywności. Wzdłuż jednej ściany stał rząd płaskich butelek, używanych w Utopii do przechowywania wina. Wzdłuż drugiej widniał stos pak i sześcianów, owiniętych w cienką złotą blaszkę. Podniósł za szyjkę jedną z butelek. Niezła by była maczuga. A gdyby tak zabarykadować wejście skrzyniami, stanąć z tyłu i uderzyć na ścigających, wałąc ich po głowach! Wino i szkło rozpryskoby się na ich czaszkach... Trzeba by czasu na zrobienie barykady... Wybrał trzy większe butelki i ustawił je w pogotowiu koło drzwi. Potem tknęło go coś, żeby wyrzucić oknem. Przez chwilę słuchał pod drzwiami klatki schodowej. Z góry nie dobiegły go żadne odgłosy. Podeszedł do okna, położył się w głębokiej framudze i dopełnawszy do brzegu wyjrzał na zewnątrz. Skala spadała zupełnie prostopadle. Mógł pluć do potoku, huczącego o jakieś tysiąc pięćset stóp poniżej. Skala składała się tu z prawie pionowych warstw, z których jedne cofnięte były w głąb, a drugie wystawały do przodu, olbrzymi występ krył prawie cały most z wyjątkiem przeciwległego jego końca, który zdawał się leżeć dwadzieścia lub trzydzieści jardów niżej niż otwór, z którego wyglądał pan Barnstaple. Nagle na moście ukazał się Catskill, bardzo daleki i drobnutki, i jął oglądać skalne schody za tymże mostem. Ścigany cofnął pośpiesznie głowę. Potem ostrożnie wychylił ją ponownie. Wódz zniknął. Szedł widocznie z powrotem.

Do roboty! Nie ma czasu do stracenia. W młodszym wieku, zanim wielka wojna nie uczyniła podróży kosztowną i niewygodną rozrywką, pan Barnstaple chadzał w Szwajcarii po górach. Miał również tego rodzaju wspomnienia i doświadczenia z Walii i Cumberlandu. Zbadał teraz najbliższe skały okiem inteligentnego eksperta. Przecinały je prawie horyzontalne rysy, w które przenikały inne substancje, głównie biała krystaliczna masa. Owa masa, jak się domyślał, węglan wapnia, zwietrzała prędzej niż sama skała, pozostawiając serię nieregularnych poziomych wyżłobień. Przy sprzyjającym szczęściu można było przedostać się wzdłuż skalnej ściany, okrążyć występ i przedrzeć się do mostu.

Potem błysnęła mu jeszcze bardziej pocieszająca myśl. Mógł przecież łatwo po skalnej ścianie dotrzeć do pierwszego wyżłobienia, spłaszczyć się w nim i przeczekać, dopóki Ziemianie nie przeszukają piwnicy. Po tem mógłby wpełznąć do niej z powrotem. Nawet, gdyby wyrzeli oknem, nie mogliby go zobaczyć, a gdyby pozostawił na framudze odciski palców lub inne ślady, to by prawdopodobnie doszli do przekonania, że albo wyskoczył, albo spadł ze skały w wąwóz na dole. Ale posuwanie się po skalnej ścianie mogłoby być początkowo zbyt powolne... I to odcięłoby go od jego broni — butelek...

Jednakże myśl ukrycia się w wyżłobieniu podziałała silnie na jego wyobraźnię. Bardzo ostrożnie wy dostał się za okno, znalazł oparcie dla ręki i nogi i zaczął pełznąć w kierunku zagłębienia.

Natknął się wszelako na niespodziewaną trudność w postaci prawie pięciojardowej przerwy w występie, służącym jako oparcie ręki. Musiał się spłaszczyć, pokładając całą ufność w nogach. Przez czas jakiś pozostał w tej pozycji zupełnie nieruchomo.

Trochę dalej załamał się pod nim niespodziewanie skruszały kawał minerału, tkwiącego w żyłę skalnej, ale na szczęście trzymał się wtedy palcami, a druga noga miała mocne oparcie. Odlupane kryształki osypywały się przez chwilę po skale, a potem zrobiło się cicho. Wpadły w próżnię. Przez moment wisiał jak sparaliżowany.

— Nie jestem w dobrej formie — wyszeptał. — Nie jestem w dobrej formie.

Trwał nieruchomo, modląc się w myśli.

Z wysiłkiem wznowił swą wędrówkę.

Znajdował się już na samym rogu zagłębienia, kiedy jakiś słaby odgłos skłonił go do obejrzenia się na okno, przez które wyszedł. Z głębi wychylała się wolno i ostrożnie twarz Ridleya o czerwonym srogim oku, połyskującym wśród białych bandaży.

Początkowo nie zauważył zbiega, potem, dostrzegłszy go, zawołał: „Psiakrew!”, i cofnął pośpiesznie głowę.

Rozległ się dźwięk głosów, i zabrzmiały niewyraźne słowa.

Jakiś niedorzeczny instynkt przytrzymał pana Barnstaple’a w zupełnym bezruchu, chociaż mógł był z łatwością schronić się w niszy, zanim pan Catskill, uzbrojony w rewolwer, zdążył wyrzeć na zewnątrz.

Przez kilka chwil spoglądali na siebie w milczeniu.

— Wracaj, bo inaczej będę strzelał — rzekł bez przekonania ostatni.

— Strzelaj! — odparł po chwilowym namyśle dziennikarz.

Pan Catskill wysunął głowę i spojrzał w dół w mroczne błękitne głębiny kanionu.

— Obejdzie się bez tego — odpowiedział. — Musimy oszczędzać nabojów.

— Brak ci odwagi — rzekł pan Barnstaple.

— To nie to — odrzucił Catskill.

— Nie — powtórzył ścigany — to nie to. Jesteś pan zasadniczo człowiekiem cywilizowanym.

Nowy Cortez spojrzał nań spode łba, ale nie wrogo.

— Masz pan bogatą wyobraźnię — ciągnął Barnstaple. — Największa bieda to to, że pana tak po szatańsku wychowano. Na tym całe nieszczęście polega, że został pan skiplingowany do kwadratu. Pańska umysłowość przepojona jest imperium, anglo-saksonizmem, boy-skautyzmem i kryminologią. Przypuszczam, że gdybym był przeszedł przez Eton, byłbym kubek w kubek taki sam.

— Harrow — poprawił Catskill.

— Podła szkoła. Prowincjonalna miejscowość, gdzie chłopcy noszą koki i słomiane aureole. Mogłem to odgadnąć. Ale dziwna rzecz, że nie czuję do pana żadnej urazy.

Gdyby pana przyzwoicie wychowano, mógłby pan być zupełnie innym człowiekiem.

Gdybym był pańskim nauczycielem... No, już za późno.

— Pewnie — odparł, uśmiechając się sympatycznie, pan Rupert Catskill i zerknął okiem w dół kanionu.

Pan Barnstaple zaczął macać nogą róg niszy, szukając skalnego występu.

— Niech pan poczeka jeszcze minutę — rzekł Catskill. — Nie będę strzelał.

Głos z piwnicy, prawdopodobnie głos lorda Barralongi, zawołał coś o zwaleniu skały na pana Barnstaple’a. Ktoś drugi, prawdopodobnie Ridley, potakiwał projektowi z okrutną skwapliwością.

— Nie bez legalnej procedury sądowej — rzucił przez ramię głównodowodzący. Twarz jego była niezgłębiona, ale w umyśle Barnstaple'a zaświtała fantastyczna nadzieja, że Catskill nie pragnie jego śmierci. Przemyslał sytuację i życzył sobie teraz, żeby zbieg uciekł do Utopian i doprowadził może do jakiegoś z nimi porozumienia.

— Zamierzamy oddać pana pod sąd — rzekł Catskill. — Pod sąd. Wzywamy pana, abyś się stawił przed nami.

Zwilżył wargi i zastanowił się chwilę.

— Sąd zbierze się prawie natychmiast.

Małe brązowe oczka oceniły szybko szansę pozycji pana Barnstaple'a. Spojrzał ku mostowi.

— Nie będziemy traciли czasu nad procedurą — rzekł. — I mało mam wątpliwości co do tego, jaki będzie wyrok. Skazemy pana na śmierć. Tak. Sądzę, że nie upłynie kwadrans, a los pański będzie legalnie rozstrzygnięty.

Spojrzał w górę, starając się wypatrzeć szczyt skały.

— Prawdopodobnie zwalimy na pana odłamy skał — dodał.

— *Moriturus te saluto** — powiedział pan Barnstaple z miną człowieka, robiącego dowcipną uwagę. — Pozwolę sobie teraz poszukać wygodniejszej pozycji.

Pan Catskill wpatrywał się w niego z uporem.

— Nie miałem nigdy nic przeciwko panu — rzekł skazaniec. — Gdybym był pańskim nauczycielem, wszystko mogłoby przybrać inny obrót. Dzięki za ten darowany mi kwadrans zwłoki, a jeżeli przypadkiem...

— Właśnie — rzekł Catskill.

Zrozumieli się.

W chwili gdy pan Barnstaple zniknął w zagłębieniu, dyktator oglądał jeszcze daleką perspektywę, a z głębi piwnicy dolatywał słaby głos lorda Barralongi, opowiadającego się za natychmiastowym zwaleniem skał.

VI

Niezbadane są tajniki ludzkiego umysłu. Pan Barnstaple przerzucił się z nastroju rozpacz do wesołości. Pierwsza dławiąca trwoga wspinania się po skałę na tej olbrzymiej wysokości ustąpiła teraz miejsca prawie chłopięcej pewności siebie. Znikła świadomość natychmiastowej śmierci. Oceniał niezwykłość przygody, faktycznie cieszył się nią w tej chwili, nie myśląc wcale o tym, jak się ewentualnie skończy.

Szło mu nieźle, dopóki nie dostał się na krawędź występu, chociaż zaczęły go już bardzo boleć ramiona; wtedy doznał nowego wstrząsu. Roztaczał się teraz przed nim widok na cały most i górną część wąwozu. Skalny gzyms, po którym się posuwał, nie biegł wcale do mostu, tylko pod most, o jakieś trzydzieści stóp niżej. I co gorsza, między uciekającym i mostem widniały dwie szczeliny i kominy o niewiadomych wymiarach. To odkrycie sprawiło, iż po raz pierwszy pożałował, że nie został w piwnicy i nie stoczył tam walki. Przez parę minut trwał w niezdecydowaniu, przy czym ból w ramionach wzrastał się z sekundy na sekundę.

Z bezczynności wyrwało go coś, co mu się początkowo wydało cieniem szybko przelatującego ptaka, rzuconym na skałę. Po chwili ukazało się znów. Żył nadzieję, że

nie zostanie zaatakowany przez ptaki. Kiedyś czytał takie opowiadanie, ale mniejsza z tym teraz.

Potem w górze rozległ się donośny trzask. Podniósł oczy i ujrzał, jak kawał skały, uderzywszy o mały występ nad jego głową, rozprysnął się w kawałki. Ten incydent wyjaśnił mu, że po pierwsze sąd wydał niepomysłny wyrok trochę prędzej, niż przepowiadał to pan Catskill, po drugie zaś, że tam na górze widziano go. Z gorączkową energią jął się znów przedzierać w stronę szczeliny.

Szczelina była lepsza, niż się spodziewał; był to mianowicie komin, trudny, jak zauważył, jeśli chodziłoby | o drapanie się w górę, ale zupełnie możliwy jako zejście w dół. Był on całkowicie zasłonięty od góry, a o jakieś sto stóp niżej widać było rodzaj progu tworzącego zagłębienie, zabezpieczone również od góry, a tak obszerne, że można się było na nim rozłożyć w całej długości. Co za miejsce odpoczynku dla zmęczonych ramion pana Barnstaple'a! Nie zwlekając ani chwili, spuścił się na dół i oddał błogiemu uczuciu, że nie musi się niczego czepiać. Zarówno oczy, jak i ramiona jego ziemskich prześladowców nie mogły go już dosięgnąć.

W głębi wklęsnięcia sączyła się ze skały woda. Ugasił pragnienie, poczuł głód i pożałował, że nie zabrał trochę żywności ze składu w piwnicy. Mógł być otworzyć jedną owiniętą w złotą blaszkę kostkę lub wsadzić do kieszeni małą flaszkę wina. Wino bardzo by się teraz przydało. Nie należało jednak o tym myśleć. Przesiedział na cennym progu, jak mu się zdawało, bardzo długo, przyglądając się uważnie dolnej części komina. Komin wydawał się łatwy do przebycia na dużej przestrzeni. Boki jego były bardzo gładkie, ale wydawały się dostatecznie sobie bliskie, żeby spuścić się na dół, oparłszy plecy o jeden, a nogi o drugi.

Spojrzał na zegarek na ręku. Nie było jeszcze dziewiątej, brakowało do niej dziesięciu minut. Ridley kazał go wezwać do siebie przed wpół do szóstą. O wpół do siódmej podał na podwórku śniadanie. Serpentyń i Cedr przybyli pewnie koło ósmej. W niespełna dziesięć minut Serpentyń został zamordowany. Potem nastąpiła ucieczka i pościg. Jakże się to wszystko prędko rozegrało!...

Miał przed sobą cały dzień. Zacznie znów schodzić o wpół do dziesiątej. Do tej pory będzie odpoczywał. Doprawdy, absurdem było czuć się głodnym...

Przed oznaczoną godziną był znów w drodze. Przez jakieś sto stóp szło mu łatwo. Potem niepostrzeżenie komin zaczął się rozszerzać. Zdał sobie z tego sprawę dopiero wtedy, gdy już leciał w dół, ślizgając się po skale. Leciał tak może ze dwadzieścia stóp, opierając się wściekle, a bezskutecznie, a potem przez dziesięć już się nawet nie ślizgał, tylko leciał w powietrzu. Uderzył o występ i runął na drugi próg, dużo szerszy niż poprzedni. Doznał silnego wstrząsu i padając potoczył się na szczęście do środka występu. Potłukł się, lecz nie pokaleczył

— Moja szczęśliwa gwiazda sprzyja mi — szepnął.

Przez czas jakiś odpoczywał, po czym ufny, że wszystko pójdzie jak najlepiej, zabrał się do zbadania następnej fazy zejścia. Jakież było jego zdumienie, gdy przekonał się, że komin poniżej progu był absolutnie nie do przebycia. Miał ze sześć stóp szerokości i na przestrzeni przynajmniej dwudziestu jardów ściany jego składały się z gładkich skał. Równie dobrze mógł się od razu rzucić w przepaść jak robić próby zejścia. Potem zdał

sobie sprawę, że równą niemożliwością było zawrócić. Nie mógł wierzyć własnym oczom. To było zbyt niedorzeczne. Zaśmiał się takim śmiechem, jakim mógłby się zaśmiać człowiek, którego matka nie poznałaby po jednodniowej nieobecności. Potem przestał się nagle śmiać. Powtórzył inspekcję. Dotknął palcami gładkiej ściany skalnej.

— Ależ to absurd — rzekł oblewając się zimnym potem.

Nie było żadnego wyjścia z tej pułapki, do której dostał się kosztem tyłu cierpień i trudów. Nie mógł się ani cofnąć, ani iść dalej. Został złapany w potrzask. Szczęśliwa gwiazda przestała mu świecić.

VII

W południe, podług zegarka pana Barnstaple'a, siedział on w swej niszy tak, jak mógłby siedzieć w fotelu w momencie chwilowego ustania bólów człowiek wyczerpany i schorowany, który nie może nic zrobić i niczego się już nie spodziewa. Nie istniała nawet jedna szansa na dziesięć tysięcy uwolnienia się z tej pułapki, w którą się niechcący dostał. W głębi niszy sączyła się ze skały woda, ale o żywności nie mogło być mowy. Nigdzie nawet ździebełka trawy do żucia. Jeżeli nie uzna za stosowne rzucić się w przepaść wąwozu, przyjdzie mu zemrzeć głodową śmiercią... Nocami może będzie zimno, ale nie do tego stopnia, żeby zamarznąć.

Po to więc wydarł się dręczącemu dziennikarskiemu harowaniu w Londynie i domowym utrapieniom Sydenhamu, by zgotować sobie taki koniec...

Jakże dziwaczną podróż odbył razem z Żółtym Niebezpieczeństwem! Camberwell, Victoria, Hounslow, Slough, Utopia, górski raj, sto czarujących, boleśnie nęcących przebłyków świata prawdziwego szczęścia i porządku, długa, druga podróż aeroplanem naokoło połowy świata... I teraz — śmierć.

Myśl skrócenia cierpień przez skoczenie w przepaść nie przemawiała mu do wyobraźni. Pozostanie tutaj i wycierpi wszystko, co mu los przeznaczył — aż do końca. A w odległości trzech tysięcy jardów od niego znajdują się jego towarzysze Ziemianie, również wyczekujący na wyrok losu... To było zdumiewające... i takie... proste... Ostatecznie to lub coś podobnego musi spotkać większość ludzi.

Prędzej czy później ludzkie pionki muszą lec, zmożone cierpieniem, muszą myśleć i myśleć gorączkowo, potem mętnie i dojść w końcu do zupełnego zagaśnięcia świadomości.

Ogólnie biorąc, myślał, lepiej było umrzeć w ten sposób niż zginąć nagłą śmiercią. Warto było popatrzeć przez czas jakiś twarz w twarz śmierci, mieć możliwość powiedzenia sobie: finis*, przebiec myślą własne życie, zastanowić się nad życiem w ogóle, i to wszystko w sposób oderwany, niezależny, osiągalny tylko przy zupełnej niemożności zmienienia choćby na jotę czegokolwiek.

Na razie umysł jego był jasny i spokojny. Opanowała go chłodna pogoda ducha, podobna do czystego zimowego nieba. Wiedział, że czekały go cierpienia, ale nie wierzył, żeby miały być nie do zniesienia. Gdyby tak było, to ostatecznie pod nim ziała mroczna głębia kanionu. Pod tym względem ten skalny występ był lepszym śmiertelnym łóżem niż większość śmiertelnych posłań i daleko wygodniejszym. Łóżko chorego człowieka

wyobrażało ból z szerokim marginesem, dawało możliwość przecierpienia go w całej pełni, podczas gdy — o ile wiedział z lektury, śmierć głodowa nie była znów tak bardzo straszna. Przyjdzie głód i cierpienie, najgorsze na trzeci dzień, a potem już tylko wielkie osłabienie i przytępienie. Nie będzie się to równać torturze raka lub męce zapalenia mózgu; ani w dziesiątej części nie będzie takie złe, jak tamto. Ale całkowita samotność... Czyż jednak człowiek umierający w domu jest o wiele mniej osamotniony? Przychodzą i mówią: „Uspokój się! Uspokój!” i oddają drobne usługi — ale czyż istnieje poza tym jakieś porozumienie?... Wyruszasz w swoją samotną drogę, opuszcza cię mowa, zdolność ruchu i pragnienie mówienia lub poruszania się, głosy rozwiewają się w nicłość... Wszędzie, na każdym miejscu śmierć jest bardzo samotnym aktem, odejściem od wszystkiego... Człowiekowi młodszemu ta samotność w wąwozie wydałaby się prawdopodobnie straszliwa, ale pan Barnstaple pozbył się już intensywnych złudzeń co do pożycia z ludźmi. Chciałby pomówić po raz ostatni ze swymi chłopcami, uspokoić żonę i nastawić ją odpowiednio, ale nawet i te pragnienia były może bardziej sentymentalne niż realne. Zawsze w rozmowie ze swymi chłopcami czuł się trochę onieśmielony. W miarę jak kształtowały się ich osobowości, w miarę jak wyrastali z chłopięcych lat, odczuwał coraz to silniej, że poufne z nimi konwersacje stawały się zamachem na ich prawa samodzielnego rozwoju. I oni również, czuł to dobrze, odnosili się doń z nieśmiałością, a przy tym obronnie. Może później synowie wracają do ojca — ale on już tego „później” nie doczeka. Pragnął wszakże, żeby się mogli dowiedzieć, co się z nim stało. Myśl ta martwiła go. To by go usprawiedliwiło w ich oczach, i może byłoby lepiej dla ich charakterów, gdyby nie myśleli — do czego prawdopodobnie dojdzie — że od nich uciekł, że ich porzucił lub dostał pomieszania zmysłów albo nawet wpadł w złe towarzystwo i został zabity. A tak, jak rzeczy stały, będą się może niepotrzebnie dręczyć, wstydzic lub robić wydatki, żeby się dowiedzieć, gdzie on się podział, i to była przykra perspektywa.

Trzeba umrzeć. Śmierć jest koniecznością. Wielu ludzi umarło w taki sposób, jak on umrze, dostało się w obce miejsca, zabłąkało w ciemnych pieczarach, rozbiło na niezamieszkałych wyspach, przepadło w australijskich kniejach i zmarło w więzieniach. Dobrze było umierać bez wielkich udręczeń i zniewag. Myślał o miriadach ludzi ukrzyżowanych przez Rzymian — czy to osiem, czy dziesięć tysięcy męczenników z armii Spartakusa zabito w ten sposób wzdłuż Apijskiej Drogi? — o marynarzach, zawieszonych na łańcuchach j na śmierć zagłodzonych, i o nieskończonych ilościach takich śmierci. Dla młodych imaginacji rzeczy te były wstrząsające i straszniejsze w myśli niż w rzeczywistości. Jest to wszystko kwestia trochę większego lub mniejszego kwantum bólu — ale Bóg nie chce, żeby się tyle bólu marnowało na próżno. Krzyż, koło, elektryczny fotel lub łożo boleści — to wszystko jedno — rzecz leży w tym, że umierasz i kończysz z życiem.

Miło było pomyśleć, że można tak odważnie roztrząsać te rzeczy. Dobrze było „paść” i przekonać się, że się zachowało przytomność umysłu. Pan Barnstaple zdziwił się na myśl, że teraz, gdy znalazł się twarzą w twarz z zagadką śmierci, tak mało troszczył się o to, czy jest nieśmiertelny, czy też nie. Był najzupełniej przygotowany na to, że okaże się nieśmiertelny lub przynajmniej nie skończy się od razu po śmierci w całości lub

częściowo. Dogmatyczność byłaby śmieszna. Nie można przecież twierdzić, że niemożliwością jest, żeby jakaś część, jakieś odbicie świadomego, kierowanego wola życia w jakiś sposób nie przetrwało. Nie mógł sobie wszakże wyobrazić, jakby to mogło być. To było niewyobrażalne. Nie do przewidzenia. Nie czuł żadnego lęku przed ewentualnym dalszym ciągiem. Nie myślał o możliwości kary czy okrucieństwa ani też się tego nie obawiał. Wszechświat wydawał mu się czasami dziełem bardzo niedbałej ręki, nigdy wszakże nie dał przystępu wierzeniu, żeby go mogła stworzyć złośliwa głupota. Robił na nim wrażenie olbrzymiej niedbałości, ale nie przemożnego okrucieństwa. On sam był tym, czym był: człowiekiem słabym, ograniczonym i czasami niemądrym, ale kara za te defekty leżała w nich samych.

Przestał myśleć o swojej własnej śmierci i pogrążył się w dumaniach o życiu, jako zjawisku ogólnym, o jego obecnej nędzy i odważnych aspiracjach. Ogarnął go gorzki żal, że nie pozna lepiej świata Utopii, który pod tymi względami był do pewnego stopnia zapowiedzią tego, czym mógł się stać nasz własny świat. Jakże go radowała świadomość oglądania własnymi oczyma ludzkich marzeń i ideałów, usprawiedliwionych tym wcieleniem ich w życie, choć z drugiej strony przepajał go gryzący smutek na myśl, że wizja ta została mu wydartą w chwili, gdy dopiero zaczął się z nią zapoznawać. Jał sobie zadawać pytania w kwestiach ekonomicznego ustroju, miłości i walki, na które nie było dlań odpowiedzi. W każdym razie cieszył się, że danym mu było ujrzeć chociaż tyle. Dobrze było oczyścić się w blaskach takiej wizji, wznieść się ponad jałową beznadziejność pana Peeve'a i nadać znów życiu odpowiednią perspektywę.

Namiętności, konflikty i niedole a.d. 1921 były objawami gorączkowego stanu świata, który nie został jeszcze zaszczepiony. I ziemski zamęt skończył się z czasem dzięki jakiejś ukrytej, niezłomnej prawości, płynącej w żyłach ludzkiego gatunku. Skulony w zagłębieniu olbrzymiej skalnej ściany, mając od góry niebotyczne szczyty, a pod sobą przepaście, zziębnięty, zgłodniały i znużony pan Barnstaple, człowiek o dziwnie ukształtowanym umyśle, czerpał z tej refleksji głęboką pociechę i pokrzepienie.

Ale w jakże nędzny sposób on i jego towarzysze nie docenili wielkiej szansy, następczej im przez Utopię! Nikt nie potrafił skutecznie przeszkodzić dziecinnej awanturze Catskilla i brutalnej agresywności jego towarzyszy. Ojciec Amerton z nieodpartą konsekwencją dobijał się roli gardłującego, pałającego nienawiścią, prześladowającego i wzniecającego spory księdza. Burleigh okazał się nędznie słabym i nieuczciwym człowiekiem, a on sam nie o wiele odeń lepszym. Zawsze tylko potępiał i ganił, ale nigdy czynem — tylko słowem. A ta kobieta, Greta Grey — cóż za nieinteligentne stworzenie, istna krowa przy całej swej piękności, seksualnie zaborcza, wrażliwa jedynie na to, co jej się należało jako biernej samicy, a nieprzystępna dla wszelkiej innej myśli! Lady Stella była ulepiona z lepszej gliny, ale pozbawiona wszelkiego entuzjazmu. Pomyślał, że w tej przypadkowej ekspedycji kobiety nie były dobrze reprezentowane, jedna — szkodliwe zero, a druga — niezdolna do czynu. Czyż były one próbką ziemskiego świata kobiecego, dającą słuszne o nim wyobrażenie? Jedyną reakcją Ziemian na cuda Utopii była chęć sprowadzenia jej możliwie prędko do stanu bezładu, konfliktów, podbojów i okrucieństw, cechujących wiek zamętu, do którego sami należeli. Z Serpentina i Cedra, człowieka nauki i człowieka służącego zdrowiu

powszechnemu, starali się uczynić zakładników na rzecz zamętu i gdy im się to nie udało, zabili ich czy też usiłowali zabić.

Starali się doprowadzić Utopię do stanu Ziemi. Prawdę mówiąc, gdyby nie szaleństwo, złość i słabość ludzi, Ziemia byłaby teraz Utopią. Stara Ziemia była Utopią, ogrodem i wspaniałością, ziemskim rajem, obracanym w proch i ruinę przez swoich Catskillów i Hunkerów, Ridleyów, Dupontów i im podobnych. Temu ich niszczycielskiemu pochodowi nic się pozornie nie przeciwstawiało na całym szerokim świecie prócz lamentów Peeve'ów, układnych krytyk Burleighów i niezgłębionej bezsilności protestów takich ludzi jak on sam. No i garstka pisarzy i reformatorów, których praca nie wydała jak dotąd namacalnych rezultatów.

I znowu pan Barnstaple zaczął myśleć o swoim starym przyjacielu, inspektorze szkolnym i autorze książek szkolnych, który pracował tak wytrwale przez całe życie i umarł z przepracowania. Przez wszystkie swoje dni pracował dla Utopii. Czy na Ziemi znajdowały się już setki czy tysiące takich Utopian? Jaka siła podtrzymywała ich w pracy?

— Jaka szkoda, że nie mogę im przesłać żadnej wieści — rzekł pan Barnstaple — dla pokrzepienia serc. Nie ulegało wątpliwości, że choć on sam zginie z głodu nędzną śmiercią niczym zwierzę w pułapce, to przecież Utopia triumfowała i będzie triumfować. Rabusiów i awanturników, prześladowców, patriotów, linczowników i w ogóle wszelką krótkowzroczną ludzką hołotę spotka ostateczna przegrana. I nawet oni nie doznają w życiu szczęścia, gnani od wzburzenia do wzburzenia i od użycia do wyczerpania. Ich przedsięwzięcia i sukcesy, wojny i triumfy wybuchają efemerycznymi blaskami i gasną w mrokach zapomnienia. Jedynie rośnie to, co prawdziwe, sama prawda, jasna myśl rozwija się i rośnie z roku na rok, ze stulecia na stulecie wolno, nieodparcie jak diament wśród ciemności i ciśnienia ziemi lub poświata jutrzeńki, rozpraszająca mętne światła jakiejś spóźnionej orgii. Jaki będzie koniec owych nieboraków, odciętych na szczycie skały? Ich życie było nawet mniej pewne niż jego własne, bo on przecież będzie tu może leżał całe tygodnie, ginąc powolną śmiercią głodową, zanim zgaśnie w nim ostatecznie migotanie świadomości. Oni zaś przeciwstawili się otwarciu potężnej Utopii i pewnie już teraz zorganizowana siła tego świata wyciąga po nich karzące ramię. Dotąd jeszcze doznawał stałych, nieracjonalnych wyrzutów sumienia z powodu zdrady zasadzki Catskilla. Uśmiechał się na myśl o namiętnej trwodze i pewności, jakiej doznawał wtedy, myśląc, że jeżeli Catskill złapie zakładników, Utopia dostanie się pod władzę Ziemi. To przeświadczenie pchnęło go do działania. Jego słabe ostrzegawcze krzyki były jedyną próbą odwrócenia strasznego nieszczęścia. Ale gdyby go tam wcale nie było albo gdyby poszedł za słabym instynktem solidarności z towarzyszami, który pchał go do wspólnej walki: co wtedy? Przypomniawszy sobie Cedra, odrzucającego od siebie Musha w taki mniej więcej sposób, jak się odrzuca natrętnego pokojowego pieska, oraz wyniosłą, silną postać Serpentina, i obudziły się w nim wątpliwości, czy gdyby nawet ci dwaj siłacze znaleźli się już na schodach w bramie, Ziemianie daliby im ostatecznie radę. Uciekliby się i w tym wypadku do rewolwerów tak, jak to uczynili na zboczach góry, i Catskill nie zdobyłby zakładników — tylko dwa trupy.

Jakże niewypowiedzianie głupi był cały plan Catskilla! Co prawda, wcale nie głupszy niż zachowanie się na ziemi Catskilla, Burleigha i innych ziemskich mężów stanu w ciągu ostatnich niewielu lat. Chwilami w czasie wielkiej wojny, gdy świat męczył się i konał, zdawało się, że zstępuje na ziemię Utopia. Czarne chmury i dymy tych ciemnych dni przeszywały błyski dziwnych nadziei, wieszczących odrodzenie świata. Niestety! Nacjoniści, finansjści, księża i patrioci obrócili wniwecz te piękne ułudy. Pokładali ufność w starych truciznach, zarazach i słabej odporności cywilizowanych umysłów. Policzyli swoją broń, zastawili zasadzki i kazali swym kobietom szyc flagi niezgody... Zabili nadzieję na pewien okres czasu, ale nie na zawsze, gdyż nadzieja, odkupicielka ludzkości, wiecześnie zmartwychwstaje.

— Utopia zwycięży — rzekł pan Barnstaple i przez chwilę stał nieruchomo, przysłuchując się dźwiękowi, który go już uprzednio doleciał, a na który nie zwrócił dotąd zbytnej uwagi. Odgłos ten, miarowy warkot wewnątrz skały nad jego głową, podobny był do dudnienia jakiejś wielkiej maszyny. Dźwięk spotęgował się, a potem osłabł i stał się prawie niedosłyszalny.

Myśli skazańca pobiegły do jego byłych towarzyszy. Miał nadzieję, że nie czuli się zbyt nieszczęśliwi lub strwożeni w swej skalnej fortecy. Zwłaszcza życzył sobie, żeby zdarzyło się coś, co by podtrzymało odwagę lady Stelli. Troszczył się serdecznie o młodą kobietę. Dla reszty byłoby dobrze, gdyby pozostała do końca czynnie wojownicza. Możliwe, że pracują teraz nad jakimś niedorzecznym, desperackim planem obrony, obmyślonym przez Catskilla, z wyjątkiem naturalnie pana Burleigha, który odpoczywa, przekonany, że przynajmniej dla niego znajdzie się jakieś honorowe wyjście z awantury. I prawdopodobnie nie bardzo się zmartwi, jeżeli się tak nie stanie. Amerton i może Mush mogą popaść w religijną egzaltację, co zirytuje trochę pozostałych, ale okaże się według wszelkiego prawdopodobieństwa umysłowym narkotykiem dla lady Stelli i panny Greety Grey. Dla Penka znajdzie się w piwnicy wino...

Pójdą za wewnętrznymi prawami swych dusz, zrobią to, czego od nich zażąda natura i głęboko zakorzenione nawyki. Czyż istniała inna możliwość?...

Pan Barnstaple pogrążył się w metafizycznych otchłaniach...

Spojrzał na zegarek na bransoletce. Było dwadzieścia po dwunastej. Spoglądał nań coraz to częściej albo może czas zwolnił bieg... Czy go nakręcić, czy pozwolić, żeby stanął? Czuł się bardzo głodny, ale nie mógł to jeszcze być prawdziwy głód; zapewne wyobraźnia zaczęła mu wypowiadać posłuszeństwo.

Rozdział czwarty

Koniec kwarantanny na skale

|

Pan Barnstaple ocknął się wolno i niechętnie z marzeń o jedzeniu i gotowaniu. Śniło mu się, że był Soyerem, słynnym kucharzem Reform Clubu, i że obmyślał i kosztował nowe potrawy. Lecz w miły sposób, właściwy sennym krainom, był nie tylko Soyerem, ale jednocześnie bardzo mądrym utopijnym biologiem i wszechmocnym bogiem, tak że mógł nie tylko wykonywać nowe potrawy, lecz także stwarzać nowe warzywa i mięsa, żeby mieć z czego przyrządzać posiłki. Szczególnie interesował go nowy gatunek drobiu, rasy

Chateaubriand, mający łączyć soczystość najlepszego befsztyka z delikatnością właściwą pierśiom kury. Chciał je nafaszerować mieszaniną pieprzu angielskiego, cebuli i grzybów — tylko, że to nie były właściwie grzyby. Spróbował ich i przekonał się, że smakowały troszeczkę inaczej. Potem ukazał się we śnie kucharz, jego pomocnik, nawet kilku pomocników, nagich jak Utopianie, którzy jęli wynosić drób ze spiżarni mówiąc, że się nie utrzymał w cenie, że poszedł „w górę” i idzie coraz wyżej. W celu wykazania tego na przykładzie pomocnicy podnieśli ptaki nad głowami i zaczęli wdrapywać się po ścianach kuchni, bardzo skalistych i jak na kuchnię bardzo wąskich. Postacie ich ściemniały i zarysowały się czarnymi sylwetkami na tle świetlistej pary, wzbijającej się z kotła z wrzącą zupą. Zupa gotowała się, a przecież była zimna tak samo jak para. Obudził się.

Zamiast świetlistej pary ujrzał mgłę, zalaną światłem księżyca i wypełniającą wąwóz. Na jej tle rysowały się czarne sylwetki dwóch Utopian...

Jakich Utopian?

Umysł jego zmagał się z sennym majaczeniem, nie mogąc się zeń otrząsnąć.

Wyprostował się sztywno i patrzył, patrzył... Poruszali się swobodnie, zupełnie nieświadomi jego tak bliskiej obecności. Zdążyli już umocować gdzieś nad nim wąską drabinę sznurową. Nie wiedział, jak mogli to zrobić. Jeden stał nieruchomo na występie skalnym, podczas gdy drugi kołysał się nad nim, rozpięty nad wąwozem, przyczepiony do sznura, z nogami opartymi o skałę. Nad krawędzią występu ukazywała się głowa trzeciej postaci, kiwając się to w tę, to w tamtą stronę. Najwidoczniej ktoś wchodził po drugiej drabinie. Wszyscy trzej wiedli jakąś dyskusję. Pan Barnstaple dowiedział się, iż ostatni przybysz utrzymywał, że on i jego towarzysze wdarli się już dostatecznie wysoko, najwyżej zaś stojący człowiek upierał się, że powinni wejść jeszcze wyżej. W ciągu paru chwil doszli wszakże do porozumienia.

Utopianin idący na przodzie zrobił się bardzo ruchliwy, poderwał się ku górze, zakołysał i zniknął stopniowymi podrzutami z pola widzenia pana Barnstaple'a. Za nim podążyli towarzysze i również znikli jeden po drugim, pozostawiając za sobą jedynie konwulsyjnie rozedrganą drabinę sznurową i kołyszącą się linę, którą, jak się mogło zdawać, wciągali z sobą na skałę.

Naprężone mięśnie pana Barnstaple'a rozluźniły się, a usta otworzyły w cichym ziewnięciu. Rozprostował obolałe członki i powstał z zachowaniem wielkich ostrożności. Zerknął w górę wąwozu. Utopianie, zdaje się, dotarli do nowego występu i coś tam majstrowali. Kołysząca się lina wyprostowała się i naprężyła. Holowali coś z dołu. Był to wielki tłumok prawdopodobnie z narzędziami, bronią lub surowymi materiałami, owiniętymi w coś osłabiającego impet uderzeń o skałę. Wskoczył on nagle z dołu, wirował przez moment przed oczami pana Barnstaple'a, po czym znikł w górze, poderwany przez Utopianina, który związał linę. Nastąpił okres ciszy.

Usłyszał metaliczny szcęk, a potem — buch, buch, buch — przerywane kucie młotem. Nagle drgnął i odskoczył, gdyż koniec cienkiej linki, najwidoczniej rozwijającej się z bloku, przemknął obok niego. Teraz dźwięki dochodzące z góry stały się podobne do piłowania pilnikiem i zaczęły się stamtąd sypać w przepaść drobne okruchy skalne.

II

Nie wiedział, co czynić. Bał się zawołać do Utopian i zdradzić swoją obecność. Po zamordowaniu Serpentyna miał wątpliwości, jakby ewentualnie postąpił Utopianin znalazłszy Ziemianina kryjącego się w ciemnej dziurze.

Zbadał sznurową drabinę, po której Utopianie wdarli się aż na jego poziom.

Przytrzymał ją długi gwóźdź, którego koniec tkwił w skale od strony wąwozu.

Prawdopodobnie gwoździem tym strzelono w skałę z dołu w czasie jego snu. Drabina zrobiona była z prostych sznurów i obręczy, w dwustopowej od siebie odległości.

Materiał, z którego była sfabrykowana, był tak lekki, że gdyby nie widział na niej Utopian, wątpiłby, czy zdoła utrzymać człowieka. Przyszło mu do głowy, że mógłby się teraz po niej spuścić i zaryzykować ewentualne spotkanie ze znajdującymi się na dole

Utopianami. Uwadze owych trzech górnych Utopian mógł się narzucić tylko za pomocą

jakieś nagłej i gwałtownej akcji, która mogłaby sprowokować w odpowiedzi coś

niemiłego i nieprzewidzianego; gdyby wszakże ukazał się wprawdzie z daleka na drabinie, ci

na dole mieliby czas zastanowić się nad faktem jego zbliżania się, zanimby się do niego

zabrali. W dodatku chciał koniecznie zejść ze swojego niewygodnego skalnego występu.

Chwytał za obręcz, przerzucił nogę przez krawędź skalną i po chwili nasłuchiwania

słabych, dochodzących z góry szmerów zaczął się spuszczać na dół.

Schodzenie było straszne; zdawało się, że się nigdy nie skończy. Niebawem pożałował,

iż nie liczył pętli drabiny. Musiał ich już przebyć całe setki. Pomimo to, gdy wykręciwszy

szyję spojrział w dół, ziała nań taka sama czarna otchłań jak na początku. Zrobiło się

bardzo ciemno. Księżyc nie zaglądał w kanion zbyt głęboko i czarny mrok rozjaśniał

jedynie słaby odbłask falującej w górze rzadkiej mgły. Zdawało się, że nawet na niebie

księżycowe światło jęło przygasać.

Barnstaple zbliżał się do skały, to znów się od niej oddalał. Sznurowa drabina zwiślała

prostopadle wśród czarnej, bezdennej przestrzeni. Musiał szukać każdej poszczególnej

pętli. Ręce i nagie stopy bolały go już i paliły nie na żarty. Nasunęło mu się nieprzyjemne

przypuszczenie, że może spotkać jakiegoś Utopianina, biegnącego w górę po jego

drabinie. Ale chybaby się na czas zorientował po naprężeniu i drganiu liny i mógłby

zawołać, że jest Ziemianinem, nieszkodliwym Ziemianinem, i że schodzi na dół.

Zaczął wykrzykiwać na próbę owe słowa. Odbiły się echem o ściany wąwozu, nie

wywołałszy żadnej odpowiedzi.

Umilkł tedy i schodził wytrwale, zaciekle i możliwie prędko, opanowany intensywnym

pragnieniem skończenia raz z tą piekielną sznurową drabiną i dania wypoczynku

rozpalonym rękom i nogom. Myśl ta zapanowała nad wszelkimi innymi względami.

Rozległo się szcęknięcie i mignął zielony błysk.

Zesztywniał i wpił oczy w głąb kanionu. Znów rozbłysła zielona błyskawica. W jej świetle

ujrzał gdzieś niesłychanie daleko głąb wąwozu. A w górze coś... takiego. Krótki błysk nie

pozwoił mu się w tym zorientować. Początkowo sądził, że po ścianach wąwozu pełźnie

kolosalny wąż, ale potem doszedł do wniosku, że musiał to być olbrzymi kabel, holowany

przez garstkę Utopian. Nie mógł sobie tylko wyobrazić, jakim sposobem trzy czy cztery

widziane przezeń niewyraźne figurki mogły poruszać takiego kolosa. Głowa tego

kablowego potwora wznosiła się ukośnie po skale. Być może, ciągnięto ją za pomocą lin,

kórych nie zauważył. Czekał na trzecie błysniecie, ale na próżno. Słuchał. Nie doszły go wszakże żadne dźwięki z wyjątkiem dudnienia (które już przedtem słyszał) przypominającego łoskot obracającej się miarowo maszyny. Zaczął znów schodzić.

Kiedy wreszcie dosięgnął miejsca, gdzie mógł stanąć, został tym po prostu zaskoczony. Koniec drabiny opuszczał się jeszcze parę jardów niżej i urywał. Barnstaple kołysał się coraz to silniej i zaczął sobie zdawać sprawę, że to drabina się kończy, gdy zauważył niewyraźną prawie poziomą galerię, wyciętą w skalnej ścianie. Wysunął nogę, wyczuł nią krawędź galerii i rozhuśtany znów się od niej oddalił. Czuł się teraz tak znużony i wyczerpany, że przez czas pewien nie był w stanie puścić drabiny i stanąć na skale. W końcu zdał sobie sprawę, jak to można zrobić. Spuścił nogi, odepchnął się nimi od skały i huśtając się przybrał odpowiednią pozycję: mógł teraz stanąć. Nie zrobił tego wszakże od razu. Powtórzył dwukrotnie manewr i wtedy dopiero nabrał odwagi: puścił drabinę i spadł na skalny występ. Drabina odleciała daleko w ciemność i powróciwszy uderzyła go jakby żartobliwie w łopatkę tak niespodzianie, że zadrżał.

Galeria, na której się znalazł, zdawała się leżeć wzdłuż wielkiej żyły krystalicznej substancji, przecinającej skalną ścianę. W głąb jej szły otwory wiertnicze o średnicy równej wysokości człowieka. Zajrzał w głąb jednego z nich i poszedł galerią. Jeżeli to była kopalnia, to znajdzie się oczywiście jakiś sposób dostania się do niej i zejścia stamtąd do wąwozu. Szum potoku był teraz daleko głośniejszy; doszedł więc do przekonania, że prawdopodobnie przebył schodząc w dół dwie trzecie wysokości skały, licząc od góry. Miał ochotę poczekać z przedsięwzięciem dalszych kroków na światło dzienne. Fosforyzująca tarcza zegarka wskazywała godzinę czwartą. Niedługo zacznie świtać. Znalazł sobie miejsce z wygodnym oparciem dla pleców i usiadł w kucki.

Rozjaśniło się, jak sądził, bardzo szybko, choć w rzeczywistości przedzemał okres czekania. Kiedy powtórnie spojrział na zegarek, było wpół do szóstej.

Przysunął się do skraju galerii i spojrział w to miejsce wąwozu, gdzie widział kabel. Krajobraz wyglądał blade i mrocznie, bardzo czarno i biało, ale widać było wszystko wyraźnie. Ściany kanionu zdawały się biec w górę i w nieskończoność i niknąć w chmurach. W dole mignęła mu postać Utopianina, który skrył się niebawem za zakrętem wąwozu. Wywnioskował, że wielki kabel przyciągnięto tak blisko do skały kwarantanny, iż stał się dlań niedostrzegalny.

Nie mógł znaleźć żadnych schodów, prowadzących z galerii na dół; w odległości trzydziestu lub czterdziestu jardów zauważył za to pięć czy sześć grubych kabli, biegnących pod ostrym kątem od galerii ku przeciwległej stronie wąwozu. Rysowały się bardzo wyraźnymi czarnymi liniami. Podeszedł do nich i przekonał się, że były przeznaczone do holowania wagoników, zaopatrzonych od spodu w wielkie haki. Trzy z owych kabli były puste, a na dwóch wisały wagoniki. Pan Barnstaple przyjrzał się wagonikom i odkrył, że przytrzymały je zamknięte klamry. Otworzył jedną z nich, i wagonik pomknął z taką szybkością, że o mało nie pociągnął go w przepaść. Uratował się w porę, chwyciwszy się kabla. Patrzył, jak wagonik zleciał na dół niby drapieżne ptaszysko i zatrzymał się na szerokim piaszczystym pobrzeżu z drugiej strony

strumienia. Wszystko zdawało się iść jak po maśle. Drżąc całym ciałem, skierował się do pozostałego wagonika.

Nerwy jego i wola były tak wstrząśnięte, iż upłynęło sporo czasu, nim się zdobył na odwagę wykonania swego planu,— mianowicie: umieszczenia się na haku i po uprzednim otwarciu kłamry przebycia w ten sposób przepaści.

Gładko i szybko przeleciał wąwóz i znalazł się na dole na wybrzeżu, na którym leżały duże kupy krystalicznego minerału. Jeden kabel — najwidoczniej służący do holowania w górę minerałów — wylaniał się spomiędzy mgieł zwisając z jakiegoś niewidzialnego dźwigu, nie było wszakże widać ani śladu Utopian. Pan Barnstaple puścił wózek i wy dostał się bezpiecznie na piasek. Pobrzeże rozszerzało się w kierunku biegu strumienia. Podążył samym brzegiem wody.

W miarę, jak szedł, robiło się coraz jaśniej. Świat przestał być szaroczną fantasmagorią; przedmioty nabrały zwykłego zabarwienia. Na wszystkim leżała obfita rosa. Był głodny i niewiarogodnie znużony. Piasek zrobił się miękki i za ciężki do brnięcia po nim bezsilnymi nogami. Poczul, że dalej nie zajdzie. Musi poczekać na ewentualną pomoc. Usiadł na kamieniu i spojrzał ku skale kwarantanny, królującej dumnie nad doliną.

III

Prostopadły i wysoki skalny olbrzym sterczał za dwoma głębokimi błękitnymi kanionami niby dziób jakiegoś gigantycznego okrętu. Strzępy mgły kryły jeszcze przed okiem pana Barnstaple'a jego szczyt i mały most, przerzucony przez wąski wąwóz. Niebo w górze, przeświecające między pasmami mgły, czarowało intensywnością barwy. Gdy patrzył tak, mgły zawirowały i rozpląły się w powietrzu, słońce umalowało stare zamczysko na oślepiający złoty kolor, i warownia Ziemian wystąpiła w całej swej okazałości i wspaniałości.

Most i zamek były bardzo dalekie i cała ta część skały wyglądała jak mała czapeczka, wetknięta na głowę wysokiego, wyprostowanego żołnierza. Naokoło niej, niżej poziomu mostu, mniej więcej na wysokości, na której pracowali może jeszcze do tej chwili trzej Utopianie, wilo się coś czarnego niby opaska z liny. Przyszło mu na myśl, że musiał to być kabel, który widział w nocy w błyskach zielonego światła. Potem rzucił mu się w oczy jakiś szczególny przedmiot widoczny na skraju szerszego wąwozu. Był to olbrzymi pionowo stojący krąg, spłaszczony jak dysk, umieszczony na krawędzi skalnej ściany na wprost zamku kwarantanny. W wąskim kanionie blisko schodów, prowadzących do małego mostu, widniał drugi podobny krąg, zakryty częściowo przez wystający zrąb skalny. Dwaj czy trzej Utopianie, wydający się z tej odległości bardzo maleńcy i krępi z powodu perspektywicznego skrótu, poruszali się wzdłuż krawędzi, wykonując jakieś czynności, związane prawdopodobnie z owymi kręgami.

Pan Barnstaple przyglądał się tym przygotowaniom z takim samym uczuciem zdumienia i oszołomienia, z jakim dzikus, który nigdy nie słyszał wystrzału z broni palnej, mógłby obserwować nabijanie armaty.

Dobiegł go słaby, daleki, znany dźwięk. Była to syrena zamku kwarantanny, gwizdząca ranną pobudkę. Prawie jednocześnie na błękitnym tle nieba zarysowała się napoleońska

figurka pana Ruperta Catskilla. Wynurzyła się głowa i ramiona Penka, który stanął przed nim na baczność. Wódz Ziemiań wydobyl lunetę polową i zlustrował przez nią kręgi.

— Ciekawy jestem, za co on je uważa — rzekł do siebie pan Barnstaple.

Pan Catskill odwrócił się i wydał jakieś polecenie Penkowi, który zaszutował i zniknął.

Szczęk dochodzący od strony bliższego wąwozu skierował z powrotem uwagę dziennikarza na mały most. Już go tam nie było! Zdażył go jeszcze dojrzeć na parę jardów nad wodą. Zobaczył wytrysk wody, gdy tańcząca w powietrzu masa skręconego żelastwa w nią upadła, a w chwilę później usłyszał trzask i plusk.

— Któż to zrobił? — zadał sobie pytanie.

Odpowiedzią było zachowanie się Catskilla, który podążył spieszenie na załom zamku i spojrział w dół. Widocznym było, że go to zaskoczyło. A więc most zniszczyli Utopianie.

Do pana Catskilla przyłączyli się prawie natychmiast pan Hunker i lord Barralonga. Z gestów ich można było poznać, że prowadzą ożywioną dyskusję.

Światło słoneczne pełzło niedostrzegalnie w dół ściany skały kwarantanny. Doszło właśnie do kabla opasującego wierzchołek. Ciemna obręcz zamigotała miedzianymi połyskami. Trzej Utopianie, którzy w nocy obudzili pana Barnstaple'a, ukazali się na drabinie, schodząc szybko w dół. I znów w uszach dziennikarza zabrzmiało jakby dudnienie czy brzęczenie, które już kilkakrotnie słyszał w nocy, teraz wszakże było ono o wiele silniejsze i dźwięczało wszędzie naokoło — w powietrzu, w wodzie, w skałach i w jego kościach.

Nagle obok małej grupy Ziemiań ukazało się coś czarnego w kształcie włóczni.

Podsoczyło, zatrzymało się, znów się podniosło na połowę wysokości człowieka i jeszcze raz podsoczyło. Była to flaga wciągana na drąg, którego pan Barnstaple dotąd nie zauważył. Dosięgła wierzchołka drzewca i zwisała luźno.

Porwał ją podmuch wiatru. Zatrzepotała chwilę i, ukazawszy białą gwiazdę na błękitnym tle, opadła z powrotem.

Była to flaga Ziemi — flaga krucjaty, mającej na celu przywrócenie Utopii do błogostawionego stanu współzawodnictwa, konfliktów i wojen. Pod jej skrzydłem ukazała się głowa pana Burleigha, badającego przez okulary utopijne kręgi.

IV

Szum i dudnienie w uszach pana Barnstaple'a stały się bardzo głośne i nabrały niezwykłej siły. Nagle od dysku do dysku przeskoczyły olbrzymie iskry fioletowego światła, przesywając zamek kwarantanny, jak gdyby go wcale nie było.

Przez chwilę jeszcze był.

Flaga załopotała wściekle i oderwała się od drzewca. Pan Burleigh stracił kapelusz.

Mignęła górna połowa postaci pana Catskilla, zmagającego się z połami surduta, które wionęły w górę i obmotwały mu głowę. Jednocześnie dziennikarz ujrzał, że zamek obraca się wraz z górną częścią skały tak, jakby ręka niewidzialnego olbrzyma ujęła malutki kawał wierzchołka góry i skręciła go.

A potem zamek znikł.

Na miejscu jego wzbila się wielka kolumna kurzawy; wody wąwozu wyskoczyły w powietrze tworząc wysokie fontanny i rozpyliły się w pianę wodną, podczas gdy

ogłuszający huk raził uszy pana Barnstaple'a. Powietrzne moce porwały go w górę i cisnęły o dwanaście jardów dalej. Upadł wraz z deszczem kamieni, kurzawy i wody, potłuczony i oszołomiony.

— Wielki Boże! — krzyknął. — Wielki Boże! — Usiłował uklęknąć; porwały go torsje. Miał wizję szczytu skały kwarantanny, uciętego z taką łatwością, jak gdyby to był ser, od którego ostrym nożem odkrajano kawałek. Potem zmożony zmęczeniem i wstrząsami rozciągnął się jak długi i stracił przytomność.

Księga trzecia

Neofita w Utopii

Rozdział pierwszy

Ciche wzgórze nad rzeką

I

„Bóg stworzył więcej wszechświatów, niż jest stronic książek we wszystkich księgozbiorach ziemi; człowiek pośród mnogości światów może wiecznie uczyć się i wzrastać w wiedzę.”

Pan Barnstaple miał wrażenie, że unosi się z gwiazdy na gwiazdę i z płaszczyzny na płaszczyznę poprzez nieskończoną mnogość i różnorodność bytów. Przeszedł poza granice istnienia; przez całe wieki leciał w dół nieskończenie wysokich skał, płynął od wieczności do wieczności w potoku niezliczonych drobnych gwiazd. W końcu przyszła nań faza głębokiego ukojenia. Nad nim błękitniało niebo, zasnute lekko chmurkami i rozjaśnione blaskami chyłącego się ku zachodowi słońca. Na horyzoncie ciągnęła się linia łagodnie falujących wzgórz porośłych na szczytach złocistą od słońca trawą, a na nierównych zboczach ciemnopurpurowymi lasami, gąszczami i prawdopodobnie dojrzewającym zbożem, sądząc z widniejących gdzieś żółtawych plam. Tu i ówdzie rozsiane były budowle, ozdobione kopułami i tarasami, kwieciste ogrody, małe wille i wielkie baseny z połyskującą wodą.

Dużo drzew, podobnych do eukaliptusa — tylko o ciemniejszych liściach — zarastało zbocza tuż nad nim, pod nim i naokoło. Cały teren spadał ku bardzo szerokiej dolinie, wzdłuż której płynęła leniwie lśniąca rzeka, kreśląc wielkie półkoliste łuki, i znikła w końcu za osłoną wieczornych oparów.

Usłyszał słaby szmer i spojrzał w tę stronę; ujrzał siedzącą obok Lychnis. Uśmiechnęła się i położyła palec na ustach. Ogarnęło go niejasne pragnienie odezwania się do niej. Uśmiechnął się słabo i poruszył głową. Wstała i prześliznęła się koło jego pośladka od strony głowy. Był zbyt słaby i zubożony, by się podźwignąć i zobaczyć, dokąd poszła. Zauważył tylko, że uprzednio siedziała przy białym stoliku, na którym stał srebrny wazon, pełen intensywnie błękitnych kwiatów. Śliczny ich kolor przykuł jego uwagę i skierował pierwszy słaby impuls ciekawości na inne tory.

Zastanawiał się, czy w Utopii kolory były rzeczywiście żywsze, czy też coś tkwiącego w atmosferze potęgowało i zaostrzało jego wrażliwość.

Za stolikiem widniały białe kolumny loggii. Tuż, tuż obok kołysała się gałąź jednego z drzew, podobnych do eukaliptusów, o liściach barwy brązu.

I dźwięczała muzyka, nikła i cicha, przeciekająca kropelkami, wążutka, skromna rzeczulka jasnych tonów, wyśpiewujących na marginesie świadomości pieśń jakiegoś czarodziejskiego Debussy'ego.

Spokój...

II

Znów się ocknął.

Starął się usilnie przypomnieć sobie wszystko, wszystko...

Został przewrócony i ogłuszony w jakiś gwałtowny, niesłychany sposób, i w umyśle jego utworzyła się czarna plama niepamięci.

Potem otoczyli go rozmawiający ludzie.. Pamiętał ich nogi. Musiał leżeć z twarzą przyciśniętą mocno do ziemi. Potem odwrócili go, i światło wschodzącego słońca oślepiło mu oczy.

Dwie łagodne boginie dały mu jakiś środek wzmacniający w wąwozie, u stóp wysokich turni. KobiECE ramiona podźwignęły go tak, jakby był dzieckiem. Potem kłębiły się mroczne nieskoordynowane wspomnienia długiej podróży, długiego powietrznego lotu. W to wszystko wplatała się wizja jakiejś skomplikowanej, olbrzymiej maszyny, wizja, której nie mógł z niczym innym powiązać. Przez chwilę tkwiła ona w jego świadomości niby znak zapytania, aż zmęczony umysł porzucił ją, nie znalazłszy odpowiedzi. Usłyszał naradzające się głosy, poczuł ukłucie zastrzyku i musiał wdychać jakieś gazy. A potem nastąpiło dużo, dużo głębokiego snu, przetkanego marzeniami... Ale ten wąwóz? Jak on się tam dostał? Wąwóz w innym oświetleniu, w zielonawym świetle, i Utopianie, zmagający się z wielkim kablem.

Nagle w umyśle jego zarysowała się ostro i wyraźnie wizja skały kwarantanny, odcinającej się na tle jasnoblękitnego, porannego nieba, jej wierzchołek, obracający się z rozwianą flagą i zwichrzonymi postaciami i znikający wolno, stopniowo, w odmętach niewidzialnego i nieznanego, niby wielki okręt, wypływający z doków z flagami i pasażerami na pokładzie. Pan Barnstaple przypomniawszy sobie żywo całą swą wielką przygodę.

III

Usiadł zaniepokojony. U boku jego ukazała się z powrotem Lychnis.

Usiadła na jego łóżku, poprawiła poduszki i kazała mu się na nich położyć. Dała mu do zrozumienia, że został wyleczony z jakiejś choroby, że nie rozsiewał już zarazków, ale że był jeszcze bardzo osłabiony. Zapytał siebie, co to mogła być za choroba. Rozjaśniła mu się część ostatnich przeżyć.

— Tu panowała jakaś epidemia — rzekł. — Rodzaj mieszanej epidemii ze wszystkich naszych chorób zakaźnych.

Uśmiechnęła się uspokajająco. To już minęło. Nauka i organizacja Utopii opanowały niebezpieczeństwo i skutecznie je zdławiły. Lychnis nie brała jednakże żadnego udziału w pracy nad odkażaniem organizmów, która położyła prędko koniec karierze zaborczych mikroBów. Jej zadanie ograniczało się do czuwania nad chorymi. Nie wiadomo dlaczego — pan Barnstaple doznał wrażenia, iż Utopianka jest lekko zasmucona, że to dzieło

miłosierdzia nie będzie już teraz potrzebne. Spojrzał w jej piękne, dobre oczy i wyczytał w nich wyraz serdecznej troski. Nie martwiła się z tego powodu, że epidemia w Utopii wygasła, to było nie do pomyślenia, ale zdawało mu się, że perspektywa braku okazji do poświęcania się napawa ją smutkiem i cieszy ją to, że on przynajmniej będzie jeszcze potrzebował pielęgnacji.

— Co się stało z ludźmi na skale? — zapytał. — Co się stało z innymi Ziemianami? Nie wiedziała. Sądziła, że zostali wyrzuceni poza granice Utopii.

— Z powrotem na Ziemię?

Nie miała wrażenia, żeby powrócili na Ziemię. Może udali się do jakiego innego wszechświata. Nic wszakże nie wiedziała. Należała do ludzi pozbawionych zupełnie zdolności do matematyki i fizyko–chemii, zaś złożona teoria wymiarów, która była przedmiotem żywego zainteresowania tak wielu Utopian, leżała zupełnie poza kręgiem jej umysłowych zainteresowań. Sądziła, że wierzchołek skały kwarantanny wyleciał zupełnie poza granice utopijnego wszechświata. Masa ludzi entuzjazmowała się obecnie eksperymentami nad niezbadanymi wymiarami, dostępnymi dla fizycznych procesów, ale ona lękała się tych rzeczy. Umysł jej cofał się przed nimi jak żywa istota znad skraju przepaści. Nie chciała nawet myśleć o tym, dokąd udali się Ziemianie, przez jakie lecieli otchłanie, co widzieli i w co zapadali. Tego rodzaju myśli otwierały pod jej stopami ciemne głębiny w miejscu, gdzie, jak sądziła, wszystko było ustalone, pewne i bezpieczne. Była konserwatystką Utopii. Kochała życie takim, jakim było teraz i w ogóle zawsze. Oddała się troskliwej opiece nad panem Barnstaple'em dowiedziawszy się, iż uniknął losu innych Ziemian, i nie przejmowała się zbytnio losem tamtych ani nie była ciekawa bliższych szczegółów. Nie chciała o tym myśleć.

— Ale gdzie oni są? Dokąd się udali?

Nie wiedziała.

W sposób mętny i nieśmiały przelała w jego umysł swoje nieprzychylnie zapatrywania na te nowe odkrycia, które rozplómiły wyobraźnię Utopian. Zwrotnym punktem był eksperyment Ardena i Greenlake, który sprowadził na Utopię Ziemian. To była pierwsza wyrwa w ramach, które dotąd trzymały ich wszechświat w trzech przestrzennych wymiarach. To otworzyło przepastne otchłanie. To stało się punktem wyjścia dla całej nowej działalności Utopii. To było pierwszym praktycznym rezultatem zaplątanej sieci teorii i dedukcji. Myśl pana Barnstaple'a zwróciła się do pokorniejszych odkryć ziemi, do Franklina, chwytającego uwięzioną w latawcu błyskawicę, i do Galvaniego, głowiącego się nad drgającymi żabimi nogami, nad cudem, który oddał elektryczność na usługi człowieka. Trzeba było wszakże półtora stulecia, żeby ta potężna siła dokonała w życiu ludzkim jakichś widocznych zmian, gdyż ziemskich pracowników jest bardzo niewielu, a w dodatku muszą oni walczyć z ciemnotą, złością i głupotą. W Utopii dokonanie nowego odkrycia równało się wywołaniu intelektualnego pożaru. W danej chwili setki tysięcy eksperymentatorów, związanych swobodnym współdziałaniem, pracowało w kierunku, wytkniętym przez Ardena i Greenlake. Z dnia na dzień, z godziny na godzinę otwierały się teraz przed Utopianami nowe, fantastyczne jak dotąd możliwości międzyprzestrzennych komunikacji.

Pan Barnstaple potarł obiema rękami głowę i oczy i położył się z powrotem, patrząc przez zmrużone powieki na niżej położoną dolinę, która, w miarę jak zachodziło słońce, nabierała coraz bardziej złocistego blasku. Poczuł się najbezpieczniejszą i najstarszą z istot w samym środku promiennego arealu pogody i ciszy. Jednakże to wrażenie wielkiego spokoju było niczym więcej, jak ułudą; cichy spokój wieczora utkany był z niewiarygodnych bilionów śpieszących się i zderzających atomów.

Wszelki spokój i stałość, jakiego człowiek kiedykolwiek zaznał lub zazna, jest jedynie gładką powierzchnią potoku, który gna szaleńczym pędem od katarakty do katarakty. Były czasy, kiedy ludzie rozprawiali o wieczystych pagórkach. Dzisiaj gimnazysta wie, że niszczą one od mrozu, wiatru i deszczu i spływają ku morzu z dnia na dzień i z godziny na godzinę. Były czasy, kiedy ludzie mogli mówić o terra firma* i czuć pod stopami twarde, stały teren. Teraz wiedzą, że wiruje ona w przestrzeni, obracając się naokoło również wirującego, ślepo rozpędzonego słońca wśród owczej gromady gwiazd. Ta piękna zasłona pozorów, zasłana przed oczyma pana Barnstaple'a, cichy, płomienny zachód słońca, bezmierne gwiazdziste obszary, zawieszane nad błękitami, wszystko to również zostanie przeniknięte, poszarpane, rozdarte na części...

Wyciągnięte macki jego myśli zamknęły się. na rzeczach, które go najbliższej obchodziły. — Ale gdzie są moi towarzysze? — zapytał. — Gdzie są ich ciała? Czy możliwe jest, że jeszcze żyją?

Nie mogła mu tego wyjaśnić.

Leżał, myśląc... Było rzeczą naturalną, iż oddano go pod opiekę trochę zacofanej kobiety. Ludzie o czynnych inteligencjach nie mogli się tutaj nim zajmować, tak samo jak na ziemi twórcze i energiczne jednostki nie miały czasu na figlowanie z pokojowymi zwierzątkami. Lychnis nie chciała myśleć o międzyplanetarnych problemach; przedmiot ten był dla niej za trudny; należała do typu Utopian, którzy nie przynosili zaszczytu ich metodom wychowawczym. Siedziała obok niego z wyrazem boskiej słodyczy i spokoju na twarzy, a on czuł, że wydany o niej sąd był z jego strony po prostu zdradą. Ale tak bardzo pragnął dowiedzieć się o losie towarzyszy.

Przypuszczał, że wierzchołek sikaly kwarantanny został skręcony i wyrzucony w przestrzeń. Nie było prawdopodobne, żeby i tym razem Ziemianie spadli znów na jakąś wygodną planetę. Zostali raczej wyrzuceni w próżnię, w międzygwiazdną przestrzeń jakiegoś nieznanego wszechświata...

Co się z nimi stało? Może zmarli. Powietrze zostało z nich momentalnie wyparte. Ich własna grawitacja rozplaszczyła ich ciała, zgmiotła je razem w jedną masę! Przynajmniej nie mieli czasu cierpieć. W pierwszej chwili doznali utraty tchu jak ktoś, wrzucony w lodowatą zimną wodę...

Zaczął rozważać te możliwości.

— Wyrzuceni! — rzekł głośno. — Niby klatka z myszami, ciśnięta w morze poza burtę okrętu!

— Nie rozumiem — rzekła, zwracając się doń, Lychnis.

Spojrzał na nią.

— A teraz powiedz mi, co ma się stać ze mną?

IV

Przez czas jakiś Utopianka milczała. Siedziała z łagodnymi oczyma, utkwionymi w błękitnym mroku, w jakim tonęła dolina rzeki. Potem odpowiedziała mu pytaniem.

— Chcesz pozostać w tym świecie?

— Naturalnie. Każdy Ziemianin pragnąłby tu pozostać. Moje ciało zostało zdezynfekowane. Dlaczegoż nie miałbym tu pozostać?

— Nasz świat wydaje ci się dobry?

— Och! Piękno, porządek, zdrowie, energia i urok. Wasz świat posiada wszystkie skarby, których pragnie i dla których mozoli się nasza Ziemia.

— A przecież Utopia nie jest zadowolona.

— Ja byłbym zadowolony.

— Jesteś jeszcze słaby i wyczerpany. /

— W powietrzu tym stałbym się silny i zdrowy. Na waszym świecie powróciłaby mi nieomal młodość. Wiekiem, tak jak wy tu liczyacie lata, jestem jeszcze młodym człowiekiem.

Zapadło znów milczenie. Szeroki widnokrąg Wypełnił granatowy zmierzch, a poza czarnymi sylwetkami drzew, obrastającymi zbocza, widniały jedynie kontury wzgórz na tle zielonkawych i żółtawych smug wieczornego nieba. Nigdy jeszcze pan Barnstaple nie był świadkiem tak cichego zmierzchu. Słowa jej wszakże zadały kłam temu spokojowi i ciszy.

— Tutaj — rzekła — nie ma odpoczynku. Co dzień budzą się ludzie, mężczyźni i kobiety, i mówią: czego dziś dokonamy nowego? Co zmienimy?

— Zmienili dziką planetę, trapiącą chorobami i bezładem, w krainę piękna i bezpieczeństwa. Dzikiej płątaninie ludzkich impulsów nadali jednolitość, celowość i siłę.

— A badania nie ustają ani na chwilę. Ciekawość i pragnienie zdobycia coraz to większej mocy przepala mózgi ludzi naszego świata.

— Zdrowy apetyt. Jestem teraz znużony, słaby i bezsilny tak, jakbym się dopiero co urodził. Niebawem wszakże, kiedy powrócę do sił i zdrowia, i ja może podzielę tę ciekawość i wezmę udział w wielkich odkryciach, które w takim napięciu trzymają umysł Utopian. Któż wie?

Uśmiechnął się do jej dobrych oczu.

— Będziesz się musiał dużo nauczyć — rzekła. Mówiąc te słowa, zdawała się mierzyć wielkość swego intelektualnego bankructwa.

Pan Barnstaple uświadomił sobie, choć nie w całej pełni, głębię różnicy, jaką trzy tysiące lat postępu mogły stworzyć w zasadniczych ideach i sposobach myślenia rasy.

Przypomniał sobie, iż w Utopii mógł słyszeć tylko te rzeczy, które były dlań zrozumiałe, i że wszystko, co mieściło się poza kręgiem jego ziemskich pojęć, było dla jego mózgu niedosłyszalne. Przepaście nieporozumień mogły być szersze i głębsze, niż przypuszczał. Murzyn ze Złotego Wybrzeża, całkowity analfabeta, byłby sobie zadał o wiele racjonalniejszy trud, zabierając się do puszczenia w ruch elektrycznego motoru.

— Prawdę mówiąc, nie idzie mi właściwie o branie udziału w nowych odkryciach — zauważył — możliwe, że są one dla mnie w ogóle nie do pojęcia. Przede wszystkim

pociąga mnie to doskonale piękno codziennego życia, będące ziszczeniem wszystkich moich ziemskich marzeń. Chcę po prostu żyć tym życiem i to mi wystarczy.

— Jesteś jeszcze słaby i zmęczony — rzekła Lychnis. — Gdy będziesz silniejszy, może zapragniesz czegoś innego.

— Ale cóż innego...

— Umysł twój może się zwrócić z powrotem do twego własnego świata i własnego życia.

— Do Ziemi?!!!

Lychnis nie odpowiedziała od razu. Patrzyła przez chwilę na mleczny krajobraz, po czym rzekła:

— Jesteś urodzonym Ziemianinem i musisz nim pozostać.

— Muszę nim pozostać?

Mysł pana Barnstaple'a uczepiła się jej słów. Leżał wyczuwając raczej zawarty w nich wniosek niż zastanawiając się nad nim. Tymczasem granatowy mrok doliny zajaśniał światełkami, które potworzyły łańcuchy i konstelacje lub pozlewały się w świetliste mgławice.

Usiłował walczyć z prawdą wyrażoną słowami Utopianki. Ten wspaniały świat Utopii, doskonały i bezpieczny, gotujący się już na straszliwe przygody wśród dziewiczych wszechświatów, był światem dobrych olbrzymów i nieporównanych piękności, światem zamierzeń, w których biedny, ograniczony, bezwolny Ziemianin nie mógł odegrać żadnej, choćby pomocniczej roli. Te istoty wytrząsnęły ze swojej planety wszelkie możliwości, tak jak wytrząsa się pieniądze z sakiewki i teraz potęga ich obróciła się ku gwiazdom... Istoty te były dobre, och, bardzo dobre i łaskawe... Ale inne...

Rozdział drugi

Łazik w świecie żyjących

|

W ciągu paru dni pan Barnstaple odzyskał siły duszy i ciała. Nie leżał jak przedtem w łóżku w loggii, przejęty litością dla siebie samego i podziwem dla piękna ujarzmionej natury, lecz chodził swobodnie wszędzie, gdzie chciał. Widywano go, robiącego ogromne kursy po okolicy, szukającego znajomości i poznającego coraz lepiej ten czarodziejski kraj ziszczonych marzeń ludzkości.

A tak to głównie odczuwał i oceniał. Tutaj wszystkie prawie większe nieszczęścia ludzkiego życia zostały złamane i usunięte; wojna, epidemia, choroby, głód i nędza wyszły poza nawias ludzkich doświadczeń. Marzenia artystów o doskonale pięknych ciałach, o przeobrażonym świecie harmonii i piękna, stały się rzeczywistością.

Zatriumfowały porządek i organizacja. Te zdobycze zmieniły pod każdym względem warunki ludzkiego bytowania.

Klimat tej doliny spoczynku był łagodny i słoneczny jak klimat Europy południowej, lecz wszystkie szczegóły, charakterystyczne cechy włoskiego lub hiszpańskiego krajobrazu, znikły prawie doszczętnie. Nie spotykało się tu zgarbionych, zgrzybiałych bab, dźwigających ciężary, ani natrętnych, gadatliwych żebraków, ani obdartych robociarzy o ponurym spojrzeniu, tkwiących na skraj u drogi. Małutkie tarasiki, nędzne, ręcznie uprawiane pola, sękate oliwki, źle utrzymane winnice, małe zagonki zboża lub owoców

oraz ubogie, skąpe nawodnienie, właściwe prymitywnej cywilizacji —wszystko to ustąpiło miejsca szeroko pomyślanym pracom i mądrości, na wielką skalę zakrojonemu systemowi hodowlanemu, systemowi uprawy zboczy i .nizin i eksploatacji energii słonecznej. Wyrastającej między kamieniami J trawy nie skubały strzeżone przez dzieci chude kozy i owce, spętane bydło nie wyjadało wyznaczonych sobie kawałków pastwisk. Przy drogach nie spotykało się nędznych chat i lepianek, i ołtarzyków z podobiznami okrwawionych, storturowanych postaci, a na drogach — okropnych kundli lub jucznych zwierząt, pocących się i dyszących pod zbyt wielkimi ciężarami przy wejściu pod górę. Drogi same nie przypominały również ziemskich traktów, wyboistych, kamienistych i posypanych zwierzęcym nawozem. Były to szerokie, gładkie, niezniszczalne szosy, wznoszące się i opadające, stosownie do łagodnego falowania terenu, przeskakujące wąwozy i przecinające doliny za pomocą szeroko sklepionych wiaduktów, przerywane przez wzgórza tunelami podobnymi do naw katedralnych i w niektórych miejscach zaopatrzone w baszty dla oglądania szczególnie wspaniałych widoków. Tutaj znajdowały się miejsca wypoczynku i schronienia oraz schodki, prowadzące do miłych altanek i letnich pawilonów, w których mogli gwarzyć przyjaciele i radować się swobodnie kochankowie. Tutaj zieleniły się też gaje i aleje z drzew, jakich nigdy przedtem nie widział. Gdyż na ziemi jak dotąd nie spotyka się prawie zupełnie zdrowych i rozrośniętych drzew; prawie wszystkie nasze drzewa są podziurawione przez pasożyty, spróchniałe, zjedzone przez grzyb, bardziej sękaty, kalekie i schorowane niż sama ludzkość.

Krajobraz utopijny był dziełem cierpliwych wysiłków dwudziestu pięciu stuleci. W jednym miejscu pan Barnstaple natknął się na wielkie roboty; przebudowywano właśnie most, nie dlatego żeby był nadwyrężony, lecz dlatego że ktoś opracował śmielszy i piękniejszy model.

Przez czas jakiś nie zauważył braku telegraficznej i telefonicznej komunikacji: słupy i druty, charakterystyczne dla współczesnego krajobrazu, wcale tu nie istniały. Później dowiedział się, co było tego przyczyną. Początkowo nie rzucił mu się również w oczy brak kolei żelaznych, stacji kolejowych i przydrożnych oberży. Zauważył liczne budynki, które jak sądził, musiały mieć specyficzne przeznaczenie. Ludzie wchodzili do nich lub wychodzili z minami zaabsorbowanymi i zaciekawionymi. Niektóre zdawały się wrzeć szumem intensywnej pracy. Z pewnością dokonywały się tam wielkie rzeczy, skomplikowane i różnorodne. Jednakże jego wyobrażenia o mechanicznej organizacji tego nowego świata były jeszcze zbyt mętne i amatorskie, żeby próbował nadać tym czy innym miejscom jakieś określone znaczenie. Przechadzał się wśród tego wszystkiego, oszołomiony niby dzikus w europejskim ogrodzie.

Nie spotkał po drodze żadnych miast i nigdy żadnych nie widział. Powód gęstego nagromadzenia w jednym miejscu ludzkich istot w znacznej mierze przestał istnieć. Dowiedział się, że w pewnych okolicach ostały się jeszcze wielkie zbiorowiska komunikujących się ze sobą budowli, w których gromadnie mieszkali ludzie dla studiów, wzajemnej podniety w pracy lub innych wygodnych wymian; nigdy wszakże nie zdarzyło mu się zwiedzić żadnego z tych centrów.

Po tym to świecie stąpali wysmukli Utopianie, piękni i niezwykli, mijający go z uśmiechem lub przyjacielskimi gestami, ale rzadko dający mu okazję zadawania pytań lub nawiązywania znajomości. Szli traktem lub pędzili na szybkich maszynach. Czasami w górze przemknął cień szybującego cicho aeroplanu. Te doskonale istoty napelniały go pewnego rodzaju trwożną czcią. Ich wzrok budził w nim poczucie własnej niesamowitości. Ludność Utopii na wzór bogów greckich i rzymskich była ludnością oczyszczoną i udoskonaloną, a jemu zdawało się, że miał do czynienia z bogami. Nawet wielkie obłaskawione zwierzęta, które tu chodziły swobodnie po świecie, miały w sobie pewną boskość, hamującą przyjacielskie awanse naszego Ziemianina.

II

Niebawem znalazł towarzysza wędrówek w postaci trzynastoletniego chłopca, kuzyna Lychnis, imieniem Kryształ. Był to kędzierzawy młodzik o brązowych oczach, takich jak jej oczy. Studiował właśnie historię w tym wakacyjnym okresie swej edukacji. O ile pan Barnstaple potrafił się zorientować, poważniejsza część intelektualnych osiągnięć chłopca dotyczyła dziedziny matematyki w połączeniu z fizyko–chemicznymi naukami, wszystko to wszakże przekraczało granice ziemskich pojęć. Zdaje się, że pracował przeważnie wspólnie z innymi chłopcami; prace te nosiły charakter tego, co na ziemi nazywa się badaniami. Pan Barnstaple nie był również w stanie pojąć istoty jakichś innych studiów, związanych, jak się dorożumiewał, z udoskonaleniem sposobu wyrażania myśli. Historia wszakże postawiła ich na wspólnej platformie. Chłopiec studiował właśnie dzieje wyłonienia się utopijnego systemu społecznego z wysiłków i doświadczeń wieków zamętu. Wyobraźnia jego reagowała żywo na tragiczne walki, które dały początek obecnemu ustrojowi Utopii. Zadawał panu Barnstaple'owi setki pytań i posiadał mnóstwo konkretnych wiadomości, które miały niebawem stać się częścią składową podstaw, na których oprze się jego dojrzwały światopogląd. Dziennikarz był dlań rodzajem dobrej książki; w zamian pan Barnstaple zrobił sobie z niego przewodnika. Chodzili razem; rozmowy ich toczyły się na stopie zupełnej równości, jaka od pierwszej chwili zapanowała między tym wyjątkowo inteligentnym Ziemianinem i utopijnym młodzieniaszkiem, który, gdy stali obok siebie, przewyższał go może o cal. Chłopiec posiadał świetną znajomość zasadniczych faktów historii Utopii. Był w stanie wyjaśnić z pełnym zainteresowaniem i zrozumieniem całą sztuczność i niepewność spokoju i piękna Utopii pomimo łudzających pozorów stałości. Powiedział, że w gruncie rzeczy Utopianie niewiele się różnili od swoich przaprzodków z początków nowszej ery kamiennej, tj. żyjących piętnaście czy dwadzieścia tysięcy lat temu. Byli oni w znacznym stopniu tym samym, czym byli Ziemianie w równoległym okresie. Od tego czasu przeszło dopiero sześćset czy siedemset pokoleń, co było za krótką fazą dla dokonania jakichś zasadniczych przeobrażeń rasy ludzkiej w ogóle. Nawet poszczególne rasy nie zdołały się jeszcze zlać w jedną. Na Utopii tak samo jak na Ziemi byli ludzie ciemni i brunatni i typy te utrzymały się w całej wyrazistości. Różne rasy zmieszały się społecznie, ale słabo tylko skrzyżowały, raczej udoskonalily i rozwinęły właściwe sobie dodatnie cechy i piękność. Często dochodziło do bardzo namiętnej miłości między osobnikami różnych ras, lecz miłość taka rzadko kiedy prowadziła do konkretnych rezultatów w postaci

potomstwa. W czasie ostatnich dwunastu stuleci przeprowadzono znaczną rozmyślną eliminację brzydkich, złośliwych, tępych, głupich i posępnych typów ludzkich, ale za wyjątkiem głębszego uświadomienia sobie wrodzonych możliwości, przeciętny Utopianin różnił się bardzo niewiele od zwyczajnych energicznych i zdolnych osobników z późniejszego okresu kamiennego lub wczesnej ery brązowej. Był nieskończenie lepiej odżywiany, wychowany i kształcony; jego stan umysłowy i fizyczny odznaczał się sprawnością i czystością, ale w gruncie rzeczy ciało miał to samo i naturę tę samą. — Ale — rzekł pan Barnstaple i przez chwilę zmagał się z myślami. — Czy mam przez to rozumieć, że połowa urodzonych dzisiaj na ziemi niemowląt mogłaby się rozwinąć na takich bogów, jakich tu spotykam?

— W naszym powietrzu, w naszej atmosferze...

— Przy waszej dziedziczności...

— W naszej swobodzie...

Pan Barnstaple musiał sobie uprzytomnić, że w Utopii w minionych czasach wieku zamętu ludzie wzrastali wśród okoliczności łamiących lub hamujących wolę, wśród zbędnych ograniczeń lub błędnych złudzeń, wabiących pozorami prawdy. Utopia nie zapomniała o fakcie, że ludzka natura jest w istocie swej dzika i zwierzęca i że musiała być dopiero przystosowywana i naginana do potrzeb społecznych. Utopia nauczyła się wszelako lepszych metod tego przystosowania — po niezliczonych zawodach wywołanych przemocą, okrucieństwem i oszustwem.

— Na Ziemi poskramiamy zwierzęta gorącym żelazem, a naszych bliźnich za pomocą gwałtów i szalbierstw — rzekł pan Barnstaple i opowiedział niedowierzającemu towarzyszowi o szkołach i książkach, prasie i publicznych dyskusjach początku dwudziestego stulecia.

— Nie potrafisz sobie wyobrazić, jacy przybici i lękliwi są nawet najlepsi mieszkańcy Ziemi. Uczysz się w swej historii dziejów wieku zamętu, ale nie wiesz, czym jest w rzeczywistości zła atmosfera umysłowa, atmosfera słabych praw, nienawiści i przesądów. Gdy noc zstępuje na Ziemię, setki tysięcy ludzi, którzy powinni spać, leżą z otwartymi oczyma, dręczeni trwogą przed zbrodniami, przed okrutnym współzawodnictwem, przed własną nieudolnością, chorzy na niepojęte choroby, zgnębieni niedorzecznymi sporami, zropaczeni i wzburzeni do szaleństwa z powodu zdławionych impulsów lub tłumionych przewrotnych pragnień...

Kryształ przyznał, że trudno było teraz patrzeć na wiek zamętu z punktu widzenia niedoli. Wiele z powszedniej ziemskiej niedoli było teraz nie do pojęcia dla Utopian. Utopia niezmiernie powoli wytworzyła obecną harmonię praw, zwyczajów i metod wychowawczych. Natura ludzka nie podlegała już dłużej ograniczeniom i przymusowi. Uznano wreszcie, że człowiek jest zasadniczo zwierzęciem i że codzienne jego życie musi się toczyć po linii zadowolenia apetytów i zaspokojenia instynktów. Tkanina powszedniego życia w Utopii utkana była z różnorodnych smacznych potraw i napojów, swobodnych i interesujących ćwiczeń i pracy, z kojącego snu i szczęścia nieustraszonej, nie skrępowanej i nie skażonej niskimi pobudkami miłości. Zakazy były minimalne. Potęga utopijnych metod wychowawczych zaczynała się objawiać dopiero z chwilą załatwienia się ze zwierzęcą stroną człowieka i dania jej pełnej satysfakcji. Klejnotem na

głowie węża, który wywiódł Utopię z zamętu i bezładu życiowego, była ciekawość i impuls zabawy, przeobrażony i rozwinięty u dorosłych ludzi w nienasycony głód wiedzy i nałogową po prostu energię twórczą. Wszyscy Utopianie na wzór dzieci stali się uczniami i twórcami.

Dziwne wrażenie robił ten chłopiec, roztrząsający tak prosto i jasno metodę wychowawczą, której jeszcze podlegał. Dziwniej jeszcze brzmiały wygłaszane przezeń z całą swobodą zdania o miłości.

Ziemska wstydlivość z trudem tylko pozwoliła panu Barnstaple'owi na zadanie drastycznego pytania:

— Ale ty... nie uprawiasz jeszcze miłości?

— Och, brała mnie ciekawość — odparł chłopiec, powtarzając najwidoczniej wyuczone słowa. — Ale nie jest konieczne ani właściwe poznawać miłość zbyt wcześnie w życiu ani też dać się owładnąć namiętności. Zbyt wczesne poddanie się pożądaniu osłabia młody organizm, i pożądanie bierze nadal górę nad nami. Psuje ono i wypacza wyobraźnię. Chcę być tak sprawnym i dzielnym człowiekiem, jakim był przede mną mój ojciec.

Pan Barnstaple spojrział na piękny profil młodzieńca i doznał nagle uczucia zakłopotania na wspomnienie pewnego szkolnego gabinetu numer czwarty i pewnych brzydkich doświadczeń swych lat chłopięcych, dusznego, ukrytego pokoju i brzydkiego, gorączkowego faktu. Poczul się bardziej zwierzęcym Ziemianinem niż kiedykolwiek.

— Ach! — westchnął. — Ten wasz świat jest tak niepokalany jak światło gwiazd i tak świeży jak zimna woda w pełen kurzu dzień.

— Kocham wiele osób — rzekł chłopiec — ale nie namiętną miłością. I na to przyjdzie czas. Nie trzeba zbyt uporczywie czy niespokojnie wyczekiwać namiętnej miłości, bo można oszukać samego siebie lub spotkać się z udawaniem z tamtej strony... Nie ma się czego spieszyć. Nikt mi nie przeszkodzi, gdy przyjdzie na mnie czas. Na naszym świecie wszystkie dobre rzeczy spotykają człowieka o właściwej porze.

Nie czeka się tylko na pracę. Ponieważ dotyczy ona wyłącznie nas samych, więc się jej szuka. Kryształ dużo się zastanawiał nad pracą, której będzie mógł dokonać. Pan Barnstaple doznał wrażenia, iż praca w sensie przymusowego harowania prawie że znikła z powierzchni Utopii. Jednak cała Utopia pracowała. Każdy człowiek czynił to, co odpowiadało jego wrodzonym zdolnościom i przemawiało do wyobraźni. Każdy pracował z zapalem, rozentuzjasmowany i szczęśliwy — jak owi ludzie, których na naszej Ziemi nazywamy geniuszami.

Nagle dziennikarz zaczął opowiadać Kryształowi o szczęściu, doznawanym przez prawdziwego artystę, o prawdziwym pracowniku nauki, o samodzielnych ludziach, jakich spotyka się nawet na dzisiejszej Ziemi. Oni również jak Utopianie oddają się dla wielkich celów pracy, która ich pociąga, do której zamiłowanie jest im wrodzone. Ze wszystkich Ziemi oni są najbardziej godni zazdrości.

— Jeżeli tacy ludzie nie są szczęśliwi na Ziemi — mówił pan Barnstaple — to tylko dzięki temu, że nie są zupełnie wolni od wulgarnych pragnień, że liczą się z marnymi sukcesami, honorami i radościami, właściwymi pospółstwu, że odczuwają zaniedbania i ograniczenia, które ich nie powinny obchodzić. Lecz dla niego, który widział świecące nad Utopią słońce, najwyższe honory i chwała Ziemi nie mogą z pewnością mieć

większego znaczenia i być bardziej upragnionymi niż grzeczne plunięcie kacyka lub sznur barbarzyńskich paciorków.

III

Kryształ był jeszcze w tym wieku, w którym jest się dumnym ze swego savoir faire*. Pokazał panu Barnstaple'owi swoje książki i opowiedział o swoich ćwiczeniach i wychowawcach.

Utopia posługiwała się jeszcze książką drukowaną, była ona jak dotąd najprostszym, najbardziej przejrzystym sposobem przedstawiania faktów i twierdzeń spokojnemu umysłowi. Książki chłopca były prześlicznie oprawne w miękką skórę, ładnie powyciskaną dlań przez matkę, i wydrukowane na ręcznie wyrabianym papierze. Litery były to jakieś łatwe fonetyczne znaki, których dziennikarz nie mógł odcyfrować.

Przypominały mu pismo arabskie; książki zawierały dużo szkiców, map i wykresów. Wakacyjne studia Kryształa odbywały się pod kierownictwem wychowawcy, dla którego chłopiec przygotowywał rodzaj sprawozdania; studia dopełniał zwiedzaniem muzeów. W Dolinie Spoczynku nie było jednak żadnego oświatowego muzeum nadającego się do zwiedzenia dla pana Barnstaple'a.

Kryształ przeszedł już przez wstępne stadium wychowawcze, które, jak mówił, przepędził w jednym z wielkich majątków, przeznaczonych wyłącznie dla dzieci. Na wychowanie młodzieży do lat jedenastu lub dwunastu kładziono tu o wiele większy nacisk niż na Ziemi. Lepiej się nią opiekowano i staranniej strzeżono. Chroniono młodociane istoty przed zaburzeniami wyobraźni, strachem i złymi wpływami równie troskliwie jak przed zakażeniem lub wypadkami. W wieku lat ośmiu, dziewięciu podstawy utopijnego charakteru były już ustalone: przyzwyczajenie do czystości, prawdomówność, szczerłość, bezstronność, inicjatywa, zaufanie do świata, nieustrasżoność i poczucie przynależności do rasy oraz wiara w jej wielkie cele.

Dopiero po skończeniu dziewięciu, dziesięciu lat dziecko wychodziło poza obręb arealu, gdzie przepędziło najwcześniejsze lata życia, i poznawało szerszy świat zewnętrzny. Aż do tego wieku opiekowały się nim przeważnie piastunki i nauczyciele, od tej wszakże chwili rodzice zaczęli odgrywać w życiu malca większą rolę niż poprzednio. Zawsze było zwyczajem rodziców dziecka przebywać w pobliżu niego i widywać je w okresie wczesnego dzieciństwa, ale w tym okresie, kiedy ziemscy rodzice zazwyczaj coraz mniej obcują z dziećmi, które idą do szkół lub pracy zawodowej, wpływ rodziców w Utopii właśnie się potęguje. W Utopii panowało powszechne przekonanie, że między ojcem lub matką a dzieckiem istnieje wrodzona, nieodparta uczuciowa sympatia; dzieci spragnione są towarzystwa i przyjaźni rodziców, którzy znów ze swej strony interesują się niezmiernie ich młodzieńczymi aspiracjami. I chociaż w praktyce rodzice nie mają żadnej władzy nad synem czy córką, to przecież z samej natury rzeczy biorą na siebie rolę doradców, obrońców i współczujących przyjaciół. Przyjaźń ta jest tym szersza i głębsza, że nie idzie w parze z władzą i tradycyjnym autorytetem, i tym swobodniejsza i prawdziwsza, że Utopianie są stosunkowo dużo młodsi niż Ziemianie w tym samym wieku i odznaczają się wielką świeżością umysłową. Kryształ zdawał się żywić dla swej

matki ogromną miłość. Był bardzo dumny ze swego ojca, znakomitego malarza i rysownika, serce jednak oddał niepodzielnie matce.

W czasie drugiej przechadzki z panem Barnstaple'em powiedział, że ma właśnie dostać wiadomość od matki, i nasz Ziemiak dowiedział się, na czym polega utopijna korespondencja. Chłopiec miał ze sobą małą wiązkę drutów i lekkich pręcików i kiedy niebawem doszli do miejsca, gdzie w środku trawnika stał słup, rozpostarł te przedmioty w kształcie wachlarza, wbił w słup mały gwoździak za pomocą klucza, który nosił na szyi na lekkim złotym łańcuszku, i wzięwszy w rękę słuchawkę, przyczepioną do swego aparatu, zaczął głośno z kimś rozmawiać.

W odpowiedzi zabrzmiał głos kobiecy, bardzo miły i dźwięczny. Przez czas jakiś głos ten mówił bez przerwy do zasłuchanego Kryształ, potem chłopiec odpowiadał, potem jeszcze rozległy się inne głosy. Na niektóre z nich chłopiec odpowiadał, innych tylko wysłuchiwał. W końcu sprzątnął z powrotem swój aparat.

Ten sposób porozumiewania się zastępował w Utopii korespondencję listowną i telefony. W Utopii bowiem ludzie rozmawiają przez telefon jedynie za uprzednim porozumieniem się. Wiadomość przesyła się do stacji okręgu, gdzie znajduje się odbiorca, i czeka ona tam dopóty, dopóki nie przyjdzie mu ochota odkręcić aparat i wysłuchać nagromadzonych wieści. Każda wiadomość stosownie do żądania może być powtórzona. Potem odbiorca odpowiada nadawcom i przesyła różne inne wiadomości. Transmisja odbywa się bez drutu. Małe słupy mieszczą w sobie zapasy energii elektrycznej, potrzebnej do transmisji i używanej również do wszelkich innych celów. Posługują się nią na przykład ogrodnicy w celu wprawienia w ruch kosiarek, kopaczek, grabiarek i wałów.

Kryształ pokazał Barnstaple'owi stojącą w głębi doliny okręgową stację, gdzie gromadziła się ta korespondencja i skąd ją przekazywano. Pracowało tam bardzo niewiele ludzi, gdyż prawie wszystkie połączenia były automatyczne. Wiadomości przychodziły z całej planety, i można je było nadawać bez ograniczeń wszędzie.

To wywołało ze strony pana Barnstaple'a istną litanię pytań.

Po raz pierwszy dowiedział się, że organizacja zawiadująca korespondencją Utopii wiedziała o miejscu pobytu każdej żywej duszy na planecie. Posiadała dane, odnoszące się do każdego mieszkańca Utopii, i wiedziała, w którym okręgu znajduje się on w danej chwili. Wszyscy byli zapisani w odpowiednich skorowidzach.

Panu Barnstaple'owi, przyzwyczajonemu do nieuczciwości i niesprawności ziemskich rządów, odkrycie to wydało się po prostu przerażające.

— Na ziemi — rzekł — takie urządzenie stałoby się źródłem beznadziejnego szantażu i tyranii. Każdy człowiek byłby narażony na to, że go będą szpiegowali Mamy w Scotland Yardzie pewnego ptaszka... Gdyby on się dostał do waszego departamentu korespondencji, życie w Utopii stałoby się w ciągu tygodnia nie do zniesienia. Nie wyobrażasz sobie, co to był za szkodnik...

Pan Barnstaple musiał wyjaśniać Kryształowi znaczenie wyrazu „szantaż”.

Młodzieniaszek odpowiedział, że to samo było na początku w Utopii. Tak samo jak i na Ziemi, utopijni ludzie mieli naturalną skłonność do posługiwania się wiedzą i władzą na niekorzyść swoich bliźnich i tak samo zazdrośnie strzegli swoich osobistych spraw. W

kamiennym okresie Utopii ludzie trzymali w tajemnicy swoje prawdziwe imiona i posługiwali się pseudonimami. Lękali się jakichś magicznych nadużyć.

— Niektórzy dzicy czynią to jeszcze na ziemi — zauważył pan Barnstaple.

Bardzo powoli Utopianie nauczyli się ufać lekarzom i dentystom, i bardzo powoli ci ostatni stali się ludźmi godnymi zaufania. Uplynęły wszakże całe dziesiątki stuleci, zanim społeczeństwo zostało skutecznie wyleczone ze skłonności do nadużywania cudzego zaufania i wiary, bez których współczesna organizacja społeczna byłaby nie do pomyślenia.

Każdy młody Utopianin musi się nauczyć pięciu zasad wolności, będących fundamentem wszelkiej cywilizacji. Pierwszą zasadą jest zasada tajności, która polega na tym, że wszystkie prywatne dane dotyczące się każdego osobnika są tajemnicą jego i publicznej instytucji, której on je powierzył, i mogą być użyte jedynie dla jego wygody i z jego zgodą. Naturalnie wszystkie takie dane są dostępne jako materiał dla statystyk, ale nigdy jako fakty dotyczące osobistego życia jednostki. Druga zasada jest zasadą swobody ruchów. Obywatel wywiązujący się ze swych publicznych zobowiązań może bez pozwolenia czy też wyjaśnień udawać się do każdego miejsca utopijnej planety. Wszystkie środki transportowe są do jego rozporządzenia bez żadnych opłat. Każdy Utopianin może zmienić środowisko, klimat i atmosferę społeczną, jak mu tylko przyjdzie ochota. Trzecia zasada głosi nieograniczoną wiedzę. Wszystko, co jest znane w Utopii, z wyjątkiem osobistych faktów, dotyczących żyjących ludzi, jest zarejestrowane i łatwo dostępne dzięki skorowidzom, bibliotekom, muzeom i biurom informacyjnym. Jeżeli Utopianin chce się czegoś dowiedzieć, to ma możliwość zasięgnięcia o tym wyczerpujących, dokładnych i przejrzystych informacji bez żadnych kłopotów i starań, a czy potrafi z nich skorzystać, będzie zależało tylko od jego pojętności i pracowitości. Niczego się przed nim nie tai i nie podaje w fałszywym oświetleniu. To przywiodło pana Barnstaple'a do czwartej zasady wolności, opierającej się na uznaniu kłamstwa za najczarniejszą zbrodnię.

Kryształ określił kłamstwo w sposób nader wszechstronny, podciągając pod nie nawet niedostateczne stwierdzenie faktu czy przemilczenie ważnego szczegółu.

— Tam, gdzie panoszą się kłamstwa, nie może być wolności.

Myśl ta zrobiła silne wrażenie na panu Barnstaple'u. Wydawała mu się jednocześnie i zupełnie nowa, i znajoma, jakby zmartwychwstała z głębin jego podświadomości. Połowa różnicy między naszym światem i Utopią — stwierdził — polegała na tym, że ziemska atmosfera przesiąknięta była trującymi wyziewami kłamstwa i obłudy.

— Ach, kiedy się zacznie o tym myśleć... — rzekł pan Barnstaple i zaczął się rozwodzić przed Kryształem nad obłudą ludzkiego życia.

— Podstawowe założenia ziemskich urzędzeń są w znacznej mierze kłamstwami, fałszywymi pewnikami, uzasadniającymi niby to konieczne i nieuniknione różnice flag i narodowości oraz pozory władzy i funkcji ustroju monarchicznego. Zorganizowane nauczanie, religijne i moralne dogmaty opierają się również na oszustwie i szalbierstwie. I człowiek musi żyć wśród takiej atmosfery i stawać się jej częścią. Te szaleńcze fikcje gnębią go, ograniczają, dręczą i zabijają.

— Kłamstwo — największą zbrodnią! Jakież to proste. Jakie prawdziwe i jakie konieczne! Ten dogmat jest zasadniczą cechą, odróżniającą naukowy ustrój świata od wszystkich poprzednich ustrojów.

W ten sposób zazwyczaj, pan Barnstaple wpadł w zapal i wygłosił długą i głośną tyradę przeciwko terrorowi i fałszom ziemskiej prasy.

Była to sprawa niezmiernie go obchodząca. Londyńskie pisma przestały być bezstronnymi przenośnikami wiadomości, nie dopowiadając, przeinaczając i obcinając fakty. Były to właściwie tylko propagandowe szmaty. Szmaty! „Natura” w swoim zakresie była niezmiernie wyczerpująca i ścisła, ale było to pismo czysto naukowe, nie mające nic wspólnego z bieżącymi nowinami. Utrzymywał, że prasa była jedyną możliwą solą współczesnego życia, i jeżeli ta sól zatraciła wszelki smak...!

Biedaczysko perorował w taki sposób, jakby siedział jeszcze w Sydenham przy stole nakrytym do śniadania i przeczytał właśnie poranny dziennik, pełen złych nowin.

— Kiedyś i Utopia przechodziła takie rzeczy — rzekł pocieszającym tonem Kryształ. — Ale jest przysłowie: „Prawda zawsze, choć późno, odkrywa się.” Nie trzeba, żebyś się tak tym strasznie przejmował. W przyszłości nawet i twoja prasa może się poprawić.

— A jak u was stoi prasa i krytyka? — zapytał dziennikarz.

Kryształ wyjaśnił, że w Utopii istniał zupełny rozdział między kolportowaniem wiadomości i dyskusją. Były domy — jeden z nich mieli przed oczyma — służące za czytelnie. Chodziło się do nich po wiadomości, tam bowiem przesyłano raporty ze wszystkich krańców planety o wszystkim, co się stało, co wynaleziono lub odkryto. Raporty przesyłano w miarę potrzeby, nie robiono żadnych kontraktów o dostarczanie dzień w dzień tej samej ilości nowin. Przez czas pewien raporty były bardzo obfite i zabawne z powodu najazdu Ziemian. Od wielu wszakże już dni chłopiec nie czytał gazet, gdyż afera z Ziemianami budziła w nim wielkie zainteresowanie historyczne. Nie brakło działających na wyobraźnię nowin o świeżych odkryciach naukowych. Publiczność interesowała się i entuzjazmowała szerokimi planami naukowych badań. Nowe prace nad wymiarami przestrzennymi, których ofiarą padli Arden i Greenlake, były źródłem wielu nowin. W Utopii był zwyczaj w razie czyjejs śmierci opowiadać historię jego życia. Kryształ przyrzekł panu Barnstaple'owi zaprowadzić go do takiej agencji nowin i rozerwać przeczytaniem opisów ziemskiego życia w interpretacji Utopian na podstawie informacji zasięgniętych od Ziemian. Dziennikarz poprosił, aby później mógł również usłyszeć coś o Ardenie i Greenlake, którzy byli nie tylko wielkimi odkrywcami, ale i sławną parą kochanków, oraz o Serpentyńce i Cedrze, dla których czuł wielki podziw. Utopijnym wiadomościom brakło naturalnie ostrej zaprawy ziemskich dzienników: intrygujących morderstw, zabawnych awanturek, interesujących i podniecających szczegółów, odnoszących się do seksualnej ignorancji i zbrodni, spraw o oszczerstwa, wykrytych oszustw, opisów i fotografii wspaniałych królewskich orszaków, przeciągających zatłoczonymi ulicami, i romantycznych fluktuacji w dziedzinie giełdy i sportów. Ale tam, gdzie nowinom utopijnym brakło sensacyjności, dopełniała je żywość dyskusji. Bowiem piątą zasadą wolności w Utopii była wolność słowa i krytyki.

Każdemu Utopianinowi wolno było wszystko krytykować i roztrząsać w całym wszechświecie, byle tylko nie kłamał wprost lub pośrednio. Mógł mówić o wszystkim z

uszanowaniem lub bez, jak mu się tylko podobało. Mógł głosić najbardziej rewolucyjne idee. Mógł stosownie do życzenia pisać poezję lub powieści. Mógł wyrażać siebie w każdej formie literackiej, jaka mu się nasunęła, mógł uciekać się również do szkiców lub karykatur, zależało to od nastroju. Musiał się tylko powstrzymać od kłamstwa. To było jedyną surową regułą obowiązującą przy polemikach i sporach. Każdy mógł kazać wydrukować, co miał do powiedzenia, i rozesłać to po czytelnikach. Tam rzeczy owe były czytane lub zaniechane — zależnie od tego, czy podobały się publiczności, czy też nie. Często ci, których dana sprawa szczególnie interesowała, zabierali z sobą te druki czy książki. Między książkami Krysztala znajdowała się nowa fantastyczna powieść o badaniu przestrzeni. Chłopcy przepadali za tego rodzaju twórcami wyobraźni. Były to książeczki o trzydziestu — czterdziestu stronicach, drukowane na pięknym papierze, wyrabianym bezpośrednio z lnu i pewnego gatunku trzciny. Bibliotekarze zwracali baczną uwagę na to, które książki i pisma były czytane i zabierane, i zastępowali je nowymi egzemplarzami. Stosy nie czytanej bibuły zabierano niebawem z powrotem do piwnicy, pozostawiając na miejscu jedynie parę egzemplarzy. Jednakże wielu poetów, filozofów i powieściopisarzy, których twórczość nigdy się nie spopularyzowała, było cenionych i żyło w pamięci garstki oddanych wielbicieli.

IV

— Jednej rzeczy nie rozumiem — mówił pan Barnstaple. — Nie zauważyłem w tym świecie żadnych monet i w ogóle niczego w rodzaju pieniędzy. Sądząc z zewnętrznych pozorów, można by mniemać, że panuje tu komunizm taki, jaki został przedstawiony w cenionej na ziemi książce pod tytułem *News from Nowhere**, napisanej przez Ziemiannika, Williama Morrisa. Była to urocza, nieprawdopodobna książka. W tej wyśniewanej fantazji każdy pracował dla samej radości pracy i brał sobie, co mu było potrzeba. Nigdy nie wierzyłem w komunizm uznając tak, jak wy tu w Utopii zdajecie się uznawać, wrodzoną dzikość i chciwość nie—oświeconego człowieka. W twórczej pracy dla dobra drugich leży wielka radość, jednak nie wynagradzana służba pozbawiona jest kulturalnej radości. Poczucie sprawiedliwości w stosunku do samego siebie jest w człowieku silniejsze niż poczucie służby społecznej. Jakimś sposobem musicie równoważyć owoce pracy każdego człowieka z tym, co on niszczy lub zużywa. Jak wy to robicie?

Krysztal zaczął się zastanawiać.

— Podczas ostatniego wieku zamętu byli w Utopii komuniści. W niektórych okolicach naszej planety starali się oni znieść pieniądź za pomocą nagłych i gwałtownych środków, przez co sprowadzali na społeczeństwa nędzę i wielki zamęt ekonomiczny. Próba bezpośredniego przejścia do komunizmu okazała się tragiczną pomyłką. A przecież dzisiejsza Utopia jest w gruncie rzeczy organizacją komunistyczną i nigdy w życiu nie miałem w ręku monety, chyba z ciekawości.

Wyjaśnił następnie, że w Utopii tak samo jak na Ziemi pieniądze były wielkim odkryciem, były czynnikiem swobody. Aż do chwili ich wynalezienia wszelkie usługi między ludźmi odbywały się drogą wymiany lub przemocy. Życie obracało się w ciasnych ramach niewolnictwa i dawało minimalne możliwości wyboru. Dopiero pieniądź otworzył możliwość

dania pracownikowi swobodnego wyboru rodzaju wynagrodzenia. Upłynęły trzy tysiące lat, nim Utopia pojęła w całej pełni te możliwości. Idea pieniądza obfitowała w zasadzki i dawała się łatwo wypaczyć. Utopia przedarła się wśród ciężkich trudów przez długie wieki kredytu i długów, fałszywych i zdewaluowanych monet, strasznej lichwy i wszelkich możliwości spekulacji i nadużyć, na jasne światło równowagi ekonomicznej. Trwało to długie, długie stulecia. Pieniądze w wyższym stopniu niż wszelkie inne ludzkie urządzenia dały możliwość ludzkiej przebiegłości żerować nikczemnie i zdradziecko na potrzebach i brakach bliźniego. Niegdyś Utopia, tak jak obecnie Ziemia, dźwigała na swym łonie zastępy pasożytniczych dusz, spekulantów, paskarzy, szulerów i chciwych Shylocków, wyciągających wszelkie możliwe korzyści z wadliwości systemu monetarnego. Żeby się z tego oczyścić, potrzeba jej było całych stuleci ekonomicznej sanacji. Dopiero, kiedy doszło do początków światowej jedności politycznej, kiedy sporządzono zadowalająco wszechstronne wykazy statystyczne światowych zasobów ekonomicznych i światowej produkcji, społeczeństwo ludzkie mogło dać indywidualnemu pracownikowi pewną, raz na zawsze ustaloną monetą, która dziś czy jutro, czy kiedykolwiek bądź, miała przedstawiać dlań określone kwantum zasadniczych wartości. Stopniowo z nastaniem pokoju na całej planecie i powiększeniem się bezpieczeństwa społecznego stopa procentowa, będąca miarą niestałości, spadła w końcu do zera. Instytucja banków stała się siłą rzeczy funkcją czysto społeczną, gdyż przestała przynosić zyski indywidualnemu bankierowi.

— Klasa rentierów — objaśniał Kryształ — nie jest stałym czynnikiem żadnej społeczności. Charakteryzuje jedynie przejściową fazę między okresem niepewności i wysokich procentów a okresem kompletnej pewności i bezprocentowości. Są oni zjawiskiem poprzedzającym świtanie.

Ziemski dziennikarz po chwili niedowierzania przyjął do wiadomości to nadzwyczajne oświadczenie. Parę pytań zadanych młodemu Utopianinowi upewniło go, że zdawał on sobie poniekąd sprawę, czym była klasa rentierów, jakie były jej moralne i wyobrażeniowe braki i jaką rolę odegrała w rozwoju intelektualnym świata przez stworzenie klasy niezależnych umysłów.

— Życie nie znosi wszelkich niezależnych klas — mówił Kryształ, najwidoczniej powtarzając aksjomat. — Albo się zarabia, albo się grabi... Myśmy się tego ostatniego pozbyli.

Młodzieniec, ciągle dokładnie cytując fakty, tłumaczył następnie, w jaki sposób pieniądz wyszedł stopniowo z użycia. Było to rezultatem ogólnej postępowej organizacji systemu ekonomicznego, zastąpienia współzawodnictwa przedsiębiorstw przez spółdzielczość i detalicznego handlu przez hurtowy. Był taki okres w Utopii, że pieniądze przechodziły z ręki do ręki przy każdej drobnej transakcji i usłudze. Płaciło się pieniędzmi za każdą gazetę, za zapalki, za pęczek kwiatów lub przejazd tramwajem. Wszyscy ludzie chodzili wtedy po świecie z kieszeniami pełnymi drobnej monety, płacąc, płacąc, płacąc przy lada okazji. Potem, kiedy nauka ekonomii pogłębiła się, ustaliła i sprecyzowała, metody opłat klubowych i abonamentowych zostały szerzej zastosowane. Ludzie mogli kupować przepustki, które upoważniały ich do korzystania z wszelkich środków lokomocji przez cały rok, przez dziesięć lat i przez całe życie. Państwo, biorąc przykład z klubów i hoteli,

nauczyło się dostarczać zapalek, pism, papieru i środków transportowych za określoną roczną opłatę. Ten sam powszechny system rozciągnął się od rzeczy drobnych i przypadkowych do wielkich i zasadniczych, t.j. mieszkania, żywności, a nawet ubrania. Państwowy system pocztowy, posiadający informacje dotyczące miejsca pobytu każdego obywatela Utopii, zdołał niebawem wraz z powszechną organizacją bankową zapewnić mu kredyt w każdej części świata. Ludzie przestali odbierać gotówkę za swoją pracę; różne departamenty służby społecznej i działalności ekonomicznej, naukowej i oświatowej kredytowały jednostkom na rachunek ich zarobków w powszechnym banku i obciążały ich konto zwykłymi należnościami za normalne, 'codzienne usługi.

— Coś podobnego dzieje się już i na ziemi — rzekł pan Barnstaple. — Posługujemy się pieniędzmi w ostateczności, gdy inaczej nie można, ale bardzo wiele transakcji odbywa się już tylko za pośrednictwem buchalterii.

Wieki jedności i pracy pozwoliły Utopii opanować wiele źródeł naturalnej energii, znajdujących się na planecie. Teraz stanowią one dziedzictwo każdego rodzącego się tu dziecka. Przy urodzeniu kredytuje mu się sumę, dostateczną na odbycie studiów i utrzymanie się do lat dwudziestu czterech czy pięciu, a później wybiera on sobie jakiś fach i wypełniając go spłaca swój dług i zobowiązania wobec społeczeństwa.

— A jeżeli się z tego nie wywiąże? — zapytał pan Barnstaple.

— To się po prostu nie zdarza.

— Ale przypuśćmy, że się tak stanie.

— No, to taki człowiek byłby nieszczęśliwy i lekceważony. Nigdy o takim wypadku nie słyszałem. Sądzę, że poddano by go badaniom. Zajęliby się nim psychologowie... Ale przecież ostatecznie człowiek musi coś robić.

— Ale przypuśćmy, że w Utopii nie znalazłaby się dla niego żadna praca?

Kryształ nie mógł sobie tego wyobrazić.

— Zawsze jest coś do zrobienia.

— Mówiłeś, że kiedyś, za dawnych czasów, mieliście w Utopii bezrobotnych?!

— To zjawisko było jednym z symptomatów zamętu. Nastąpiło coś w rodzaju przerostu długów, który doprowadził do społecznego paraliżu. W okresach tzw. bezrobocia nie było dostatecznej liczby domów, nie mówiąc już o środkach żywnościowych i ubraniu.

Jednocześnie wystąpiły dwa zjawiska: bezrobocie i brak artykułów pierwszej potrzeby. To nie do wiary.

— Czy wszyscy zarabiają mniej więcej jednakowo?

— Energiczne i twórcze jednostki otrzymują często ogromne dotacje, jeżeli się okaże, że potrzebują pomocy innych lub nie są w stanie obejść się bez korzystania z naturalnych bogactw Utopii... I artyści niekiedy bardzo się wzbogacają, jeżeli produkty ich twórczości cieszą się wielkim powodzeniem.

— . Czy musiałeś sobie kupić ten złoty łańcuch?

— Od artysty w jego sklepie. Matka mi go kupiła.

— A więc są tu sklepy?

— Niektóre zobaczysz. Są to miejsca, dokąd ludzie chodzą oglądać nowe piękne rzeczy.

— A jeżeli artysta wzbogaci się, to co on robi ze swymi pieniędzmi?

— Korzysta z czasu i środków, by stworzyć jakąś wspaniałą rzecz, potężne dzieło artystycznego geniuszu, i pozostawić je po sobie światu albo gromadzić zbiory i pomagać w pracy innym artystom. Albo wreszcie na każdy sposób, jaki mu się wyda odpowiedni, propagować piękno i uszlachetniać jego odczuwanie wśród ogółu Utopian. Albo nic nie robić... Utopia może sobie na to pozwolić — jeżeli on sam to potrafi.

V

— Cedr i Lew — rzekł pan Barnstaple — wyjaśnili nam wszystkim, jak się to dzieje, że wasz rząd jest niejako rozparcelowany, rozproszony między ludźmi, którzy posiadają specjalną znajomość danych zagadnień. Wywnioskowaliśmy, że utrzymanie równowag* i związku między poszczególnymi gałęziami działalności ludzkiej jest zadaniem tych, którzy studiują psychologię ogólną i organizację wychowania w Utopii. Początkowo naszym ziemskim umysłem wydało się niezmiernie dziwnym, że nie ma u was żadnego organu centralnego, który by rzekomo wszystko wiedział i w praktyce o wszystkim decydował, to znaczy jakiejś zwierzchności w postaci osoby czy ugrupowania, której fiat*byłoby ostateczne. Burleigh i Catskill uważali, że taka rzecz jest absolutną koniecznością, i ja co prawda tak samo myślałem, tylko z mniejszą pewnością. „Kto decyduje?” — głowili się moi towarzysze. Spodziewali się, że zostaną zaprowadzeni przed oblicze prezydenta lub Najwyższej Rady Utopii. Przypuszczam, iż tobie wydaje się rzeczą zupełnie naturalną, że tu nic takiego nie istnieje i że każdą nasuwającą się kwestię rozwiązuje człowiek najlepiej z nią obeznany.

— Jego działalność podlega krytyce — powiedział Kryształ.

— Jest to ten sam proces, dzięki któremu stał się wybitnym i odpowiedzialnym. Ale czy nawet tutaj ludzie nie starają się wepchnąć na pierwsze miejsca przez próżność? I czy niekiedy nie wysuwa się gorszych na pierwszy plan przez złość i zawiść?

— W każdej utopijnej duszy jest niemało zawiści i próżności — rzekł Kryształ. — Lecz ludzie wypowiadają się bez ogródek, i krytyka jest bardzo swobodna i dociekliwa, tak że uczymy się wglądać w nasze pobudki, zanim wystąpimy z pochwałą lub zarzutem.

— To, co czynicie i mówicie, okazuje się tutaj w świetle swej istotnej wartości — rzekł pan Barnstaple. — Nie możecie w ciemności i wrzawie obrzucać bezkarnie ludzi błotem lub w zamęcie uzyskać potwierdzenia fałszywych pretensji.

— Kilka lat temu mieliśmy tu jednego człowieka, artystę, który narobił wielkiego piekła z powodu twórczości mego ojca. Często krytyka sztuki jest u nas bardzo ostra, ale on przekroczył wszelkie granice. Karykutował mego ojca i obrzucał go bezustannie zniewagami. Włóczył się za nim wszędzie. Starał się przeszkodzić w przydzieleniu mu potrzebnych do pracy materiałów. Daremne były jego usiłowania. Niektórzy ludzie odpowiadali mu, ale po większej części ignorowano go i lekceważono... Chłopiec urwał.

— No, i...

— Odebrał sobie życie. Nie mógł się wyrwać z kręgu własnej głupoty. Każdy wiedział o jego czynach i słowach...

— Ale w przeszłości byli królowie i rady i odbywały się konferencje w Utopii — rzekł dziennikarz powracając do głównego tematu.

— Moje książki uczą mnie, że nasze państwo nie mogło się rozwinąć w inny sposób. Musieliśmy przejść fazę istnienia tych spekulantów ludzkimi sprawami, polityków i prawników, jako konieczne stadium w rozwoju politycznym i społecznym. Tak samo jak w swoim czasie nie mogliśmy się obejść bez żołnierzy i policji dla uchronienia ludzi od wzajemnych gwałtów. Dopiero bardzo powoli politycy i prawnicy doszli do przekonania, że działalność ich wymaga specjalnej wiedzy i kwalifikacji. Politycy bowiem wykreślali granice państw, nie posiadając niezbędnej do tego znajomości etnologii lub geografii ekonomicznej, prawnicy zaś rozstrzygali o rzeczach woli i o pobudkach czynów, choć wykształcenie ich w zakresie psychologii było mniej niż elementarne. Wydawali najniedorzeczniejsze i najbardziej nieżyciowe zarządzenia w sposób niesłychanie poważny i autorytatywny.

— Tak jak proboszcz w Tristramie Shandy'm^{*},¹, który wziął się do stwarzania światowego pokoju w Wersalu — zauważył Ziemianin. Kryształ zrobił zdziwioną minę.

— Skomplikowana aluzja do czysto ziemskiej sprawy — objaśnił pan Barnstaple. — To zupełne rozproszczenie funkcji polityczno-prawnych pomiędzy ludzi wiedzy jest dla mnie jedną z najbardziej interesujących rzeczy tego świata. Zaczyna się ona już na Ziemi. Na przykład ludzie, którzy znają się na ogólnych problemach higieny, są wrogo nastawieni do wszelkich metod politycznych i prawnych. To samo da się powiedzieć o wielu naszych najlepszych ekonomistach. Wielu ludzi wcale nie chodzi do sądu i od kołyski do grobu nie przyjdzie im nawet do głowy, żeby to zrobić we własnych sprawach. Co się stało z waszymi politykami i prawnikami? Czy ustąpili bez walki?

— W miarę jak rosło światło i potężniała inteligencja mas, zaczęli się oni stawać coraz to zbędniejsi i wszyscy się w tym orientowali. W końcu zbierali się tylko po to, żeby mianować wykwalifikowanych ludzi asesorami itp.; po pewnym czasie i te nominacje stały się jedynie formalnościami. Działalność ich wsiąkła w ogólną krytyczno-dyskusyjną działalność Utopii. W niektórych okolicach spotyka się jeszcze stare budowle, które niegdyś służyły jako izby obrad i sądy. Ostatni polityk, którego wybrano do ciała prawodawczego, umarł w Utopii prawie tysiąc lat temu. Był to ekscentryczny, gadatliwy stary jegomość. Był jedynym kandydatem i głosował nań tylko jeden człowiek. Upierał się przy „zbieraniu się” w pojedynkę w sali obrad i kazał stenografować wszystkie swoje mowy i sprawozdania. Chłopcy i dziewczęta, uczący się stenografii, chodzili do niego i opowiadali o nim. W końcu potraktowano go jako umysłowo chorego.

— A ostatni sędzia?

— Nic o tym nie wiem — odparł Kryształ. — Muszę się spytać mego wychowawcy. Przypuszczam, że taki musiał istnieć, ale pewnie nikt odeń nie żądał, żeby cokolwiek sądził, więc prawdopodobnie znalazł sobie jakąś mądrzejszą robotę.

VI

— Zaczynam zdawać sobie sprawę z codziennego życia tego świata — rzekł pan Barnstaple. — Jest to życie półbogów, bardzo swobodne, bardzo zróżnicowane. Każdy człowiek oddaje się temu, co go najbardziej pociąga, każdy przyczynia się swą pracą do wypełnienia wielkich przeznaczeń rasy. Nie tylko jest to życie niepokalanie nagie, piękne i słodkie, ale pełne osobistej godności. Patrząc na nie jako ma urzeczywistniony

komunizm z góry zaplanowany, do którego doprowadziły długie stulecia powszechnego nauczania, dyscypliny i kolektywistycznych przygotowań. Nigdy przedtem nie myślałem, żeby socjalizm mógł uszlachetnić i wynieść jednostkę, a indywidualizm — poniżyć, ale teraz widzę jasno, że tutaj tego dowiedziono. W tym szczęśliwym świecie nie ma wcale tłumu, i to jest rzeczywiście ukoronowaniem zdrowia i szczęścia. Stary świat, świat do którego należę, był — i w moim wszechświecie jest, niestety, nadal — światem tłumu, światem wstrętnej przyziemnej masy bezimiennych, zżartych chorobami ludzkich zwierząt.

Nigdy nie widziałeś tłumu, Kryształ, i nigdy nie zobaczysz go w całym swoim szczęśliwym życiu. Nigdy nie widziałeś tłumu „walącego” na mecz footballowy, wyścigi, walkę byków, publiczną egzekucję lub tym podobną uctę duchową. Nigdy nie patrzyłeś, jak tłum kłębi się i tłoczy na małej przestrzeni, nigdy nie słyszałeś, jak ryczy i wyje w przełomowej chwili. Nigdy nie przyglądałeś się, jak płynie leniwie ulicami chcąc się gapić na jakiegoś króla lub domaga się piekielnymi wrzaskami wojny albo pokoju, wszystko jedno czego. I nigdy nie widziałeś, jak tknięty paniką tłum zamienia się nagle w motłoch i zaczyna siać wokół ruinę, śmierć i trwogę. Wszelkie tłumne uroczystości, jak również wszelkie zabawy i rozrywki tłumu wyszły na waszym świecie ze zwyczaju; nie ma tu u was ani wyścigów, ani sportu, ani wojennych demonstracji, ani koronacji, ani publicznych pogrzebów, ani wielkich widowisk — tylko małe teatrzyki... Szczęśliwy Kryształ! Nigdy nie zobaczysz tłumu!

— Ależ ja widywałem tłumy — odparł Kryształ.

— Gdzie?

— Widywałem zdjęcia kinematograficzne tłumów, robione przed trzydziestoma wiekami, a nawet i dawniej. Pokazują je w naszych muzeach historycznych. Widziałem tłumy płynące polami wyścigowymi po skończonych biegach, fotografowane z aeroplanów, tłumy szalejące na publicznym placu, rozpędzane przez policję. Tysiące, tysiące rojącego się ludu. Ale to prawda, co powiedziałaś. W Utopii nie ma już tłumów. Tłumy i psychologia tłumu należą do zjawisk, które przeszły bezpowrotnie.

VII

Kiedy po kilku dniach Kryształ, zmuszony wznowić swoje studia matematyczne, opuścił pana Barnstaple'a, Ziemianin nasz poczuł się ogromnie osamotniony. Nie znalazł sobie drugiego towarzysza. Lychnis zdawała się być zawsze w pobliżu, gotowa służyć mu swym towarzystwem, ale jej bierność intelektualna, tak wyjątkowa w tym świecie intensywnej działalności umysłowej, zrażała go. Inni Utopianie mijali go z przychylnym, rozbawionym lub grzecznym wyrazem twarzy, ale absorbowały ich własne sprawy. Zapytywali go z ciekawością o to lub owo, odpowiadali na któreś z jego pytań i oddalali się z taką miną, jakby ich odwołano.

Zaczął sobie zdawać sprawę, że Lychnis była jednym z nieudanych typów Utopii. Była mianowicie niezwykle spóźnioną epigonką romantyzmu i w sercu swym kryła wielki smutek i cierpienie. Miała niegdyś dwoje dzieci, które kochała żywiołową miłością. Odznaczały się cudowną odwagą. Raz pod wpływem głupiej dumy zachęciła je, by wypłynęły daleko na morze, gdzie, porwane wirem, utonęły. Ojciec ich, próbując je

uratować, również utonął i Lychnis też o mało nie podzieliła ich losu. Została wszakże uratowana, ale jej życie uczuciowe zatrzymało się na tym punkcie, jakby przybrawszy pewną niezmienną postawę, i tak pozostało. Opanowała ją melancholia. Odwróciła się od śmiechu i radości i jęła żyć cierpieniem. Zmartwychwstała w niej zatracona zdolność do litości, najprzód w stosunku do samej siebie, a potem ogarnęło ją pragnienie okazywania litości innym ludziom. Przestała się interesować zadowolonymi, pełnymi życia istotami, umysł jej skoncentrował się na pocieszę, jaką znajdowała, pokrzepiając innych w smutkach i cierpieniach. Szukała dla siebie lekarstwa lecząc cierpiących. Nie chciała mówić panu Barnstaple'owi o jasnej szczęśliwości Utopii. Chciała, żeby jej opowiadał o ziemskiej niedoli i o swoich własnych biedach. Chciała mu okazywać współczucie. On jednak nie pragnął o nich mówić, bo naprawdę — takie już miał usposobienie — nie był wcale nieszczęśliwy, tylko zirytowany i rozżalony. Spostrzegł, iż marzeniem jej było dostać się na Ziemię i złożyć swą urodę i czule serce w ofierze chorym i nędzaczom. Dusza jej wyrwała się ku ludzkim cierpieniom i słabościom. Wyrwała się — głodna i spragniona...

Zanim zorientował się w skłonnościach jej umysłu, opowiedział jej wiele o ziemskich chorobach i nędzaczach. Mówił wszelako o tych rzeczach nie z litością, lecz z oburzeniem, jako o zjawiskach, które nie powinny być istnieć. Spostrzegłszy się, iż się nimi delektuje, i zaczął traktować je zdawkowo i pogodnie jako coś, co niebawem przestanie istnieć. — Ale fakt, że cierpieli, pozostanie — zauważyła...

Była ciągle w pobliżu i jej osoba zajmowała może zbyt wiele miejsca w jego panoramie Utopii. Zasnawała wszystko jakby cieniem. Często myślał o niej, o jej litości i niechęci do życia i siły. W świecie strachu, słabości, zarazy, ciemności i zamętu — litość, akty miłosierdzia, jałmużna, udzielanie przytułku i czyny prawdziwego poświęcenia mogły oczywiście wydawać się wonnymi i słodkimi darami nieba, ale w tym świecie zdrowia i działalności litość nabierała doprawdy cech I jakiegoś szkodliwego zбочenia. Kryształ, młody mieszkaniec Utopii, był tak twardy jak jego imię. Kiedy jednego dnia, pośliznąwszy się na skale, zwichnął i skaleczył sobie nogę, zareagował na chwilowe okulawienie wesołym śmiechem. A znów, gdy pan Barnstaple dostał na bardzo stromych schodach ataku duszności, Kryształ zachował się przy tym raczej grzecznie niż współczująco. Tak więc Lychnis nie znalazła nikogo, kto by ją rozumiał w tym poświęceniu swego życia cierpieniu. Nawet u Ziemianina nie potrafiła zyskać sympatii. Spostrzegł, że pod względem temperamentu był on lepszym Utopianinem niż ona — Utopianką. Dla niego, jak i dla Utopii fakt, że mąż jej i dzieci ponieśli śmierć z bohaterską nieustraszonnością, przedstawiał się raczej jako powód do radości niż do smutku. Zginęli piękną, odważną śmiercią, ale wody migotały jak zawsze srebrzyście i świeciło słońce. Strata, jaką poniosła, ujawniła w niej wszelako głęboką rasową skazę, coś tkwiącego od prawieków w ludzkim gatunku, coś, co Utopia wykorzeniła w sobie bardzo powoli, ową mroczną skłonność do ofiary z siebie, która czci i wtóruje cieniom. Dziwne to było, a może jednak nieuniknione, że pan Barnstaple natknął się znów w Utopii na tego ducha, tak dobrze znanego Ziemi, ducha, który odwraca się od królestwa niebieskiego ku cierniom i gwoździom jako przedmiotom czci, który znajduje radość w przedstawianiu swego Boga nie jako zmartwychwstanie i życie, ale jako żalowanego trupa. Mówiła z

Barnstaple'em o jego synach tak, jakby mu zazdrościła z powodu straty swoich, ale wszystko, co wygłaszała, przypominało mu braki edukacyjne i ciasne widoki na przyszłość jego chłopców i wywoływało refleksje, że ich życie byłoby o wiele piękniejsze, szczęśliwsze i dzielniejsze w Utopii. Byłby dwanaście razy zaryzykował ich utonięcie, żeby im tylko oszczędzić perspektywy zostania urzędnikami i oficjalistami, zależnymi od innych ludzi. Czuł teraz, że nawet podług ziemskich pojęć nie wychował ich tak, jakby ostatecznie mógł. Pozwolił, żeby zarówno w ich życiu, jak jego i żony dokonało się samorzutnie wiele rzeczy, które — czuł to teraz — powinien był kontrolować. Czuł też, że gdyby mógł zacząć wszystko od początku, to postarałby się, żeby jego synowie obudzili w sobie większe zainteresowanie do polityki i nauki, a nie zatopili tak całkowicie w pospolitych drobiazgach podmiejskiego życia, takich jak tanie amatorskie przedstawienia, jałowe flirty i tym podobne sprawy. Czuł, że w gruncie rzeczy byli to dobrzy chłopcy, ale pozostawił ich matce, matkę zaś pozostawił za dużo samej sobie zamiast stoczyć z nią walkę o swoje idee. Żyli oni płytkim życiem w cieniu jednej wielkiej katastrofy, nie zabezpieczeni wcale przed drugą. Żyli w świecie bezsilnego marnotrawstwa i nędznej niezaradności. I jego własne życie było również zmarnowaną szansą.

Życie, jakie wiódł w Syndenham, zaczęło go wprost] dręczyć. „Wszystko krytykowałem, a nic nie zmieniałem — powtarzał sobie w kółko. — Niczym się nie różniłem od Peeve'a. Czyż byłem pożyteczniejszy na tam tym szarym świecie, niż jestem na tym nowym? Ale na Ziemi wszyscy jesteśmy marnotrawcami...”

Przez parę dni unikał Lychnis i wędrował po dolinie. samotny. Poszedł do wielkiej czytelnicy i przerzucił książki, których nie mógł czytać. Pozwolono mu stać w pracowni i przyglądać się artyście odlewającemu w złocie postać nagiej dziewczyny, piękniejszej niż najpiękniejsze ziemskie posągi; artysta wszakże, niezadowolony ze swego dzieła, przetopił je z powrotem. Spotykał ludzi zajętych przy budowie domów, przy pracy w polu. To znów natknął się na wielki szyb na zboczu góry i na coś, co dziwnie jakoś migotało głęboko w rozpadlinie, ale do czego mu nie pozwolono podejść. Widział tysiące rzeczy, których nie mógł zrozumieć. Zaczął się czuć tak, jak się, być może, czasem czuje wśród ludzi bardzo inteligentny pies, ale on nie miał żadnego pana ani instynktów, które pozwoliłyby mu znaleźć pociechę w psiej, pokornej uległości. Utopianie zajmowali się za dnia swymi sprawami, mijali go z uśmiechem i napełniali zazdrością nie do zniesienia. Wiedzieli, co mają robić. Byli częścią tego świata. Wieczorami przechadzali się po dwoje, po troje, obcowali z sobą, a czasami śpiewali. Mijali go kochankowie ze słodko uśmiechniętymi, przytulonymi do siebie twarzami, i samotność jego przeszła w rozpacz beznadziejnej tęsknoty.

Bowiem pan Barnstaple wbrew usiłowaniom niedopuszczenia tych myśli poza próg świadomości pragnął gorąco kochać i być kochanym w Utopii. Myśl, że żadna z tych osób nie mogła nawet wyobrazić sobie zbliżenia duchowego czy cielesnego z nim, napełniała go upokorzeniem, głębszym jeszcze niż poczucie własnej bezużyteczności. Urok utopijnych dziewcząt i kobiet, które obrzucały go ciekawymi spojrzeniami lub mijaly z pogodną obojętnością, zabijał w nim poczucie własnej godności i czynił świat Utopii po prostu nie do zniesienia. W sposób niemy i nieświadomy te boginie Utopii dawały mu

odczuć jego krańcową, upokarzającą niższość kastową i rasową. Nie mógł nie myśleć o miłości tam, gdzie wszyscy zdawali się mieć kochanków i kochanki, a przecież w tym utopijnym świecie miłość do niego była czymś groteskowym i niewyobrażalnym... I nagle, gdy jednej nocy leżał, nie mogąc zasnąć, udręczony nad miarę tymi rozmyślaniami, przyszła mu do głowy myśl dokonania czegoś, co jak sądził, mogłoby przywrócić mu poczucie własnej godności i zyskać mu w Utopii rodzaj obywatelstwa. Może nawet będą o nim mówić i wspominać z zainteresowaniem i sympatią.

Rozdział trzeci

Przysługa Ziemianina

I

Człowiek, z którym po zasięgnięciu odpowiednich informacji poszedł się naradzić pan Barnstaple, nazywał się Sungold. Był on prawdopodobnie bardzo stary, gdyż piękne jego czoło porane było zmarszczkami, które okalały również oczy. Twarz miał rumianą, kasztanową brodę, przesianą białymi nitkami, i piwne, żwawe oczy pod krzaczastymi brwiami. Czupryna zrzedła mu już, ale bardzo nieznacznie. Spływała na tył głowy niby grzywa, ale jej miedziany kolor należał już tylko do wspomnień. Siedział przy stole, założonym papierami, zajęty robieniem notatek. Uśmiechnął się do ziemskiego gościa, którego się spodziewał, i wskazał mu siedzenie masywną piegowatą ręką, po czym uśmiechając się, czekał, co mu powie.

— Świat ten — zaczął pan Barnstaple — jest triumfem pragnienia porządku i piękna w ludzkich umysłach, ale nie toleruje u siebie żadnej nieużytecznej jednostki. Każdy jest tu szczęśliwie czynny. Każdy... tylko nie ja... Nie pasuję tu do niczego. Nic nie mam do roboty. I nikt się do mnie nie przyznaje.

Sungold poruszył wolno głową na znak, że rozumie.

— Ciężko jest Ziemianinowi z ziemskim brakiem treningu zająć tu jakieś miejsce, znaleźć jakąś zwyczajną pracę, nawiązać najzwyczajniejsze kontakty. Jest on bowiem człowiekiem obcym... Lecz ciężiej jeszcze jest nie posiadać żadnego punktu oparcia. Przyszło mi do głowy, że w tej nowej pracy, o której, jak mi mówiono, wiesz najwięcej i której jesteś faktycznie ośrodkiem i regulatorem, i ja mógłbym się może na coś przydać; mógłbym się może nawet okazać równie pożyteczny jak każdy Utopianin... Jeżeli tak, to pragnę się na coś przydać. Może chcecie, żeby się ktoś naraził na śmierć dla dobra nauki... Może chcecie posłać kogoś w jakieś nie~bezpieczne, nieznanne miejsce, kogoś, kto pragnie służyć Utopii, a kto nie potrzebuje mieć wyrobienia czy wiedzy lub być pięknym i uzdolnionym...? Pan Barnstaple urwał.

Sungold dał mu do zrozumienia, że najzupełniej pojmuje, o co panu Barnstaple'owi chodzi.

Ziemianin siedział w wyczekującej pozie, podczas gdy rudy uczoney rozważał jego słowa. I nagle w umyśle Ziemianina zaczęły się splatać w jedną całość słowa i zdania.

Sungold zastanawiał się, czy pan Barnstaple pojmuje rozmiar oraz granice wielkich odkryć, jakie się właśnie dokonywały w Utopii.

— Utopia — mówił — znajduje się w stadium przechodzenia w erę intensywnej działalności intelektualnej. Nowe potęgi i możliwości podnieciły wyobraźnię rasy i nie

można sobie było rzeczywiście wystawić, żeby odcięty od źródeł wiedzy i zdeorientowany Ziemianin mógł się czuć swobodnie i szczęśliwie wśród tych kolosalnych, nadzwyczajnych działań, jakie się teraz muszą zacząć. Nawet wielu spomiędzy bardziej zacofanych Utopian doznaje głębokiego, niepokojącego wstrząsu. Przez stulecia utopijni filozofowie i eksperymentatorzy krytykowali, korygowali i uzupełniali swoje poprzednie instynktowne i tradycyjne wyobrażenia o przestrzeni i czasie, o formie i substancji i teraz nowe sposoby myślenia rozjaśniały się i upraszczały z wielką szybkością, wydając owoce w postaci zdumiewających zastosowań praktycznych. Ograniczenia przestrzenne, które wydawały się nieprzezwyciężalne, pękały i rozsypywały się w sposób niesamowity i niepokojący, ale przecież pękały. Było już teoretycznie możliwe przerzucić się z planety Utopii, w której ciasnych granicach rozgrywały się dotąd losy rasy, na inne punkty jej rodzinnego wszechświata, to jest na inne odległe planety i dalekie gwiazdy... Bardzo szybko stanie się to możliwe i w praktyce... To jest właśnie kluczowe zagadnienie obecnej sytuacji.

— Nie mogę sobie tego wyobrazić — rzekł pan Barnstaple.

— Nie możesz sobie tego wyobrazić — zgodził się serdecznym tonem uczoney. — Ale tak jednak jest. Przed stu laty było to i dla nas nie do pomyślenia.

— Czy chcecie się tam dostać za pośrednictwem jakichś, że się tak wyrażę, tylnych schodów w innym wymiarze? — zapytał pan Barnstaple.

Sungold zastanowił się nad słowami prostaka. Odpowiedział, że porównanie było groteskowe, ale z punktu widzenia Ziemianina — wcale niezłe i dające o rzeczy jakie takie wyobrażenie, choć rzeczywistość przedstawia się bez porównania cudowniej...

— Zaczęła się dla nas nowa i zdumiewająca faza bytowania. Dawno już temu nauczyliśmy się na tej planecie głównych tajemnic szczęśliwości. W naszym świecie życie jest dobre. Uważasz je za dobre?... Jeszcze przez tysiące lat będzie ten świat naszą fortecą i domem. Lecz wichur nowej przygody wieje teraz nad naszymi głowami. Panuje u nas obecnie taki nastrój jak przy zwijaniu zimowego obozowiska, gdy nadejdzie wiosna.

Sungold nachylił się przez stół ku panu Barnstaple'owi, i podniósłszy do góry palec, przemówił słyszalnymi słowami, jak gdyby chcąc nadać swym oznajmieniem wyraźniejszą formę. Ziemianinowi wydawało się, że każdy wyraz, w miarę jak go wypowiadał uczoney, tłumaczył się automatycznie na język angielski. W każdym razie Barnstaple rozumiał wszystko, co do niego mówiono.

— Zderzenie się naszej planety, Utopii, z waszą planetą, Ziemią, było bardzo ciekawym wypadkiem, ale nie mającym żadnego zasadniczego znaczenia dla tej całej sprawy. Chcę, żebyś to zrozumiał. Wasz wszechświat i nasz są tylko dwoma wszechświatami z nieskończonej ich liczby grawitacyjno-czasowego typu, które razem tłumaczą się przez niewyczerpalną nieskończoność Boga. Są na ogół podobne, ale w niczym nie są identyczne. Wasza planeta i nasza znalazły się, że się tak wyrażę, ramię w ramię, nie podróżują wszakże z taką samą szybkością, i kierunek ich nie jest ściśle równoległy. Znów się od siebie oddalą i pójdą za swymi różnymi przeznaczeniami. Kiedy Arden i Greenlake robili swój eksperyment, szansę ich zaczepienia o cokolwiek w waszym wszechświecie były nieskończenie minimalne. Nie wzięli tego wcale pod uwagę, po

prostu wyrzucali poza nasz wszechświat część naszej materii i potem z powrotem wciągali ją w granice tegoż wszechświata. Wpadliście do nas równie zdumiewająco niespodzianie dla nas jak i dla was. Doniosłość naszych odkryć leży dla nas w naszym własnym wszechświecie, a nie w waszym. Nie chcemy wdzierać się do waszego wszechświata ani też nie pragniemy oglądać u siebie więcej waszych ludzi. Jesteście za bardzo do nas podobni i ?a bardzo mroczni, burzliwi i chorzy, za bardzo zaraźliwi, a my... my nie możemy wam jeszcze pomóc, bo nie jesteśmy bogami, lecz ludźmi.

Dziennikarz skinął głową.

— Cóż by poczęli Utopianie z mieszkańcami Ziemi? Nie mamy w sobie silnego instynktu nauczania i ujarzmiania innych dorosłych ludzi. Osłabiły go w nas długie stulecia równości i swobodnego współdziałania. Za dużo by was było jak na uczniów dla nas, a poza tym wielka część waszej ludności jest dorosła i przejęta na wskroś złymi myślowymi nałogami. Wasza głupota weszłaby nam w drogę, wasze kłótnie, zazdrości, flagi., religie i wszelkie wcielone zawiści i ograniczenia krępowałyby nas we wszystkich naszych zamierzeniach. Bylibyśmy w stosunku do was niecierpliwi, niesprawiedliwi i arbitralni. Jesteście zbyt do nas podobni, żebyśmy mogli znosić cierpliwie wasze braki. Ciężko by było starać się ciągle pamiętać, jak was źle wychowano. Dawno już przekonaliśmy się w Utopii, że żadna rasa ludzkich istot nie jest dostatecznie wielka, subtelna i potężna, by myśleć i działać za drugą. Może zaczynacie już stwierdzać to samo i na ziemi, w miarę jak wasze rasy wchodzą ze sobą w bliższy kontakt. W jeszcze silniejszym stopniu okazałoby się to prawdą w stosunkach Utopii z Ziemią. Z tego, co wiem o waszym ludzie, jego ciemnocie i uporze, jasnym jest, że nasi by wami gardzili, a pogarda jest źródłem wszelkich niesprawiedliwości. Mogłoby się skończyć tym, że byśmy was po prostu wytępilli... Ale dlaczego mielibyśmy stwarzać takie możliwości?... Musimy pozostawić was waszemu losowi. Nie możemy sobie zaufać, w stosunku do was... Wierz mi, że jest to dla nas jedyne rozsądne wyjście z całej sprawy.

Pan Barnstaple przystał w milczeniu na zdanie starca.

— Ty i ja, dwie jednostki, możemy być przyjaciółmi i rozumieć się nawzajem.

— Rzekieś prawdę — odparł Ziemianin. — Czystą prawdę. Ale boli mnie, że to jest prawdą... Strasznie mnie boli... Jednakże mam wrażenie, że ja przynajmniej mogę się Utopii na coś przydać?!!

— Możesz!

— Jakim sposobem?

— Powracając do twego własnego świata.

Pan Barnstaple zapadł w chwilowe zamyślenie. Tego się właśnie lękał. Ale się przecież ofiarował.

— Uczynię to.

— Powiniennem być powiedzieć: usiłując powrócić. To rzecz ryzykowna. Możesz zginąć.

— Muszę się z tym pogodzić.

— Chcemy sprawdzić wszystkie dane odnoszące się do stosunku naszego wszechświata do waszego. Chcemy odwrócić eksperyment Ardena i Greenlake i przekonać się, czy będziemy mogli posłać z powrotem na wasz świat żyjącą istotę. Jesteśmy teraz prawie pewni, że potrafimy tego dokazać. I ta ludzka istota musi na tyle

kochać nasz świat i swój własny świat, żeby powrócić do siebie i dać nam znak, że dostała się na wskazane miejsce.

— Mogę tego dokonać — rzekł stłumionym głosem Ziemianin.

— Możemy cię wsadzić do twojej maszyny i ubrać w twoje ziemskie ubrania. Możesz przybrać dokładnie taki sam wygląd, jaki miałeś przy opuszczaniu twojego świata.

— Dokładnie. Rozumiem.

— A chociaż twój świat jest nikczemny i swarliwy, posiada przecież gdzieś dziwnie zdolne i sprawne mózgi; nie chcemy przeto, żeby się twój lud dowiedział o nas i o tym, że jesteśmy tak blisko was — gdyż przynajmniej jeszcze przez kilkaset lat będziemy waszymi bliskimi sąsiadami — nie chcemy, żeby się o nas dowiedział, z obawy, że mógłby tu niebawem wtargnąć pod wodzą jakiegoś nieszczęsnego, zwariowanego, genialnego uczonego. Wtargnąć chciwymi, głupimi, rojnymi zastępami, waląc w nasze bramy, grożąc życiu i psując nasze wzniosłe, piękne przygody, tak że musielibyśmy lud ten odegnąć i wytluc jak inwazję szczurów lub pasożytów.

— Tak — potwierdził pan Barnstaple. — Zanim ludzie będą mogli przyjść do Utopii, muszą się wpieryw nauczyc, jaka do niej wiedzie droga. Widzę, że Utopia jest jedynie domem tych, którzy poznali wiodącą do niej drogę.

Urwał, jakby odpowiadając w głębi duszy swoim własnym myślom.

— Kiedy powrócę — rzekł — czy mam się starać zapomnieć o Utopii?

Sungold uśmiechnął się, ale nie odpowiedział.

— Przez wszystkie dni, jakie mi pozostaną, będzie mnie dręczyła nostalgia za Utopią.

— I podtrzymywała.

— Podejmę moje ziemskie życie w punkcie, w którym je przerwałem, ale na Ziemi będę Utopianinem. Od chwili gdy zaofiarowałem moje usługi i zostały one przyjęte, nie czuję się już w Utopii wyrzutkiem. Przynależę do was...

— Pamiętaj, że możesz zginąć. Możesz umrzeć w czasie eksperymentu.

— Będzie, co ma być.

— No to, bracie!

Przyjacielska ręka pochwyciła dłoń pana Barnstaple'a mocno ją uściśnięła. Głębokie oczy rozbliły się uśmiechem.

— Kiedy powrócisz szczęśliwie i dasz nam znak, będziemy mogli również odesłać na ziemię tamtych Ziemian.

Pan Barnstaple wyprostował się.

— Ale... — wyszeptał. Głos jego ze zdziwienia przybrał wysokie tony. — Myślałem, że oni zostali wyrzuceni w pustą przestrzeń jakiegoś zewnętrznego wszechświata i że zostali unicestwieni!

— Kilku poniosło śmierć. Zginęli, rzuciwszy się w dół starej fortecy wśród zewnętrznych ciemności w chwili obrotu skały. Człowiek w skórzanym odzieniu, człowiek, któregoście nazywali Long Barrow...

— Barralonga?

— Tak. I ten, który wzruszył ramionami i powiedział: „Czego chcecie?” Inni pozostali przy życiu. Po ustaniu rotacji — znacznie później — znaleziono ich prawie uduszonych i zmarzniętych, ale nie umarłych. Zostali przywróceny do życia i jesteśmy teraz w kłopotcie,

co z nimi począć... Na nic się tu w naszym świecie nie przydadzą i stanowią tylko zawadę.

— Jasna rzecz — potwierdził Ziemianin.

— Człowiek, którego nazywacie Burleighem, zdaje się odgrywać pewną rolę w waszych ziemskich sprawach. Przeszukaliśmy jego umysł. Jego zdolność wierzenia jest bardzo słaba. Nie wierzy prawie w nic; wierzy jedynie w życie wykształconego, bogatego dżentelmena, zajmującego niezbyt wysokie stanowisko w radach w znacznej mierze fikcyjnego imperium. Wątpliwe jest, czy wierzy w realność swoich przeżyć. W każdym razie sprawimy, żeby on myślał, iż to, co go spotkało, było jedynie fantastycznym snem. Będzie uważał, że jest to zbyt niewiarogodne, żeby o tym mówić, bo już teraz rzuca się w oczy, że się bardzo boi swojej wyobraźni. W parę dni po twoim powrocie i on znajdzie się na waszym świecie i uda się do swego domu w sposób możliwie dyskretny. Powróci zaraz po tobie. Zobaczysz, jak znów wystąpi na arenie politycznej. Może trochę zmądrzeje.

— Możliwe — rzekł dziennikarz.

— A jakże on się nazywa? Rupert Catskill; i on też powróci. Waszemu światu trudno by się było bez niego obejść.

— Jego nic nie uczyni mądrzejszym — rzekł z przekonaniem pan Barnstaple.

— Lady Stella powróci.

— Rad jestem, że się uratowała. Ona nic nie powie o Utopii, bo jest bardzo ostrożna.

— Ksiądz oszalał. Jego zachowanie stało się obraźliwe i sprośne, jest teraz pod nadzorem.

— Cóż on zrobił?

— Sporządził pewną liczbę fartuchów z czarnego jedwabiu i w niegodny sposób zaczął atakować naszą młodzież, żeby się w nie ubierała.

— Jego możecie odesłać — rzekł po namyśle Ziemianin.

— Czyż wasz świat pozwala na takie rzeczy?

— My tego rodzaju rzeczy nazywamy czystością — zauważył pan Barnstaple. — Ale ma się rozumieć, jeżeli go chcecie zatrzymać...

— Odeślemy go — odparł Sungold.

— Pozostałych możecie zatrzymać — ciągnął Ziemianin. — Właściwie będziecie to musieli uczynić. Nikt na ziemi nie będzie się o nich tak znów bardzo niepokoił. W naszym świecie jest taka masa ludzi, że zawsze trochę ich ginie bez śladu. W danych okolicznościach powrót nawet tych kilku, których zamierzacie odesłać, może zwrócić uwagę. Miejscowa ludność może zauważyć tych wędrowców, przybywających znikąd i pytających na maidenheadzkiej szosie o drogę do domu. Mogliby się zdradzić, gdyby ich zaczęto indagować... Reszty nie możecie odsyłać. Osadźcie ich na wyspie czy czymś w tym rodzaju. Chciałbym was również namówić, żebyście zatrzymali i księdza, tylko że wielu ludzi odczułoby jego nieobecność. Zaczęliby cierpieć na zahamowanie czystości i zachowywać się dziwnie. Ambona u Św. Barnaby zaspokaja wiadome pragnienia. Będzie łatwo wmówić w księdza, że Utopia była tylko snem i urojeniem. Wszyscy księża myślą spontanicznie w ten sposób o wszelkich Utopiach. Będzie o tym myślał, jeżeli w ogóle będzie myślał jako o (jakby to nazwał) moralnej zmurze.

Skończyli konferencję, ale panu Barnstaple'owi nie spieszyło się z odejściem. Spojrzał w oczy Sungolda i wyczytał w nich wyraz dobroci.

— Powiedziałeś mi o wszystkim, co mi pozostaje do zrobienia — rzekł — i czas najwyższy, żebym cię już opuścił, gdyż każda chwilka twego życia jest cenniejsza niż dzień mojego. Ponieważ jednak mam już tak prędko i tak posłusznie opuścić ten wasz wielki, wspaniały świat i powrócić do mego rodzinnego kraju zamętu i rozprzężenia, zdobywam się na to, by cię poprosić, żebyś jeżeli to możliwe, zniżył się do mnie trochę i opowiedział mi prosto i jasno o wielkich czasach i wielkich sprawach, jakie świtają na niebie waszej planety. Mówisz, że niebawem będziecie mogli przenieść się z Utopii na inne ciała niebieskie waszego wszechświata. Myśl ta nie daje mi spokoju.

Prawdopodobnie intelekt mój nie jest w stanie pojąć i przyswoić sobie tego, ale myśl ta ma dla mnie doniosłe znaczenie. W naszym świecie wierzone, że kiedyś życie będzie musiało dobiec kresu, gdyż nasze słońce i planety stygną powoli i nie ma nadziei wyrwania się poza granice małego świata, na którym powstailiśmy. Urodziliśmy się wraz z nim i wraz z nim musimy umrzeć. Ta myśl odebrała wielu z nas nadzieję i energię, bo na cóż mielibyśmy pracować dla postępu w świecie, który musi zmarznąć i umrzeć? Sungold wybuchnął śmiechem.

— Wasi filozofowie zbyt się pospieszyli z ostatecznym wnioskiem.

Pochylił się nad stołem w taki sposób, by być bliżej słuchacza, i spojrzał mu poważnie w twarz.

— Od jak dawna datuje się rozwój waszej ziemskiej wiedzy?

— Od dwustu — trzystu lat.

Uczony podniósł do góry dwa palce.

— A ludzi? Iluście mieli ludzi, pracowników nauki?

— W każdym pokoleniu parę setek godnych go jednostek.

— My uprawiamy naukę już od trzech tysięcy lat i oto miliony dobrych mózgów, niby winne grona zostały wyciśnięte w prasie wiedzy. I dzisiaj dopiero wiemy, jak mało wiemy. W trakcie wykonywania jednego spostrzeżenia pomija się sto innych spostrzeżeń, gdy się przeprowadza pomiary, zawsze wyskakuje jakaś psotna prawda i wymyka się nam na margines omyłki. Wiem coś o tym, w jakiej sytuacji znajdują się wasi uczeni, potężni w oczach biednych dzikusów, bo studiowałem początki naszej własnej nauki w dalekiej przeszłości Utopii. Jakże mam określić przebytą przez nas drogę? Od owych dni zbadaliśmy, wypróbowaliśmy, zgłębiliśmy i przemyśleliśmy dwadzieścia nowych poglądów na kwestię przestrzeni. Nawiasem mówiąc, czas jest tylko szczególną formą przestrzeni. Mamy terminologię, której ci nie możemy zakomunikować, tak, że rzeczy, które nam się wydawały trudne i paradoksalne, które prawdopodobnie i tobie wydają się beznadziejnie trudne i paradoksalne, tracą w naszych umysłach wszelką zawilłość.

Trudno ci to wytłumaczyć. Myślimy kategoriami przestrzeni, której wasze pojęcia o przestrzeni i czasie są tylko jedną z odrębnych postaci. Co się tyczy naszych uczuć, instynktów i przyzwyczajień, to i my również żyjemy takim trybem jak i wy ale nasza wiedza i nasza potęga sięgają dalej. Nasze umysły przerosły nasze życia — tak się to

stanie i z wami. Jesteśmy jeszcze krwią i ciałem, nadzieją i pragnieniem, chodzimy tam i z powrotem, spoglądamy w górę i w dół, lecz rzeczy, które się wydawały dalekie, stały się bliskie, rzeczy niedostępne skłoniły przed nami czoła, rzeczy niedoścignione znalazły się w zasięgu rąk.

— I nie myślisz, że twoja rasa lub moja będzie musiała kiedyś zginąć?

— Zginąć! Dopierośmy zaczęli istnieć!

Stary człowiek mówił niezmiernie poważnym tonem, nieświadomie parodiując Newtona.

— Jesteśmy jak małe dzieci, które przyprowadzono nad brzeg bezkresnego oceanu. Cała wiedza, jaką już zdobyliśmy przez przeciąg niewielu dziesiątków generacji od chwili narodzenia się nauki, jest jak mała garstka kamyków, zebranych na pobrzeżu niezmiernie głębokiego morza. Przed nami leży wiedza, nieskończona, niezgłębiona, i możemy czerpać i czerpać bez końca, a czerpiąc — rosnać. Rośniemy w potęgę, rośniemy w odwagę. Wskrzeszamy naszą młodość. Bo, zapamiętaj sobie moje słowa, nasze światy młodsze. Stare generacje małp i podludzi, które nas poprzedziły, miały zgrzybiałe umysły; ich ciasna, opieszła wiedza była nędznym dorobkiem bezładnie zgromadzonym, zwietrzałym, skwaśniałym dorobkiem niezliczonych istnień. Ludzie ci lękali się nowych rzeczy, tak bardzo cenili sobie z gorzkim trudem zdobyte rzeczy stare. Uczyć się wszakże jest to to samo co stać się w końcu z powrotem młodym, uwolnić się z pęt i zaczynać na nowo. Wasz świat w porównaniu z naszym jest światem niepojętych, zatwardziały dusz, koślawych, gnuśnych tradycji, nienawiści, zniewag i tym podobnych, nie dających się zapomnieć rzeczy. Ale kiedyś i wy staniecie się z powrotem jak małe dzieci i sami odkryjecie wiodącą do nas drogą do nas, którzy będziemy na was czekać. Dwa wszechświaty spotkają się i wezmą w objęcia, by wspólnie dać początek jeszcze większemu wszechświatowi... Ziemianie, nie zaczęliście sobie jeszcze zdawać sprawy z sensu życia. A my, Utopianie, niewiele więcej... Życie jest jeszcze tylko obietnicą, czekającą ciągle, by się narodzić z takich nędznych, pełzających w kurzu istot, jakimi my jesteśmy...

Kiedyś życie, którego ty i ja jesteśmy tylko zwiastującymi atomami i wirami, obudzi się wreszcie, tutaj i wszędzie — jednolite i cudowne jak dziecię budzące się do świadomego życia. Otworzy senne oczy, przeciągnie się i uśmiechnie patrząc w twarz tajemnicy Boga, tak jak my na wschodzące o poranku słońce. I my się wtedy tam znajdziemy, ty i ja, tj. właściwie to z nas, co jest istotne...

I to będzie dopiero początek, tylko początek...

Rozdział czwarty

Powrót Ziemianina

|

Zbyt prędko zaświtał poranek ostatniego dnia pobytu pana Barnstaple'a wśród pięknych wzgórz Utopii, i nadeszła chwila wielkiej próby, jakiej ofiarował się dokonać. Odeszła go ochota do snu, toteż mało spał tej nocy i wstawszy o wczesnym świtaniu, wyruszył na ostatnią wędrówkę w sandałach i lekkiej białej szacie, która stała się jego utopijnym kostiumem. Odtąd znów będzie musiał właczać na siebie dziwaczną „uprząż” w postaci skarpetek, butów, spodni i kołnierzyka. Czuł, że go to będzie po prostu dławić. Wyciągał

więc do nieba obnażone ramiona i wciągał w płuca wielkie hausty wonnego powietrza. Dolina rzeki drzemała jeszcze pod osłoną wełnistej, białej mgły. Zwrócił twarz ku wzgórzom, by jak najprędzej powitać wschodzące słońce. Nigdy przedtem nie wędrował wśród utopijnych kwiatów o tak wczesnej godzinie. Zabawne wrażenie robił na nim widok niektórych wielkich kielichów, pochylanych jeszcze w sennej martwocie, i dużych pąków, pozamykanych i jakby zwiędłych. Również wiele liści poskręcało się w miękkie tutki, podobne do świeżo wylęglých motyli. Pająki przędły pracowicie wiotkie niteczki, a na wszystkim leżała obfita rosa. Z bocznej ścieżki wyłonił się nagle wielki tygrys i popatrzył nań przez chwilę okrągłymi żółtymi oczami. Może starał się przypomnieć sobie zapomniane instynkty swego gatunku. Idąc dalej Barnstaple przeszedł pod czerwoną arkadą i wspiał się po kamiennych schodach, aby szybciej dotrzeć na szczyt wzgórza. Gromada przyjacielskich ptaszków o wesołym upierzeniu fruwała czas jakiś nad jego głową, a nawet jeden usiadł mu zuchwał na ramieniu, kiedy jednał podniósł rękę, by go pogłaskać, spłoszył się i odfrunął. Szedł jeszcze po schodach, kiedy słońce wzeszło. Miał wrażenie, jak gdyby wzgórza odsunęły szarobłękitną zasłonę i obnażyły złociste piękno słońca. Ziemianin stanął na szczycie schodów, cichy i nieruchomy, patrząc, jak poziome promienie przenikają; mroczne głębie doliny i budzą ją do życia. Daleko, daleko ukazała się na morzu linia oślepiającej jasności niby strzała, wycelowana ze wschodu na zachód.

II

— Pogoda — szepnął. — Piękno. Wszystkie dzieła ludzkie — w doskonałej harmonii...

Dusze, przepojone harmonią...

Stosownie do dziennikarskiego przyzwyczajenia próbował różnych określeń. f

— Energiczny spokój... pokonany zamęt... Świat duchów, kryształowo czysty...

Na cóż się zdały słowa?

Przez chwilę stał zasluchany, gdyż z któregoś leżącego wyżej zbocza wzbił się ku niebu skowronek, zawodząc słodkie trele. Chciał wypatrzeć tę małą śpiewającą kruszynę, lecz oślepił go promienisty błękit | nieba.

Niebawem skowronek sfrunął na ziemię i umilkł. Utopia tonęła w milczeniu, tylko gdzieś w dole ze zbocza wzgórza uniosła się srebrzysta kaskada dzieciennego śmiechu.

Panu Barnstaple'owi nasunęło się porównanie między spokojem utopijnej atmosfery i drgającym tysiącami denerwujących odgłosów powietrzem Ziemi. Tutaj nie słyszało się ujadania i wycia zmęczonych lub rozdrażnionych psów, ryczenia, rżenia, beczenia, kwików i stękania niespokojnych, płochliwych zwierząt, hałasów folwarcznych, gniewnych wrzasków, szczekania, kaszlu, walenia młotów, dudnienia, piłowania, mielenia, zawodzenia syren, gwizdków, nawoływań itp. Nie udręczał również uszu łoskot dalekich pociągów, warkot samochodowych motorów i innych źle skonstruowanych mechanizmów. Ustały na zawsze brzydkie, denerwujące odgłosy wielu niemłych stworzeń. W Utopii ucho, tak samo jak i oko, rozkoszowało się harmonią i spokojem. Powietrze, które niegdyś było piekłem rozstrajających nerwy dźwięków, zamieniło się w

niepokalaną ciszę i spokój. Rozbrzmiewające w nim odgłosy kładły się na tej ciszy niby piękny druk na czystym arkuszu wytwornego papieru.

Ostatnie wełniste tumany mgły pierzchły z doliny i oczy dziennikarza skierowały się na leżący w dole krajobraz, gdzie stawy, drogi, mosty, budowle, nasypy, kolumnady, gaje, ogrody, kanały, kaskady i fontanny zarysowały się z ogromną wyrazistością w blaskach słońca. Cały ten obraz oprawiony był w ramy gałęzi o prawie czarnych liściach białopiennego drzewa, wyrastającego ze skalistego podłoża obok pana Barnstaple'a.

„Przed trzema tysiącami lat świat ten był taki sam, jak nasz... pomyśleć tylko — w ciągu stu pokoleń... W ciągu trzech tysięcy lat moglibyśmy uczynić naszą nędzną, zaniedbaną ziemię, zbiorowisko dżungli i pustyń, zwałów żużli i miejskich mrowisk, drugim takim niebem piękności i potęgi...

Światy — podobne, ale nie identyczne... . Gdybym mógł powiedzieć im, com tu widział!...

Przypuśćmy, że wszystkim ludziom danym by było ujrzeć wizję Utopii...

Nie uwierzyliby, gdybym im to powiedział. Nie...

Ryczeliby na mnie jak osły i szczekali jak psy!.....

Nie pragną bowiem żadnego innego świata oprócz swego. Czują się dotknięci, gdy im wspomnieć o innym świecie niż ich własny. Nie można dokonać nic nowego, bo wszystko zostało już dokonane. Inny sposób myślenia jest w ich oczach upokarzający... Śmierć, tortury, czczość, pustka — wszystko, byle nie upokorzenie! Tak, muszą siedzieć wśród swoich chwastów i wydzielin, drapiąc się i kiwając grzecznie do siebie głowami, zezując złośliwie na konflikty, cierpienia i wysiłki, w których nie biorą udziału, przekonani, że ludzkość cuchnęła, cuchnie i zawsze będzie cuchnąć, że gnijące wyziewy są bardzo przyjemne i że pod słońcem nie ma nic nowego...”

Rozmyślenia Ziemianina przerwały dwie (młode dziewczyny, które ścigając się wbiegły po schodach na górę. Jedna była ciemna, prawie czarna, i niosła pełne naręcza błękitnego kwiecia; druga, która ją ścigała, była o jakiś rok młodszą złotą blondynką. Bił od nich nadmiar życia młodych, rozigranych zwierząt. Pierwsza tak była przejęta gonitwą, że zauważyła pana Barnstaple'a dopiero, gdy się znalazła obok niego na szczycie schodów. Pisnęła, zdziwiona, obrzuciła go szybkim, badawczym wzrokiem i, cisnąwszy mu w twarz dwa niebieskie kwiaty gestem łobuzerskiej swawoli, wbiegła na drugie, wyżej położone schody. Za nią pomknęła rozfiglowana towarzyszka. Wpadły na drugie schody niby dwa motyle, śniady i różowy, i zatrzymawszy się wysoko nad Ziemianinem dla odbycia krótkiej narady nad cudzoziemcem, kiwnęły mu rękami i znikły. Pan Barnstaple odkilonił się im, uradowany i przejęty.

III

Miejsce, z którego roztaczał się ten widok i do którego skierowała Barnstaple'a Lychnis, znajdowało się na wyżynnej krawędzi, oddzielającej wielką dolinę, w której spędził ostatnie dni pobytu na Utopii, od dzikiego, stromego wąwozu, szumiącego wodami potoku, który po kilkuset milach krętego biegu wpadał do rzeki płynącej przez równinę. Ścisłe biorąc, była to platforma, zbudowana na szczycie skały i ujęta w wielkie klamry w ten sposób, że zwieszała się nieomal nad zakrętem huczącego w dole potoku. Patrząc z

tego punktu, z jednej strony widziało się górzysty krajobraz, przetkany w zagłębieniach bujną, malowniczą pianą zielonej roślinności, z drugiej — szerokie, podobne do ogrodów połacie uprawnej ziemi. Przez czas jakiś pan Barnstaple rozglądał się po nie znanym sobie dotąd wąwozie. Jakieś pięćset stóp pod jego nogami szybował drop w taki sposób, iż zdawało mu się, iż gdyby chciał, mógłby upuścić kamyk na jego szeroko rozpostarte skrzydła.

Wiele z rosnących w dole drzew robiło wrażenie drzew owocowych, odległość wszakże nie pozwalała stwierdzić tego z całą pewnością. Gdzieś w dołku wzrok patrzącego rozróżniał wijącą się wśród drzew i skał ścieżkę dla pieszych, a wśród gąszczy zieleni — małe pawiloniki, w których, jak mu było wiadome, mógł odpocząć wędrowiec i nie tylko odpocząć, ale zrobić sobie herbaty i posilić się na miejscu sucharkami i drobnymi rzeczami, a może znaleźć poślanie i książkę. Pan Barnstaple wiedział, że cały ten świat ten był takich letnich pawilonów i przytulnych schronisk...

Po pewnym czasie przeszedł z powrotem na tę stronę, od której wszedł, i objął wzrokiem wielką ciągnącą się ku morzu dolinę. Po mózgu przewijały mu się słowa: „o, Pisgah*!” , gdyż pod jego stopami rozciągała się Ziemia Obiecana ludzkiej tęsknoty. Tutaj | władaly, pewne i ustabilizowane, pokój i moc, królowało zdrowie, błogosławiona pracowitość, długowieczność i piękno. Tu znaleziono wszystko, czego szuka udręczona ludzkość, ziściły się wszelkie sny i marzenia.

Ile jeszcze czasu upłynie — ile stuleci czy tysięcy lat — nim człowiek będzie mógł stanąć na jakimś wyniosłym ziemskim cyplu i tak, jak on teraz, ujrzeć ziemską ludzkość, triumfującą i oddychającą na zawsze ustalonym pokojem?...

Oparł złożone ręce o parapet i zadumał się głęboko.

Utopia nie posiadała żadnej wiedzy, której zarodki nie znajdowałyby się na Ziemi, ani rodzaju energii niedostępnej dla Ziemi. Była właściwie tym, czym mogłaby być Ziemia, gdyby tylko pozwoliły na to: ignorancja, ciemnota, złość i zawiść...

Ku takiemu światu jak Utopia wydierał się bezsilnie A pan Barnstaple przez całe swoje życie. Jeżeli czekający go eksperyment uda się szczęśliwie, jeżeli niebawem znajdzie się znów na Ziemi, żywy i cały, to dalszy ciąg i jego życia będzie tęsknotą i pożądaniem Utopii. I nie będzie w tych swoich dążeniach osamotniony. Na Ziemi muszą się znajdować tysiące, dziesiątki tysięcy, może setki tysięcy ludzi, którzy tak jak i on myślą i czynem szukają wyzwolenia dla siebie i swoich dzieci z bezładu i błota wieku zamętu; setki tysięcy tych, którzy pragną położyć kres wojnom i zniszczeniu, zagoić wszelkie rany, wyleczyć, nauczyć i wznieść sztandar Utopii wysoko ponad konflikty i obłudę, trawiące ludzkość.

— Tak, ale nam się to nie udaje — powiedział dziennikarz, przemierzając gniewnie platformę. — Dziesiątkom i setkom tysięcy mężczyzn i kobiet! Jakże mało dokonujemy! Może każdy młodzieniec i każda dziewczyna raz przynajmniej śnił o służbie dla dobra świata i uczynienia życia piękniejszym i lepszym. Ale jesteśmy rozproszeni i słabi, i triumfują nad nami stare tradycje, stęchlizna, głupie zwyczaje, ułudy, nawyki, tolerowane zdrady i nikczemne życiowe konieczności!

Podszedł znów do parapetu i postawiwszy nogę na ławce oraz oparłszy łokieć o kolano, a brodę o rękę, zapatrzył się w przedziwne piękno tego świata, który miał niebawem opuścić...

— Moglibyśmy tego dokonać.

I nagle zaświtało mu w myślach, że on przecież należał już teraz duszą i ciałem do rewolucji, wielkiej rewolucji, rodzącej się na Ziemi; rewolucji, która maszeruje i nie spocznie nigdy ani na chwilę, aż cała Ziemia nie stanie się jednym grodem i nie zakręluje w nim Utopia. Widział jasno, że ta rewolucja jest życiem i że wszelki inny sposób życia jest kupczeniem życiem ze śmiercią. I kiedy się to skryształizowało w jego umyśle, poznał, że niebawem skryształizuje się w mózgach niezliczonych setek tysięcy mężczyzn i kobiet na Ziemi, których tęsknota wrywa się ku Utopii.

Wstał znów i zaczął krążyć po platformie.

— Dokonamy tego — powtórzył.

Ziemska myśl zaledwie się ocknęła i zaczynała obejmować zadania i możliwości ludzkości. Ludzkie dzieje aż dotąd były jedynie nieświadomymi poruszeniami uspiętej istoty, wzbierającym niezadowoleniem, buntem przeciwko nakładanym życiu pętom, nieinteligentnym protestem zdławionej imaginacji. Wszystkie konflikty, powstania i rewolucje, jakie kiedykolwiek szalały na Ziemi, były ni mniej, ni więcej tylko niejasnym preludium do mającej nadejść rewolucji. W chwili wyruszania na te fantastyczne wakacje wypoczynkowe pan Barnstaple znajdował się w nastroju wielkiej depresji; ziemskie sprawy wydawały mu się splątane i beznadziejne. Teraz wszakże z punktu widzenia zniszczonej Utopii, która przywróciła mu podminowane zdrowie, zorientował się wyraźnie, jak uporczywie ziemscy ludzie torują sobie drogę klęska po klęsce ku wstępnej fazie końcowej rewolucji. Był wszakże świadkiem tego w ciągu swego własnego życia, ludzie wyplątywali się z takich powikłań jak kłamstwo monarchizmu oraz kłamstwa dogmatycznej religii i moralności, dążąc do poczucia osobistej godności i czystości umysłu i ciała. Teraz walczyli również o ideał międzynarodowego miłosierdzia i wyzwolenia powszechnego życia ekonomicznego z więzów obłudy, nieuczciwości i oszustwa. Wszelkie walki charakteryzuje bezład i zamęt, odwroty i klęski, ogólny wszakże efekt oglądany ze spokojnych wyżyn Utopii sprawiał wrażenie nieodpartego posuwania się naprzód, naprzód, naprzód... Teraz z tej utopijnej wyniosłości ujrzał jasno, że feniks rewolucji po to się tylko spopiela, by się na nowo narodzić. Kiedy na szyję mistrza zarzucają pętlicę, młodzież czyta jego nauki. Rewolucje wybuchają i gasną, lecz wielka rewolucja zbliża się ciągle, nieuniknienie, nieodparcie...

Bliski już czas — i on będzie mógł się przyczynić do przyspieszenia jego przyjścia wysiłkami pozostających mu jeszcze lat życia — kiedy moce tej ostatniej, prawdziwej rewolucji przestaną huczeć w mrokach i wynurzą się na światło jutrzeńki, a wszelkiego typu ludzie, tysiące ludzi, dotąd rozproszonych i nie zorganizowanych, i wzajemnie sobie wrogich, zostanie ku sobie pociągniętych rozjaśniającą się wciąż wizją upragnionego świata.

Ziemia pójdzie szlakiem, wytkniętym przez Utopię. I ona również splecie prawo, obowiązek i wychowanie powszechne w potężniejsze i zdrowsze życie, niż się nam to kiedy marzyło. Ludzie będą się niebawem śmiać i rzeczy, które ich przerażały, i odsuną

od siebie fałszywe, napelniające ich trwożną czcią konwencjonalizmy i nedorzecznosci, które zatruwały i zubożały ich życia. A kiedy ta wielka rewolucja wypełni się i ziemia wyłoni się na światło dzienne, ciężar niedoli opadnie z ludzkich bark, a odwaga wypłoszy z serc wszelkie smutki i żale. Ziemia, która teraz jest tylko pustynia, czasami straszliwą, w najlepszym razie malowniczą, pustynią, na której nędzarze uwijają się niemrawo, goniąc za pożywieniem, pustynią, usianą chatami, brudnymi miastami i górami żużlu, ta Ziemia oblecze się w bogate szaty piękna i uroku tak jak wielka, cudna kraina Utopii. I synowie Ziemi, oczyszczeni z chorób, dobrotliwi, silni i piękni, dumnymi stopy przemierzać będą, jak Utopianie, podbitą planetę, podnosząc śmiało oczy ku dalekim gwiazdom.

— Oby tylko była wola — westchnął pan Barnstaple. — Oby tylko starczyło woli...

IV

Z jakiegoś odległego miejsca doleciał dźwięk srebrzystego dzwoneczka, wydzwaniającego godzinę.

Chwila ofiary, na jaką sam siebie przeznaczył, zbliżała się nieodparcie. Musi zejść stąd i udać się na miejsce, gdzie eksperyment miał się dokonać.

Rzucił ostatnie spojrzenie na wąwóz, a potem przeniósł je na szeroką perspektywę wielkiej doliny z jej jeziorami, basenami, tarasami, gajami, pawilonami, robotami budowlanymi, wysokimi wiaduktami, szerokimi zboczami zalanej słońcem uprawnej ziemi, na cały powabny krajobraz.

— Żegnaj, Utopio — zawołał i stwierdził ze zdziwieniem, iż ogarnia go głębokie wzruszenie.

— Ukochane marzenie o nadziei i pięknie, żegnaj! Stał nieruchomo, zdjęty zbyt wielkim smutkiem, by zalać się łzami.

Zdawało mu się, iż duch Utopii pochylił się nad nim niby bogini, przyjazna, przecudna — i niedościgła. Nawet myśli jego stężały jak urzeczone.

— Nigdy — wyszeptał wreszcie — dla mnie... Tylko służba dla niej... Nie...

Zaczął schodzić po schodach wijących się krętą linią od platformy ku dołowi. Początkowo nie zwracał prawie uwagi na otaczające go bezpośrednio przedmioty. Potem wszakże uderzył go zapach róż i rozejrzawszy się zauważył, że idzie spadzistą drogą, obrośniętą krzewami róż o wielkich białych kwiatach, nad którymi unosiły się bardzo ruchliwe zielone ptaszki. Zatrzymał się i utonął wzrokiem w przesyconych światłem liściach drzew, rysujących się na tle nieba niby koronka. Wyciągnął ręce i ujawszy w nie jeden ogromny kwiat przytulił go do twarzy.

V

Został przewieziony aeroplanem na to samo miejsce szklistej drogi, na którym po raz pierwszy znalazł się w Utopii. Towarzyszyli mu Lychnis i Kryształ, który ciekaw był eksperymentu.

Czekała na nich grupa ludzi, złożona z dwudziestu czy trzydziestu osób wraz z Sungoldem. Zrujnowane laboratorium Ardena i Greenlake zastąpiono świeżymi budynkami, a z drugiej strony drogi dodano jeszcze jakieś budynki. Pan Barnstaple

poznał jednak od razu miejsce, gdzie pan Catskill spotkał się z lampartem i gdzie on, Barnstaple, skonfrontował się z panem Burleighem. Kwitło tu teraz kilka gatunków nowych kwiatów, ale błękitne pączki, które go tak od razu oczarowały, przeważały w dalszym ciągu. Stary samochód, Żółte Niebezpieczeństwo, wyglądający teraz jak niezgrabny staroświecki grat, stał na środku drogi. Podszedł, by go obejrzeć. Zdawał się być w doskonałym stanie — starannie naoliwiony, z rezerwuarem pełnym benzyny. W małym pawilonie znalazł swą torbę podróżną i wszystkie ziemskie ubrania. Były one bardzo czyste, wyprasowane i złożone. Zaczął się ubierać. Koszula wydała mu się nieco ciasna w piersiach, a kołnierzyk zdecydowanie uwierał. Kurtka również cisnęła go pod pachami. Może ubranie skurczyło się w czasie dezynfekcji. Zabrał torbę, a Kryształ włożył ją do samochodu.

Sungold wyjaśnił w prostych słowach, co mu pozostaje do zrobienia. W poprzek drogi, tuż przy odbudowanym laboratorium, przeciągnięta była nitka, cienka jak pajęczyna. — Nakieruj na nią samochód, żeby się zerwała — rzekł. — To jest wszystko, co musisz zrobić. Potem weź ten czerwony kwiat i połóż go dokładnie w tym miejscu, gdzie ślady kół pokażą, którędy wjechałeś do swojego świata.

Pan Barnstaple został sam przy samochodzie. Utopianie cofnęli się o jakie dwadzieścia, trzydzieści jardów i ustawili kołem. Przez parę momentów panowało J powszechne milczenie.

VI

Wsiadł wreszcie do auta, puścił w ruch motor i pozwolił mu warczeć przez minutę. Potem nacisnął pedał i żółty samochód pomknął w kierunku pajęczej nici. Zrobił jedną ręką gest, na który odpowiedziała Lychnis. Sungold i inni Utopianie kiwnęli mu przyjacielsko głowami. Kryształ wszakże był zbyt pochłonięty patrzeniem, żeby się zdobyć na najlżejsze poruszenie.

— Do widzenia, Kryształ! — krzyknął pan Barnstaple.

Chłopiec zareagował gwałtownym drgnięciem.

Ziemiańcin przyśpieszył biegu, zacisnął zęby i, pomimo że postanowił mieć oczy otwarte, nie wytrzymał i w chwili gdy maszyna dotykała pajęczej nici, zamknął je raptownie.

Doznał jak za pierwszym razem uczucia nieznośnego napięcia i w uszach zabrzmiał mu odgłos, podobny do pęknięcia cięciwy łuku. Doznał nieodpartego impulsu, żeby się zatrzymać i wrócić. Zdjął nogę z akceleratora, poczuł, że samochód spadł jakby o stopę niżej i stanął tak gwałtownie i niespodziewanie, że on sam kiwnął się mocno ku przodowi i uderzył piersią o kierownicę. Dziwny ucisk ustał. Dziennikarz otworzył oczy i rozejrzył się dokoła.

Maszyna stała na polu, z którego świeżo zebrano siano, przechylona trochę na bok z powodu nierówności gruntu. Żywopłót, w którym znajdowała się otwarta czarna bramka, oddzielał pole od szosy. W pobliżu widniała na słupie reklama jakiegoś maidenheadzkiego hotelu. Po drugiej stronie drogi rozciągały się równe łąny, zamknięte na horyzoncie niskimi, zalesionymi wzgórzami. Trochę dalej na lewo widniała mała oberża. Odwrócił głowę i ujrzał zamek Windsor, królujący w mglistej oddali ponad łąkami upstrzonymi przez topole. Tak, jak mu obiecał Utopianin, nie był to dokładnie ten sam

punkt, z którego opuścił ziemię, ale w każdym razie znajdował się od niego w odległości mniejszej niż sto jardów.

Przez chwil kilka siedział bez ruchu, powtarzając sobie w myśli, co ma jeszcze dokonać. Potem puścił z powrotem w ruch Żółte Niebezpieczeństwo i podjechał blisko do czarnej bramki.

Wysiadł i stanął na ziemi z czerwonym kwiatem w ręce. Musiał wrócić dokładnie w to samo miejsce, na którym wyłonił się z powrotem przed chwilą na ziemski wszechświat, i położyć tam kwiat. Łatwo je będzie odkryć dzięki odciskowi kół na skoszonej łące. Ale mu się strasznie nie chciało zastosować do instrukcji Sungolda. Pragnął zatrzymać kwiat dla siebie. Była to ostatnia rzecz, jedyna rzecz, jaka łączyła go jeszcze materialnie z tamtym złotym światem. Kwiat i słodki zapach, jaki przylgnął mu do dłoni.

Nadzwyczajne doprawdy, że nie wziął z sobą jeszcze czegoś innego na pamiątkę.

Dlaczego nie zabrał pęku kwiatów? Dlaczego mu nic nie dali, żadnej drobnostki z całego ich bogactwa i piękna? Pragnął z całej duszy zatrzymać ten kwiat dla siebie. Miał ochotę zastąpić go gałązką wiciokrzewu z żywopłotu, ale potem przypomniał sobie, że przyniosłaby im przecież zarazę. Musi zrobić to, co mu nakazano. Poszedł po śladach kół aż do miejsca, na którym wylądował, stał przez chwilę niezdecydowany, po czym, oderwawszy od płomiennej kiści jeden płatek, złożył ją ostrożnie w samym środku koleiny. Płatek schował do kieszeni. Potem z ciężkim sercem odszedł z wolna do swego samochodu i stanął obok niego z wzrokiem utkwionym w tę gwiazdę prawie świetlistej czerwieni.

Był głęboko wzruszony i zasmucony. Wzbierał w nim gorzki żal, że opuścił Utopię.

Wielka susza trwała widać w dalszym ciągu, gdyż pola i żywopłoty były bardziej spieczone i zbrunatniałe niż kiedykolwiek przedtem w Anglii za jego pamięci. Wzdłuż drogi wisiała wąska chmura kurzawy, wzbijanej przez przejeżdżające samochody. Ten stary świat wydawał mu się pełen wstrętnych widoków, dźwięków i zapachów, na pół już zapomnianych. Warczały dalekie samochody, turkotały pociągi, ryczała żałośnie spragniona krowa. Kurz i zapach płynnej smoły drażnił niemile nozdrza. W pobliskim żywopłocie i przez wierzch czarnej bramki przechodził drut kolczasty, a na ziemi u nóg pana Barnstaple'a leżała kupka końskiego nawozu i brudne kawałki papieru. Cudny świat, z którego został wygnany, skurczył się do rozmiarów plamki gorejącego szkarłatu. Nagle stało się coś, coś błyskawicznego... Zdawało się, że jakaś ręka mignęła przez chwilę, porwała kwiat i znikła. Podniósł się wir kurzawy, wzbił się wysoko i opadł... Skończyło się.

Przypomniawszy sobie o ruchu na szosie pan Barnstaple pochylił się w taki sposób, by móc ukryć twarz przed przechodniami. Przez kilka minut nie był w stanie opanować się. Stał z twarzą zasłoniętą ramieniem, oparty o brunatną budę samochodu.

W końcu wszakże minął paroksyzm cierpienia. Wsiadł więc do auta, puścił w ruch motor i zjechał na szosę.

Na chybił trafił skierował się ku wschodowi pozostawiając za sobą otwartą czarną bramę. Jechał bardzo powoli, gdyż nie powziął jeszcze żadnego postanowienia co do miejsca, do którego miał się teraz udać. Zaczął myśleć, że prawdopodobnie na tym starym świecie poszukiwano go jako człowieka, który przepadł w tajemniczy sposób.

Ktoś mógłby go poznać i wtedy stałby się przedmiotem ogólnej sensacji i musiałby odpowiadać na setki nedorzecznych pytań. Byłoby to bardzo denerwujące i nieprzyjemne. W Utopii nie myślał o tym. Tam wydawało mu się rzeczą zupełnie możliwą, że będzie mógł powrócić na Ziemię niepostrzeżenie. Teraz na Ziemi wydało mu się to nonsensem. Ujrzał przed sobą szyld skromnej herbaciarni. Przyszło mu do głowy, że mógłby się przed nią zatrzymać, wstąpić na chwilę, przerzucić dzienniki, zadać parę dyskretnych pytań i dowiedzieć się, co się w międzyczasie wydarzyło na świecie i czy jego zniknięcie rzeczywiście zauważono.

Znalazł pod oknem stół nakryty już do herbaty. W środku pokoju stał drugi większy, z ogromną zieloną doniczką aspidistry i pismami, przeważnie ilustrowanymi i przeważnie już nieaktualnymi. Między innymi wszakże znajdował się jeden egzemplarz porannego „Daily Expressu”.

Porwał go skwapliwie, przejęty obawą, że znajdzie w nim obszernie artykuły o tajemniczym zniknięciu pana Burleigha, lorda Barralongi, pana Ruperta Catskilla, pana Hunkera, ojca Amertona i lady Stelli, nie mówiąc już o mniejszych rybkach... Stopniowo jednak w miarę, jak przebiegał oczami kolumny druku, obawy jego rozproszyły się. Nie było ani słowa wzmianki o żadnej z tych osób! — Ale przecież z pewnością — zaoponował samemu sobie, obstając teraz przy swojej myśli — przyjaciele musieli zauważyć ich nieobecność!

Przeczytał od deski do deski całe pismo. Znalazł tylko wzmiankę o jednym ze swych towarzyszy utopijnej przygody, i to o ostatnim, jakiego się spodziewał, mianowicie o panu Freddy Mushu. Nagroda księżnej de Modena–Frascati (z domu Higgisbotton) za angielskie dzieło literackie nie została przyznana przez pana Graceful Glossa nikomu w szczególności, a to skutkiem „nieuniknionej nieobecności pana Freddy Musha, bawiącego za granicą”.

Zagadka braku zaniepokojenia czy wzburzenia z powodu zniknięcia pozostałych otwierała obszernie pole nieograniczonym domysłom pana Barnstaple’a, w których pograżył się na pewną chwilę. Potem myśl jego uleciała z powrotem do jasnoczerwonego kwiatu, leżącego wśród przyciętych łądźek trawy na skoszonej łące, i do ręki, która go, jak się zdaje, porwała. Wraz z tym incydentem drzwi, które się w tak cudowny sposób odemknęły z naszego własnego świata na tamten, taki dziwny i piękny, zatrzasnęły się z powrotem.

Dziennikarz poczuł się we władaniu oszałamiającego zdziwienia. Ten drogi świat uczciwości i zdrowia leżał oto za ostatecznymi granicami naszej przestrzeni, na wieki dlań odtąd niedostępny. A jednak powiedziano mu, iż był to tylko jeden z niezliczonych wszechświatów, poruszających się razem w czasie w nieskończoność i leżących równolegle, jeden przy drugim, niby kartki książki. A wszystkie one są prawie niczym w nieprzeliczonej mnogości otaczających je systematów i wymiarów.

— Gdybym tylko mógł za pomocą rotacji wyrzucić ramię poza zakreślone mu granice — rzekł raz do niego jeden z Utopian — to mógłbym przeszyć nim tysiąc wszechświatów... Kelnerka z imbrykiem wyrwała go z osłupienia i skierowała jego uwagę na ziemskie sprawy.

Podany posiłek wydał mu się niesmaczny i brudny. Wypił dziwny napar herbaty, gdyż był spragniony, ale nic prawie nie przełknął.

W pewnej chwili, wsadziwszy przypadkiem rękę do kieszeni, poczuł coś delikatnego i miękkiego. Był to płatek, wyrwany z czerwonego kwiatu. Stracił już swą płomienną barwę i kiedy dziennikarz wyciągnął go na duszne powietrze pokoiku, skurczył się, zwinął i szerniał, a delikatny zapach ustąpił miejsca mdłej woni.

— Ach — rzekł. — Powinienem się być tego spodziewać.

Upuścił zwiędły okruszek na swój talerz, ale potem znów wziął go do ręki i wepchnął w ziemię 'doniczki z aspidistrą.

Raz jeszcze powrócił do „Daily Expressu” i jął go przerzucać, starając się obudzić w sobie stępione poczucie ziemskiej rzeczywistości.

VII

Długo, długo dumał pan Barnstaple nad „Daily Expressem” w herbaciarni w Colnebrook. Myśl jego uleciała w bezkresy, tak że nie zauważył nawet, jak gazeta ześliznęła mu się z kolan i upadła na podłogę. Podniósł się z westchnieniem i zawołał o rachunek. Przy płaceniu zauważył, że portfel jego wypełniony był banknotami tak jak przy wyjeździe z domu. „To najtańsze wakacje, jakie kiedykolwiek miałem — pomyślał — Nie wydałem na nie ani grosza.” Poinformował się o urząd pocztowy w celu wysłania depeszy.

W dwie godziny później zatrzymał się przed bramą swej małej willi w Sydenham.

Otworzył ją — kawałek kija, którym to zazwyczaj robił, znajdował się na zwykłym miejscu — i z wielką wprawą skierował Żółte Niebezpieczeństwo obok okrągłego klombu kwiatów przed drzwiczki szopy. Na ganku ukazała się pani Barnstaple.

— Alfred! No, wreszcie jesteś!

— Tak, powróciłem. Dostałaś moją depeszę?

— Przed dziesięciu minutami. Gdzieżeś ty się zawieruszył? Już miesiąc, jak nas opuściłeś, więcej niż miesiąc.

— Och! Wędrowałem sobie po prostu, gdzie mnie oczy poniosły, i marzyłem. Wspaniale się bawiłem.

— Powinieneś być do nas pisać. Doprawdy powinieneś być pisywać... Ach, Alfredzie...

— Nie chciałem zadawać sobie tego trudu. Powiedziałem ci przecież, że mi doktor zakazał. Czy będę się mógł napić herbaty? Gdzie są chłopcy?

— Wyszli. Zaraz ci przygotuję świeżą herbatę. Załatwiwszy się z herbatą, powróciła i usiadła w trzcinowym fotelu naprzeciwko męża i stolika z jedzeniem.

— Cieszę się, żeś powrócił, chociaż mogłabym ci robić wymówki... Wyglądasz wspaniale

— ciągnęła dalej. — Nigdy nie miałaś takiej zdrowej, opalonej cery.

— Cały czas przebywałem na świeżym wspaniałym powietrzu.

— Czy dojechałeś do jezior?

— Niezupełnie, ale wszędzie miałem dobre, zdrowe powietrze.

— Nie zablądziłeś ani razu?

— Ani razu.

— Obawiałam się, żeś może zablądził lub stracił pamięć. Zdarzają się takie rzeczy. Nie doznałeś tego przypadkiem?

— Mam pamięć przejrzystą jak brylant.

— Ale gdzieś ty właściwie był?

— Po prostu jeździłem sobie i marzyłem. Marzyłem na jawie. Często nie pytałem nawet o nazwę miejsca, w którym się zatrzymałem. Przebywałem to tu, to tam. Nigdy nie informowałem się, jak się te miejscowości nazywają. Pozostawiałem umysł w stanie zupełnej bierności. Najzupełniejszej. Wypocząłem cudownie od wszystkiego. Od chwili, gdy m stąd wyruszył, prawie że nie myślałem ani o polityce, ani o pieniądzach, ani o kwestiach społecznych, tj. przynajmniej o tym, ca m y nazywamy kwestiami społecznymi, ani o żadnych utrapieniach... Czy to „Liberał” z tego tygodnia?

Wziął numer, obejrzał i w końcu cisnął na sofę.

— Biedny, stary Peeve — zauważył. — Naturalnie, muszę to pismo porzucić. Robi na mnie wrażenie tapety przyklejonej do wilgotnej ściany. Wydyma się, szeleści i odstaje... Brr! Jeszcze bym dostał umysłowego reumatyzmu.

Pani Barnstaple popatrzyła nań z powątpiewaniem.

— A ja zawsze sądziłam, że „Liberał” to taka bezpieczna praca.

— Teraz nie chcę już bezpiecznej pracy. Mogę się przydać na coś lepszego. Czeka mnie inne zadanie... Nie trap się tylko. Po tym wypoczynku dam sobie radę... Jak się miewają chłopcy?

— Trochę mnie martwi Franuś.

Pan Barnstaple wziął do ręki „Timesa”. W kolumnie ogłoszeń o zaginionych uderzyły go następujące słowa:

„Cecylu, nieobecność twoja zwraca uwagę. Chciałabym wiedzieć, co mam mówić ludziom. Napisz obszernie. Szkocki adres. Di. choruje z niepokojem. Zastosujemy się do wszystkich twoich poleceń.”

— Co mówiłaś, kochanie? — zapytał odkładając gazetę.

— Mówiłam, że jemu nie bardzo się uśmiecha posada. Nie podoba mu się tam.

Chciałabym, żebyś z nim pomówił. Martwi się, że tak mało umie. Mówi, że chciałby studiować na politechnice.

— Ależ doskonale. Rozumny chłopiec! Nie posądzałem go o to. Miałem z nim i tak zamiar pomówić, więc mi to bardzo na rękę. Dobrze. Będzie się uczył.

— Tylko, że... musi pracować na życie.

— I to się zrobi. Jeżeli się chce kształcić, to stanie się podług jego woli.

Pan Barnstaple mówił tonem spokojnym, mocnym, pewnym siebie, zupełnie nowym dla jego małżonki. Jeszcze więcej zdziwił ją fakt, iż zdawało się, że posługiwał się nim zupełnie bezwiednie.

Ugryzł kawałek chleba z masłem z taką miną, jakby go coś zdziwiło, i to w nieprzyjemny sposób. Spojrzał z powątpiewaniem na trzymaną w ręku kromkę.

— Naturalnie — rzekł. — Londyńskie trzydniowe nieświeże masło. Zabawne, jak się człowiekowi smak prędko zmienia.

Podniósł znów „Timesa” i przebiegł wzrokiem jego szpalty.

— Świat jest doprawdy dziecinny — zauważył. — Strasznie dziecinny. Zapomniałem o tym. Imaginacyjne spiski bolszewickie. Proklamacje Sinn Feinu. Następca Tronu. Polska. Jawne kłamstwa o Chińczykach. Jawne kłamstwa o Egipcie. Nabieranie Wickhama

Steeda. Obludny artykuł o niedzieli Św. Trójcy... Morderstwo Hitchina... Hm! — brzydka sprawa... Obraz, Rembrandt... Ubezpieczenie... List oburzonego para w sprawie podatku spadkowego... Jałowe sporty. Wiosłowanie, tenis, szkolny krykiet. Upadek Harrow! Tak, jakby te rzeczy miały w ogóle znaczenie!... Jakie to głupie — jakie to wszystko głupie! To zupełnie to samo, jakby się usłyszało z powrotem klótnie służby i szczebiot dzieci.

Zauważył, że żona uważnie mu się przypatruje.

— Nie miałem w ręku gazety od chwili, gdy wyruszyłem w drogę, aż do dzisiejszego rana — objaśnił.

Położył gazetę i wstał. Przez kilka ostatnich minut pani Barnstaple miała wątpliwości, czy nie uległa czasem absurdalnej halucynacji. Teraz uświadomiła sobie, że spotkała się z najbardziej zdumiewającym faktem, jaki kiedykolwiek w życiu zaobserwowała.

— Tak — zawołała. — Nie myślę się. Nie ruszaj się, Alfredzie! Stój tak jak teraz! Wiem, że to, co powiem, wyda ci się śmieszne, aleś ty naprawdę urosł. To nie to, że się już nie garbisz tak jak zwykle. Urosłeś — naprawdę urosłeś, och! — o jakie dwa lub trzy cale. Pan Barnstaple popatrzył na nią przeciągle, po czym, wyciągnąwszy ramię, stwierdził, że rzeczywiście rękawy stały się nieco za krótkie. Popatrzył na nogi dla przekonania się, czy wyrósł tak samo ze spodni.

Żona podeszła do niego prawie z uszanowaniem. Stała obok niego i zmierzyła się ramionami.

— Twoje ramiona były zawsze dokładnie równe z moimi — rzekła. — Patrz, jak jest teraz!

Spojrzała mu w oczy, jakby radując się niezmiernie, że go ma z powrotem.

Ale dziennikarz pozostał zadumany.

— To pewnie skutek tamtego cudownie świeżego powietrza. Oddychałem wspaniałym powietrzem... Wspaniałym!... Ale w moim wieku urosnąć?!... A przecież czuję się tak, jakbym urosł od zewnątrz i od środka, duszą i ciałem...

Pani Barnstaple zabrała się niebawem do sprzątania ze stolika przyborów herbacianych.

— Unikałeś pewnie wielkich miast?

— Właśnie.

— I wędrowałeś wyłącznie po wiejskich drogach i drózkach?

— Tak jest... Cała tamta kraina była dla mnie nowa... piękna... Zdumiewająca...

Żona nie spuszczała z niego oczu.

— Musisz mnie tam kiedy zawieźć — rzekła wreszcie. — Widzę, że ta wycieczka zrobiła ci strasznie dużo dobrego.

Koniec

Od redakcji

Herbert George Wells urodził się w Bromley w hrabstwie Kent w r. 1866 w drobnomieszczańskim środowisku. Ojciec jego handlował szkłem i porcelaną, a młody Herbert Wells został oddany na praktykę do sklepu bławatnego. Młody człowiek czyta dużo; w r. 1883 uczy się w Normal School of Science w South Kensington i wstępuje na uniwersytet londyński, gdzie studiuje biologię u Thomasa Huxleya. Później pracuje jako

nauczyciel w prywatnych szkołach i zaczyna pisać. Wczesne powieści Wellsa pełne są zachwyty nad wiekiem maszyn i wiary w postęp naukowy, przy czym nie docenia on znaczenia sztuki. Nie ma zrozumienia dla tego, co nie da się zbadać metodami ściśle naukowymi, przy zastosowaniu mechaniki i wiedzy biologicznej, nie ma także zrozumienia dla wartości przekazanych nam przez historię, obdarzony jest natomiast żywą i bogatą wyobraźnią, która z zamięłowaniem oddaje się tworzeniu utopii. Wczesne fantazje naukowe Wellsa, jak np. *Wehikuł czasu* (jego pierwsza powieść opublikowana w r. 1895), *Skradziony bakcyl* (1895), *Wyspa doktora Moreau* (1896), *Niewidzialny człowiek* (1897) są, mimo że autor ich uważał względy artystyczne za sprawę drugorzędą, napisane pięknym językiem; cechuje je przejrzystość kompozycji i oszczędność środków artystycznych, która stawia te utwory zdecydowanie wyżej niż książki jego literackiego poprzednika Jules Verne'a.

W *Wojnie światów* (1898) najazd Marsjan na Ziemię przedstawiony jest w sposób niezwykle przekonujący dzięki drobnym realistycznym szczegółom zastosowanym przez Wellsa.

Może najwyżej pod względem artystycznym stoją powieści Wellsa z życia angielskiej klasy średniej, jak: *Miłość i pan Lewisham* (1900), *Kipps* (1905), jedna z najlepszych powieści Wellsa, o podłożu biograficznym, i *Historia pana Polly* (1910). Dalsze powieści utopijne Wellsa to: *Gdy śpiący się budzi* (1899), *W dniach komety* (1906), *Ludzie jak bogowie* (1923), *Sen* (1924). W powieściach *Anna Weronika* (1909), *Ojciec Krystyny Alberty* (1925) porusza Wells sprawą nierówności stosunków między mężczyzną i kobietą i wysuwa utopijne projekty nowego układu między jedną i drugą płcią.

Wellsa interesowały zawsze bardziej idee niż indywidualne jednostki ludzkie, mimo iż jego opisy zwykłych ludzi nacechowane są współczuciem i dobrodusznym humorem. W późniejszych jego utworach wyraźnie zaznacza się tendencja pisarza do pisania „powieści z tezą”. Jest to widoczne w powieści *Tono-Bungay*, demaskującej podstępne i niezbyt zgodne z prawem praktyki businessmenów (1909), i w *Nowym Macchiavellim* (1911), opisującym świat polityków, wreszcie w *Świecie Williama Clissolda* (1926), gdzie doświadczenia i przejścia bohatera przeplatane są olbrzymimi rozprawami na różne tematy interesujące autora. Ten typ powieści zbliża ją do traktatów Wellsa: *Praca, dobrobyt i szczęście ludzkości* (1931) i *Kształt rzeczy przyszłych* (1933). Wells pokusił się także o napisanie historii ludzkości. Odrzucił nacjonalistyczne ujmowanie dziejów na rzecz szerokiego ogólnoswiatowego spojrzenia i przedstawiając historię w terminach spekulacji ewolucyjnej napisał *Historię świata* (1920). Wells pozostawił przeszło osiemdziesiąt powieści. Wiele z nich w miarę upływu czasu straciło znacznie na aktualności. Autor ich zawsze szedł wraz z postępem czasu zostawiając za sobą swe dawniejsze dzieła. Twórczość jego, jeśli chodzi o rzemiosło pisarskie i pod względem artystycznym nie przedstawia nic szczególnie interesującego, natomiast ciekawa jest dla przyszłego historyka jako olbrzymi materiał ilustrujący problemy społeczne, ekonomiczne, polityczne, religijne i moralne nurtujące świat w pierwszych czterdziestu latach naszego stulecia.

Herbert George Wells zmarł w Londynie w 1946 r.

1* miejscem geometrycznym (łac.)

- * tu: wstrząsu (fr.)
- _ Edmund Gosse (1849—1928) — wybitny krytyk literacki, autor licznych prac z historii literatury angielskiej. Max Beerbohm (ur. 1872) — wybitny angielski krytyk i eseista.
- * streszczenie (fr.)
- _ Od słowa Guild Socialism (guild — cech albo gilda kupiecka). Doktryna socjalistyczna rozpowszechniona w Anglii w pierwszym dwudziestoleciu XX w. głosząca, że fabryki powinny stanowić wspólną własność pracujących w nich robotników.
- * Harold Józef Laski (1893–1990) polityk i pisarz angielski.
- * Przedłużenie krótkiej sylaby, (gr.)
- * Krótkie wymawianie długiej sylaby, (gr.)
- _ William Ralph Inge (ur. 1860 r.) — dziekan Katedry św. Pawła w Londynie, autor dzieł o tematyce filozoficznej.
- * rozwiążności (fr.)
- _ Alfred Tennyson, In Memoriam, strofa LVI.
- * nietakt (fr.)
- _ Baber — Zehin un din Mahrmet (1483–1530) wnuk Tamerlana, zdobywca wschodnich Indii; założył tam państwo mahometańskie i dynastię Wielkich Mogołów. Panipat — miasto w Indiach.
- * Umierający, pozdrawiam cię. (łac.)
- _ koniec (łac.)
- * stałej ziemi (łac.)
- * umiejętności (fr.).
- _ Wieści znikąd
- * niech się stanie, tu: wola, życzenie (łac.)
- _ Tristram Shandy — dzieło napisane przez Laurence Sterne'a (1713–1768).
- _ Wg Starego Testamentu nazwa góry, ze szczytu której Mojżesz oglądał Ziemię Obiecaną.